

Sen o Kilimandzaro



ANNE JACOBS

SKARPA WARSZAWSKA

ANNE
JACOBS

Sen 
o Kilimandzaro

Powieść napisana pod pseudonimem LEAH BACH

Tłumaczenie:
Ewelina Twardoch-Raś



Spis treści

Karta redakcyjna

Od wydawcy.

Od tłumaczki

CZĘŚĆ I

Maj 1880 roku

Grudzień 1880

Sierpień 1885

Październik 1892

Styczeń 1894

Listopad 1895

CZĘŚĆ II

Marzec 1896

Przypisy.

Tytuł oryginału
Der Himmel über dem Kilimandscharo

Redakcja
Daria Lebida

Tłumaczenie
Ewelina Twardoch-Raś

Korekta
Bożena Sigismund

Projekt graficzny okładki
Anna Slotorsz

Zdjęcie wykorzystane na okładce
AdobeStock

Skład i łamanie
Agnieszka Kielak

First published by Anne Jacobs/Leah Bach. All Rights reserved
Copyright © 2019 by Blanvalet
a division of Penguin Random House Verlagsgruppe GmbH,
München, Germany

Polish edition copyright © 2024 Agencja Wydawniczo-Reklamowa
Skarpa Warszawska Sp. z o. o.
Polish translation copyright © 2024 Ewelina Twardoch-Raś

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie

Wydanie pierwsze
ISBN 978-83-83293-86-8

SKARPA WAR SZAW SKA

Wydawca

Agencja Wydawniczo-Reklamowa

Skarpa Warszawska Sp. z o.o.

ul. Borowskiego 2 lok. 24

03-475 Warszawa

tel. 22 416 15 81

redakcja@skarpawarszawska.pl

www.skarpawarszawska.pl





Konwersja: [eLitera s.c.](#)

Jeśli w książce pojawiają się linki do stron internetowych osób trzecich, nie ponosimy odpowiedzialności za umieszczoną w nich treść. Nie uznajemy ich bowiem za źródła własne, ale jedynie odnosimy się do nich jako do miejsca pierwszej publikacji danych treści.

Od tłumaczki



W czasach, w których rozgrywa się powieść Anne Jacobs, nie istniała jeszcze świadomość, że język oraz techniki retoryczne mogą stanowić narzędzia rasowej i etnicznej opresji. Współcześnie ta świadomość jest bardzo duża, nie tylko w kręgach akademickich. Znacomity artykuł na ten temat napisała Margaret Ohia-Nowak, zauważając, że słowo „Murzyn” „(...) przekazuje negatywne znaczenia, służy do deprecjacji i bywa narzędziem agresji, zarówno werbalnej, jak i zapowiedzią przemocy niewerbalnej, naruszania nietykalności cielesnej”^[1]. Kierując się tymi ustaleniami, w swoim tłumaczeniu starałam się uwzględnić tę współczesną świadomość, obejmującą różnice znaczeniowe między językiem niemieckim i polskim, ale jednocześnie oddając także ducha epoki. Z tego względu zachowałam w tłumaczeniu słowo „Murzyn” (i pochodne) jedynie w dialogach i narracji, która przedstawia punkt widzenia konkretnej postaci czy stanowi relację z wydarzeń dyskryminujących lub wskazanie panujących, rasistowskich poglądów. W pozostałych przypadkach, w tłumaczeniu, używam słów, które zgodnie z badaniami Ohii-Nowak, w języku polskim nie są uznawane za obraźliwe i deprecjonujące, choć i w tym przypadku nie zawsze bez zastrzeżeń, takich jak: czarnoskóry(a), ciemnoskóry(a), czarny(a), czy związanych z pochodzeniem etnicznym – jak Afrykanin(ka)^[2].

CZĘŚĆ I



MAJ 1880 ROKU



Charlotte przez lata pamiętała każdy szczegół tego poranka: zapachy unoszące się w starym domu, rozmowy i kłótnie, a także słoje z konfiturami pokryte kurzem, który osiadł na nich w piwnicy. W jej pamięci zachowały się także wspomnienia jabłoni, z opadającymi niczym śnieg, różowobiałymi płatkami kwiatów. Te zaś były nie mniej wyraźne niż wspomnienia kamiennej twarzy dziadka w ciemnym, cichym pokoju. Tego dnia wydarzyło się coś nieprawdopodobnego, co na zawsze odmieniło życie dziesięciolatki.

Z rana obudziła ją mucha. Zwyczajna, natrętna mucha domowa, która usiadła na jej twarzy i połaskotała ciepły od snu policzek. Dziewczynka poczuła małe nóżki na swojej skórze i z obrzydzeniem wykonała szybki ruch ręką. Mucha wzleciała w górę, krążyła nad łózkami, brzęcząc ze złością i dwukrotnie odbiła się od tapety, co brzmiało, jakby ktoś mocno stukał palcem w ścianę. Całe te akrobacje powinny były wprawić ją w stan oszołomienia, jednak owad nie przestawał brzęczeć, znikając nagle między zielonymi firankami. Na zewnątrz było już jasno. Charlotte naciągnęła na twarz róg poduszki wypełnionej pierzem i przytuliła się do Klary, która spała obok niej – ciepła i zaróżowiona od snu. Klara była jej ulubioną kuzynką, młodszą o ponad dwa lata. Ilekroć odwiedzali dziadków, Charlotte spała w łóżku Klary i właśnie to wspólne spanie było najlepsze w tych wizytach.

Charlotte chętnie chodziła nawet spać z kurami, byleby tylko szeptać sobie z Klarą, opowiadać jej różne historie albo głupie żarty. Pozostałe dwa łóżka, stojące w ciasnej sypialni należały do starszej kuzynki Ettje i ciotki Fanny. Dziewczynka za żadne skarby nie chciała dzielić pośłania z którąkolwiek z nich. Ettje zgrzytała zębami przez sen, a czasem nawet wymachiwała na wszystkie strony rękami i nogami. Poza tym zaczęła już miesiączkować i zawsze, kiedy przychodził ten czas, wyła wniebogłose, co naprawdę wyglądało przerażająco. Dzielenie łóżka z ciotką Fanny byłoby natomiast

jeszcze bardziej okropne. Wieczorem kładła się na plecach, sztywna i wyprostowana, z rękami splecionymi na brzuchu i budziła się rano dokładnie w tej samej pozycji. Gdy tylko ciocia Fanny kładła się do łóżka, w pokoju nie wolno już było szeptać, chichotać, a nawet się do siebie uśmiechać. Kiedyś ciocia wstała i podeszła do nich jak biała zjawa z lampką nocną w dłoni, żeby uderzyć Klarę w twarz. I choć Charlotte powinna otrzymać tę samą karę, ciocia Fanny nie odważyłaby się jej uderzyć, bowiem ojciec dziewczynki nie tolerował takich metod. W twarz dostała zatem tylko biedna Klara, córka ciotki.

Charlotte zamknęła oczy i próbowała wsłuchiwać się w regularny oddech Klary, żeby szybko zasnąć, jednak daremnie. Prawdopodobnie winne temu było poranne słońce, sączące się przez szczeliny w zasłonie i obramowujące wyblakłą zieleń materiału złotawą poświatą. Z cichym westchnieniem odwróciła się z powrotem na plecy, oczywiście bardzo ostrożnie, pozwalając Klarze dalej spać. Może to i dobrze, że już się obudziła. Tak czy inaczej, nie miała szansy ponownie zobaczyć żaglowca na nieskończenie szerokim oceanie, nigdy nie śnimy przecież dwa razy o tym samym. Sen był piękny, ale jednocześnie niezwykle smutny, tak że prawie się rozpląkała. Dumny trójmasztowiec, który przecinał fale naprężonymi żaglami, niósł jej rodziców i brata coraz dalej od niej. Z każdym dniem, z każdą godziną odległość między nimi rosła. Jej bliscy wyjechali do Indii. Do krainy słońca i ludzi o brązowym odcieniu skóry, gdzie tajemniczo pachniały rośliny, a w stawach pływały kwiaty o perłowym zabarwieniu, uśmiechnięte i piękne jak ludzkie twarze. Błagała i prosiła, żeby zabrali ją ze sobą, ale mama nie ustąpiła. Charlotte została zabrana do dziadków w Leer, ponieważ statek towarowy nie był miejscem dla dziesięciolatki, nawet jeżeli jej tata był kapitanem. Jej brat, Jonny mógł z nimi płynąć, mimo że miał tylko siedem lat. Ale on był chłopcem.

Mama długo płakała, kiedy dziadek przyjechał odebrać Charlotte w Emden. Również głośno łkał Jonny, kiedy się żegnali. Ten mały głuptas wolałby raczej pojechać do Leer niż z rodzicami, bo tam mógłby bawić się z Paulem. Tata natomiast podniósł Charlotte i obracał się z nią w miejscu, tak że unosiła się w powietrzu niczym ptak, a on się z tego śmiał. Następnym razem miała pojechać z nimi – zostało to uroczyście obiecanie.

Tymczasem w łóżku obok, Ettje rozciągnęła ramiona i ziewnęła sennie, zaciskając pięści.

– Śpicie jeszcze? – zapytała z poranną chrypką w głosie. – Lepiej nawet nie myślcie, że będziecie się mogły dzisiaj lenić tylko dlatego, że nie ma szkoły. Jutro są Zielone Świątki, trzeba wszystko dokładnie posprzątać.

Okrągłą twarz Ettje okalał czepek nocny obszyty koronką, który pochodził z babcinej szafy. Kuzynka żyła w przekonaniu, że nakrycie głowy nie tylko ochroni jej kosmyki, ale dzięki niemu jej włosy staną się też bujniejsze. Ettje miała rozczochrane ciemnoblonde włosy, które na noc wiązała w kucyk. Kiedy nosiła je rozpuszczone w ciągu dnia, układały się w cienkie rozwarstwione pasma, wracające zawsze do tej samej postaci, niezależnie od tego ile je czesała.

– Długo już nie śpię! Dłużej niż ty! – chwaliła się Charlotte, a Klara odsunęła nieco koc i cicho ziewnęła. We wszystkim co robiła, Klara była cicha jak myszka, nawet kiedy chodziła, nie wydawała właściwie żadnego dźwięku. Było to o tyle dziwne, ponieważ Klara miała lewą nogę krótszą, z grubą stopą, o odmiennym kształcie niż inne osoby, dotychczas spotkane przez Charlotte.

– W takim razie mogłaś nam już dawno przynieść ciepłą wodę do mycia z kuchni! – w odpowiedzi rzuciła z wyrzutem Ettje.

– Ale dlaczego ja?

– A dlaczego nie? Myślałaś, że będę to dla was robić każdego dnia? I tak już zawsze wszystko muszę przynosić Klarze.

– Klarę zostaw łaskawie w spokoju! – odparła ze złością Charlotte. Wstała z łóżka i owinęła swoją długą koszulę nocną niebieskim szalem mamy. Aby zdjąć dzbanek, musiała wspiąć się na drewnianą skrzynię podróżną. To właśnie zawartość tej skrzyni była prawdziwym powodem złości Ettje – znajdowały się w niej bowiem ładne ubrania Charlotte, jej buty i delikatna pościel, a także zabawki, kilka książek i dwie lalki. Ettje nigdy nie posiadała tak drogich rzeczy, nie było na to pieniędzy w domu emerytowanego pastora Dirksena, który musiał wyżywić swoją owdowiałą córkę Fanny i trójkę jej dzieci.

– Jeśli to ja przyniosę wodę, umyję się pierwsza! – oznajmiła radośnie Charlotte. – A potem Klara. Ty będziesz ostatnia, Ettje!

– Tylko nie stłucz dzbanka i niczego nie rozlej, bo zostaną plamy na schodach! – zawołała za nią Ettje i obróciła się na bok, żeby jeszcze choć przez chwilę napawać się kojącym ciepłem miękkiego łóżka.

Schody były wąskie i ciemne, pachniało woskiem do podłóg, starym drewnem i może jeszcze słabo wyczuwalnym tytoniem z fajki dziadka. Charlotte trzymała dzbanek obiema rękami, opierając go

o brzuch i bosymi stopami stąpała ostrożnie po stopniach. Pod żadnym pozorem nie chciała przypadkiem uderzyć cennym naczyniem, pomalowanym w fioletowe kwiaty, o ścianę czy poręcz. Nic dziwnego, że Klara nie nadawała się do tej pracy, sporo wysiłku kosztowało ją przecież samo schodzenie ze schodów.

Na dole, w korytarzu, było trochę jaśniej. Nieco światła wpadało przez świetlik znajdujący się nad pomalowanymi na biało drzwiami wejściowymi, przez które solidnie ciągnęło zimnem, a wyłożona kafelkami podłoga wzmagała jeszcze ten chłód. Na komodzie w przedpokoju stały wszelkiego rodzaju słoiki z konfiturami i innymi przetworami. Babcia musiała je tutaj przynieść z piwnicy, bo kolorowe tkaniny, którymi były owinięte, zaczynała już oblepiać warstwa kurzu. Jutro będą obchodzili Zielone Świątki, więc ciocia na pewno upiecze ciasto, może nawet zrobi pieczeń. Na szczęście drzwi do kuchni były już uchylone. Zaskrzypiały, gdy dziewczynka nacisnęła na nie bosą stopą. W jednej chwili poczuła wyraźnie przyjemny powiew ciepła i cierpki zapach drewna, tłącego się w piecu, a potem poczuła również delikatny zapach kawy oraz gotowanego mleka. Babcia stała przed piecem, podniosła okrągłe fajerki i grzebała w ogniu tak, że leciały z niego iskry.

– Dzisiaj ciebie wysłały, moja ptaszyno? – spytała i przykryła żelazną pokrywą ziejącego ogniem potwora, czatującego w piekarniku. – Tylko uważaj, żeby się nie potknąć na schodach i nie spaść z dzbankiem!

– Poradzę sobie! To dla mnie nic trudnego! – stwierdziła urażona Charlotte i postawiła dzbanek na podłodze w kuchni obok pieca.

– Dobrze, w takim razie nie ma na co czekać!

Babcia Grete wzięła chochlę i nabrała gorącej wody ze „statku” do dzbanka. „Statek” był kwadratowym zbiornikiem w palenisku, przypominającym co najwyżej żałosną barkę, którą można było wiosłować po rzece. W żadnym wypadku nie wyglądał tak jak prawdziwy statek, którym dowodził jej ojciec. Był na to zbyt nieforemny, zupełnie niezgrabny.

– O Boże, przecież ona sobie z tym nie poradzi – powiedziała ciocia Fanny, która stała przy kuchennym stole i obierała marchewki.

– Upuści dzbanek, mamó. Szkoda takiej pięknej rzeczy. Zaraz zawołam Ettje...

– Ach, zostawże ją w spokoju – powiedziała niewzruszona babcia i naląła więcej zimnej wody. – I wyciągnij Paula z łóżka, bo prześpi do samych Zielonych Świątek, jeśli nikt go nie obudzi.

Babcia Grete była tylko o pół głowy wyższa od Charlotte, ale miała przysadzistą budowę ciała, mocny głos i poruszała się szybko. Kiedy patrzyła na coś poważnym wzrokiem, jej twarz stawała się zupełnie gładka, tylko policzki nieco opadały. Ale kiedy się śmiała, co zresztą często robiła, jej skóra wyglądała jak zmięty papier pokryty tysiącem drobnych zmarszczek. Chociaż była kobietą niewielkiego wzrostu, babcia Greta prowadziła dom twardą ręką i nawet dziadek nie śmiał się jej sprzeciwić, pomimo że piastował wcześniej funkcję pastora i nadal był osobą bardzo szanowaną przez wszystkich poczciwych luteranów w Leer.

Charlotte ostrożnie podniosła dzban – był teraz nieznośnie ciężki i do tego pełny po brzegi.

– Idź powoli i pozwól, żeby na górze to Ettje nalewała wodę!

Babcia odwróciła się z powrotem do pieca, żeby odsunąć garnek, i zdawała się nie zwracać uwagi na walkę Charlotte z dzbanem, wypełnionym wodą do mycia. Za to ciocia Fanny zmartwionym wzrokiem wodziła za siostrzenicą, przerywając przy tym swoją pracę, a po jej wyrazie twarzy można było łatwo poznać, że w każdej chwili spodziewa się katastrofy. Ale nie było w tym też niczego niezwykłego – szczupła, blada ciotka zawsze robiła taką minę, jakby jutro miała stanąć przed sądem ostatecznym.

Ciepła woda po raz pierwszy wylała się na korytarzu, ale tylko dlatego, że ten głupi szary kot przebiegł jej między nogami. Trochę wody trafiło na jego grzbiet i przerażony uciekł z sykiem w stronę kuchni. Dwa razy musiała się zatrzymać na schodach, bo prawie zgubiła jasnoniebieski wełniany szal mamy. Woda znów się trochę rozlała, a Charlotte próbowała wytrzeć krople bosą stopą. Na górze, w półmroku korytarza, Paul stał przy balustradzie w swojej krótkiej koszuli nocnej i z przejęciem, uważnie obserwował, jak kuzynka mocije się z dzbanem, starając się utrzymać równowagę. Kiedy bezpiecznie dotarła na szczyt, a niewdzięczny balast pozostał nienaruszony, na twarzy chłopca malowało się rozczarowanie.

– Zaklinam cię, zaklinam cię! – Uśmiechnął się. – Zaraz upuścisz ten dzbanek.

– Idź sobie!

– Zaraz upadnie, upadnie!

Podskakiwał przed nią i robił dziwne miny, ale nie śmiał jej popchnąć, bo gdyby dzban rzeczywiście się stłukł, miałby duże kłopoty.

– Twoje oczy są żółte jak u kocura! – krzyknął do niej złośliwie, gdy była już przed drzwiami sypialni dziewcząt i musiał zrezygnować z dalszej zabawy. – Oczy kocura, oczy wiedźmy...

Naprawdę szkoda, że nie było tutaj jej brata Jonny'ego, dałby teraz popalić Paulowi, chociaż był dwa lata młodszy od kuzyna. Charlotte miała ochotę uderzyć Paula, ale musiała trzymać dzbanek, poza tym była dziewczynką, a te, jak wiadomo, nie wdawały się w bójki. Zasłony w sypialni były jeszcze zaciągnięte, ale lekkie promienie słońca wpadały przez szparę do pokoju niczym wąski, złoty welon. Kiedy Klara usiadła na łóżku, słońce padało prosto na jej twarz i musiała zmrużyć oczy.

– Ettje! – zawołała cicho Klara w stronę łóżka siostry.

– Psst! – powiedziała Charlotte i potrząsnęła głową. – Pozwól jej spać.

Charlotte wzięła miednicę z kredensu i postawiła ją na podłodze, żeby łatwiej było nalewać wodę. Potem musiała pomóc Klarze wstać. Gruba kołdra wypełniona pierzem leżała teraz na nogach kuzynki, ciężąc niczym ołów, ponieważ w ciągu nocy wszystkie pióra zsunęły się na sam dół materiałowej powłoczki. Dziewczynka musiała się trochę wysilić, aby przyklęknąć na podłodze, ale nie narzekała, tylko podobnie jak Charlotte zanurzała szmatkę w miednicy, by zetrzeć sen z twarzy. Ręce i ramiona również myły ciepłą wodą, a następnie klatkę piersiową. Trzeba było rozpiąć koszulę nocną i ściągnąć ją w dół, ale nie na brzuch, bo to byłoby nieskromne. Pod żadnym pozorem nie można też było dotykać mokrą szmatką niczego poniżej pępka, tych miejsc należało w ogóle dotykać jak najrzadziej. Trzeba było również umyć stopy i nogi, ale tylko do kolan. Dzieci kąpano raz w tygodniu, najpierw dziewczynki, potem chłopców, aby woda została w pełni wykorzystana. Tylko bardzo małe dzieci były w kąpielu zupełnie nagie, starsze – także Charlotte – pozostawały w koszulach. Cera Klary była jasna, a jej klatka piersiowa i ramiona wydawały się Charlotte bardzo wątłe, niemalże przezroczyste. Wyglądały przy tym jednak zwyczajnie i nie były zdeformowane jak jej noga. Twarz miała pociągłą, nos trochę za duży, zaś wokół niebieskich oczu dostrzec można było zacienione obwódki – to pewnie dlatego, że Klara tak często chorowała. Przynajmniej nie miała piegów jak Ettje, którą strasznie denerwowały plamki na czole i nosie. Kiedyś próbowała je nawet pudrować białą mąką. Niewiele to jednak dało, brązowe plamy wciąż prześwitywały przez cienką warstwę mąki, jakby tego było mało, babcia wymierzyła jej w twarz soczysty policzek. W domu

Dirksenów nie marnowano jedzenia, a już na pewno nie na próżność, która była uważana za straszny grzech.

– Chciałabym mieć takie włosy jak twoje – szepnęła Klara. – Tak gęste i z takimi lokami.

Wyżymała szmatkę i położyła ją na krawędzi miski, a potem sięgnęła po długi warkocz Charlotte. Starsza kuzynka nigdy nie potrzebowała opaski ani innego zapięcia; wystarczyło owinąć koniec jednego z kosmyków wokół palca i powstawał lok, który doskonale trzymał spleciony warkocz.

– Nie powinnaś sobie tego życzyć. Strasznie mnie ciągną podczas czesania!

– Czuję, że są bardzo miękkie w dotyku. I świecą na niebiesko.

– Na niebiesko? – zapytała Charlotte, chichocząc.

– Nie tak zupełnie na niebiesko. Tylko trochę. Kiedy pada na nie światło. Wtedy są takie czarnoniebieskie. Albo srebrnoniebieskie...

Charlotte rzuciła krytyczne spojrzenie na koniec swojego warkocza i potrząsnęła głową. Potem podniosła go, by przytrzymać w migotliwym promieniu słońca, który był teraz nieco jaśniejszy i szerszy. Przypadkiem uderzyła jednak kolaniem w miednicę i woda chlusnęła na podłogę. Zaskoczona Klara cofnęła się, żeby nie zamoczyć koszuli.

– Co wy wyprawiacie? – zawołała Ettje ze swojego łóżka. – Wytrzymaj to, Charlotte! Inaczej woda spłynie przez deski w podłodze i zacznie kapać do salonu.

– To tylko odrobina...

– Zrób to natychmiast! A potem się ubierzcie, bez dyskusji!

Ettje wstała z łóżka, spojrzała w oślepiające od słońca lustro ścienne i skrzywiła twarz. Potem, złorzecząc pod nosem, postawiła miednicę na komodzie i patrzyła z zazdrością, jak Charlotte otwiera drewniane wieko swojej skrzyni.

– Spójrz. To może ci pasować, Klara! – szepnęła Charlotte.

– To jest dla mnie zbyt eleganckie.

– Jutro jest święto i idziemy do kościoła, więc jest odpowiednie. Sukienkę uszyła mama, materiał pochodzi z Indii. Dotknij tylko i się przekonaj, jaki jest cudownie gładki.

Ettje nawet nie spojrzała w ich stronę, zamiast tego mocno przecierała twarz ściereczką, głośno przy tym prychając. Miała czternaście lat i nabierała już kobiecych kształtów. Bielizna Charlotte i tak byłaby na nią za ciasna, a ubrania za krótkie. Mimo wszystko było to niesprawiedliwe, że je miała.

– Uczeszcie w końcu te włosy! I nie kręćcie się tak ciągle w kółko!

Charlotte musiała wczłgać się pod łóżko, aby sięgnąć po brzydkie drewniane chodaki, które miała nosić w domu babci. Kiedy wstała, spojrzała z ciekawością na Ettje, która właśnie ściągnęła z siebie koszulę nocną. Mama nigdy nie rozbierała się przy dzieciach, więc patrzenie na piersi Ettje było dla Charlotte ekscytującym doświadczeniem. Wyglądały zabawnie, jak dwa ukąszenia komara, które napuchły dosyć mocno. Lewa strona była grubsza, prawa chyba musiała jeszcze trochę urosnąć. Nie były to jednak jeszcze prawdziwe piersi, kiedy Ettje miała na sobie sukienkę, w ogóle nie było ich widać. Charlotte cieszyła się, że ma jeszcze trochę czasu. Za nic w świecie nie chciała mieć takich dziwnych, napuchniętych ukąszeń na klatce piersiowej. Dlaczego nie można było po prostu obudzić się pewnego ranka, a piersi byłyby od razu należytej wielkości i odpowiednio położone? Klara stała już przy schodach. Charlotte precyzyjnie przycisnęła się szybko obok niej, by powoli iść przodem.

– Nie musisz tego robić, Lotte. Zbiegnij do kuchni, a ja pójde powoli za tobą – szepnęła nieśmiało Klara.

– Ale ja muszę iść teraz powoli, bo wcześniej uderzyłam palcem w słupek od łóżka i mnie boli!

Klara często ślizgała się i potykała na stopniach, a nawet spadała ze schodów, co nikogo w domu jakoś szczególnie nie martwiło. Zdążyli się już do tego przyzwyczaić. Charlotte nie chciała jednak, żeby młodsza kuzynka zrobiła sobie krzywdę, więc zawsze starała się iść schodami tuż przed nią, by mogła przytrzymać Klarę, gdyby ta się potknęła. Na dole Paul siedział przy kuchennym stole, napychając się pajdą posmarowaną masłem i popijając ciepłe mleko. Ciocia Fanny przyciskała do piersi bochenek chleba i kroїła cienkie kromki, jedzone razem z masłem i czarnobrazową konfiturą gruszkową, rozcieńczoną wodą, a następnie zagotowaną. Babcia przygotowywała śniadanie dla dziadka, które jak zwykle miał on zjeść w swoim niewielkim gabinecie. Na tacy stała duża filiżanka kawy z mlekiem, na talerzu zaś leżały dwie kromki chleba grubo posmarowane masłem i konfiturą. Pozostali członkowie rodziny mogli pić kawę jedynie od święta lub gdy przychodzili goście.

– To teraz raz-dwa – rozkazała babcia Grete. – Ettje masz iść do rzeźnika, a potem na targ. Paul może pomóc nieść zakupy. Klara zostaje tutaj, żeby pracować skarpetki, a Charlotte pomaga nam w sprzątanii.

Babcia zachowywała się niczym generał, a kiedy rozdelała pracę, trzeba było być posłusznym. Jutro Zielone Świątki, więc cały dom musiał lśnić czystością: wszystkie podłogi trzeba było dokładnie umyć, łóżka prześcielić, z mebli pościerać kurz, zwłaszcza w salonie, na wypadek niespodziewanych gości. Sprzątanie nie było przyjemnym zajęciem, zdaniem Charlotte. W Emden, gdzie mieszkała, mieli od tego pomoc domową. Pranie też zazwyczaj odbierała od nich jakaś kobieta, a mama tylko niektóre, drobne ubrania przepierała sama.

– Czy nie byłoby lepiej, gdybym to ja poszła na targ, babciu? Wiesz, że kupiłam ostatnio tańsze jajka i masło też.

Babcia Grete nie odpowiedziała ani słowem i poszła do spiżarni, żeby zdjąć boczek z haka. Milczała również, odcinając kawałek i krojąc go w małe kostki.

– Zaoszczędziłam wtedy cztery fenigi, ponieważ jestem taka dobra w targowaniu się – upierała się Charlotte, upijając głęboki łyk mleka z kubka. – Jeśli dzisiaj znowu pójde do tych handlarzy, możemy zaoszczędzić kolejne cztery fenigi, a może nawet i pięć.

Słychać było stukot drewnianych chodaków Ettje w korytarzu. Weszła do kuchni w samą porę, by usłyszeć, co mówi Charlotte.

– Z nią nie idę na targ, babciu, wstyd mi przed ludźmi, gdy ona się tak targuje.

– To znaczy, że masz pieniądze do rozdania, czy tak? – syknęła babcia na Ettje, nie odrywając wzroku od wykonywanej pracy. Nie lubiła cofać swoich poleceń, ale cztery fenigi to w końcu cztery fenigi, a pieniędzy wciąż brakowało.

– Bóg jeden wie, skąd masz ten talent – warknęła tym razem do Charlotte. – Na pewno nie odziedziczyłaś go po swoim ojcu. Idź więc na ten targ i spróbuj szczęścia.

Ettje uparcie przeżuwała kanapkę. Nie miała nawet szansy wyładować swojej złości na Charlotte, bo teraz musiała zapamiętać wszystkie sprawunki, dyktowane przez babcię. Odebrać od rzeźnika mięso na pieczeń, które zamówiono z wyprzedzeniem, razem z trzema wątróbkami i trzema małymi kaszankami. Na targu kupić funt masła, cebulę, jajka, trzy świeże bochenki chleba. I paczkę tytoniu. Przy tym „zamówieniu” dało się słyszeć lekkie westchnienie, ponieważ dziadek po prostu nie chciał zerwać z nałogiem palenia fajki. Pieniądze zostały przekazane Ettje, która zawiązała je w chusteczkę, żeby ich nie zgubić. Paul w mgnieniu oka wyjął ze spiżarni duży kosz na zakupy i stanął grzecznie obok starszej siostry,

martwiąc się, że zostanie w domu, bo teraz to Charlotte mogła przecież pomóc w noszeniu zakupów. Wiedział, że gdyby przyszło mu ją zastąpić, musiałby zamiatać podłogi, a było to zajęcie, którego szczerze nie znosił. Miał jednak szczęście. Babcia Grete zawsze miała słabość do błagalnego spojrzenia chłopięcych oczu i kazała mu jedynie zapiąć kurtkę oraz podciągać do góry skarpetki.

Na zewnątrz przywitało ich jasne majowe słońce, oślepiając na chwilę. Żywopłoty były nasycone soczystą zielenią, obok drzwi frontowych na ziemi lśnił duży, biały kleks. Pochodził on z jaskółczego gniazda uwitego pod dachem, które wprost tętniło teraz życiem. Po drugiej stronie ulicy kwitła ogromna pergola z krzewów owocowych; pełna białego przepychu, mieniącego się na różowo, otoczona długimi rzędami rozpostartych gałęzi. Kiedy nadciągał wiatr, płatki rozpościerały się jak smugi śniegu nad ogrodową ścieżką, a nawet wyfruwały na ulicę niczym maleńkie ptaki.

Ulrichstrasse znajdowała się w sporej odległości od targu, a Ettje, która była zupełnie ślepa na piękno wiosny, nieustannie poganiała swoich pomocników. Sąsiadki wychodziły im naprzeciw z pełnymi koszami zbiorów, niektóre ciągnęły za sobą wózek, gdzie pomiędzy różnymi tobołkami, butelkami i koszami przykucały małe dzieci, niebędące jeszcze w stanie samodzielnie przejść tak dalekiej drogi. Charlotte już dawno nauczyła się witać ze wszystkimi w przyjacielski sposób, bo tutaj w Leer nie było tak jak w Emden, tu każdy każdego znał. Pastor Henrich Dirksen był powszechnie szanowany, nawet wśród wyznawców z Kościoła Ewangelicko-Reformowanego, chociaż nie znali oni właściwej wiary chrześcijańskiej. Co rusz któraś z kobiet zatrzymywała się, by chwilę porozmawiać. Czy to ta wnuczka z Emden? Córka Ernsta. Gdzie zostawiła swojego młodszego brata? Charlotte cierpliwie wyjaśniała, że jej rodzice i brat są w drodze do Indii i odczuwała natrętne spojrzenia z pewnym niepokojem. Czasem miała wrażenie, że te kobiety i tak już wszystko wiedziały, a chcą się tylko na nią pogapić i niepotrzebnie zamęczać tymi pytaniami. Może chciały się też przekonać, czy potrafi dobrze mówić po niemiecku, a nie po angielsku czy „indyjsku” – jak to mawiali w Leer.

– Zostaniesz u babci do lata? Na pewno będzie się cieszyć, bo naprawdę rozgarnięta z ciebie dziewczynka!

Mewy krążyły nad miastem, białopióre złodziejki ze spiczastymi dziobami; przylatywały z pobliskich doków, gdzie czasem coś udało się im zwędzić z kutrów rybackich. Majowe słońce oświetlało skąpą zieleń ulic i ogródków przed domami, ale miasto nadal wydawało się

Charlotte ponure i opustoszałe. Domy były niskie, cegły pociemniałe od wiatru i deszczu, między domami stały na wpół zrujnowane wozownie, rozklekotane schrony na drewno opałowe i wszelkiego rodzaju rupiecie, w tym rozbite, gnijące łodzie. Wiatraki obracały skrzydłami jak wrzeszczące, trzepoczące się potwory, wydając dźwięki, które dzisiaj przerażały Charlotte, chociaż podczas poprzednich wizyt w Leer zawsze uważała, że są zabawne. Być może miasto wydawało jej się takie brzydkie, ponieważ róże pokrywające frontowe drzwi w wielu domach jeszcze nie kwitły, albo może po prostu Charlotte chciałaby być teraz na statku z Jonnym i rodzicami. Miała pozostać w tym ponurym miejscu aż do późnego lata. Tak długo, że nie warto było nawet liczyć dni – całe życie, wieczność.

– Jeśli znowu będziesz się targowała, a my zaoszczędzimy pieniądze, moglibyśmy kupić landrynki – zasugerował Paul.

– Nie – zaprzeczyła energicznie Ettje. – To nie wchodzi w grę.

Charlotte milczała oburzona. Jeśli już się targowała, to robiła to, żeby zaimponować babci, żeby usłyszeć jej pochwały, gdy przeliczała na stole zaoszczędzone monety, ale bynajmniej nie po to, by potajemnie kupić słodycze dla Ettje i Paula, bo to byłoby zwyczajne oszustwo.

Z Osterstrasse skręcili w lewo w Norderstrasse, skąd już było słyhać gwar targu. W małych sklepikach i warsztatach panowała wrzawa, a Paul niosący swój wielki kosz prawie wpadł na zaprzęg konny wypełniony beczkami piwa. Ettje w ostatniej chwili odciągnęła swojego młodszego brata spod kół i wykorzystała okazję, by zadać mu dwa mocne uderzenia w twarz.

– Ty głupku! Babcia mnie zbije, jeśli stratują cię końskie kopyta.

Charlotte w tym czasie pobiegła już naprzód i usłyszała tylko ciche wycie Paula, ginące w hałasie targu. Na Pfeffergasse, prowadzącej na plac przed ratuszem, znajdowały się dwie wysokie, wąskie witryny sklepu kolonialnego Juliusa Ohlsena. Takiego sklepu nie było nawet w Emden. Można było tutaj nawet podziwiać wypchaną głowę prawdziwego lwa. Wisiała za gablótami na drewnianej ścianie działowej, ogromna, z brązowoczną grzywą, opływającą czaszkę i otwartą paszczą, ukazującą wielkie żółte kły. Mole wygryzły już wprawdzie w futrze sporo dziur, nos też był uszkodzony, ale nie miało to najwyraźniej większego znaczenia, bo przed sklepem zawsze przystawało wiele osób, zwłaszcza dzieci.

Początkowo Charlotte czuła najpewniej to samo, co pozostali przechodnie: przerażenie zmieszane z dziwnym poczuciem obrzydzenia, powodujące, że trudno było oderwać wzrok od martwego drapieżnika. Później jednak zrobiło jej się żal lwa. Nim zawisł na tej drewnianej ścianie, był królem pustyni, upajającym się wolnością w swojej ojczyźnie. A teraz jego żywe oczy zastąpiły brązowe szklane kule i wszyscy przechodzący ludzie się na niego gapili. Jaka szkoda, że nie istniało zaklęcie, które mogłoby przywrócić go do życia. Byłoby zabawnie, gdyby nagle zaryczał tak głośno, jak tylko lew potrafi ryczeć. Ci wszyscy głupi gapie z pewnością uciekliby, niektórzy pewnie nawet by zemdleli, a dzieci zaczęłyby płakać.

Kiedy dorosnę, będę polował na wielkie zwierzęta. – Usłyszała tuż za sobą głos Paula.

Zastrzelę wszystkie lwy ze swojej strzelby. To takie proste.

– Najpierw to uważaj, żeby cię nie zjadły!

Ettje czekała przy straganach. Była u rzeźnika z Paulem i zdenerwowało ją, że Charlotte nagle gdzieś zniknęła.

– Powiem o tym w domu. Nie mam ochoty dostać reprimendy, jeśli nie wrócimy na czas.

Charlotte nie odpowiedziała, ale pomyślała, że Ettje jest dość niemądra. Dlaczego tak bardzo spieszyła się do domu? Będzie musiała tam tylko myć, wycierać i sprzątać przez cały dzień.

– A teraz już do pracy – potrzebujemy jeszcze masła, cebuli, jajek i chleba.

Targ był rozleglejszy niż zwykle ze względu na zbliżające się święto. Stoły sprzedażowe zostały ciasno rozmieszczone wokół budynku zbudowanego z ciemnoczerwonej cegły. Znajdowała się tu również masywna „waga z Leer”, ponieważ wszystkie sprzedawane, importowane lub eksportowane towary musiały być ważone. Wieśniaczki siedziały z nogami rozstawionymi na skrzynkach, liczyły jajka pakowane w papierowe torby, ważyły warzywa i masło, a wszystkim tym zajęciom towarzyszył gwar rozmów, krzyki, śmiechy, a nawet kłótnie. Handlarze rybami i drobiem rozłożyli swoje stragany tak blisko brzegu Ledy, że można było się zastanawiać, czy ich towary nie odpłyną, gdy ci nie będą na nie uważać. Jednak, kiedy targ się kończył, było im znacznie łatwiej niż innym: wystarczyło tylko przejść dosłownie kilka kroków i załadować pudła oraz skrzynie do łodzi.

Charlotte, za którą szli Ettje i Paul, przepychała się pośród tłumów, oglądała uważnie wszystkie towary, notowała ceny i zdawała sobie

sprawę, że dzisiaj targowanie się będzie trudne, ponieważ handel szedł nadzwyczaj dobrze. Dopóki było tłoczno od kupujących, żaden z handlarzy nie będzie chciał sprzedać czegokolwiek taniej.

– Będziemy musieli poczekać – oznajmiła. – Teraz nic tutaj nie wskóram.

– Na co mamy czekać? – burknęła Ettje. – Aż nic nie zostanie? Chleba już brakuje, a babcia nie chce zjełczałego masła.

– Najpierw kupmy tytoń.

Ettje zwróciła oczy ku niebu i jęknęła. Aby dostać się do straganu Dietricha Zachra, od którego dziadek zawsze kupował tytoń, musieli przejść długą drogę wzdłuż Pfefferstrasse i z powrotem wejść na targ. Tytoń najlepiej było kupić w drodze powrotnej do domu, bez zbędnego kręcenia się w kółko.

– W takim razie idziemy od razu do Ohlsena, to zaraz obok.

– My tam nie kupujemy.

– A dlaczego nie? On też ma tytoń.

Ettje nie wiedziała dlaczego, ale dziadek zawsze kupował tytoń tylko od Zachra. Z drugiej strony po paczce tytoniu nie można było rozpoznać, z jakiego sklepu pochodzi, a babcia nie powiedziała konkretnie, gdzie powinni go kupić.

– Do Ohlsena! – jęknął Paul. – Będę mógł tam dotknąć lwa. Chcę włożyć mu rękę do paszczy. Chodźmy do Ohlsena, proszę, Ettje!

– Wszystko musi być zawsze po myśli Charlotte – powiedziała sarkastycznie Ettje. – Będę naprawdę szczęśliwa, kiedy wreszcie wrócisz do tego swojego Emden!

– A ja będę jeszcze bardziej! – odparła ze złością Charlotte.

Z trudem precyzyjnie przeszli przez targ. Ettje mocno trzymała przy sobie koszyk z mięsem i kiełbasami w obawie, że złodziej może sięgnąć pod płótno i ukraść cenną zawartość. Zatrzymała się przed sklepem Ohlsena i oświadczyła, że woli poczekać na zewnątrz.

– Po prostu się boisz! – krzyknął do niej pogardliwie Paul.

W tym momencie Charlotte przejrzała kuzynkę. Jeśli sprawa z tytoniem miałaby wyjść na jaw, Ettje, zgodnie z prawdą będzie mogła powiedzieć, że ona przecież nie wchodziła do sklepu Ohlsena.

– Więc daj mi pieniądze!

Ettje rozwiązała materiałowy woreczek i liczyła monety, kładąc je na dłoni Charlotte. Tyle kosztował tytoń Zachra, jeśli u Ohlsena był droższy, to cóż, Charlotte będzie miała pecha.

Paul wbiegł już po schodach, przekręcił mosiężną klamkę, i otworzyły się drzwi sklepu zdobione niewielkimi witrażami. Mimo

dużych okien w witrynach sklepowych, w środku panował mrok, prawdopodobnie z powodu wysokich, ciemnobrązowych drewnianych półek, znajdujących się na ścianach wewnątrz sklepu i sięgających samego sufitu. Wypełniały je wszelkiego rodzaju jaskrawe pudełka, pudełka i różne dziwne bibeloty. Charlotte wzięła głęboki oddech. Wyczuła natychmiast oszałamiające aromaty egzotycznych przypraw. Wśród nich nie mogło oczywiście zabraknąć gałki muskatołowej, kurkumy i pieprzu, z których mama przygotowywała w domu indyjskie sosy – ostre i pyszne. Przed ladą stały dwie kobiety w eleganckich sukniach i kapeluszach: wdowa Harmsen i jej córka Ella, która wkrótce miała wyjść za mąż za asesora Bientjego z Aurich. Klientki sprawdzały dokładnie przyprawy znajdujące się w małych blaszanych puszkach, podsuwanych im przez kupca Ohlsena. Dyskutowały między sobą, nie mogąc dojść do porozumienia, ile powinny kupić. Charlotte ze zdumieniem zauważyła, że mimo podeszłego wieku, Ohlsen ma lśniące, ciemnobrązowe włosy i wąsy; dopiero gdy usłużnie skłonił głowę, widać było, jak przez długie kosmyki włosów prześwituje różowawo jego łysa głowa. W tym samym czasie starszy mężczyzna w ciemnym surducie, mocno wsparty na lasce, czekał, zniecierpliwiony, obok dwóch kobiet, wpatrując się w nie wrogo.

– Christian! – zawołał przez ramię kupiec Ohlsen. – Inni państwo też chcą być obsłużeni!

Rzeczywiście do sklepu wchodzili następni jeszcze klienci, dwie młode dziewczyny i korpulentna kobieta w niebieskiej sukni, które natychmiast dołączyły do pani Harmsen i jej córki, aby pogratulować zaręczyn.

– Christian! – krzyknął ponownie pan Ohlsen, tym razem bardziej stanowczo. Uśmiechnął się ujmująco do pań i szybko zapytał starszego mężczyznę w surducie, w czym może mu pomóc.

– Mój tytoń!

– Natychmiast, drogi panie Jansson. Dzisiaj jest prawdziwa majowa pogoda, pięknie świeci słońce, prawda?

– Gdyby tylko chciało tak pozostać jutro i pojutrze...

Kupiec Ohlsen natychmiast, nawet bez dłuższego spojrzenia w stronę regałów, zdjął z półki paczkę tytoniu, najwyraźniej wiedząc dokładnie, gdzie znajduje się każdy towar w sklepie. Gdy srebrna kasa fiskalna wydała krótki, ostry dźwięk, za Ohlsenem otworzyły się drzwi. Pojawił się w nich chłopiec, ubrany w zapinaną na guziki marynarkę i długie ciemne spodnie. Jego szyja była raczej cienka, a dłonie wystawały nieco zbyt mocno poza rękawy.

– Zapytaj, czy mogę pogłaskać lwa – wyszeptał Paul, chowając się za Charlotte.

– Sam zapytaj.

Chłopak za ladą spojrzał na Charlotte, miał zielonkawę oczy z ciemnymi rzęsami, nadające jego spojrzeniu przenikliwości.

– Co mogę dla was zrobić? – zapytał, rumieniąc się, ponieważ głos mu się nieco załamał.

– Chciałbym pogłaskać lwa – oznajmił Paul. Chłopiec uśmiechnął się i wyglądał teraz trochę milej, przeszło przez myśl Charlotte. Prawdopodobnie to nie był to pierwszy raz, gdy słyszał podobną prośbę.

– Czy może to zrobić, ojczy?

Ohlsen zmierzył Paula surowym spojrzeniem, uśmiech zniknął z jego twarzy, a zamiast tego na czole mężczyzny pojawił się rząd zmarszczek, przypominający fale rozbijające się na piasku.

– Chcemy też kupić tytoń – wyjaśniła szybko Charlotte. – Dla pastora Dirksena.

– Och, a więc to jest ta mała od kapitana Dirksena – wtrąciła pani Harmsen. – Znowu jesteście u dziadków w odwiedzinach?

– Tylko ja – odpowiedziała Charlotte, patrząc, jak fale na czole kupca stopniowo się wygładzają. W tym samym czasie usłyszała szeptał Elli Harmsen: – Jak ona wygląda! Od razu widać, że jej matka jest Hinduską...

Chłopiec, będący z dużym prawdopodobieństwem wzywany przez ojca Christianem, również usłyszał szeptał, ponieważ błędził teraz wzrokiem pomiędzy Charlotte i Ellą, przygryzając przy tym dolną wargę.

– Możesz dotknąć lwa, ale bądź ostrożny – powiedział do Paula i zachęcająco skinął głową. Potem znów spojrzał na Charlotte. – A ty też chcesz... pogłaskać lwa?

Oczywiście bardzo by chciała to zrobić. Przesunąć dłonią po kudłatej brązowej grzywie i poczuć, jakie jest w dotyku lwie futro. Bardzo ostrożnie przesunąć palcem po piaskowej sierści na czole, czule i jednocześnie z lekkim dreszczem strachu. Wyczuła jednak, że chłopiec jej to proponuje z litości, bo tak o niej bezceremonialnie szepczą, a to jej nie odpowiadało.

– Nie, dziękuję. Chcę tylko kupić paczkę tytoniu.

– Jaki gatunek?

– Cóż, taki zwykły tytoń fajkowy.

– Mamy różne rodzaje. Jak wygląda paczka, którą kupuje twój dziadek?

Próbowała sobie przypomnieć, co nie było łatwe, bo dziadek zawsze wkładał tytoń prosto do haftowanej sakiewki.

– Jest na nim herb – przypomniała sobie. – Paul, czy wiesz, jak wygląda paczka tytoniu dziadka?

– Są na niej smoki, miecze i tym podobne rzeczy...

Paul stawał właśnie na palcach, by dotknąć jedno z lwich uszu. Przez witrynę sklepową widać było Ettje, która czekała cały czas na ulicy i wyraźnie zirytowana, dawała Paulowi znaki, żeby natychmiast wychodzili.

– Czy to może jedna z tych paczek? – zapytał Christian, kładąc przed nią cztery brązowe opakowania, każda z ładnym nadrukiem.

– Nie, żadna z nich. Masz może jeszcze jakieś inne?

– Może w magazynie...

Rzucił szybkie spojrzenie na ojca, który żegnał się z matką i córką Harmsen trzema lekkimi ukłonami, jednocześnie obsługując kasę. Dwie dziewczyny, które niedawno weszły do sklepu podziwiałały wosk do wąsów i kolorowe słoiczki z kremem do twarzy wystawione w małej gablotce na blacie.

– Chcesz iść ze mną? – zapytał cicho Christian. – Magazyn jest tuż obok. Mamy tam prawdziwe kokosy i nawet kawałek zęba słonia.

Jeśli myślał, że zrobi na niej wrażenie, to się mylił, bo jej tata przywoził z podróży takie rzeczy, w tym duże muszle i piękne rzeźby z czarnego drewna.

– Jeśli tak będzie szybciej, to z tobą pójdę.

Musiła wejść za ladę, a on przytrzymał dla niej otwarte drzwi i zamknął je szybko zaraz po tym, gdy oboje przez nie przeszli. W ponurym korytarzu panował chłód, a na ścianach, pobielonych grubą warstwą tynku, czas wyraźnie odcisnął swoje piętno. Jakie to dziwne, że zaplecze tego pięknego sklepu, było tak brudne i brzydkie. Christian odsunął rygiel wyszczerbionych drewnianych drzwi i weszli do wąskiego pokoju zastawionego regałami z desek. Na ziemi położono jutowe worki z czarnymi napisami, niektóre były otwarte, inne jeszcze zaszyte. O wiele bardziej niż w sklepie, najróżniejsze zapachy mieszały się tutaj, tworząc ekscytującą, odurzającą woń. Była to dziwna słodycz cynamonu, nieco odleglejszy, ale ciężki zapach herbaty, czuć było też fiołki i mydło różane, aromat kawy i drzewa sandałowego...

– Tam jest ryż – wyjaśnił chłopiec, wskazując na jeden z worków. – Przywieziony z Indii Zachodnich.

Wpatrywała się w jutowy worek, próbowała odczytać napis, ale nie była w stanie. Litery rozmywały się jej przed oczami. Indie. Worek pochodził z miejsca, w którym teraz znajdowali się jej rodzice i brat. Christian nie próbował szukać tytoniu. Zamiast tego usiadł na worku ryżu i odchrząknął. Jego głos ponownie się załamał, gdy kontynuował.

– Widziałem cię w środę. Wyszłaś ze szkoły i przeszłaś obok kościoła luterańskiego.

– To gdzie jest ten tytoń?

Spojrzał wzrokiem po regałach, starając się coś na nich dojrzeć, po czym zwrócił się ponownie do niej, uśmiechając się z zaróżowionymi policzkami. Charlotte poczuła się nieswojo. Christian niezdarnie otarł z czoła proste brązowe włosy, które teraz sterczały mu na głowie jak grzebień. – Czy... czy twoja matka naprawdę jest Hinduską?

Wyglądał tak zabawnie z tym uniesionym grzebieniem włosów, że dała sobie spokój z niegrzeczną odpowiedzią, którą miała już na końcu języka.

– Moja mama pochodzi z Indii – wyjaśniła. – Jej tata jest Anglikiem, który ożenił się z kobietą z Indii.

– Rozumiem...

– A teraz chcę ten tytoń, inaczej zaraz sobie pójdę!

– Już... Poczekaj chwilę...

Podskoczył w stronę regału, zaczął przeszukiwać półki, po czym rozerwał papierową torbę. Kilka paczek tytoniu spadło na ziemię. Gdy je pospiesznie podnosił, przyklęknął na jedno kolano i na ciemnej nogawce pojawił się jasny pył. Nie zauważył tego, bo znów spojrzał na Charlotte i powiedział bardzo szybko, jakby musiał to z siebie wyrzucić, zanim będzie za późno:

– Jesteś bardzo ładna, Charlotte. O wiele ładniejsza niż wszystkie inne dziewczyny w Leer. Widziałem cię już wcześniej, gdy stałaś przed witryną sklepu. Podoba ci się ten lew, prawda? Jeśli pewnego dnia będzie mój, to dam ci go...

Wpatrywała się w niego z niedowierzaniem. O czym on mówił? Uważała, że jest żaloszny z tym swoim kogucim grzebieniem na głowie, czerwoną twarzą i wątlą szyją.

– Pokaż mi te paczki – rozkazała nieuprzejmie. – Nie, te też są niewłaściwe. Idę stąd.

Nie był ani trochę zaskoczony, prawdopodobnie wiedział już wcześniej, że to nie jest tytoń, którego szukała dla swojego dziadka, ale i tak sprawiał wrażenie nieszczęśliwego.

– Dam ci jedną z tych paczek.

– Zupełnie zwariowałaś!

Była już na korytarzu. Co on sobie w ogóle wyobrażał? Miała przyjmować od niego prezenty? Jak jakaś pospolita biedaczka?

– To taka zachęta – upierał się, biegnąc za nią. – Pierwsza paczka jest darmowa. Jeśli twojemu dziadkowi posmakuje, będzie mógł swój tytoń kupować u nas.

Zabrzmiało to dość dziwnie, ale przynajmniej nie był to prezent, tylko coś w rodzaju reklamy sklepu. Tak jak rolnicy na targu oferowali swoim klientom kawałek jabłka lub śliwki do spróbowania.

– W porządku, wezmę go ze sobą.

Pospiesznie wepchnął jej paczkę do ręki, a następnie otworzył drzwi prowadzące z powrotem do sklepu. Tymczasem w środku zrobiło się tłoczno, oprócz kupca Ohlsena klientów obsługiwała teraz także matka Christiana, szczupła, starsza kobieta w ciemnej sukience z białym koronkowym kołnierzykiem. W sklepie nie było śladu Paula, Ettje też nie czekała na zewnątrz, najpewniej wróciła z Paulem na targ.

– Jeżeli spotkamy się jutro w kościele, przywitasz się ze mną? – chciał wiedzieć Christian.

– Cześć, muszę iść.

Zostawiła go tam skonsternowanego i przecisnęła się przez kupujących w stronę sklepowych drzwi. Teraz, oczywiście, Ettje kupi wszystko bez niej i zapłaci pełną cenę, głupia gęś. Dopiero gdy znajdowała się mniej więcej w połowie drogi w stronę drzwi, uświadomiła sobie, że była dość nieuprzejma w całej tej sytuacji, przynajmniej uda się jej położyć babci na stole niezłą sumkę – pieniądze za całą paczkę tytoniu.

– Dziękuję! – zawołała do Christiana, odwracając się za siebie.

Nie wiedziała, czy to usłyszał przez kakofonię głosów i dźwięków, ale nie przejęła się tym zbytnio. Podziękowała mu i postąpiła przyzwyczajenie, tak się należało, przecież w końcu wyświadczył jej przysługę. Przynajmniej była wobec niego w porządku.

Musiła chwilę poszukać, zanim znalazła Ettje kupującą na straganie tuż przy skrzyżowaniu z Pfefferstrasse. Postawiła koszyk na ziemi przed sobą, ale Charlotte z daleka już widziała, że stał się

bardziej pękaty. Z pewnością kupiła już trochę chleba, może też cebulę.

– Nigdy więcej nie wezmę cię ze sobą! – syknęła Ettje. – Myślisz, że chcę tak wystawać pod sklepem i pozwolić, żeby ludzie się na mnie gapili?

Kupiła tylko trzy bochenki chleba – co za szczęście. Na targu wciąż panował duży ruch, ale najlepszy moment dla sprzedawców już minął. Gospodynie, które miały liczne prace domowe do wykonania przed nadchodzącym świętem, zakupy zaplanowały na jak najwcześniejszą godzinę, teraz pojawiali się głównie spóźnialscy, a także młodzież i dzieci. Rozglądali się, ale mieli przy sobie mało pieniędzy. Charlotte знаła rolnika ze straganu z warzywami, krępego mężczyznę o pomarszczonej twarzy i małych, jasnoniebieskich oczach jak u prosiaczka. Handlarz zawsze sprawiał wrażenie bardzo ponurego, ale gdy jego żony Olsche nie było w pobliżu, można było się z nim targować.

– Pójdę zerknąć, co się dzieje z Paulem – powiedziała Ettje, która była zawstydzona targowaniem się Charlotte. – Pilnuj tylko kosza.

– Daj mi pieniądze!

Tuż przed powrotem żony rolnika z zakupów w sklepie spożywczym, Charlotte dobiła targu i gdy zobaczyła jak handlarz się do niej szczyrzy po skończonych negocjacjach, zrozumiała, że on też wyszedł na swoje. Kupiła masło, cebulę, ziemniaki oraz tuzin jajek i zostało jej dziesięć fenigów, plus pieniądze przeznaczone na tytoń – ogromna suma równa jednej marce i dwudziestu fenigom. Żona farmera odprowadziła, z trudem dźwigającą ciężki kosz dziewczynkę, spojrzeniem pełnym dezaprobaty, aż w końcu pojawiła się Ettje i pomogła kuzynce go nieść. Przy brzegu Ledy, gdzie kupcy ładowali już skrzynie i deski na barki, musiały jeszcze poszukać Paula. W końcu zauważyły go pośrodku grupy chłopców w podobnym wieku, którzy kucając nad wodą, rzucali kamieniami w kaczki i mewy.

– Jest już południe – jęknęła Ettje. – Przez ciebie mnie spoliczkują i nie będzie mi wolno wychodzić z domu w Zielone Świątki.

Charlotte żałowała jej z całego serca, ale była też pewna, że babcia pomyśli zupełnie inaczej, gdy zobaczy zaoszczędzone pieniądze. W drodze do domu nie powiedziała o tym kuzynce ani słowa, zwłaszcza o całej sytuacji z tytoniem powinna była powiedzieć jedynie babci. Na pewno nie Ettje ani cioci Fanny, które znowu tylko wybałuszyłyby oczy i głośno wzdychały, zakrywając usta dłońmi – jak zawsze, gdy ktoś zrobił coś zabronionego lub niewłaściwego.

Majowe słońce mocno świeciło, czuli, że od gorących promieni piecze ich skóra i po raz kolejny przekonali się, że droga powrotna zawsze okazywała się dłuższa, teraz choćby z tego względu, że musieli nieść dość ciężkie zakupy. Kiedy Paul upuścił torbę z ziemniakami na chodnik i musieli zbierać toczące się kartofle, Ettje zachowywała się niezwykle spokojnie, tylko westchnęła i powiedziała, że to już nie ma znaczenia. Charlotte natomiast była zirytowana opóźnieniem, ponieważ chciała jak najszybciej nacieszyć się swoim triumfem po powrocie do domu.

Niebo było bladoniebieskie, tylko od północy przesuwaly się białe welony chmur, włóknistych jak gęsto tkana pajęczyna. Przed frontowymi drzwiami domu dziadka wiatr rozwiewał dywan z płatków więdnących kwiatów, przyczepiających się do butów Charlotte, gdy pospiesznie przebiegła po nich i energicznie nacisnęła klamkę. W kuchni nie było nikogo poza kotem, który spał zwinięty w kłębek w swojej skrzynce. Duży żelazny garnek bulgotał na piecu kuchennym, podskakiwała pokrywka, którą był przykryty, a w środku gotował się gulasz z marchwi z boczkiem, co było czuć po zapachu.

– Pewnie zjedli już obiad i teraz sprzątają – przypuszczała wyraźnie niespokojna Ettje.

– Ale garnek nadal jest przecież pełny – stwierdził z przekonaniem w głosie Paul. – Inaczej by przecież nie bulgotał.

– W takim razie musieli przyjść goście!

Zazwyczaj na dzień przed świętami nie przychodzili żadni goście, co najwyżej sąsiadka, która chciała pożyczyć jajka albo kubek mąki i trochę poplotkować. Wówczas byłaby jednak w kuchni razem z ciotką Fanny. Tak czy inaczej, niespodziewani goście, to byłaby bardzo dobra wiadomość dla Ettje i Paula, ponieważ kara za spóźnienie zostałaby odroczone. Z drugiej strony Charlotte, która pękała z dumy i spieszyła się, by zabłysnąć przed babcią sumą, jaką udało jej się zaoszczędzić, była tym zirytowana.

Dzieci zakradły się więc na palcach w stronę wejścia, zatrzymując się w pewnej chwili przed drzwiami dużego pokoju i zaczęły nasłuchiwać. Był to strzał w dziesiątkę, ponieważ właśnie tu rozmawiali dorośli, wyraźnie było słychać donośny męski głos, który Charlotte wydał się znajomy.

– To nadinspektor Doden – szepnęła Ettje. – Czego on może dzisiaj chcieć?

– Ktoś się chyba zaśmiał – powiedział Paul, przykładając ucho do drzwi. – Albo nie. Myślę, że to bardziej tak jakby ktoś płakał.

– Mama płacze.

Wszyscy nagle podskoczyli ze strachu, bo nie zauważyli Klary siedzącej w mroku na ostatnim stopniu schodów. Teraz wstała i pokuśtykała do nich.

– Nie pozwolono mi wejść – powiedziała cicho. – Dlatego siedziałam tutaj i czekałam.

– Co się stało? – zapytała Ettje. – Mama chyba nie jest chora, prawda?

W tym momencie drzwi do pokoju się otworzyły, a Paul, który wciąż trzymał ucho przy dziurce od klucza, błyskawicznie odskoczył. Pastor Dirksen nie wyglądał inaczej niż zwykle, poza tym, że widać było czerwone żyłki w jego oczach, a broda mu nagle zadrżała.

– Charlotte – powiedział, ignorując innych. – Chodź ze mną do gabinetu.

Pozostali spojrzeli na Charlotte podejrzliwie. Musiała naprawdę coś przeszkrobać, coś szczególnie złego, skoro dziadek osobiście się tym zajmuje. Charlotte rzuciła szybkie spojrzenie w stronę salonu i obraz, który wtedy zobaczyła, na zawsze zachował się w jej pamięci, jakby był wyryty ze stali. Masywna ciemnobrązowa kanapa z poduszkami robionymi szydełkiem, na której chudy nadinspektor siedział sztywno z czarnym kapeluszem w dłoniach. Babcia zastygła w bujanym fotelu zaraz obok bukietu sztucznych paproci zrobionych z małych szarych piór. Jej zmrużone oczy, pokryta ciemnymi plamkami dłoń przyciśnięta do ust. Barwna gra majowego słońca w małych okienkach, bibeloty na komodzie, pomiędzy którymi górował krzyż z białego marmuru, przywiezionego kiedyś przez papę z Ameryki Południowej. Fragment ciemnoniebieskiej sukienki ciotki Fanny, na którą wciąż miała założony biały fartuch. Reszta jej postaci schowana była za drzwiami.

Dziadek wchodził po schodach powoli, krok po kroku, przesuwając lewą ręką po drewnianej poręczy. Charlotte słyszała jego dyszący oddech, ale nie zatrzymał się, by odpocząć. Na górze, w ciasnym gabinecie, łóżko Paula nie było jeszcze pościelone, koszula nocna kuzyna leżała na podłodze, obok buta i dwóch skarpetek. Dzień zakończył się dla Charlotte właśnie w tym małym, ciemnym pokoju, przed dębowym biurkiem, bo wszystko, co wydarzyło się później, wymazała ze swojej pamięci na zawsze. Wszystko, co zapamiętała, to kamienna twarz dziadka, blady, prawie kredowobiały kolor jego skóry, prawie zlewającej się z włosami i brodą pastora oraz jego sine, wąskie usta.

- Od teraz będziesz mieszkać z nami, moje dziecko.
- Do końca lata. Wiem o tym, dziadku.
- Nie, Charlotto. Na zawsze.

Nie potrafiła w to uwierzyć. Jonny i jej rodzice byli na statku, daleko, na wielkim oceanie, więc nikt nie mógł ich zobaczyć. Zwłaszcza nie przedsiębiorstwo żeglugowe w Bremie, które napisało list do nadinspektora Dodena. Oni niczego nie wiedzieli, nie znali nawet adresu dziadka, przecież inaczej od razu wysłaliby list do niego.

– Burza szalała w pobliżu wybrzeża, niedaleko Bombaju – szlochała ciocia Fanny, kiedy odziani na czarno goście siedzieli w salonie. – Widać już było wybrzeże, ale z powodu szalejącego sztormu trójmasztowy frachtowiec znów został wyniesiony na morze. Kilka dni później morze wyrzuciło na brzeg jakieś fragmenty wraku. Nikt nie przeżył, wszyscy leżą teraz na dnie morza...

Ciocia Fanny bardzo głośno płakała, zwłaszcza gdy słuchali jej inni żałobnicy. Potem, co miała wyjątkowo często w zwyczaju, opowiadała też o swoim zmarłym mężu, Peterze Budde, będącym z zawodu introligatorem, który miał mały warsztat na Süderkreuzstrasse i za dużo pracował. Ciągle kaszlał od kurzu i kleju, co przerodziło się w zapalenie płuc, a w końcu w suchoty.

- Kogo Pan miłuje, tego wcześniej powołuje do siebie...
- Morze pobiera swoją ofiarę w najmniej oczekiwanym momencie...
- Teraz ta śliczna dziewczuszka została sama na świecie.

Charlotte musiała nosić czarne ubrania i od czasu do czasu ciocia Fanny zabierała ją do salonu, gdzie częstowano żałobników kawą z mlekiem i ciastem. Kierowali wtedy do niej pocieszające słowa, wzywali Pana Boga jako swojego obrońcę i – co było najohydniejsze – niektóre kobiety po macierzyńsku tuliły ją do piersi, ściskając tak, że nie mogła oddychać, jednocześnie głaszcząc ją po włosach i szlochając przy tym teatralnie.

– To wcale nie jest prawda – szepnęła tej nocy do Klary w łóżku. – Kiedy lato się skończy, przyjadą po mnie. A następnym razem ja też będę mogła popłynąć z nimi – tata mi to uroczyście obiecał.

– Masz rację – szepnęła Klara. – Na pewno przyjadą. I będzie mi bardzo smutno, kiedy wrócisz do Emden, Charlotte.

– Nie musisz się smucić, Klaro. Poproszę mamę, żebyś zamieszkała z nami. Wtedy będziemy razem na zawsze.

– Cicho tam już! – syknęła ciocia Fanny z łóżka. – Oszaleć z wami można. Trzeba było pracować cały dzień i to jeszcze z pękniętym sercem, a potem nawet nie można w nocy wypocząć!

W niedzielę po uroczystości Zielonych Świątek w kościele luterańskim odbył się pogrzeb rodziców i Jonny'ego, w którym uczestniczyło wielu krewnych. Przed ołtarzem wszystko mieniło się kolorami bukietów i wieńców, a wewnątrz kościoła, skądinąd zwykle wypełnione zapachem kamienia i stęchłego drewna, pachniało teraz słodko majowymi kwiatami. Charlotte musiała siedzieć w pierwszym rzędzie między dziadkami, słyszała szlochanie ciotki Fanny i Ettje, a ciotka Edine z Aurich oraz jej dwie córki Marie i Menna też cały czas pochlipywały. Dziadkowie za to siedzieli z obojętnymi minami i nie płakali, tylko błysk w oczach babci i jej zaciśnięte dłonie świadczyły o tym, jak bliska była łez. Kiedy w końcu zagrały organy, dziadkowie wstali i Charlotte musiała iść z nimi przez nawę do drzwi kościoła, następnie szli dwaj bracia ojca, Wilhelm i Gerhard, potem ciocia Fanny z Ettje, Klarą i Paulem, a na końcu szpaleru znajdowali się ciocia Edine ze swoim mężem pastorem Harmem Kramerem i dwiema córkami. Pozostali zgromadzeni w kościele pozostali na swoich miejscach, wpatrując się w przechodzących obok członków rodziny. Najbardziej przytłaczające było to, że wszyscy wydawali się absolutnie przekonani, że rodzice Charlotte i Jonny nie żyją. Jednak kiedy ktoś naprawdę umierał, to dowodem była trumna, w której składano jego ciało. I grób na cmentarzu z kwiatami oraz żelaznym lub kamiennym krzyżem. Wtedy można było z pewnością powiedzieć, że ten ktoś nie żyje. Ale przecież było zupełnie inaczej, gdy ktoś po prostu zniknął na oceanie. Może utknęli na jakiejś wyspie. Wylądowali u wybrzeży Afryki. Albo statek wciąż błędził gdzieś na morzu i wkrótce miał wpłynąć do portu w Bombaju.

Nauczyciele w szkole gładzili ją po włosach i nazywali „biedną małą”, kilku chłopców i dziewcząt powiedziało, że bardzo im przykro, ale większość kolegów z klasy była taka sama jak zawsze. Charlotte nie lubiła szkoły w Leer, uważała ją za ponurą i brzydką. Dzieci były głupie, a ona nie miała tam żadnej przyjaciółki. Chciała wrócić do swojej szkoły w Emden, gdzie mogła bawić się z Ernestine i Julią, gdzie gruba Anna z rudymi warkoczykami siedziała obok niej, a nauczycielka mówiła nawet po angielsku. Jej mama mówiła głównie w tym języku, a kiedy używała niemieckiego, często brzmiało to zabawnie, ponieważ popełniała wiele błędów. Dziadek często bywał teraz w Emden, czasami zabierał ze sobą babcię. Dzieci zostawały wtedy same z cicią Fanny, a kiedy wracały ze szkoły, wszyscy razem jedli posiłek w kuchni.

– Jesteś teraz bogata – powiedziała ze złością Ettje. – Dostaniesz wszystko, co należało do twoich rodziców.

Charlotte wpatrywała się w swój talerz z zupą i powoli przesuwiała łyżką po brązowożółtej brei. Fasola, marchew, cebula, kawałki ziemniaków, włoszczyzna. Dlaczego nie mogła zatkać sobie uszu? Dlaczego inni zawsze mówili rzeczy, które nie mogły być przecież prawdą?

– Niczego nie chcę! – wykrzyczała.

– Możesz to podarować mnie! – Ettje nie chciała dać za wygraną.

– Nic nie dostaniesz. Nikt niczego nie dostanie.

– Przeciwnie! Babcia powiedziała, że sprzedadzą twój dom w Emden, meble i wszystko, co się w nim znajduje. Wszystko! I dostaną za to dużo pieniędzy. Za wszystko co należy do ciebie.

Charlotte upuściła łyżkę, podskoczyła i chwyciła ze złością za rozczochrane włosy kuzynki.

– Kłamiesz! – wrzasnęła i pociągnęła jeszcze mocniej za włosy Ettje. – Nie mogą sprzedać naszego domu, on nie należy do nich! Dom należy do taty!

Ettje wrzasnęła i próbowała się uwolnić. Zanurzyła przy tym nos w talerzu z gorącą zupą i gdyby Klara szybko go nie złapała, wylądowałby na podłodze. Ciocia Fanny zareagowała dokładnie tak, jak się można było tego spodziewać. Chwyciła Charlotte za ramiona i zaciągnęła z powrotem na krzesło, po czym wymierzyła bratanicy dwa mocne policzki w twarz. Następnie ciotka pochyliła się nad stołem i taka sama kara spotkała zawodzącą Ettje.

– Nic nie zrobiłam – zawyła dziewczyna.

– To za twój za długi język! – syknęła Fanny.

– Mówiłam tylko prawdę!

– Zamilcz. Teraz czas na jedzenie. Potem pozmywasz naczynia, Ettje. A Charlotte pozamiata.

Charlotte nie płakała. Siedziała w milczeniu przed swoim talerzem, ledwie zauważając, że jej policzki płoną od uderzeń ciotki. Narastał w niej jakiś gorzki, mroczny ból, który niepowstrzymanie rozprzestrzenił się po całym ciele. Taty i mamy już nie było, ciepło, wsparcie, ochrona, którą dali jej rodzice, odeszły wraz z nimi. Nagle inni ludzie mogli sprzedać dom rodziców, meble mamy, książki taty i jego kolekcje, ich zabawki, a także rycerski zamek Jonny'ego z jeźdźcami i końmi. Ciocia Fanny mogła ją bezkarnie spoliczkować, bo nie musiała się już martwić, że papa ją za to zbeszta.

– Jeszcze sobie popamiętacie, gdy rodzice wrócą! – zawołała wyzywająco.

Zacząła płakać dopiero wieczorem, kiedy leżała w łóżku z Klarą, a Ettje wciąż była na dole w kuchni z cicią Fanny. Klara trzymała ją w ramionach, a Charlotte szlochała w nocną koszulę kuzynki, aż nasiąkała łzami.

– Już dobrze – szepnęła Klara, kiedy Charlotte się uspokoiła. Leżały przytulone do siebie, gotowe na wspólną podróż do krainy snów i zapomnienia. – Najważniejsze, że się wyplakałaś.

Minęła wiosna i nadeszło lato. Nad kanapą w salonie wisiała teraz oprawiona fotografia, której wykonanie mama Charlotte zleciła w jednym atelier w Emden na krótko przed wyjazdem. Mama siedziała na krześle w jednej ze swoich pięknych sukienek, za nią stał tata w mundurze kapitańskim, ale bez czapki, tak że było widać jego kędzierzawe, jasne włosy. Fotograf kazał się ustawić Jonny'emu i Charlotte po prawej stronie mamy. Jonny miał na sobie kurtkę, pumpy i buty z wysoką cholewką. Buty były wąskie i ciasne, więc mama musiała długo go namawiać, żeby je założył. Tata położył prawą rękę na oparciu krzesła za plecami mamy, lewą rękę na ramieniu Charlotte. Od czasu do czasu szczypał ją lekko palcami, co sprawiało, że zaczynała chichotać. Niestychnianie męczące było tak długie stanie w bezruchu i wpatrywanie się w wielki, czarny otwór aparatu. Jonny dość szybko stracił cierpliwość przy pozowaniu i mama w końcu obiecała mu słodycze, żeby tylko przestał się wiercić i marudzić. Oprawioną fotografię przewiązano czarną, lekko przezroczystą wstążką, która nieco wystawała poza ramkę zdjęcia. Wprowadzono także inne zmiany. Ciocia Fanny i babcia wsunęły komodę pod okno, a teraz w tym miejscu stał fortepian mamy. Nie obyło się oczywiście bez gorącej wymiany zdań, ponieważ obydwie kobiety uważały, że nowy element wystroju tylko zasłania pokój i najchętniej pozbyłyby się masywnego instrumentu. Tym razem jednak, ku największemu zaskoczeniu Charlotte, dziadek miał w tej kwestii ostatnie słowo.

– To piękny instrument, a gdy Gerhard zamieszka w lepszych warunkach, będzie mógł go do siebie zabrać.

Wujek Gerhard był najmłodszym bratem taty. Mieszkał w Hamburgu i powiedziano Charlotte, że tam uczy muzyki, ale dziewczynka nie była pewna, czy to prawda, bo babcia zawsze wzdychała, kiedy o nim mówiła.

– Jeśli z tego młodzika cokolwiek jeszcze będzie!

Wujek Gerhard miał trzydzieści lat, zatem już dawno powinno „coś z niego być”. Charlotte lubiła go, chociaż spotkali się dwa razy w życiu. Kiedyś odwiedził Emden i wtedy dość często grał razem z mamą. Ona na pianinie, on na skrzypcach. Drugi raz widziała go na pogrzebie, przyszedł dopiero po mszy i zjadł rodzinny obiad, ale w tym całym zamieszaniu Charlotte nie miała czasu, żeby z nim porozmawiać. Chętnie oddałaby mu fortepian, zwłaszcza że sama nie miała ochoty na nim ćwiczyć. Należał on jednak do mamy, więc na czym miałyby grać, gdy wróci?

Wiśnie już dojrzały na drzewach, z porzeczek i truskawek zrobiono konfitury, a wkrótce także agrest miał się stać wystarczająco słodki, by można było go jeść prosto z krzewów. Po raz drugi tego lata skoszono łąki i zebrano zboże. Na targu sprzedawano teraz kapustę i świeżą marchew, seler, por, a nawet pierwsze ziemniaki i śliwki. Coraz chłodniejsze podmuchy wiatru targały praniem, które ciocia Fanny rozwieszała do suszenia w ogrodzie za domem, a na pergoli sąsiada zaczynały dojrzewać jabłka. Lato miało nieuchronnie ustąpić miejsca jesieni.

Powrót do szkoły stanowił dość trudną próbę cierpliwości. Gdy wracały z lekcji, Charlotte szła obok Klary, która poruszała się bardzo wolno, a czasem musiała się na chwilę zatrzymać, bo bolała ją noga. Charlotte za nic w świecie nie chciałyby biec przed siebie, zostawiając kuzynkę w tyle, ale kiedy w końcu skręcały w Ulrichstrasse, jej serce waliło z podniecenia i wyciągała mocno szyję, żeby zobaczyć, czy przed domem jej dziadków nie zatrzymał się może jakiś wóz. Pewnego razu z końcem sierpnia, zobaczyła bryczkę i poczuła, jak kielkuje w niej nadzieja. Był to jednakże jedynie znajomy dziadka, który przywiózł z domu w Emden kilka pudeł, w tym małą czarną drewnianą skrzynkę z rysunkiem na wieczku, zabezpieczonym szklaną szybką.

– Jest twoja – powiedziała babcia, kiedy weszły z Klarą do domu. – Jeśli zmieści się pod łóżko w sypialni, możesz zabrać ją ze sobą na górę.

Charlotte potrząsnęła głową. Rozczarowanie ścisnęło gardło dziewczynki tak mocno, że nie była w stanie wydać z siebie żadnego dźwięku. Nie, nie chciała tej skrzynki, ona stanowiła nieodłączną część jej pokoju w Emden. Tam miała swoje miejsce.

Wieczorami w salonie paliła się duża lampa, bo ciocia Fanny i Ettje ciągle coś szyły. A to bieliznę, a to spódnice i żakiety, garnitur dla dziadka i nowe spodnie dla Paula. Klara też dostała spódniczkę

i sukienkę, ale nie chciała tych rzeczy, bo były przerobione z ubrań rodziców Charlotte. Tkaniny były dobre, nie trzeba było zbyt wiele zmieniać, więc zaoszczędzono w ten sposób dużo pieniędzy. Coraz wcześniej robiło się ciemno, jabłka już dawno zebrano, liście drzew pożółkły, a wiatr zdmuchiwał je z gałęzi na drugą stronę ulicy. Mgła unosiła się znad pól, spowijała rzekę i zacierała zarysy domów. Miasto wydawało się szare jak opustoszałe więzienie. Charlotte zakładała grube skarpetki i owijała się w jasnoniebieski wełniany szal matki, ale wciąż było jej okropnie zimno, nawet w kuchni, gdzie palono w piecu. Nie potrafiła się w pełni rozgrzać.

Pewnego dnia, tuż przed Bożym Narodzeniem, nadeszła tak gwałtowna wichura, że nie dało się rozpalić w piecu, a ludzie obawiali się, że rzeka Leda może wylać podczas przyływu. Charlotte nie mogła spać tej nocy. Wiatr huczał i zawodził w całym domu, wyjąc zza każdego rogu jak dzika bestia, która przemierza miasto, by dokonać czegoś bardzo złego. Usiadła cicho na łóżku i próbowała zobaczyć w ciemności panującej w pokoju, czy ciocia Fanny i Ettje śpią. Nic się nie poruszyło, słyszała tylko ciche chrapanie dochodzące z łóżka ciotki Fanny.

– Co się dzieje? – szepnęła nagle śpiąca obok niej Klara. – Musisz gdzieś wyjść?

– Nie. Po prostu śpij dalej.

Wyślizgnęła się spod ciężkiej pierzyny i po omacku znalazła drogę do drzwi. Miała na sobie tylko koszulę nocną i skarpetki. Było strasznie zimno, ale w sypialni panował zbyt głęboki mrok, żeby mogła znaleźć niebieski szal, leżący gdzieś na podłodze przy łóżku. Dopiero na korytarzu zorientowała się, że Klara za nią idzie.

– Wracaj do łóżka!

– Nie jestem zmęczona. I tak nigdy nie mogę spać podczas burzy.

Na stołku w korytarzu stała latarenka, a obok niej leżały zapalniczki, żeby w nagłym wypadku można było szybko zapalić światło. Charlotte potrzebowała trzech zapalek, żeby zapalić małą świeczkę, ponieważ jej palce były tak skostniałe, że ledwie nimi ruszała, ale także dlatego, że wiatr wiejący przez szpary w oknie w korytarzu powodował silny przeciąg.

– Musisz wejść tam na górę, Klaro – powiedziała Charlotte, wskazując schody prowadzące na strych. – Jeśli się poślizgniesz, podtrzymam cię.

– Dlaczego chcesz tam pójść?

– Zobaczysz, jak będziemy na górze...

Schody były bardzo wąskie i strome, na dodatek nie miały poręczy, więc Charlotte bardzo się bała, że Klara może się potknąć i zrobić sobie krzywdę. Bez większych problemów dotarła jednak do drzwi prowadzących na strych i dopiero gdy odsunęła zardzewiały rygiel, Charlotte musiała ją przytrzymać. Rozległo się wówczas gwałtowne, głośne chrupnięcie, które sprawiło, że obie dziewczynki podskoczyły. Przez chwilę stały nieruchomo w miejscu.

– Puść mnie przodem – wyszeptała Charlotte po chwili.

Latarnia rzucała żółtawy, drżący krąg światła na deski podłogowe i dzięki niemu dostrzegły starą komodę, na której stały garnki ze smalcem i słoiki z konfiturą. Obok znajdowało się nieużywane krzesło i drewniana kołyska, w której kiedyś spała cała piątka dzieci dziadków, a później, podczas odwiedzin kołysano w niej do snu także wnuki.

– Tutaj jest.

Czarną skrzynkę przykryto starym obrusem i wsunięto głęboko pod spadzisty dach. Kiedy Charlotte podniosła obrus i światło latarni padło na drewniane wieko, ich oczom ukazał się kolorowy rysunek, znajdujący się pod szklaną taflą. Przedstawiał on potężną górę z trzema wierzchołkami, z których jeden pokryty był śniegiem. U jej podnóża rosła zielona dżungla, a nad białym szczytem niebo było ciemnoniebieskie i absolutnie czyste. Tata dał jej tę skrzynkę na dziewiąte urodziny i od tamtej pory trzymała w niej swoje skarby. Małą blaszaną małpkę, która podskakiwała i grzechotała, kiedy się ją nakręciło. Kartonowe lalki, które starannie wycięła, wraz ze wszystkimi ubraniami, czapkami i butami. Małą kulę wykonaną z kości słoniowej z ażurowymi rzeźbieniami, w którą wbita była druga kula, a w tę nawet trzecia, bardzo malutka, również pokryta ornamentami. Muszlę, wyglądającą jak złożona dłoń, różową na zewnątrz i lśniąca srebrzyście od wewnątrz. Jeśli się ją przyłożyło do ucha, można było usłyszeć szum morza.

– Potrzymaj latarenkę, Klaro!

Ostrożnie wyjęła posążek czarnego bóstwa, który tata przywiózł z Afryki. Był wyrzeźbiony z drewna, miał wielkie oczy i szerokie usta, jego ciało było dziwnie skurczone i o wiele za małe w stosunku do potężnej głowy, ale miał też szerokie stopy, pozwalające mu stać. Charlotte rozkładała swoje skarby na zakurzonej podłodze. Światło drgało nerwowo, ponieważ ręce Klary dość szybko drętwiały. Latarenka zdawała się coraz cięższa i dziewczynka, nie mogąc jej utrzymać, przekładała lampkę z ręki do ręki.

– Nie uważasz, że te rzeczy są piękne? Małpka potrafi też skakać, ale nie chcę jej teraz nakręcać, bo zrobi za dużo hałasu.

– Najbardziej podoba mi się muszla.

Charlotte ostrożnie włożyła każdy swój skarb z powrotem do skrzyni, bardzo powoli, delikatnie, żeby nic nie zostało uszkodzone, zarysowane czy zagięte.

– Nie sędzę, żeby wrócili – powiedziała cicho i zamknęła wieczko.

– Mama, tata i Jonny są daleko na morzu i zapomnieli o mnie.

Światło latarni zadrżało, po czym przesunęło się na bok, gdy Klara postawiła ją na podłodze. Z trudem uklękła i objęła Charlotte ramionami.

– Z pewnością o tobie nie zapomnieli – wyszeptała, trzymając usta blisko ucha Charlotte. – Będą o tobie myśleli tak długo, jak będziesz żyła. Wiem to na pewno.

Charlotte obudziła się następnego ranka z potwornym bólem głowy. Do domu trzeba było wezwać lekarza, ponieważ dostała również wysokiej gorączki. Bełkotała i wykrzykiwała niezrozumiałe zlepki słów.

– Nie daj Boże, żeby to było zapalenie płuc – jęknęła ciocia Fanny.

– Musiała wspiąć się na zimny strych w środku nocy oczywiście. Trzeba koniecznie raz na zawsze wybić jej z głowy tę samowolę.

GRUDZIEŃ 1880



W Wigilię Charlotte siedziała w salonie owinięta w kołdrę z pierza, patrząc na wieniec sosnowych gałązek, zdobiący komodę, udekorowaną dodatkowo kolorowymi kulkami i ciastkami z cukru. W domu, w Emden, zawsze była choinka, a mama grała na pianinie kolędy, nie takie, jakie tu śpiewają, tylko angielskie. Jednak Charlotte była tak słaba, że nawet nie potrafiła się tym smucić. Długie przemówienia dziadka o narodzinach Pana i światłości świata, bożonarodzeniowe pieśni, śpiewane przez ciotkę Fanny niezwykle głośno i zdecydowanie źle, pełne smutku milczenie babci – nic nie wywierało na Charlotte wrażenia, jakby to wszystko działo się w zupełnie innym, odległym miejscu. Nie obchodziło jej nawet, że Paul otrzymał w prezencie bożonarodzeniowym wspaniały zamek rycerski i konie, należące do jej młodszego brata Jonny'ego. Paul uronił kilka łez, kiedy odkrył te prezenty, być może były to łzy radości, ale może zapłakał także dlatego, że lubił Jonny'ego i tęsknił za swoim towarzyszem zabaw. Prezenty dla Charlotte były miska ciastek, misternie haftowana chusteczka od Klary i nowa sukienka z szydełkowym koronkowym kołnierzykiem. Ale dziewczynka nawet nie spojrzała na te rzeczy.

Kiedy dwa dni później przyjechali pierwsi krewni, mogła już usiąść na krześle, w pełni ubrana i owinięta ciepłym szalem mamy. Mówiono jej, że jest dzielną dziewczyną, a dziadkowie bardzo ją kochają. Będzie musiała stać się teraz pracowita i posłuszna, ale najważniejsze jest najpierw, żeby szybko wróciła do zdrowia. Nie chciała przecież sprawić dziadkom przykrości. Charlotte kiwała głową zawstydzona i odpowiadała tylko za każdym razem „tak, oczywiście”. Pomimo to uważała, że te odwiedziny są całkiem przyjemne. Radosne rozmowy i picie kawy ożywiły ponury salon. Sprawily, że babcia znów się uśmiechała, choć wciąż dość powściągliwie. Charlotte dostała też prezenty, które się jej podobały i, o dziwo, teraz nie przeszkadzało jej przytulanie ze strony ciotki i kuzynów. Dobrze

jej zrobiło, że poczuła wokół siebie tyle życia. Któż mógłby śmiać się tak długo i naiwnie jak jej kuzynka Marie, która była prawie dorosła, a pomimo to ciągle paplała głupoty ze swoją siostrą Menną? Marie miała gęste blond włosy o złocistym odcieniu, które czasami upinała z tyłu głowy jak dorosła kobieta. W przeciwieństwie do Ettje, nie musiała ich kręcić lokówką, ponieważ Marie miała naturalne loki. Jej twarz też była ładna, uwagę zwracały zwłaszcza małe usta z wargami układającymi się w kształt serca i sposób, w jaki się uśmiechała.

Gdy skończył się okres świąteczny, w domu znowu zapadła cisza, miasto było szare i ponure jak dawniej, a mgła mieszała się z dymami unoszącymi się z kominów domów. Było przeraźliwie zimno, po rzece dryfowały kry, a na Nessie, która leżała pośrodku pętli Ledy, trawa i zarośla zamarły. Charlotte wyzdrowiała, wracały jej siły i życie toczyło się dalej. W szkole nie miała żadnych trudności, właściwie nie musiałyby chodzić na lekcje, bo już dawno zrozumiała zagadnienia, które w pozostałych uczniach trzeba było wtłaczać z wielkim wysiłkiem. Jeśli tylko uważała na zajęciach, co nie zawsze jej się udawało, należała do prymusów. Większe trudności miała zdecydowanie z zawieraniem przyjaźni, bo Charlotte Dirksen nie była przyjemna w obyciu i zawsze miała własne zdanie, dlatego to Klara pozostawała jej jedyną powierniczką jak na razie. W domu dziadków uparcie walczyła o swoją pozycję, nie chciała podporządkować się starszej o cztery lata Ettje i nie było dnia, żeby ta dwójka nie wdawała się w kłótnię. Kiedy babcia nie patrzyła, Ettje popychała raz po raz wycieńczoną chorobą kuzynkę – wciąż była od niej silniejsza fizycznie. Charlotte jednakże, jako ta bystrzejsza, dobrze wiedziała, jak zdobyć sympatię i uznanie babci na swój własny sposób.

Na przykład podczas wycierania naczyń do sucha, miała swój system: najpierw wycierała boki i później środki wszystkich naczyń, a następnie układała je jedno na drugim i nie wkładała każdego osobno do szafki, jak robiła to Ettje. Dzięki temu praca szła szybciej. Jeśli musiała uprać skarpetki, najpierw namydlała je wszystkie, a potem płukała w misce z wodą.

– W końcu zwichniesz sobie mózg z tego lenistwa! – zadrwiła Ettje.

– Skończyłam swoją część, a ty masz jeszcze trzy pary skarpet do wyprania! – odgryzła się Charlotte.

Pod koniec marca ciocia Fanny zaczęła wzdychać częściej niż zwykle, czego nikt inny nie zauważył. Jednak dziwne było to, że teraz długo kłóciła się z babcią w kuchni, nawet ośmielała się jej

sprzeciwiać, a kiedy nie mogła wymyślić sensownego argumentu, wybuchała płaczem.

– Czy on ma skończyć jak mój biedny Peter? Zapracował się na śmierć za marne grosze, z których ledwie starczało na przeżycie. Nigdy nie zapomnę o tym, jak trzymałam go w ramionach, gdy umierał, a on błagał mnie, abym zaopiekowałam się naszymi dziećmi...

– Przestań marudzić! Tak się przecież nie stanie.

– Może się tak stać, jeśli tylko się na to pozwoli...

Charlotte szybko zdała sobie sprawę, że mądrze było nie wchodzić do kuchni, kiedy te dwie się kłóciły. Mogło to prowadzić jedynie do tego, że zostałyby odesłana z nieprzyjemnym komentarzem, bo dzieci nie powinny przecież uczestniczyć w kłótniach i rozmowach dorosłych.

Paul najczęściej zajmował w tych relacjach niepewną pozycję, zwłaszcza odkąd jego matka zaczęła wymierzać mu uderzenia w twarz, gdy chłopiec przynosił ze szkoły złe oceny. Jednocześnie jednak martwiła się o niego bardziej niż kiedykolwiek, dyskretnie podsuwając mu najlepsze kęsy na obiad i raz po raz z miłością przyciskając go do serca. Było to dla niego szczególnie krępujące, ponieważ miał dziesięć lat i nie chciał być już przytulany jak małe dziecko.

Na początku kwietnia, gdy zbliżały się święta wielkanocne, kłótnie między dwiema kobietami nagle dobiegły końca. Paul mówił jednak, że dziadkowie długo rozmawiają ze sobą wieczorami w sypialni. Musiał to wiedzieć, w końcu sypiał na sofie w gabinecie dziadka, a pokój dziadków znajdował się tuż obok, oddzielony od jego pościania jedynie cienką drewnianą ścianą.

– Babcia chce, żebym poszedł do gimnazjum – bąknął ponuro. – Mama jej to wmówiła.

– To wspaniale!

– Zupełnie nie. Ci ze szkoły Ubbo Emmus są snobistyczni i zawsze nas biją. Stracę wszystkich przyjaciół, jeśli będę musiał tam pojechać.

– No i co z tego? – Charlotte go nie rozumiała.

W gimnazjum uczy się łaciny, a później można zostać lekarzem, a nawet kapitanem statku. Jej skrytym marzeniem było pójść do gimnazjum, ale to było zupełnie niemożliwe, przyjmowano tam tylko chłopców.

– Poza tym Paul jest o wiele za głupi na szkołę łacińską – odparła Ettje i uniosła górną wargę w geście dezaprobaty. – To byłoby po prostu wyrzucenie tych wszystkich pieniędzy w błoto.

Trzy dni po Wielkanocy, zanim znowu zaczęła się szkoła, dziadek po śniadaniu wezwał Charlotte do swojego gabinetu.

– Wejź i usiądź tam na sofie.

Tym razem sofa była posprzątana, pościel Paula starannie złożona i schowana pod kocem, a dwie okrągłe poduszki z szydełkowanymi poszewkami zostały starannie ułożone na dwóch jej końcach. Charlotte siedziała teraz pomiędzy nimi i czekała. Wyczuwała, że musiało się stać coś bardzo poważnego, bo dziadek ze ściągniętą twarzą wpatrywał się w biurko, na którym leżała kartka papieru.

– Nie jestem zadowolony z tej decyzji – zaczął, nie patrząc na nią.

– Niemniej, skłoniłem się do niej po dokładnym rozważeniu wszystkich argumentów, uznając, że przysłuży się to dobru nas wszystkich. Napisałem ten list, abys ty, Charlotte, mogła kiedyś odzyskać, co ci się należy.

Przeczytał dokładnie słowa z kartki, powoli i cicho, jakby sam musiał dokładnie sprawdzić, czy nie ma w nich błędu. Zatrzymał się dwa razy, wyjął pióro z kałamarza i poprawił coś, po czym kontynuował czytanie, zerkając na nią od czasu do czasu, by sprawdzić, czy słucha uważnie. Charlotte szybko zrozumiała, o co w tym wszystkim chodzi. Gimnazjum kosztowało spore pieniądze, książki też były drogie, a Paul potrzebował porządnych ubrań, a nie brudnych marynarek i dziurawych spodni. Dziadek chciał pożyczyć od niej te pieniądze, z sumy odziedziczonej po rodzicach, która była przeznaczona na jej posag. Uczynił to niechętnie, z wielkimi wyrzutami sumienia i tylko pod warunkiem, że Paul później zwróci jej pieniądze.

– Nie da się inaczej, Charlotte. Już oszczędzamy, gdzie możemy, a nie chcę zastawiać domu, który jest jedynym dziedzictwem moich dzieci. Twoje pieniądze są dostępne i nie potrzebujesz ich teraz. Wyznaczyłem w tym dokumencie część, która nie zostanie nawet tknięta. Resztę zamierzam przeznaczyć na edukację Paula, która na pewno kiedyś zaowocuje...

Pastor Dirksen kazał swoim dwóm synom studiować, co nie było łatwe, przez lata bowiem musieli niemalże odejmować sobie od ust. Dobre wykształcenie było jednakże dla mężczyzny bardzo ważne, tylko dzięki niemu mógł znaleźć pracę i utrzymać rodzinę. Posag dla dwóch córek Dirksena był natomiast niewielki. Edine wyszła za księdza, więc dobrze trafiła, ale dla Fanny udało się im znaleźć jedynie przeciętnego introligatora.

Pismo spisane przez dziadka miała podpisać ciocia Fanny, babcia oraz dziadek, a także nadinspektor Doden w charakterze świadka tejże umowy. Dziadek chciał zatrzymać pismo i dać Charlotte, gdy będzie pełnoletnia. A więc za dziesięć lat.

– Chcę, żebyś wiedziała jedną rzecz, Charlotte – zależy mi na twoim dobru i nigdy nie pozwolę, żeby spotkała cię krzywda.

Wysłuchiwała go spokojnie, bo szybko zrozumiała, że ma on wyrzuty sumienia. Te były jednak zupełnie niepotrzebne, nie dbała o pieniądze. Gdyby Paul je dostał, Ettje nie mogłaby przynajmniej ciągle wypominać jej, że jest bogata.

– A teraz zejdź na dół, Charlotte, i zachowaj dyskrecję w tej sprawie. Przede wszystkim to musisz mi obiecać.

Wstała i poważnie skinęła głową, ale nie zrobiła żadnego ruchu, by wyjść z pokoju.

– Chcę brać lekcje gry na pianinie, dziadku!

Pochylał się nad swoim pismem, ale teraz ze zdumieniem podniósł głowę. Przez cały czas obawiał się, że Charlotte może zaprotestować lub płakać, miała by bowiem ku temu powód w sytuacji, w jakiej ją postawił. Zamiast tego przedstawiła mu konkretne żądanie.

– Lekcje gry na pianinie? Ale... ale nawet nie dotknęłaś pianina, odkąd jest w domu.

– Teraz jednak chcę pilnie ćwiczyć. Tata upierał się zawsze, żebym nauczyła się grać. Mama nawet trochę mnie uczyła.

Dobrze wiedziała, że lekcje gry na pianinie nie były tanie. Ale skoro nie mogła iść do gimnazjum, chciała przynajmniej tyle.

– Zobaczymy – mruknął pastor Dirksen. – Najpierw możesz trochę poćwiczyć dla siebie. Nuty twojej matki muszą być gdzieś w pudełku, sprawdzę...

Paul już czekał za drzwiami gabinetu, on też został wezwany do dziadka. Za chwilę miał usłyszeć dobrą nowinę. Wkrótce pójdzie do szkoły średniej, czekało go również sporo upomnień i wskazówek. Kiedy ponownie pojawił się w kuchni, ciocia Fanny promieniała szczęściem, ale Paul wyglądał tak, jakby został skazany na dożywocie.

Dziadek dotrzymał słowa. Następnego ranka Charlotte znalazła na pianinie stos nut, niektóre zakurzone, a nawet potargane, ale nie przeszkadzało jej to. Znała te wszystkie zeszyty. Leżały w szafie, a mama często stawiała przed nimi, przeglądała je i przekładała, a potem sięgała po jeden z nich, z którego zamierzała zagrać utwór. Charlotte również miała dwa własne zeszyty, zawierające proste

kompozycje dla początkujących i nudne ćwiczenia palców, które trudno było nazwać muzyką. Właściwie była całkiem zadowolona, że akurat tych nut nie znalazła w sporym w stosie.

Musiła przestawić lampę i dwa bibeloty, które babcia lub ciocia Fanny położyły na pokrywie klawiatury, żeby móc otworzyć pianino. Wąski pasek zielonego filcu, który mama wyhaftowała kolorowym jedwabiem, wciąż leżał na klawiszach. Charlotte rzuciła go niedbale na sofę, poprawiła stołek i usiadła. Muzyka była czymś cudownym, dziewczynka kochała i podziwiała grę mamy na pianinie. Czasem pozwalano jej nawet, gdy mama grała, przewracać strony zapisów nutowych, co udawało się jej zawsze w odpowiednim momencie. Samodzielne granie na pianinie było dla niej jednak nużące i bardzo męczące. Bez względu na to, jak dużo ćwiczyła, tak naprawdę jej gra nigdy nie przekształciła się w prawdziwą muzykę.

Niepewnie dotknęła klawisza i się skrzywiła. Ton brzmiał zupełnie inaczej i przez to jakoś obco. Wypróbowała skalę C-dur, potem kilka akordów i się wzdrygnęła. Klawisze przestały być posłuszne, gdy je naciskała, rozbrzmiewały niewłaściwe dźwięki. Nic już nie było takie jak w rodzinnym domu – nawet pianino zmieniło się, gdy postawiono je w tym brzydkim pokoju. Wydawało się, że stało się z nim to samo, co z ubraniami jej matki, które teraz nosiły ciocia Fanny i Ettje. Nie przypominały już delikatnych, szlachetnych strojów, tak dobrze przez nią zapamiętanych.

– Babciu, to pianino jest zepsute. Dźwięki brzmią inaczej niż kiedyś.

– Tak ci się tylko wydaje.

– Nie, trzeba je naprawić.

– Tego tylko jeszcze brakowało. Przecież i tak nikt nie potrzebuje tutaj tego czarnego pudła.

Charlotte każdego popołudnia z uporem siadała przy zepsutym fortepianie i przynajmniej próbowała zmusić palce, by były bardziej posłuszne. Wydobywające się dźwięki bolały dziewczynkę tak bardzo, że czasami łzy spływały jej po policzkach, ale się nie poddawała. Za nic w świecie nie chciała, by dziadek uznał ją za lekkomyślną, rzucającą słowa na wiatr. Najpierw mówi o swoich wielkich planach, a potem łatwo je porzuca.

– Co za kocia muzyka – jęknęła Ettje. – Jak długo jeszcze mamy to znosić?

Ettje wcale nie chodziło oczywiście o błędne dźwięki, denerwowało ją, że Charlotte ćwiczyła grę na pianinie i nie musiała w tym czasie

wykonywać żadnych prac domowych. Pranie zasłon, wygładzanie prześcieradeł, zamiatanie przed drzwiami wejściowymi – wszystko to spadło teraz na Ettje. I bez tego musiała pracować więcej niż inni, bo wiosną skończyła szkołę, a dla babci było ważne, żeby została dobrą gospodynią domową.

– Nie wiem naprawdę, po co komu to brzdąkanie – powiedziała ze złością babcia, gdy zasiedli razem do kolacji. – To wszystko dlatego, że wymyśliłeś sobie, żeby umieścić pianino w dużym pokoju, Henrich.

Dziadek żuł w milczeniu chleb ze smalcem przygotowany przez żonę, co sprawiało mu sporo kłopotu, bo nie miał już niektórych zębów. Z tego też powodu musiał wcześniej odciąć skórki z chleba, które dał Paulowi, bo wnuczek lubił maczać je w mleku.

– Pewnie chce być wykwinną damą, która bywa na salonach i tańczy na balach – zauważyła ciocia Fanny.

– Nie da się przecież tańczyć, kiedy gra Charlotte – powiedział Paul. – Trzeba raczej szybko uciekać.

Klara rzadko odzywała się przy stole, ale tym razem była tak zdenerwowana tą wymianą zdań, że postanowiła zabrać głos.

– Gra na pianinie jest bardzo trudna i myślę, że Charlotte radzi sobie z tym całkiem dobrze!

Zarumieniła się, bo teraz wszyscy na nią patrzyli. Nie pochyliła jednak głowy, jak to miała w zwyczaju, gdy ktoś patrzył na nią z dezaprobatą. Wytrzymała skierowany na nią wzrok rodziny.

– Wystarczająco dobrze, by trzymać szczury i myszy z dala od domu! – drwił Paul.

– Cicho już – przerwała babcia. – Lepiej pilnuj swojego nosa, Paul!

Paul lubił czepiać się Charlotte, ponieważ sam przeżywał ciężkie chwile. Lekcje w gimnazjum trwały do popołudnia, a potem czekała go jeszcze praca domowa do odrobienia, którą musiał co wieczór oddawać pod surowe spojrzenie dziadka. Dotychczas jego oceny były żalosne, co oznaczało, że musiał uczyć się także w niedzielne popołudnia. I to właśnie teraz, kiedy łąki były wszędzie zielone, a dawni towarzysze zabaw włóczyli się po Plytenbergu lub Leerort, łowiąc kijanki i szukając jaj czajek.

Dziadek powoli skończył jeść, a potem pociągnął długi łyk z filiżanki, patrząc w zamyśleniu na Charlotte. Podparła rękę na blacie i położyła na niej głowę, co nie było dozwolone przy stole, ale tym razem babcia to zignorowała. Głównie dlatego, że Charlotte bez słowa zносиła to dogryzanie. Może żmudne wpajanie w nią uległości w końcu zaowocowało.

– Rozmawiałem wczoraj z kantorem Pfeifferem – powiedział dziadek. – Uzgodniliśmy, że możesz przyjść do niego w piątek o czwartej, żeby mu zagrać. Jeśli masz talent do muzyki, udzieli ci lekcji.

– Lekcje gry na pianinie? – zawołała z oburzeniem ciocia Fanny. – To dopiero! Za cztery, pięć lat Ettje mogłaby wyjść za męża, a na jej posag zabraknie pieniędzy. Ale Charlotte ma brać lekcje muzyki!

– Ty już wystarczająco dużo dostałaś, Fanny! – pastor Dirksen odpowiedział krótko.

Charlotte powinna być szczęśliwa, że dziadek wziął ją w obronę przed całą rodziną, ale wcale nie była zachwycona. Kantor Pfeiffer był chudym, niskim człowieczkiem z rozwianymi siwymi włosami i zaniedbaną brodą, który nawet w niedziele nosił workowate spodnie i którego ludzie nazywali „dziwakiem”. Kiedyś grał na organach w kościele luterańskim i dyrygował też chórem, ale teraz, podobnie jak jej dziadek, był już na emeryturze i czasami, w dni powszednie sam grywał na organach. Można było to usłyszeć, gdy przechodziło się obok kościoła. Jeśli już, to Charlotte wolałaby uczyć się gry na pianinie od nauczyciela muzyki, pana Böttchera. Był gładko ogolony, nosił zawsze śnieżnobiały, sztywny kołnierzyk, a nawet posiadał złoty zegarek na łańcuszku. Uczył w gimnazjum, miał też wielu uczniów na lekcjach prywatnych. Był jednakże katolikiem, co dziadkowi na pewno się nie podobało i może brałby też więcej pieniędzy.

W piątek po południu Charlotte niechętnie założyła marynarkę i schowała pod nią zwinięty zeszyt z nutami, żeby nie wszyscy widzieli, co niesie. Kantor Pfeiffer mieszkał przy Süderkreuzstrasse, tuż za kościołem ewangelicko-augsburskim, gdzie mieściła się również szkoła i przytułek dla ubogich. Nie mieszkał jednak w ładnym nowym domu, jak nadinspektor Doden, ale w maleńkim ceglany budynku wciśniętym między dwa większe domy, wyraźnie różniącym się od domostw bogatych sąsiadów. Na domiar złego dostała polecenie, by po drodze kupić nici i szydełka, bo ciocia Fanny w międzyczasie szyła bieliznę i ubranka dziecięce dla kilku rodzin w zborze luterańskim.

Jak na początek maja wciąż było bardzo chłodno i wiał silny wiatr, targający włosy i spódnicę Charlotte. Dobrze, że miała mocno zapiętą marynarkę. Kilka dziewczyn bawiło się w berka przy Osterstrasse. Dwie z nich były koleżankami ze szkoły, ale nie zwracały na nią uwagi, ani nie spytały, czy ma ochotę się do nich przyłączyć. Zresztą i tak nie otrzymałaby pozwolenia, babcia nie chciała, żeby jej wnuczki

kręciły się po ulicy. Z chłopcami rzecz miała się inaczej. Paul i Jonny często wychodzili ze swoimi towarzyszami zabaw, nawet poza miasto, na łąki.

Nagle na Norderstrasse mały pocisk z gliny trafił ją w ramię i zatrzymała się ze złości.

– Każdy, kto rzuca grudami, sam jest motłochem! – ryknęła w otwarte drzwi jednego z domów. Nie widziała dokładnie, kto tam stał, ale była w stanie stwierdzić, że to na pewno byli koledzy Paula, dla których nieszczęsny gimnazjalista stał się śmiertelnym wrogiem.

– Czarna wiedźma! – ktoś jej odpowiedział.

– Czarownica z żółtymi oczami!

– Murzynka!

Rzucono w jej stronę jeszcze dwie gliniane kule, ale zręcznie ich uniknęła. Zamiast w nią, jeden z nich uderzył karczmarza Zindlera, który wyszedł z domu z naciągniętą czapką.

– Cholerne dranie! Jak tylko was złapię...

Charlotte uciekła, nie oglądając się za siebie i mając nadzieję, że karczmarz schwyta przynajmniej jednego z chłopców. Jednak realnie oceniając sytuację, było to wątpliwe, ponieważ miał duży brzuch, a łobuzy potrafiły bardzo szybko biegać. Próbowwała pocieszyć się faktem, że ta niechęć była skierowana raczej do Paula niż do niej, a oberwała za sam fakt, że była jego kuzynką. Obelgi nie były jej jednak obce, słyszała je w kółko. Indianka, Murzynka, wiedźma, żółtooką kotka... Paul też tak mówił, kiedy był na nią zły. Tutaj, w Leer, była kimś obcym, nie pasowała do tego miejsca i nie chciała tu przynależeć. Miasto zdawało się brzydkie, dziwnie wciśnięte w przestrzeń nad brzegiem szarej rzeki i było tam zimno, nawet latem. Dlaczego dziadek nie pozwolił jej pojechać do Indii, gdzie zawsze świeci słońce, a ludzie są przyjaźni? Rodzice mamy napisali list po angielsku i poprosili o przyzwolenie na zabranie Charlotte do siebie. Babcia powiedziała jednak, że wolałyby odrąbać sobie prawą rękę, niż wysłać za granicę dziecko zmarłego syna.

Dzwonek obok drzwi wejściowych domu Pfeiffera został wyrwany, nie było również kołatki i nikt nie odpowiedział na nieśmiałe pukanie. Stała tam i trzęsła się, rozmyślając, czy nie jest za wcześnie. Może powinna najpierw pójść kupić nici do szycia i szydełka. W końcu jednak zdecydowała, że lepiej mieć to już za sobą i po prostu nacisnęła klamkę. Korytarz był wąski, pachniał wilgotnym drewnem, spleśniałymi tapetami i gotowanymi płatkami owsianymi.

– Dzień dobry. Czy jest ktoś w domu?

Po prawej stronie otworzyły się drzwi i ujrzała zgarbioną postać kantora Pfeiffera.

– Mała Dirksen – powiedział, kiwając głową kilka razy, jakby musiał sam sobie to uświadomić. – Charlotte, prawda? Wejdz, drogie dziecko. Mojej siostry w tej chwili nie ma, inaczej otworzyłaby ci drzwi...

Mieszkał z siostrą. Nie miał żony? Może umarła, sam był już bardzo stary... Niewielki pokój umeblowano w bardzo dziwny sposób. Nie stała w nim sofa ani fotel, tylko dwa krzesła i mały stolik zarzucony gazetami. Na każdej ze ścian znajdowały się drewniane półki, na których trzymano książki i czasopisma, piętrzyły się one także na małym stoliku ustawionym pod dwoma wąskimi, wysokimi oknami. Jedynie duża szafa z przeszklonymi drzwiami wydawała się pełna zeszytów z nutami. Tam gdzie natomiast był jedyny kawałek wolnego miejsca na ścianie, zawieszono skrzypce; w sumie Charlotte naliczyła pięć instrumentów.

– W takim razie pokaż mi, co potrafisz, Charlotte. Przyniosłaś nuty? Twój dziadek powiedział mi, że dużo i sumiennie ćwiczyłaś. Poczekaj, obrócę dla ciebie stołek...

Fortepian był nieco większy niż ten należący do jej mamy: onieśmielająca czarna obudowa z pięknie rzeźbionymi kolumnami pod klawiaturą i dwoma ozdobnymi złotymi, rozłożystymi świecznikami ustawionymi na blacie. Klawisze były już jednak dość pożółkłe i wystarczyło jedno spojrzenie, by dostrzegła, że wcale nie ma ich więcej niż w pianinie jej mamy.

Usłyszała nieprzyjemne skrzypienie, gdy kantor Pfeiffer obrócił okrągłe siedzisko stołka. Tymczasem Charlotte zmagala się ze zwiniętą książeczką z nutami, którą z trudem udało się jej w końcu rozprostować.

– Aha! – powiedział po szybkim spojrzeniu i ponownie trzykrotnie skinął głową. Nie dodał nic więcej, ale wydawało się, że zna on utwór, który chciała zagrać.

Wspięła się na stołek i zsunęła na nim do wygodniejszej pozycji, pocierając zimne dłonie. Chciała się przynajmniej postarać, skoro dziadek już załatwił nauczyciela gry na fortepianie dla niej, nawet jeśli był dziwakiem. Wybrzmiała wznosząca się sekwencja tonów prawej ręki. Charlotte zamarła ze zdumienia. Z niedowierzaniem wystukała kilka nut, słuchała i w końcu zrozumiała. Oczywiście, ten fortepian działał jak należy, dźwięki były w końcu na swoim miejscu!

– Uderzenia mają być bardzo lekkie – powiedział kantor Pfeiffer, który po swojemu wyjaśnił sobie jej zachowanie. – Klawisze na twoim pianinie w domu są prawdopodobnie trudniejsze do wciśnięcia...

Ledwie się wczuła, a już musiała zaczynać utwór od nowa. Dźwięki brzmiały obco po tygodniach męczenia się z rozstrojonym instrumentem, ale jednocześnie było to cudowne, wręcz odurzające doświadczenie. Tak brzmiało, gdy mama grała, to były melodie, akordy, które zapamiętała. Wraz z wydobywającymi się dźwiękami piękny pokój w rodzinnym domu ponownie pojawił się w jej myślach, z jasnożółtymi zasłonami i ciemnymi intarsjowanymi meblami z Indii. Postać matki siedzącej przy fortepianie, drobnej, z upiętymi lśniąącymi włosami, z lekko uniesionym podbródkiem, z zamkniętymi oczami, wsłuchującej się w muzykę. Jaka magia tkwiła w tych tonach! Nie mogła przestać grać i nie przejmowała się tym, że popełniła liczne błędy. W jej wyobraźni rozbrzmiała znowu ta prawdziwa, najprawdziwsza muzyka, pełna ciepła i mocy, otwierającą drzwi do utraconej błogości dzieciństwa.

Kantor słuchał cierpliwie, nie przerywając. Tylko raz, podczas drugiej części utworu, wybiegł na korytarz, bo jego siostra wróciła do domu. Kiedy wrócił, cicho zamknął drzwi do pokoju i usiadł. Doszła dopiero do trzeciej części, a jej palce stały się całkowicie bezsilne z wysiłku. Najpiękniejsza była czwarta część, w której tony spływały z góry jak rwące potoki, a lewa ręka musiała grać skomplikowane akordy – i niestety, nie potrafiła tego zrobić. Pfeiffer długo milczał i pozwolił jej siedzieć przed fortepianem. Kiedy się do niego odwróciła, zobaczyła, że pije herbatę; między książkami stała miska herbatników, a obok niej drugi kubek.

– Beethoven – powiedział w końcu powoli. – Druga sonata fortepianowa – utwór wczesny. Wspaniała muzyka.

Zgadza się, ten utwór skomponował Beethoven, teraz ona też to zauważyła, bo było to zapisane bardzo małym drukiem po prawej stronie nad nutami.

– O wiele dla ciebie za trudny, Charlotte. Zaczniemy od Mozarta, sonata minor. A potem Bach, wielki Jan Sebastian Bach, niezrównany w swoim mistrzostwie. Na początek utwór z cyklu dla Anny Magdaleny Bach, czyli jego żony...

– Czy pan... chce mnie uczyć?

– Będę przynajmniej próbował, osiągnąć ten cel możemy tylko wspólnymi siłami, Charlotte.

Ostrożnie postawił filiżankę na stole i wstał. Delikatnym, niemal nieśmiałym gestem dał jej znak, by ustąpiła mu miejsca przy fortepianie. Charlotte szybko wstała. Odwrócił stołek z powrotem, usiadł i grał – o dziwo – bez żadnych nut. Utwór brzmiał jej zdaniem bardzo dziwnie. Jakby melodie były zamknięte w ciasnym pokoju, w którym chodziły tam i z powrotem, kłaniały się grzecznie, mijały się, a mimo to zawsze się spotykały.

– Podoba ci się moja gra?

Zacisnęła dolną wargę i rozważała powiedzenie mu prawdy. Zdała sobie jednak sprawę, że zdążył wyczytać z jej twarzy to, co myśli. Nie wyglądał na zdenerwowanego ani obrażonego, tylko zawstydzonego.

– Pana gra brzmi zabawnie. Mama nigdy nie grała w ten sposób. Ale jeśli się to panu podoba, to będę się uczyła tak grać.

– Musisz ćwiczyć powoli i dokładnie w domu, Charlotte. Każda ręka osobno, to ważne, bo każda gra swoją melodię...

– Ale ja nie mogę ćwiczyć we właściwy sposób. Fortepian mamy jest zepsuty. Dźwięki nie są już tam, gdzie ich miejsce.

– Masz na myśli... że jest rozstrojony?

– Rozstrojony. Tak, dźwięki są niedostrojone. Zdecydowanie głębsze niż wcześniej, niektóre bardziej, inne tylko trochę...

– To musiało się zdarzyć w trakcie transportu. Nie wolno ci ćwiczyć na takim instrumencie, Charlotte. Powiedz swojemu dziadkowi, że przyjdę jutro, żeby nastroić fortepian.

Mógł to naprawić! Ale czy zażąda za to dużo pieniędzy?

– Teraz usiądź i spróbuj zagrać prawą ręką!

To było łatwe, ale miał wiele zastrzeżeń do jej gry. Zapisał ołówkiem palcowanie nad zapisem nutowym, poprosił ją też, aby nigdy nie rozdzielała bliskich tonów, ale grała je tak blisko przy sobie jak to tylko możliwe. Następnie musiała zrobić to samo lewą ręką, ale ta nie była tak elastyczna jak prawa i musiała nad nią pracować dużo ciężiej.

Potem zrobili przerwę na herbatę i pozwolono jej zjeść ciastka, podczas gdy Pfeiffer opowiadał jej o Janie Sebastianie Bachu, który również był kantorem i miał wiele dzieci. Zagrał jej kilka utworów, które uznała za bardzo zagmatwane i trudne, ale nie powiedziała tego, nie chcąc go urazić. Kiedy grał, pochylał się, siadał z wygiętymi plecami i, co najdziwniejsze, nucił pod nosem. Czasami jego nucenie odpowiadało melodii prawej ręki, czasami lewej, ale od czasu do czasu to nucenie było bardzo dziwne i zupełnie nie brzmiało tak jak utwór, który właśnie grał.

– Do następnego piątku, Charlotte! – powiedział, kiedy pozwolono jej wyjść. – I nie będziesz ćwiczyć, dopóki nie nastroję twojego pianina. Obiecuj mi to! Możesz zabrać zeszyty z nutami ze sobą, ale nie zwijaj ich, nie służą im to.

Kantor Pfeiffer pojawił się w domu Dirksenów następnego popołudnia, a ciocia Fanny musiała zdjąć lampę i bibeloty z fortepianu, żeby mógł otworzyć wieko. Nie wziął ani grosza za strojenie, ale chciał, żeby Charlotte mu pomogła. Pozwolono jej uderzać w klawisze jeden po drugim, a on przekręcał kołki kluczem do strojenia, aż dźwięki ponownie brzmiały tak jak powinny.

– Czy teraz jest dobrze? – pytał ją za każdym razem.

– Za wysoko. Musi go pan z powrotem przykręcić. O, właśnie, wystarczy!

Wskazała mu palcem wskazującym i kciukiem, jak wiele powinien przykręcić i zobaczyła, że Pfeiffer zaczyna się uśmiechać. Usta miał wówczas zamknięte, tylko zmarszczki na jego twarzy wydłużały się i pogłębiały, sugerując uśmiech. Był dziwakiem, ale też cwany lisem, ponieważ podejrzewała, że pytał o brzmienie klawiszy, chociaż sam doskonale potrafił rozpoznać, czy tony są właściwe.

– Teraz będzie fis, o tak, bardzo się roztroił. Więcej... więcej... więcej... Ale teraz to już było za dużo. Trochę wstecz. Więcej... więcej... Stop!

– Bardzo dobrze, młoda damo!

Strojenie trwało długo, a ciocia Fanny, która siedziała przy oknie i szyła, tylko cicho wzdychała. Czasem upuszczała szpulkę nici, czasem nożyczki, ale nie śmiała narzekać. Tylko babcia dwukrotnie szarpnęła drzwiami i zapytała, czy to jeszcze długo potrwa, ponieważ jej wnuk musi się uczyć łacińskich słów, a kręci mu się w głowie od tego strojenia. Kantor Pfeiffer, choć dziwny i nieśmiały, nie dał się wyprowadzić z równowagi, nawet babci będącej tak szanowaną osobą w domu.

– Właściwe wykonanie pracy wymaga czasu – wyjaśnił z przyjaznym skinieniem głowy. – Pani najmłodszy, Gerhard, jest również uzdolniony muzycznie – powiedział. – Chodzi mi o to, że Charlotte podąża jego wzorem.

Boże, bądź nam miłościwy! – odparła babcia i zatrzasnęła drzwi.

SIERPIEŃ 1885



Rzadko kiedy w środku lata niebo miało tak wyraźnie ciemnoniebieski odcień jak tego dnia. O tej porze roku zazwyczaj formacje chmur płynęły po niebie jak białe statki na spokojnym morzu, powoli dryfując po szerokim oceanie i znikając cicho za horyzontem. Ten, kto podróżował wraz z nimi, być może dotarłby do odległych brzegów, zakotwiczył się przed białymi plażami, gdzie wyginały się smukłe palmy. Może płynąłby obok stromych brzegów, z gęstą roślinnością otaczającą jasne budynki z małymi kolumnami i arkadami. Za nim rozpościerałyby się na horyzoncie kolejne warstwy niebieskawych grzbietów górskich, a zwłaszcza lśniący śnieżny szczyt potężnego...

– Charlotte! Charlotteeee! Dobry Boże, gdzie ona znowu jest?

Niczym bezskrzydły ptak wynurzyła się zza chmur prosto na trawnik w ogrodzie dziadków, tuż obok pomalowanego na zielono składanego stołu, rozstawionego już przez Paula, żeby mogli po południu posiedzieć na zewnątrz z gośćmi.

– Idę...

Z posępną miną podeszła do grządek, na których w kolejnych rzędach rosły jarmuż, marchewka i kilka małych główek białej kapusty. Wzrok skupiła dłużej na pietruszce. Zbyt wiele nie można już było zrobić. Chociaż warzywa podlewano regularnie, delikatne liście były wiotkie, wiele pożółkło od sierpniowych upałów. Wzdychając, wybrała najpokaźniej wyglądające rośliny i odcięła je. Kolejny raz ciężki warkocz okazał się przeszkodą. Natychmiast opadł do przodu, kiedy tylko się pochyliła.

W kuchni zapanowało poruszenie. Ciocia Fanny stała przy stole i ostrym nożem kroić ugotowaną soloną wołowinę na cieniutkie plasterki, tak że wyglądały niczym pergamin. Ciocia wciąż miała na sobie piękną ciemnoniebieską sukienkę z szydełkowym koronkowym kołnierzykiem, założoną rano do kościoła. Biały fartuch chronił drogi materiał przed plamami tłuszczu. Charlotte musiała z samego rana układać jej włosy lokówką i wiązać je w kok z tyłu głowy, co wyglądało

dla niej dość nietypowo i sprawiało, że wydawała się trochę starsza. W ciągu ostatnich kilku lat ciotka Fanny dorobiła się wielu zmarszczek, zwłaszcza wokół ust, a także na szyi.

– Umyj pietruszkę i drobno posiekaj, ma iść na ziemniaki – poleciła babcia, która pilnowała dwóch garnków parujących na kuchence. – I podaj sałatę. W dwóch miskach.

Był też bób i marynowana dynia, a następnie placki ziemniaczane z piwnym sosem. Dziadek przyniósł nawet czerwone wino, jagodziak^[3] robili sami, przygotowano też lemoniadę. Po południu w ogródku planowano podać kawę i kruche ciastka, a ukoronowanie uczyty stanowił tort, w którym ciocia Fanny zapiekła rodzynki marynowane w brandy.

Dla Charlotte było niezrozumiałe, dlaczego w zwykłą niedzielę robi się takie zamieszanie, krewni z Aurich nie bawili się tak wystawnie nawet w święta. Jedyne powód, jaki przychodził jej do głowy, to gość, którego przywiozła ze sobą ciocia Edine. Charlotte widziała młodego mężczyznę tego ranka w luterańskim kościele jedynie od tyłu, ponieważ szły wspólnie z Klarą i na miejsce dotarły tuż przed rozpoczęciem nabożeństwa. George Johanssen siedział w ławce trzy rzędy przed nimi między Paulem a dziadkiem. Był wysoki, z długą szyją i wąskimi ramionami, odziany w ciemnoszarą kurtkę. Jego blond włosy sięgały do kołnierzyka, na co Paul nie mógłby sobie pozwolić tutaj, w Leer, ale George Johanssen mieszkał w Anglii, gdzie studiował medycynę.

Ciocia, babcia i Ettje wręcz wbiegły do domu zaraz po nabożeństwie, aby przygotować obiad, podczas gdy mężczyźni nadal oprowadzali gościa po mieście, pokazując mu zabytki: kościoły, ratusz i ten murowany dom na rynku, w którym znajdowała się wielka waga, będąca wyznacznikiem miary dla handlarzy na targu i wskazująca każdemu, że Leer wciąż ma silną pozycję na rynku.

– Pamiętaj, żebyś nie nałożyła sobie za dużo na talerz – ostrzegła ciocia Fanny. – Wystarczają ci dwa plastry mięsa, możesz zjeść też surówkę i ziemniaki. I do tego jeszcze placki. Mięso należy zostawić dla gości, zwłaszcza dla młodego Anglika.

Jakby po całym tym zgiełku Charlotte nadal mogła mieć apetyt! Wczoraj polerowali dom na błysk, zamiatali wszystko od góry do dołu, trzepali dywany, woskowali schody, nawet prali zasłony. Potem kobiety piekły ciasta, poprawiały ubrania, kręciły włosy... Dobry Boże, czy to cesarz miał przybyć tu z wizytą?

– Pewnie niedługo tu będą – powiedziała babcia. – Zobacz, czy Edine poradzi sobie w salonie z obrusami i krzesłami, Fanny. Gdzie są Marie i Menna? Mogłyby pomóc zanieść jedzenie.

– Są u Hilkego Hansena – pożyczają szklanki. Edine nie lubi, kiedy lemoniadę pije się z kieliszka.

Babcia, której nie podobała się ta lekkomyślność, milczała ponuro. Gość czy nie – gdyby pękła szklanka, musiałaby ją odkupić od Hansena.

– Biegnij do Ettje i Klary – zawołała ciocia Fanny do Charlotte, kiedy ta przechodziła obok. – Możesz upiąć włosy Ettje – jesteś w tym taka wprawna, Charlotte.

– Już to zrobiłam dziś rano!

Drzwi pokoju zamknęły się za ciotką. Charlotte szybko przemyślała, czy wykonać otrzymane polecenie, po czym postanowiła pójść na górę, żeby babci nie przyszło przypadkiem do głowy, żeby wysłać ją po Marie i Menny, prawdopodobnie plotkujących z sąsiadką. Spotkałaby tam zapewne Petera Hansena, którego nie lubiła, bo zawsze dawał się jej we znaki.

Ettje usiadła sztywno na łóżku i pozwoliła, by Klara przytrzymała lustro ściennie na wysokości twarzy. Jej piegowata skóra była pokryta potem, a małe loczki, które zrobiła lokówką Charlotte, przykleiły się do czoła.

– Nie będzie lepiej, jeśli zaczniesz przy tym dłużyć – powiedziała zmartwiona Klara. – Po prostu zrobi się grubszy i bardziej czerwony, to wszystko.

– Zamknij się i zobacz, czy już idą – jęknęła Ettje. – Dlaczego zawsze mnie to musi spotykać! Ostatniej nocy nic nie było widać, a teraz mam okropny pryszcz między oczami. Właśnie dziś! Co ja mam zrobić, Charlotte?

Wyglądała na tak nieszczęśliwą, że Charlotte zrobiło się jej żal. Nadal niespecjalnie lubiła Ettje, tymczasem jednak kłótnie wybuchały między nimi jedynie sporadycznie.

– Połóż na nim coś zimnego, a przestanie puchnąć. Łyżkę lub zimną szmatkę.

– Daj mi myjkę, Klara! I odwieś lustro na miejsce.

Klara posłała Charlotte dyskretny uśmiech, którego Ettje nie zauważyła, bo już przyciskała wilgotną myjkę do czoła i oczu. Klara nadal była najbliższą powiernicą Charlotte, czasami jej podopieczną i jedyną osobą na świecie, przed którą mogła się otworzyć. Klara wiedziała o niej prawie wszystko, znała nawet jej sny i skryty smutek,

a często nawet nie musiały używać słów, żeby się porozumieć, wystarczył uśmiech, szybkie spojrzenie, dotknięcie dłoni. Teraz uśmiech kuzynki mówił: zobacz tylko, jak ubrali biedną Ettje, przecież i tak nie ma szansy z Manną, nie mówiąc już o Marie, nie ma dla niej jakiegokolwiek nadziei.

Odkąd tylko ogłoszono wizytę, ciocia Fanny była zajęta szyciem, by jak najładniej ubrać swoją starszą, prawie dwudziestoletnią już córkę. Uszyła nawet gorset dla Ettje według najnowszej mody, a rano własnoręcznie zasznurowała w niego córkę. W rzeczywistości Ettje wydawała się teraz smuklejsza, ale też jednocześnie mizerna w obcisłym, pasiastym żakiecie, pod którym miała ciemnoniebieską bluzkę ze stójką. Przy tym, jej talia przy dotyku sprawiała wrażenie sztywnej, dzięki wszytym fiszbinom.

– Doktor Johanssen jest bardzo szanowanym lekarzem w Londynie, a jego żona pochodzi z dystyngowanej rodziny. Sądzę, że są też szlachetnie urodzeni i mają w rodzinie kilku oficerów...

– Nawet nie upięłaś włosów – Klara zwróciła się do Charlotte, kręcąc głową. – Chodź, pomogę ci, zostało jeszcze kilka spinek.

Z dołu słyhać było, jak babcia wrzeszczała, że mięso wystygnie, jeśli goście w końcu się nie zjawią. Menna i Marie weszły do holu, rozmawiając i stukając się szklankami, ale babcia nie powitała ich zbyt przyjaźnie. Nie przeszkadzało im to jednak zbytnio – słyhać było przez chwilę radosny śmiech Marie, po czym drzwi do pokoju zatrzasnęły się za nią.

– Punktualność jest cnotą, ale tego chyba nie uczą w Anglii! – burknęła babcia na korytarzu.

Klara związała włosy kuzynki w gruby warkocz i upięła go z tyłu głowy, robiąc to tak umiejętnie, że Charlotte prawie nie czuła spinek do włosów.

– Spójrz w lustro, Charlotte! Jeśli chcesz, będę ci tak codziennie czesać włosy, będziesz wyglądać jak młoda dama.

– Nie rób tego!

W małym ściennym lustrze zobaczyła bladą twarz, delikatny nos, za duże usta, wąskie, prawie wychudzone policzki. Nie było w tych rysach nic uroczonego, były nierównomierne, kanciaste, pełne kontrastów, już dawno przestały przypominać, miękkie rysy dziecięcej twarzy, ale nadal nie chciały się dopasować do twarzy młodej kobiety. Jednak to oczy były tym, co dominowało w całym tym obrazie. Ciemne, otoczone lekkimi sińcami. Ich dominujący charakter potęgowały dodatkowo czarne rzęsy i gęste, łukowate brwi. Wielki

warkocz z tyłu głowy wydawał się Charlotte śmieszny i chętnie by go rozwiązała, gdyby Klara nie była tak entuzjastycznie nastawiona do efektu swojej pracy.

– O Boże! – jęknęła Ettje i chwyciła lustro. – Teraz całe czoło jest czerwone i spuchnięte. Wyglądam, jakbym uderzyła się w ścianę. Nie ma mowy, żebym w takim stanie zeszła na dół...

– Już idą! – z korytarza dobiegł wysoki głos Menny. – Dobry Boże, jacy są podekscytowani. Co za frajda spacerować po mieście w taką pogodę i patrzeć na stare domy!

Wreszcie – pomyślała Charlotte. Żeby tylko ten dzień się już skończył! Jutro będzie zmywanie i sprzątanie, więc Bóg jeden wie, kiedy wrócę do gry na pianinie.

W salonie stół jadalny został przedłużony o ten składany z pralni. Łączenie między nimi udało się z powodzeniem ukryć dzięki pięknemu obrusowi babci. Kanapa została przysunięta do stołu, dla siedzących na niej podłożono dodatkowo poduszki, w innym wypadku ich ramiona ledwo sięgałyby ponad blat. Fotel z oparciem również służył jako siedzisko, Paul zniósł krzesło dziadka i w końcu przyniesiono nawet jedno z dwóch krzesel kuchennych, które stało teraz tak blisko okna, że wytarte drewno przy oparciu nie rzucało się w oczy. To miejsce przypadło w udziale Klarze. Charlotte posadzono trochę bliżej, aby mogła jak najszybciej pomóc babci, gdyby trzeba było przynieść coś z kuchni. Poza tym układ siedzeń pozostawał niezmienny. Przed drzwiami, u szczytu stołu, zasiadał dziadek, obok niego siedziała babcia, koło nich ciocia Edine i ciocia Fanny. Tylna część stołu, od strony okna, była przeznaczona dla „młodzieży”. Tutaj oczekiwany gość miał już przydzielone swoje krzesło. Ciocia Fanny stoczyła zacieklą walkę ze swoją siostrą na korytarzu, nalegając, aby to Ettje usiadła po prawej stronie młodzieńca, skoro po lewej miała zająć miejsce Menna. To musiało im wystarczyć.

Charlotte i Marie podały salaterki, a dziadek zaczekał, aż wszyscy usiądą, zanim zmówili modlitwę i powitał gościa w swojej rodzinie. Teraz Charlotte miała wreszcie szansę spojrzeć na przyczynę całego zamieszania. Właściwie, w George’u Johanssenie nie było nic niezwykłego, nie dostrzegła też żadnych oznak tego całego arystokratycznego rodowodu, podkreślanego na każdym kroku przez ciocię Fanny. Miał szare oczy i krzaczaste jasnobłond brwi, jego nos był wąski, ale prosty, a jasne włosy zostały uczesane z przedziałką na boku i krócej przycięte nad uszami niż na karku. To, co przykuło

uwagę Charlotte w George'u, to sposób, w jaki skupiał się na ludziach lub przedmiotach, jakby przez krótką chwilę próbował zobaczyć w nich coś innego, coś ukrytego za zewnętrzną fasadą. Robił tak, gdy przedstawiano mu kogoś z rodziny, ale też nagle podczas rozmowy lub gdy rozglądał się po pokoju i jego uwagę przykuł jakiś bibelot, roślina doniczkowa lub zdjęcie. Poza tym był dość elokwentny, zadawał dużo pytań i miał dar wciągania wszystkich, nawet Klarę, w nieskrępowaną rozmowę. Szturmem zdobył serce babci, gdy wychwalał jej potrawy i obwieszczał entuzjastycznie, że nigdy nie jadł tak pysznego jedzenia w Anglii. Wyczarował czerwone rumieńce na policzkach ciotki Fanny, kiedy trzykrotnie sięgał do zaoferowanych mu talerzy z mięsem i rozśmieszył Ettje, demonstrując jej swoją znajomość dialektu fryzyjskiego.

Dwukrotnie spojrzął na Charlotte w ten dziwny, charakterystyczny dla niego sposób. Po raz pierwszy, kiedy przedstawiła mu ją Marie, ponownie zaś, gdy Klara opowiadała mu, że Charlotte bardzo dobrze gra na pianinie. Siedziała jednak zbyt daleko od niego, by mogli rozmawiać. Charlotte nie miała nic przeciwko temu, ponieważ zdecydowanie wolała rozmawiać z Marie i Henrichem, młodszym bratem dwóch kuzynek. Henrich był przyjaznym, nieszkodliwym chłopcem, który walczył teraz o zdanie matury, a później miał studiować, zgodnie z życzeniem ojca, teologię.

– Czy nie chciałabyś nam dzisiaj zagrać do tańca, Charlotte? – Menna zawołała do niej przez stół. – Uprzątniemy pokój, wtedy będziemy mieli wystarczająco dużo miejsca. Peter Hansen też chce przyjść.

Charlotte wskrobała z miski ostatnią fasolkę i udawała, że nic nie słyszała. Nigdy nie planowała przygrywać do tańca jako pianistka dla swoich kuzynek i angielskiego gościa, muzyka była dla niej zbyt cenna. Przez te cztery lata zrobiła ogromne postępy, grając wspaniałe sonaty Beethovena, Mozarta i Scarlattiego, a także walce Chopina i „Pieśni bez słów” Mendelssohna. Zaprzyjaźniła się nawet z umiłowanym przez kantora Pfeiffera Janem Sebastianem Bachem. Najbardziej podobał się jej jego „Koncert włoski”. Bardziej ze względu na upodobania nauczyciela zmagala się też z fugami, ale jednak czuła niewysłowiony urok tych utworów, które wymagały nie tylko wyczucia, ale i muzycznego zrozumienia. Przede wszystkim jednak muzyka była azylem, jedynym miejscem, należącym tylko do niej, magicznym światem, w którym dźwięki w tajemniczy sposób

przemieniały się w kolory i zapachy, a także w krajobrazy o porywającym pięknie.

– Chodź, Charlotte – błagała Ettje, która w międzyczasie właściwie zapomniała o swoim pryszczu na czole, głównie dlatego, że młody Anglik rozmawiał z nią tak beztrosko i wydawał się zupełnie nie przejmować tą skazą.

– Wtedy wszystkie te pieniądze wydane na lekcje gry na pianinie wreszcie byłyby coś warte!

– Nie mam nut do takiej muzyki!

– Marie takie pożyczyła i część przyniosła ze sobą.

Kuzynka Marie, która miała teraz dwadzieścia trzy lata i była zaręczona z młodym asesorem z Emden, uśmiechnęła się ujmująco do Charlotte, ale można było wyczuć, że ma chyba wyrzuty sumienia. Czyli zaplanowali to wszystko z dużym wyprzedzeniem! Ani Marie, ani Menna nie zaszły zbyt daleko w grze na fortepianie, chociaż przez jakiś czas brały lekcje.

– Dziadek z pewnością nie chce, żeby ludzie tańczyli w domu – sprzeciwiła się uparcie Charlotte.

Taniec był przecież grzechem, podobnie jak siedzenie w gospodzie i upijanie się, uprawianie hazardu i jeszcze gorsze występki, o których nie wolno było nawet wspominać. Niektórzy mężczyźni robili takie złe, niemoralne rzeczy, o czym mimochodem wspominała babcia, ale co dokładnie wtedy się działo, pozostawało ekscytującą tajemnicą.

– Och, to przecież tylko dla nas, będziemy przecież wszyscy w jednym pokoju, Charlotte – uspokajała Marie, odrzucając głowę do tyłu. Była dziś szczególnie ładna, jej oczy skrzyły się radością, a włosy błyszcząły, Charlotte wydawało się, że Marie promienieje od środka.

Po posiłku podano domową nalewkę z czarnej porzeczki i klarowny sznaps, który jednak był zarezerwowany dla dziadka. Rozmawiał teraz z George'em z ożywieniem o konflikcie na Zanzibarze i krytykował sułtana, chcącego zabronić Niemcom oddania nadmorskiego kraju pod opiekę Rzeszy. Powinien zostać na tej swojej wyspie, ten Arab. Co go obchodzi wybrzeże, tam nie ma nic do powiedzenia. W swoim zapale i pod wpływem jasnego sznapsa kukurydzianego dziadek posunął się nawet do stwierdzenia, że to oczywiście znowu Brytyjczycy poparli sułtana w celu osłabienia Niemiec na kontynencie afrykańskim. Ciocia Fanny zbladła, a babcia próbowała skierować rozmowę na temat długiej suszy

i spodziewanych złych zbiorów, ale George'owi nie przeszkadzał atak na jego ojczyznę. Zamiast tego, ku wielkiemu zdumieniu dziadka, zapytał, czy jest w ogóle uzasadnione, żeby umieszczać obce ludy pod opieką narodów europejskich, czyli czy ma sens zakładanie kolonii. Charlotte również śledziła rozmowę z napięciem i po raz pierwszy młody Anglik zrobił na niej wrażenie, mówiąc głośno o sprawach, o których ona też często myślała.

– A czy jest wyraźna różnica między podbojem a założeniem kolonii? – zapytał z prowokacyjnym uśmiechem.

– Tak, tak, i to bardzo znacząca, nasz młody buntowniku – powiedział dziadek i nalał sobie kolejny kieliszek. – Nawet Brytyjczyk powinien o tym wiedzieć. Przede wszystkim chodzi o nawrócenie tubylców na wiarę chrześcijańską, to jest nasz najważniejszy obowiązek...

– Z pewnością, ale do tego nie potrzeba kolonii, wystarczą misje pokojowe...

– Ależ drogi młody przyjacielu! Wiesz równie dobrze jak ja, że praca misjonarzy, niestety, zbyt często kończy się niepowodzeniem z powodu oporu niedouczonej Murzynów i że wielu odważnych chrześcijan straciło życie w czasie tych wypraw. Jeśli mamy ocalić dusze tych biednych ludzi i podzielić się z nimi błogosławieństwami naszej kultury, to praca ta potrzebuje też wsparcia i ochrony militarnej.

– Może nie potrzebują błogosławieństw naszej kultury? Co my w ogóle wiemy o tubylcach żyjących w sercu Afryki? Prawie nic, nawet nie znamy ich języka.

Teraz do rozmowy włączył się Paul. Po drugiej stronie stołu dziewczyny rozmawiały o najnowszym sposobie upinania włosów, czyli na temat, który zupełnie go nie interesował.

– Naprawdę nie trzeba rozumieć bełkotu tych Murzynów – wtrącił z uśmiechem. – Oni po prostu coś tam sobie gadają.

– Mylisz się – powiedział George, uśmiechając się. – Studiowałem w Anglii pracę niemieckiego badacza Afryki, zajmującego się językami tubylców. Daleko im do prostoty, są bardzo złożone i zawierają różnorodne wyrażenia...

– To był Heinrich Barth, prawda? – wtrąciła się Charlotte. – Czytałam o nim...

Oczy dziadka zwróciły się w zdumieniu na wnuczkę, babcia i ciocia Fanny też się w nią wpatrywały, ale ich twarze wyrażały przerażenie.

Młoda dziewczyna nie powinna była wtrącać się do męskich rozmów o polityce.

– Tak, to prawda – powiedział George, wyraźnie zaskoczony. – Czy czytałaś jego książkę „Podróże i odkrycia w Afryce Północnej i Środkowej”? Ewentualnie jego pracę na temat słownictwa środkowoafrykańskiego?

Charlotte poczuła, że się rumieni, bo po raz trzeci zmierzyła się z przenikliwym wzrokiem angielskiego gościa. Tym razem ze szczególnym zainteresowaniem.

– Niestety nie – przyznała. – Czytałam o nim w artykule, w czasopiśmie. Wspomniano tam, że studiował języki Afrykanów, ale uznano to za raczej śmieszne. Oskarżono go także o polowanie na niewolników i sprowadzanie ich ze sobą do Europy...

– Też o tym słyszałem – powiedział George, nie spuszczać wzroku z Charlotte. – Uważam jednak, że to złośliwe oszczerstwo. Tak czy inaczej – próba udokumentowania języków afrykańskich przez Heinricha Bartha to świetne podejście, które należy kontynuować...

– Zgadzam się. Jak możemy oceniać coś, o czym nic nie wiemy? To samo tyczy się afrykańskich zwyczajów i tradycji, a także ich religii...

– Gdzie, u licha, przeczytałaś ten artykuł? – dziadek zapytał Charlotte.

Przygryzła wargę, przepętniona ekscytacją nie zapanowała nad sobą i ujawniła to, co powinna była zachować w tajemnicy.

– Kantor Pfeiffer prenumeruje dwa czasopisma i czytam je od czasu do czasu.

– Aha! – wykrzyknęła babcia, która uważała, że czytanie powieści lub czasopism może mieć śmiertelne konsekwencje dla młodej dziewczyny.

Rozmowa po chwili ucichła, dziadek mocno już mrużył oczy i wkrótce udał się na popołudniową drzemkę. Ciocia Fanny, babcia i ciocia Edine też wstały od stołu, naczynia miały być zmywane w kuchni, a stolik do kawy trzeba było wystawić na zewnątrz, do ogrodu. Młodzi dzięki temu mogli posiedzieć ze sobą trochę dłużej i zająć się sobą bez udziału „starszych”.

– Charlotte, możesz nam pomóc w kuchni! – zarządziła ciocia Fanny.

Ku zaskoczeniu Charlotte, Marie zgłosiła się na ochotnika do pomocy przy zmywaniu naczyń. Może nudziła się w salonie, gdzie

trzej młodzieńcy – Paul, George i brat Marie, Henrich – dyskutowali teraz z zapałem o polowaniu z psami tropiącymi i o potrzebnych strzelbach myśliwskich, do których to dyskusji ani Menna, ani Marie, ani Klara nie miały wiele do wniesienia.

– Czyż nie tak, babciu? – Marie powiedziała z lekkością, rozkładając jednocześnie świeżo wyprasowany ręcznik kuchenny. – Przecież nikt nie będzie miał nic przeciwko, jeżeli dzisiaj wieczorem zagramy trochę muzyki, prawda? George jako student zna kilka tańców, bardzo modnych w Londynie, poza tym kocha on muzykę...

Chcecie tutaj tańczyć? Pokój jest na to za mały! – powiedziała babcia i podała jej do wytarcia świeżo umyty, ociekający wodą talerz po mięsie.

– Tak naprawdę, babciu, to nie do końca tańczyć. Po prostu poćwiczyć trochę kroki i zagrać w kilka zabawnych gier. George powinien nas dobrze wspominać, kiedy wróci do swoich rodziców.

– To wspaniały pomysł! – zachwycała się ciocia Fanny, która prawdopodobnie widziała już swoją Ettje w ramionach George'a. – Dlaczego młodzi ludzie nie mieliby się bawić i cieszyć życiem?

Aż trudno było uwierzyć, że ze wszystkich osób obecnych w domu, słowa te padły z ust cioci Fanny, głoszącej codziennie, że młoda dziewczyna powinna zachowywać się cicho i skromnie, i denerwowała się, gdy tylko słyszała śmiechy czy wesołe szepty. Nie wspominając już o jej niechęci do gry Charlotte na pianinie.

– Cóż – powiedziała z wahaniem ciocia Edine. – Ojczulek z pewnością nie pozwoli nam tańczyć w tym domu, zawsze martwi się przecież o swoją reputację w społeczności, ale myślę, że jest to niewinna rozrywka, która nikomu nie szkodzi.

– Ale dopiero po wypiciu kawy – zdecydowała babcia po chwili namysłu. – I żebyście niczego nie zepsuli w salonie!

Marie z niewinnym uśmiechem wytarła talerz, który już dawno sam zdążył wyschnąć, a Charlotte nie mogła nadziwić się zdolnościom dyplomatycznym kuzynki. Marie nigdy nie radziła sobie dobrze w szkole i nie miała żadnych zainteresowań. Nie pasjonowała się muzyką ani książkami, nie haftowała jak jej siostra Menna i chętnie zostawiała obowiązki domowe matce. Kiedy jednak kuzynka Marie coś sobie postanowiła, zawsze znajdowała sposób, aby to spełnić. Wkrótce na korytarzu zrobiło się zamieszanie, najwyraźniej reszta towarzystwa nudziła się w salonie. Słychać było, jak Ettje wchodzi po schodach – dziadek powiedział kiedyś, że ma chód ciężki niczym koń hodowlany. Wzięła swój jasny letni kapelusz, żeby chronić się przed

słońcem. Chwilę później Paul pchnął nieco kuchenne drzwi i wsadził głowę do środka.

– Idziemy pokazać George'owi Plytenberg. Czy ktoś z was chciałby się przyłączyć?

Spojrzał na Marie i Charlotte, ale oczywiście jego słowa były skierowane do wszystkich obecnych. Babcia odpowiedziała kręcąc głową, że przy takich temperaturach spokojnie obejdzie się bez przydługiego spaceru. Poza tym w domu było jeszcze dużo do zrobienia. Ciocia Fanny i ciocia Edine również odmówiły, napominając jednocześnie, aby najpóźniej o czwartej wrócili na kawę do ogrodu.

– Będziemy na czas, George ma zegarek kieszonkowy, który jest dokładny co do minuty, a nawet pokazuje fazy księżyca. A co z wami?

Marie położyła sztucce, które wycierała, razem z ręcznikiem kuchennym na stole i wzięła Charlotte pod ramię.

– Oczywiście, że pójdziemy z wami. Weźmiemy tylko kapelusze, żeby nie opalić twarzy jak Murzyni.

Charlotte dała się namówić, ale nie okazywała szczególnego entuzjazmu. Teraz babcia zaprzęgnie Klarę do pracy w kuchni, bo nie mogła przecież pójść z nimi do Plytenberg. Może nawet by się jej udało dojść, ale wtedy wszyscy musieliby na nią czekać, bo tak wolno szła, a Klara na pewno nie chciałaby im sprawiać problemu.

– Po co chcecie iść do Plytenberg? – burknęła Charlotte w korytarzu. – Nie ma tam nic do oglądania, tylko kilka starych skał.

Marie włożyła już swój słomkowy kapelusz i zawiązała go kokardą pod brodą.

– To zdecydowanie lepsze niż siedzenie w ogrodzie. Na pewno będzie wesoło i spotkamy wiele miłych osób.

Charlotte wcale nie uważała, że będzie wesoło. Nienawidziła niedzielnych wyjść, podczas których zawsze trzeba było witać się ze znajomymi, zatrzymywać się i mówić różne nieistotne rzeczy. Ale ten dzień i tak był stracony. Jedyna interesująca rozmowa, w której brała udział, została przerwana, a Marie też ją zdenerwowała. Teraz kiedy babcia pozwoliła na tańce, nie miała innego wyboru niż grać wieczorem głupie kawałki z pożyczonych przez Marie nut.

– Nie zamierzasz włożyć niczego na głowę? – zapytała Marie zdumiona.

– Dlaczego miałabym to zrobić? – opryskliwie odpowiedziała Charlotte.

Kuzynka wzruszyła ramionami i pobiegła do frontowego wejścia. Inni czekali już na zewnątrz, na ulicy. Kiedy otworzyła drzwi, jaskrawe światło słoneczne wlało się do ciemnego korytarza i Charlotte zobaczyła kontury postaci Marie, jej smukłą sylwetkę na jasnym tle. Przez chwilę zazdrościła swojej kuzynce niemal idealnych kształtów i proporcji, tworzonych przez ciasno zasznurowaną talię, pięknie ukształtowany biust oraz zarys miękkiej, falującej, ciemnozielonej spódnicy obszytej aksamitem. Wszystko pasowało do siebie, jakby pochodziło z magazynu o modzie, a pomimo to Marie nigdy nie wyglądała tak sztywno, jak Ettje w tym jej wąskim gorsecie. Poruszała się naturalnie i z gracją.

Paul stał się ich przewodnikiem, ponieważ najlepiej znał okolicę. A, że nikt z grupy nie miał ochoty na spacer po miejskich uliczkach, umiejętnie wybrał właściwą ścieżkę pośród łąk, prowadzącą do Plytenberg, które znajdowało się po drugiej stronie miasta. Marie i Menna szły u boku George'a, Ettje, obficie pocąc się w nowym gorsecie, musiała zadowolić się kuzynem Henrichem, a samotna Charlotte podążała za nimi, na samym końcu grupy. Od czasu do czasu musieli pokonywać wąski rów, wtedy Paul i George ustawiali się nad przeszkodą, aby pomóc dziewczynom ją przeskoczyć. Było przy tym dużo śmiechu i wrzasków, ich ręce się splatały, spódnice unosiły do góry, ale żadna z dziewcząt nie wydawała się tym przejmować. Jedynie Charlotte zlekceważyła starania dwóch kawalerów, wybrała dla siebie dogodne miejsce i przeskoczyła bez niczyjej pomocy. Z powodu suszy w rowach prawie nie było wody, nie mogła więc zrozumieć, o co było tyle szumu.

Tak jak się obawiała, niewielkie wzgórze znane jako Plytenberg było okupowane przez wielu niedzielnych wycieczkowiczów. Dzieci i młodzież biegały boso po łące, kucaly na resztkach muru lub kładły się na trawie, by na boku sturlać się w dół zbocza, bo tak cudownie kręciło się przy tym w głowie. Poniżej wzniesienia, kilka rodzin urządziło sobie piknik w cieniu drzew. Na trawie rozłożyli obrusy w jaskrawych kolorach, które zastawiono talerzami z herbatnikami i kanapkami oraz bulwiastymi dzbankami i innymi naczyniami do picia.

– A więc to jest Plytenberg – powiedział George, a Charlotte wydawało się, że wychwyciła nutę kpiny w jego głosie. – Co za dziwna konstrukcja, czy jest może sztucznie wzniesiona?

– Tego nikt nie wie na pewno – wyjaśniła Ettje, ocierając rękawem pot z czoła. – W szkole powiedziano nam, że był to kiedyś punkt

obserwacyjny dla mieszkańców twierdzy w Leerort. Możliwe, że kiedyś znajdowała się tam wieża.

– A w komnacie wieży była zamknięta niegdyś księżniczka, znam takie historie. Czy to ta, która opuściła swoje włosy, aby rycerz mógł się po nich wspiąć na górę? – zażartował George, a dziewczyny się roześmiały.

– To zadziałałoby tylko z Charlotte – zachichotała Menna. – Ma warkocz tak gęsty i ciasno spleciony, że cały pułk mógłby się po nim wspinać.

George zwrócił swoje szare oczy na Charlotte. Nie wydawał się mieć nic przeciwko temu, żeby przez chwilę się z nią podroczyć, ale, gdy zauważył zgorzkniały wyraz jej twarzy, szybko odwrócił wzrok.

– Chodźmy na górę – zaproponował. – Widać stamtąd rzekę?

– Pewnie. Jeśli bardzo się postarasz, możesz zobaczyć nawet wybrzeża Anglii!

Charlotte została na dole. Była już tyle razy w tym miejscu z rodziną, że trudno byłoby zliczyć. Tyle razy już pomagała Klarze wspiąć się na wzniesienia i stała z nią na szczycie muru, wypatrując szarych wstęg rzek Ems i Ledy, które łączyły się w Leerort. Sama forteca, która kiedyś znajdowała się na tym cyplu zniknęła, a tylko kilka wałów, zarośniętych krzakami, wystawało znad równiny. Stały tam też teraz małe domy – wieś Leerort wyrosła na dawnych fortyfikacjach.

Nikogo nie obeszło, że Charlotte nie poszła z nimi, więc skorzystała z okazji, by usiąść na trawie z dala od wycieczkowiczów, w cieniu młodego dębu. Z westchnieniem ulgi oparła się plecami o drzewo, podciągnęła kolana i wygładziła spódnicę. Jak miło mieć kilka minut dla siebie, zanim wrócą jej kłopotliwi towarzysze! Zmrużyła oczy, żeby lepiej widzieć pod słońce i spoglądała kpiącym wzrokiem, jak pozostali właśnie pokonywali ostatnie kilka metrów ku wzniesieniu. Paul był już na górze, Menna, wyswobodziwszy się spod ręki Henricha, śmiesznie wdrapywała się na czworakach, a George i Ettje dotarli dopiero do połowy wzgórza, gdzie czekali na Marie, która beztrąsko gawędziła sobie z napotkaną koleżanką. Charlotte zauważyła, że George, choć szczupły, był dość krzepki, a jego ruchy charakteryzowały się sprężystością, jakiej Paul i Henrich mogli mu pozazdrościć.

Ciepło dobrze jej zrobiło, rozluźniło napięcie w ciele i sprawiło, że poczuła się przyjemnie śpiąca. Odchyliła głowę do tyłu, nie przejmując się, że warkocz kunsztownie upięty przez Klarę zaplątał

się w splekaną korę dębu. Z zamkniętymi oczami poddała się dźwiękom lata. Przybliżające się i oddalające głosy wycieczkowiczów, cichy brzęk talerzy i filiżanek, bzyczenie much, szelest dębowych liści tuż nad nią. Z melodii podstawowej co jakiś czas wyłaniały się kolejne dźwięki. Śmiech i dziecięce wrzaski, czasami radosne, a czasami gniewne wołanie, czy w końcu brzęczenie osy, które zdominowało na moment pozostałe odgłosy, by za chwilę ponownie wtopić się w wielogłosową symfonię lata.

Nagle coś ciemnego przesunęło się blisko jej zamkniętych powiek, skrzywiła się i otworzyła oczy. George pomachał jej ręką przed twarzą, żeby sprawdzić, czy śpi.

– Już się powspinałeś? – zapytała, sięgając do tyłu głowy, by uwolnić warkocz, który utkwiał w nierównej powierzchni kory dębu.

– Dlaczego nie poszłaś z nami?

Odwróciła się bokiem i udawała, że zajmuje się włosami. Nie lubiła, kiedy tak uważnie jej się przyglądał.

– A czy ktoś tam za mną tęsknił?

– Ja na przykład.

Odpowiedź stanowił pogardliwy śmiech Charlotte. Dlaczego miałyby tęsknić? Nawet na nią nie spojrzął przez całą drogę. George nie zraził się jednak jej grymasem i bez pytania usiadł obok na trawie.

– Czy Paul opowiedział ci historię wikinga pochowanego na tym wzgórzu? – zapytała kpiąco, po czym dodała: – Pewnego dnia chce go wykopać, bo myśli, że w jego grobie znajdzie dużo złotych łańcuszków i amuletów.

– Tak, mówił o tym. Jednak Marie powiedziała, że ten skarb jest pod opieką małych istot, nazywanych „Erdmantjami”^[4].

– Możliwe. W Leer można spotkać wiele dziwnych stworzeń.

George zachichotał i położył się na trawie. Zrelaksowany, zmrużył oczy, kierując je w stronę jasnego nieba i zaczął obserwować parę mew krążących nad jego głową. Charlotte natomiast walczyła z nieznanymi jej dotąd odczuciami. Chciała mu powiedzieć, że jego poglądy zrobiły na niej wrażenie, że się z nim zgadza, ale nagle przestraszyła się, że może go to nie obchodzić. Kimże ona była? Piętnastolatką niemającą w niczym większego doświadczenia, niezbyt ładną i na domiar złego przemądrzałą, jak mawiała babcia. Oczywiście lepiej było trzymać buzię na kłódkę, inaczej pewnie zaczęłyby się z niej śmiać.

– A gdzie są pozostali? Dlaczego przyszedłeś tutaj sam? – zapytała.

– Wpierw przedstawili mnie sporej grupie znajomych, a teraz siedzą na trawie z sąsiadką, częstującą ich lemoniadą.

Uśmiechnął się z wyrazem zmęczenia na twarzy i nagle dobrze go zrozumiała. Odkąd był w Niemczech, oprowadzano go, przedstawiano najróżniejszym ludziom jako syna zacnej rodziny, nieustannie go zabawiano, pokazywano się przed nim od najlepszej strony, a córki na wydaniu zastawiały mu drogę, gdziekolwiek by się pojawił. Prawdopodobnie był całkiem zadowolony, że został choć na chwilę sam.

– Czy to prawda, że twoja matka była Hinduską? – Charlotte nienawidziła tego pytania, które było jej zadawane tak często.

Z jego ust brzmiało ono jednakże nieco inaczej, nie był żadny sensacji jak większość ludzi, wydawał się po prostu zainteresowany.

– Nie. Moja babcia była Hinduską – odpowiedziała zwięźle.

Milczał przez chwilę, a kiedy znów się odezwał, unikał patrzenia na nią, zamiast tego zdawał się rozmawiać z mewami, które latały nad nimi po niebie.

– Widziałem oczy takie jak twoje w Londynie. Przebywa tam sporo osób z różnych krajów, w tym także z Indii, ale rzadko spotyka się ten złoty blask w oczach, jak u ciebie.

Złoty blask? Co za bzdury opowiadał! Miała żółte oczy jak kot, czarownica. Brzydkie ślepie, mogące jedynie przestraszyć.

– Jesteś piękna i tajemnicza – kontynuował. – Jak ten kamień szlachetny, który wydaje się brązowy, ale w słońcu niespodziewanie zaczyna się mienić na złoto. Jak on się nazywa po niemiecku, nie pamiętam...

– Tygrysie oko!

Wykrzywił twarz w grymasie zawstydzenia i dopiero kiedy Charlotte zaczęła chichotać, podniósł głowę, z ulgą zauważył jej wesołość i sam się roześmiał.

– Bełkoczę, prawda?

– Trochę.

– Nie chciałem cię urazić, Charlotte. Wiesz, czasami jestem niepoprawnym marzycielem.

– Tak właśnie brzmisz.

Usiadł gwałtownie, przeczesał obiema rękami włosy i posłał jej figlarne spojrzenie z ukosa.

– Tak, marzycielem – odezwał się ponownie. – Jako dziecko słyszałem, jak mój ojciec opowiadał o Indiach i wyobrażałem sobie orientalne pałace, indyjskich maharadzów w haftowanych złotem

turbanach i białe słońce. Później pochłonęły mnie wszelkiego rodzaju książki i mapy, a jako student przemierzałem te części Londynu, gdzie mieszkali Hindusi, Afrykanie i Arabowie.

Była zdumiona, ale jednocześnie poczuła coś w rodzaju zazdrości. Szwendął się, gdzie tylko chciał, podążał za swoją ciekawością, obserwował dziwnych ludzi i pociągające go miejsca. Jakże łatwo było mężczyźnie odwiedzać krainy, będące całkowicie niedostępne dla kobiet z „porządnych” środowisk!

– Nawet sobie nie wyobrażasz, Charlotte, jak ponuro może być w Londynie, kiedy mgła nie znika przez całe tygodnie. Ulice i budynki rozplývają się w brudnawej brei, światła stają się niewyraźnymi plamami, a melancholia przykrywa ludzi ciemnymi, wilgotnymi skrzydłami...

– Mogę to sobie wyobrazić – wtrąciła cicho.

Wymienili szybkie spojrzenia. W tym momencie pojawił się między nimi swego rodzaju przeblýsk głębszego porozumienia, a on poczuł się zachęcony do kontynuowania rozmowy. Mówiąc, skręcał w palcach źdźbła trawy i patrzył ponad nią, na miasto, które było teraz skąpane w południowym słońcu.

– Moi rodzice oczekują, że przejmę praktykę lekarską ojca w Londynie. W zasadzie nie mam nic przeciwko temu, lubię pracę lekarza, uważam, że to właściwe i sensowne zajęcie. A jednak wiem, że najpierw chciałbym podążać za marzeniami. Jeśli tego nie zrobię, będę żałować do końca życia.

– Podążać za marzeniami? A co to właściwie znaczy?

– Zamierzam wyjechać z Anglii.

Charlotte spojrzała na niego z podziwem. Wola rodziców czy dziadków była żelaznym prawem, tak jej wpajano. Odrzucając ten nakaz i realizując własne marzenia, dopuściłaby się ciężkiego grzechu, jakim była arogancja. Przynajmniej tak postrzegali to jej dziadkowie. A jednak dokładnie to chciał zrobić George. Była pełna podziwu dla jego odwagi.

– Dokąd pojedziesz?

Uśmiechnął się, a ekscytacja widoczna w jego szarych oczach ją oczarowała.

– Może to zabrzmieć jak szaleństwo, ale odczuwam wielką tęsknotę za pustynią – powiedział cicho, jakby zdradzał jej swój wielki sekret. – Przeczytałem wiele książek i raportów i nie mogę pozbyć się tych obrazów z głowy. Chcę zobaczyć czyste gwiazdy na czarnym nocnym niebie nad Saharą. Przejechać się na kołyszącym grzbiecie

wielbłąda przez wydmy łączące się ze sobą jak czerwone, zamrażnięte morza. Chcę iść samotnie w rozpalonym słońcu, pośród dziwnych, czarnych skał i napawać się nieskończone rozległym, cichym krajobrazem, rozciągającym się wokół, zaskakującym, pełnym śmiertelnych niebezpieczeństw, a jednocześnie stanowiącym zwierciadło mnie samego... – Przerwał i przesunął dłonią po twarzy, jakby chciał odpędzić myśli. Potem kontynuował: – Mówię tak o tym, a ty prawdopodobnie myślisz, że to wszystko jest dość banalne.

– Nie – mruknęła. – Ty... potrafisz to wszystko tak wspaniale opisać. Mogę to sobie wyobrazić, jakbym tam była.

Poczuła wtedy, że coś w niej pękło, jakiś wewnętrzny mur. Po raz pierwszy w życiu spotkała kogoś, kto czuł to samo co ona. Z wahaniem zaczęła opowiadać o swoich fantazjach, o chmurach, wraz z którymi chciała podróżować, o odległych krainach, pojawiających się w jej głowie, pełnych kolorów i odcieni, przyciągających ciepłem i życiem.

– Kiedy zamknę oczy, widzę niebieskozielone fale wdzierające się na plażę, gdzie tworzą w spienione dywany, które łaskoczą stopy, gdy idzie się po piasku. Widzę wysokie, postrzępione skały, porośnięte dziwnymi roślinami, a nad nimi niebo, czyste, ciemnoniebieskie i tak głębokie, że wydaje się nie mieć końca...

Nie, nie wiedziała, dlaczego miewa akurat takie sny. W czasopiśmie kantora Pfeiffera pojawiały się fotografie, czasem także kolorowe rysunki, ale żadne z nich nie miały takiej siły oddziaływania jak jej fantazje.

– Są tak wyraźne, że często wydaje mi się, że muszę po prostu rozwinąć skrzydła, aby dostać się w tamte miejsca. Ale nagle zdaję sobie sprawę, że nie mam żadnych skrzydeł, a czasami, że nie mam nawet nóg...

Jej serce waliło jak oszalone, oddech stał się nierówny i nie była w stanie kontynuować opowieści. Czowała, jakby wydobył się z niej rwący potok, blokowany od dawna, którego siły sama się przeraziła. Jednocześnie jednak czowała, że jej słowa zabrzmiały strasznie głupio, wręcz naiwnie i nie oddawały nawet tego, co w głębi duszy czowała. Spojrzała na George'a, prosząc o pomoc i poczuła ulgę, widząc, jaki jest poważny.

– Wiedziałem – powiedział. – Kiedy pierwszy raz cię ujrzałem, od razu wiedziałem, że to też jest w tobie. Ale nie miałem pojęcia, jak bardzo cię to zadręcza, Charlotte.

Pochylił się, by delikatnie położyć dłoń na jej ramieniu. Jego dotyk był delikatny i kojący, a szare oczy wyrażały troskę.

– Wiesz co? Kiedy już będę za granicą i znajdę tam swoje miejsce, to...

– George? – zawołał wesoly głos. – Hej, George! Gdzie się schowałeś?

Podniósł głowę, nie kończąc zdania i spojrzał na Marie, biegnącą w ich stronę przez łąkę. Nagle cała powaga zniknęła z jego twarzy, nieskrępowany, czarujący uśmiech angielskiego studenta znowu pojawił się na ustach, a oczy były jaśniejsze niż kiedykolwiek, gdy teraz patrzył na Marie.

– Och, mój biedaku! – westchnęła teatralnie. – Naprawdę jesteśmy okropnymi gospodarzami! Dobrze się bawimy i nawet nie zauważamy, kiedy tracimy z oczu naszego gościa. Mam nadzieję, że nam wybaczysz, George!

– Będę musiał to przemyśleć, panienko Marie.

Zachichotała, a potem wspomniała, że jest już wpół do czwartej, powinni myśleć o powrocie do domu. Babcia bardzo surowo przestrzegała pór posiłków, kawa z pewnością była już zaparzona, a ciasto pokrojone.

W drodze powrotnej George nie przejmował się już Charlotte. Zamiast tego żartował z Ettje i Menną, z zapalem dyskutował z Henrichem o studiach teologicznych, a w końcu zaproponował nawet mały wyścig między młodymi mężczyznami, w którym trzeba było pokonać dwa płoty i rów.

– Co za dziecinada! – powiedziała Marie i się uśmiechnęła.

George wygrał bieg z przeszkodami, dobiegając tuż przed Paulem, Henrich zajął ostatnie miejsce, ale mu to nie przeszkadzało, nie miał w tym względzie jakichś większych ambicji. Za to Paul rozdarł sobie rękaw marynarki, kiedy przeskakiwał przez drewnianą bramę i jak mogli się tego spodziewać, ciocia Fanny będzie z tego powodu wściekła, zwłaszcza że było to miejsce bardzo trudne do zszycia. Charlotte oglądała wyścig z bijącym sercem i gorąco życzyła George'owi zwycięstwa. Co chciał jej powiedzieć, zanim dołączyła do nich Marie? Wydawało się jej, że to coś niezwykle ważnego, coś, co mogło zmienić całe jej życie. Ale nie miała odwagi go o to zapytać. Nie wtedy, kiedy byli z innymi, a on miał tę radosną minę, która tak całkowicie ukrywała drugiego George'a, tego, który rozumiał i potrafił wczuć się w jej tęsknoty.

Picie kawy w ogrodzie wydawało jej się wymuszone i sztywne, tylko liczne osy rojące się wokół ciast i ciastek, i doprowadzające ciotki do rozpacz, ożywiały tę nużącą ceremonię. Dlaczego napychano swoich gości do syta, ciągle prosząc ich, żeby wzięli kolejny kawałek ciasta i jeszcze kolejny kawałek? Oszczędności robiono przez cały rok, czasem od kolacji wstawało się wciąż głodnym, ale w święta i gdy odwiedzali ich goście, trzeba było jeść aż do przesytu.

George siedział teraz obok dziadka. Charlotte nie słyszała, o czym ta dwójka rozmawiała, ale czasami, bardzo rzadko, jego szare oczy wędrowały ku niej, zatrzymywały się przez krótką chwilę, a potem wydawało jej się, że widzi na jego twarzy uśmiech zrozumienia. Tylko tyle, ale już samo to było dla niej oszałamiające i sprawiało, że dziewczyny policzki płonęły.

Potem, kiedy babcia w końcu dała pozwolenie, do salonu wpadli kuzyni i kuzynki. Bibeloty i lampy, wazony i wszelkiego rodzaju drobne przedmioty wyniesiono w bezpieczne miejsce, meble porozsuwano, komodę postawiono na sofie, fortepian przesunięto pod okno. Instrukcje zaniepokojonych ciotek i entuzjastyczne okrzyki młodzieży mieszały się z tupotem stóp i ogólnym harmidrem. Ciocia Fanny uratowała swój trójnożny stół do szycia przed nadchodzącym zniszczeniem, a Menna zgubiła srebrną zawieszkę, znikającą w szczelinie między deskami podłogi. Po nieco dłuższej chwili, wszystko było wreszcie gotowe i los Charlotte na ten wieczór został przypieczętowany.

Było gorzej, niż się obawiała. Nie mogła tak po prostu brzdąkać, nie, musiała czekać, aż George wyjaśni kroki taneczne, które potem trzeba było ćwiczyć, a ostatecznie chcieli też dyktować jej tempo, w jakim miała grać.

- Nie tak szybko, bo się pogubię!
- Nie tak głośno!
- Zatrzymaj się. Zrobimy to jeszcze raz!

Muzyka była żywiołowa, ale jednocześnie powierzchowna i banalna, więc Charlotte wkrótce zaczęła wymyślać własne partie pośrednie, włączając je do muzyki i ponownie wracać do nut. Klara, która nie umiała tańczyć, przesunęła krzesło obok Charlotte, żeby przewracać za nią strony, ale wkrótce zupełnie się pogubiła w zapisie nutowym i w geście bezradności opuściła rękę.

- Co teraz grasz? W którym jesteś miejscu?
- To przecież nieważne! – warknęła Charlotte.

Dość szybko okazało się, że nie pozostaną jedynie we własnym kręgu. Wkrótce pojawili się sąsiedzi, przyjaciółki Ettje, dwie gimnazjalistki, spacerujące wieczorną porą, a także zawsze naprzykrzający się Peter Hansen. Charlotte była szczęśliwa, że siedzi tyłem. Co działo się za nią mogła jedynie wnioskować z wszechobecnego głośnego gadania, przerywanego co jakiś czas śmiechem. Od czasu do czasu słychać było narzekanie babci, martwiącej się, że hałas może przeszkadzać sąsiadom. Głos George'a był łatwy do wyłowienia, nawet w tym całym zamieszaniu. Dużo mówił, dawał instrukcje, chwalił i zachęcał, często się śmiał, ale czasami jego głos stawał się dziwnie miękki, a Charlotte mrużyła wtedy oczy z bólu. Raz poczuła jego dłoń na ramieniu i straciła rytm, gdy usłyszała szept tuż przy uchu.

– Grasz wspaniale, mała indyjska księżniczko o tygrysiach oczach...

Nie było sposobu, żeby zostać z nim sam na sam i zadać dręczące ją pytanie. Kiedy babcia w końcu zakończyła zabawę i w ten sposób uwolniła Charlotte od harówki, meble musiały zostać przesunięte z powrotem i wszystko miało wrócić na swoje pierwotne miejsce.

Powóz już czekał przed domem, bo choć było jeszcze jasno, ciocia Edine chciała już wracać do Aurich. Sama jazda zajmowała bowiem nawet dwie godziny i nie zostałyby to dobrze odebrane, gdyby rodzina pastora nie wróciła do domu przed północą. Irytujący Peter Hansen zepsuł Charlotte całe pożegnanie. Cekał bowiem, żeby z nią porozmawiać i powiedzieć o nadchodzącej rocznicy swoich rodziców, mającej się odbyć w najbliższą sobotę, na którą sąsiedzi również zostali zaproszeni. Z tej okazji wycięto już kolorowe papierowe lampiony i zamówiono u Ohlsena prawdziwe wino musujące.

George z kolei powiedział do niej tylko kilka nieistotnych słów, których później nie mogła sobie przypomnieć. Był zarumieniony i w dobrym humorze, usiadł w powozie między Marie i Menną, a kiedy odwrócił się, by ponownie pomachać, jego pożegnanie nie było skierowane do konkretnej osoby, ale do wszystkich, którzy stali właśnie przed domem.

Trzy tygodnie później przyszedł list, w którym ciocia Edine poinformowała krewnych, że George Johanssen zaręczył się z jej najstarszą córką Marie. Ciocia Fanny opadła na fotel i wydała dziwne odgłosy, brzmiące najpierw jak śmiech, które za chwilę przerodziły się w szlochanie. Kiedy zaczęła dyszeć i obawiali się, że za chwilę się udusi, Ettje i Charlotte pobiegły do kuchni po zimną wodę i sole

trzeźwiące. Jednak wszystkie te wysiłki na niewiele się zdały, dopiero kiedy babcia kazała jej natychmiast przerwać histerię, nieszczęśliwa Fanny się uspokoiła.

– Taka podstępna osoba... A udaje taką szczerą, jakby nic nie knuła za plecami...

– Dlaczego tak się denerwujesz? Marie jest cztery lata starsza od Ettje – najwyższy czas, żeby wyszła za mąż.

– Marie jest już zaręczona!

Dziadek zgodził się z córką i również uznał tę całą sytuację za wątpliwą, w końcu zaręczyny oznaczały zobowiązanie zaciągnięte za zgodą rodziców i rodzin, którego nie można było tak po prostu zignorować. Młody asesor nie dał Marie powodu do zerwania zaręczyn, zachowywał się przykładowie, był gorliwy w swoim zawodzie, a nawet kupił pierścionek. Jak ma się teraz pokazywać publicznie?

– Zaręczyny to czas próby – powiedziała babcia, kładąc nacisk na każde słowo.

– Trzeba zatem sprawdzić, czy da się na zawsze związać i czy ktoś lepszy nie może się przyplątać^[5] – cytował z wyraźną kpina gimnazjalista Paul.

– Friedrich Schiller to zbuntowany i niespokojny duch, który młodym ludziom tylko mąci w głowach – odpowiedział ze złością dziadek. – Poza tym cytat jest zniekształcony i całkowicie błędny!

Paul oczywiście o tym wiedział, chciał być zabawny, co niestety nie za dobrze mu wyszło. Jednak babcia, która nie miała żadnego wykształcenia literackiego i była bardziej praktyczna, uważała, że Paul się nie mylił.

– Jeśli chodzi o małżeństwo, zawsze trzeba myśleć o przyszłości. A George zdecydowanie lepiej pasuje do Marie.

Nie można było temu zaprzeczyć. Dla babci zresztą nie miało żadnego znaczenia, czy George wziął sobie za żonę Marie, czy Ettje – najważniejsze było to, że wżenił się w rodzinę. Sprawa została więc załatwiona, nawet mimo lekkich zastrzeżeń dziadka. Oznaczało to, że ciocia Fanny musiała pogodzić się ze swoimi zawiedzionymi nadziejami.

Ettje natomiast przyjęła tę wiadomość z niesłychanym spokojem. Dopiero wieczorem w łóżku, gdy Klara pocieszała ją, że George i tak by do niej nie pasował, wylał się z niej żal i syknęła ze złością na siostrę:

– Sama lepiej do siebie to powiedz, gdy się zakochasz! Ty ze swoją bezwładną nogą!

– Zostaw ją – powiedziała Klara, starając się uspokoić Charlotte, która już chciała zaatakować Ettje. – Ona nie miała tego na myśli.

Kiedy ciocia Fanny kładła się do łóżka, zamknęła okno, bo podobno chłodne nocne powietrze szkodzi płucom. W rzeczywistości była przerażona włamywaczami i innymi męskimi postaciami, które, jak sądziła, czaiły się na zewnątrz w ciemności, by zasadzić się na niczego niepodejrzewające śpiące kobiety. W sypialni zrobiło się duszno, ciężkie kołdry zastąpiono prześcieradłami, ale wciąż bezwzględnie obowiązywały długie koszule nocne z wysokim kołnierzem, więc kuzynki leżały spocone na poduszkach. Mimo upału i wewnętrznej złości, Ettje wkrótce zasnęła, a Klara zamknęła oczy i się nie ruszała. Charlotte wiedziała jednak, że kuzynka wciąż nie śpi.

– Smutno ci? – wyszeptała nagle Klara.

– Jest tak gorąco, że nie mogę spać.

Po raz pierwszy odkąd zamieszkała w domu dziadków, Charlotte zapragnęła własnego łóżka, bo wtedy nie musiałaby okłamywać kuzynki. Klara wyczuwała, kiedy jest nieszczęśliwa, dostrzegała to w jej ruchach, w oddechu, nawet w rytmie bicia serca. Charlotte opowiedziała kuzynce o swojej rozmowie z George'em, ale mimo ich bliskiej zażyłości była bardzo powściągliwa, nadmieniając jedynie, że George kocha dalekie kraje i prawdopodobnie chciałby kiedyś podróżować za granicę. Nie wspomniała ani słowem o pękniętej tamie uczuć, o jej szczęściu z powodu tego, że znalazła podobnie do niej myślącą i czującą osobę. Zachowała też dla siebie decydujące zdanie, którego George nie dokończył. Nie chciała być pocieszana. Ból, który miażdżył jej duszę, należał tylko do niej, nikt nie powinien o tym wiedzieć, nawet Klara. Przecież nie było jakiegokolwiek racjonalnego powodu dla jej żalu, dlaczego George nie miałby poślubić Marie? Była piękna, o uroczym uśmiechu i idealnej sylwetce, zwinna i wesółą – taka, jaka powinna być młoda dziewczyna, by zainteresować mężczyznę w sile wieku i sprawić, aby się w niej zakochał. Marie odrzuciła wielu kandydatów, dopiero na ponaglącą prośbę rodziców zaręczyła się z młodym asesorem z Aurich. Na szczęście było na to za późno, spotkała miłość swojego życia. Charlotte aż za dobrze rozumiała Marie, postąpiłaby tak samo, gdyby była na jej miejscu.

Ale skąd w takim razie wziął się ten ból, który ciążył jej tak mocno na sercu? Czy chodziło o tę rozmowę, tak wiele znaczącą dla niej, która dla George'a okazała się tylko nieważną pogawędką? Tak mało znaczącą i marginalną, że aż tak szybko o niej zapomniał? Tak, to miało związek właśnie z tą sytuacją. Otworzyła przed nim swoje serce oraz ujawniła myśli i uczucia, o których wiedziała do tej pory tylko Klara i nikt inny. To, co brała za szczerą troskę, swego rodzaju porozumienie dusz, było niczym innym niż powierzchowną gadaniną i zostało zupełnie zapomniane, kiedy pojawiła się Marie – ładna, uwodzicielska, z zalotnym uśmiechem na twarzy. Prawdopodobnie tylko się z niej nabijał, mówiąc o niej „mała indyjska księżniczka o tygrysiach oczach”. Ciocia Fanny nagle zakaszła, po czym usiadła na łóżku, dysząc i uderzając komara, który ją zaatakował. Charlotte nie poruszyła się. Nagle poczuła współczucie dla swojej ciotki, której nadzieje również zostały brutalnie rozwiane. Czy George też przypadkiem nie żartował sobie z Ettje, dając jej do zrozumienia, że ją lubi? Tak, pewnie był oszustem, oszukał ich wszystkich co do swoich prawdziwych intencji. Trzeba więc tylko mieć nadzieję, że przynajmniej Marie traktował poważnie i nie myślał o zerwaniu zaręczyn po kilku miesiącach – dla kogoś innego.

Lato ustąpiło miejsca jesieni. Chłodne wiatry szarpały wędnące liście, ulewy tworzyły szerokie rowy i śliskie kałuże na ulicach. Gdy słońce wychodziło zza chmur, ostatnie liście mieniły się ochrą i ciemną zielenią, a niektóre ceglane domy jarzyły się w odcieniu ciepłej czerwieni. Bardzo szybko jednakże mgła uniosła się znowu znad rzeki i zakrywała szczelnie łąki, pola i wreszcie otaczała całe miasto. Potem mgliste chmury przykrywały szarym kocem również domy, które pod tym ciężarem wydawały się niższe i mroczniejsze. A kiedy człowiek przedzierał się przez ulice w wietrze i deszczu, czarownice ulepione z mgły z przyjemnością tuliły się do niego, owijając w swoje mokre peleryny i szeptały mu do ucha smutne historie.

Charlotte знаła niegodziwość mglistych duchów i uzbroiła się przeciwko ich mocy. Każdą minutę, gdy tylko nie była zajęta szkołą ani pracą domową, spędzała przy fortepianie, z uporem ćwicząc nowe utwory i upajając się tymi momentami, kiedy jej muzyka zbliżała się do zamysłu, jaki kompozytor chciał przekazać. Co jakiś czas dochodziło do awantur, kiedy babcia próbowała jej zabronić gry, bo Charlotte nie chciała poddać się bez walki, w przeciwieństwie do pozostałych domowników argumentowała, błagała, a nawet potrafiła

stać się opryskliwa i krnąbrna. Ostatnie słowo i tak jednakże zawsze należało do babci, bo nie znosiła takich „humorów” i kazała wnuczce zajmować się pożytecznymi rzeczami. Charlotte powinna skończyć szkołę wiosną przyszłego roku, a ponieważ miała pokaźny posag, była nadzieja na rychłe zamążpójście. Do tego chciała ją przygotować babcia. Gra na pianinie mogła być miłą rozrywką, która, kto wie, być może sprawi radość jej przyszłemu mężowi, ale przede wszystkim dziewczyna musiała się nauczyć mądrego prowadzenia domu, do czego Charlotte, trzeba przyznać, miała dość wyraźne zdolności. Była mądra i zręczna, z łatwością nauczyła się gotować, nikt nie potrafił tak ładnie udekorować stołu, a robiąc zakupy na targu, wciąż negocjowała najlepsze ceny. Babcia mogłaby być z niej dumna, ponieważ Charlotte zdawała się do niej podobna – gdyby tylko nie była taka samowolna. Nic nie uczyniłoby babci szczęśliwszą, jak zakończenie tych bezsensownych lekcji gry na fortepianie, ale kantor Pfeiffer nie brał już nawet za nie pieniędzy. Ćwiczył z Charlotte z czystego entuzjazmu do muzyki, a dziadek był zdania, że starego kantora nie należy pozbawiać tej radości.

Charlotte natomiast cieszyła się z czasopism, które kantor prenumerował dla swojej siostry, trzymany przez niego na półkach, posortowane chronologicznie według lat. Fascynowały ją przede wszystkim relacje z podróży i fotografie przedstawiające mieszkańców egzotycznych krajów. Czarnoskórzy z ostrymi zębami i dziwnymi tatuażami, wojownicy Tuaregów, którzy zasłaniaли twarze szalami, tak że widać było tylko ciemne, wyraziste oczy, a także Chińczycy w krótkich fartuchach czy kobiety z Mórzu Południowych przyozdobione kwiatami, które pokazywały nagie piersi, co wprawiało Charlotte w głębokie zakłopotanie. Pochłaniała też inne artykuły, relacje z koncertów, imprez towarzyskich, wizyt państwowych koronowanych głów, a przede wszystkim powieści serialowe. Zawsze chodziło w nich o biedną, prostą dziewczynę, która zakochała się w pociągającym mężczyźnie, wysokim urzędniku państwowym, właścicielu fabryki czy szlachcicu. Oczywiście było zupełnie jasne, jak sprawy się potoczą, ale Charlotte pochłaniała opowieść za opowieścią, obawiając się o swoją bohaterkę, odczuwając głęboko ból jej serca, aż w końcu para była szczęśliwie zjednoczona pomimo licznych przeszkód i intryg, stojących na ich drodze. Takie wpisywały się w tandetną literaturę, która skłaniała młodych ludzi do oddawania się rozpuście i niemoralności, wiedziała to od swoich dziadków, w których domu co najwyżej czytano gazetę

kościelną, ale Charlotte wcale to nie przeszkadzało. Klara również korzystała z tych pasjonujących historii, które Charlotte wieczorami opowiadała swojej ulubionej kuzynce w łóżku. Misternie malowała słowami najpiękniejsze fragmenty, a czasem zmieniała fabułę, gdy uważała, że powinna potoczyć się inaczej.

Na początku listopada ciocia Edine i jej mąż Peter zapowiedzieli wizytę, towarzyszyć im mieli także Menna i narzeczeni. George w międzyczasie zdał egzaminy końcowe w Anglii z doskonałymi wynikami i w związku z tym wyznaczono datę ślubu na nadchodzącą wiosnę, tuż przed Wielkanocą. Uroczystość miała się odbyć w Emden, a sam pastor Peter Kramer chciał udzielić ślubu swojej córce i jej narzeczonemu oraz pobłogosławić im na nową drogę życia. Z tej wizyty zdawali się cieszyć jedynie dziadkowie. Paul był rozczarowany, że Henrich, który musiał uczyć się do matury, nie przyjedzie z nimi, a ciocia Fanny i tak od lata pozostawała w konflikcie ze swoją siostrą Edine.

– A więc przed Wielkanocą – powiedziała kpiąco. – Trzeba kuć żelazo póki gorące!

Charlotte milczała. Ból, który w związku z osobą George'a całkowicie ją pochłaniał na początku, zmniejszył się, a czasami całkowicie znikał w ciągu ostatnich kilku tygodni, tak że była prawie pewna, że go pokonała. Tym razem wiedziała, jak ma się zachowywać wobec tego młodego mężczyzny, nie dopuści do kolejnej okazji, by ją rozczarował. Po prostu będzie wobec niego zupełnie obojętna, nie zasługiwał na więcej. Ale kiedy zobaczyła George'a wysiadającego z powozu przed domem, nie tak łatwo było jej już dotrzymać tego postanowienia. Jaka była różnica między obrazem w jej pamięci a prawdziwym, żywym George'em, który spojrzeniem szarych oczu, szybkim ruchem ciała, podniesionym głosem, bez żadnego zbędnego wysiłku, w jednej chwili wskrzesił jej ból! Ze sztywnym uśmiechem przyjęła prezent, który przywiózł dla niej z Anglii: małą paczkę zawiniętą w żółtą bibułkę.

– Nie chcesz rozpakować prezentu?

Patrzył na nią z wyczekującym uśmiechem, najwyraźniej przekonany, że bardzo ją uszczęśliwia. Rozdarła papier i znalazła książkę oprawioną w brązowe płótno; na okładce widniał rysunek, który w innych okolicznościach wzbudziłby jej ciekawość. Wysokie budynki w orientalnym stylu, przed nimi kilku mężczyzn w długich szatach i turbanach, sylwetka kobiety owinięta od stóp do głów czarnym sukniem. Po prawej stronie obrazu widniał Arab, który jechał

na wielbłądzie przez coś, co wyglądało na pustynny krajobraz, a wszystko mieniło się złotem, jakby oświetlało je palące słońce.

– Dziękuję. To bardzo miło z twojej strony!

– To dziennik podróży: „Thousand miles up the Nile”^[6] autorstwa Amelii Edwards. Przemierzyła Egipt w 1873 roku i popłynęła w górę Nilu – niezwykła, odważna kobieta...^[7]

– Aha... – powiedziała Charlotte, delektując się rozczarowaniem, jakie wywołała jej oczywista obojętność. Marie roześmiała się głośno, ujrawszy prezent i dokuczała George’owi, dającemu Charlotte angielską książkę. Jak miała ją przeczytać?

Popołudnie dosłownie mignęło przed oczami Charlotte, jakby stała za oknem i obserwowała przez szybę, co się dzieje. Stolik kawowy w salonie, gdzie jak zawsze ludzie siadali blisko siebie i dotykali się łokciami. George i Marie siedzą obok siebie i potajemnie trzymają się za ręce pod obrusem, głupie chichoty Menny i Ettje, Paul rozlewający kawę, poirytowana mina ciotki Fanny, kiedy jej siostra pyta ją, jak się czuje. Najgorsze było przemówienie wujka Petera, który nie mógł przestać wygłaszać kazań, nawet przy stoliku do kawy. Tym razem była to niekończąca się mowa pochwalna o jego przyszłym zięciu, który zdał tak wspaniale egzaminy i po świętach będzie opiekował się pierwszymi pacjentami w gabinecie swojego ojca. Na pewno Panu Bogu zależy przede wszystkim na zbawieniu dusz, ale lekarz, który leczy ludzkie ciało ma niemniej szlachetne zadanie, bo sam Bóg stworzył Adama z grudki ziemi, a więc i ciało ludzkie jest boską pracą... Charlotte cieszyła się, że mogła od czasu do czasu uciec do kuchni, żeby przynieść dodatkowe mleko, czy zrobić komuś kawę lub herbatę. George był bezwstydnie wesoły, tak jak miał w zwyczaju. Pogodził się z Ettje bez wysiłku i nawet lodowata twarz ciotki Fanny rozplynęła się pod wpływem jego żartów. Od czasu do czasu pochylał się nad stołem, żeby powiedzieć parę słów lub zadać pytanie Charlotte, a ona odpowiadała z lakoniczną uprzejmością, unikając jego wzroku. Czy miał może wyrzuty sumienia? Tylko dlaczego? Wszyscy go kochali, został przyjęty na łono rodziny i otoczony powszechną serdecznością.

Gdy wraz z Klarą wróciła z kuchni po zmywaniu naczyń, na stole stały już wina i domowe nalewki, dziadek pogrążony był w teologicznych dyskusjach z zięciem Peterem, a Paul, Menna i Ettje grali w pchełki. George siedział z Marie i cicią Edine, a teraz wstał i pomachał do Charlotte.

– Przyniosłem nuty, Charlotte. Spróbujmy razem kilku utworów na cztery ręce.

Jeśli myślał, że ją uszczęśliwi, to się przeliczył. Teraz wiedziała, że on także potrafi grać na pianinie, co sprytnie trzymał w tajemnicy. Powód był jasny: chciał zatańczyć z Marie, zamiast siedzieć przy pianinie.

– Innym razem – odparła chłodno. Zerwałam paznokiec, a jest to bardzo irytujące podczas gry.

George spojrział na nią w swój własny intensywny i przenikliwy sposób, po czym uśmiech zniknął z jego twarzy, najwyraźniej odczytał właściwe znaczenie tych słów. Jego mina wcale nie zdradzała nieczystego sumienia, raczej wydawał się przygnębiony.

– Jeśli nie, to nie!

Odwrócił się, wzruszając ramionami i ignorował ją przez resztę wizyty. Charlotte poczuła coś w rodzaju triumfu. Pokazała mu, co o nim sądziła, a on najwyraźniej to zauważył. Dopiero wieczorem, kiedy George w płaszczu i kapeluszu stanął na zewnątrz przy powozie, żeby pomóc kobietom wsiąść, poczuła się nieswojo. Teraz wyjeżdżał, najpierw do Emden, potem do rodziców w Anglii, by wrócić dopiero wiosną. Czy była może niesprawiedliwa? W końcu kupił książkę, która miała się jej spodobać. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie podejść do niego szybko i nie powiedzieć mu, że trafił w jej gust. Jednak, gdy postawiła pierwszy krok, on już wsiadł do środka powozu. Nikt nie mógł go winić – padał deszcz i wiał lodowaty wiatr. Woźnica popędzał konie, a chwiejący się powóz wkrótce rozpułynał się w bezkształtnej bryle mroku i mgły, eskortowany przez drżący blask dwóch latarni przymocowanych w przedniej części powozu.

PAŹDZIERNIK 1892



Christian Ohlsen trzymał ręce skrzyżowane za plecami i patrzył przez witrynę sklepową na tłum tłoczący się na Pfefferstrasse. Nieszczerze lubił czas Gallimarktu^[8], chociaż dni targowe zawsze przyciągały wielu ludzi z okolicy. Nawet mieszkańcy z Emden i Aurich przyjeżdżali wówczas do Leer pociągiem. Konkurencja też była jednak w tym czasie znacznie większa: zagraniczni handlarze wynajmowali lokale na całej Pfefferstrasse i oprócz bielizny, butów i wszelkiego rodzaju tkanin oferowali, niestety, także tanią kawę czy herbatę. Jeśli w ogóle, Ohlsen robił wówczas interes jedynie na sprzedaży słodczy lub drobnych przedmiotów, które kupował od indyjskich handlarzy w Hamburgu. Były to amulety, zwierzęce rogi, niewielkie rzeźby z drewna i kości słoniowej, a nawet inkrustowane pudełka, przypominające małe skrzynie ze skarbami. Wszędzie trzeba było jednak uważać, bo targ przyciągał również wielu oszustów i złodziei, którzy z mistrzowską wprawą wsuwali drobne przedmioty do kieszeni marynarki. Pod wieczór, gdy owi poszukiwacze darmowego źródła zarobku szli przez Pfefferstrasse na rynek, gdzie znajdowały się stoiska wystawowe, najrozsądniej było jak najszybciej uprzątnąć stoły wystawione przed sklepem i zamknąć wszystko na dziesięć spustów.

W czasie jarmarku młodzi chłopcy zbierali się i sprawdzali siły we wszelkiego rodzaju grach, częstując swoje wybranki słodyczami z lukrecji i lepкими cukierkami. A co poniektórzy nawet decydowali się na seans z wróżbitą. Ojcowie rodziny pozwalali swojemu potomstwu jeździć na karuzeli i zgrzytając zębami, płacili za wejście do menażerii lub na pokazy „stereoskopu”, w którym można było zobaczyć fotografie natury, rzekomo będące nie do odróżnienia od prawdziwej przyrody.

– Zaciągnij kraty i zamknij! – zawołał Christian do ucznia. – Potem posprzątaj sklep i możesz iść.

Uczeń miał na imię Julius i był najmłodszym synem miejscowego krawca – przystojnym, drobnym chłopaczkiem o blond włosach mieniących się rudawym odcieniem, który wcale nie był tak naiwny, za jakiego miał go Christian. Jego poprzednik wyemigrował do Ameryki wraz z rodzicami i rodzeństwem sześć miesięcy temu – jak wielu ludzi z Leer, którzy nie mogli na miejscu znaleźć gruntu pod nogami.

Grupa młodzieży przechodziła akurat obok sklepu, wśród nich znajdowała się jedna dziewczyna. Byli to synowie wieśniaków z okolicznych wiosek, którzy zapewne od dawna oszczędzali, by móc pozwolić sobie na kilka kieliszków brandy i trochę rozrywki na jarmarku. Niektórzy z pewnością wypili już więcej niż jedną szklankę, wrzeszczeli, ile sił w płucach i wygłupiali się, a dziewczyna była prawdopodobnie prostytutką. Jeszcze gorzej było w nocy, kiedy w karczmach bawiono się na całego, a chociaż patrole miejskie i stróże robili co chwilę nocny obchód, zawsze dochodziło do bójek i różnego rodzaju zniszczeń.

Christian Ohlsen w ciągu ostatnich trzech lat był jedynym właścicielem kolonialnego sklepu Ohlsenów. Nie przejął sklepu z własnej woli, właściwie wolałby przynajmniej przez jakiś czas cieszyć się przyjemnym życiem studenckim w Hamburgu, które sfinansowali mu rodzice w nadziei, że pewnego dnia ujrzą swojego jedynego syna na stanowisku szanowanego prawnika lub na dobrej pozycji państwowej. Nic z tego jednak nie wyszło. Kiedy nagle zmarł ojciec, Christian nie był nawet bliski zdania matury, a co dopiero rozpoczęcia studiów. Wrócił więc do Leer, aby przejąć interes ojca. Zrobił to jednak po swojemu. Christian Ohlsen nie chciał wieść życia takiego, jak jego rodzice, którzy ciągle tylko harowali. Co ojciec miał z tych pieniędzy zgromadzonych w banku? Spędził całe życie między towarami i banknotami, w ciągu dnia stał za ladą, wieczorami siedział nad księgami rachunkowymi, a wszystkie rozmowy w domu krążyły wokół kupna i sprzedaży. Czy krem do twarzy pani Hansen jest w magazynie, a to dlaczego wdowa Bollmann nie przyszła do sklepu po zakupy w ostatnią sobotę lub czy powinni się odważyć, żeby zamówić większą ilość kawy na sprzedaż. Na tydzień przed Bożym Narodzeniem, gdy ruch w sklepie był ogromny, znaleziono kupca Ohlsena leżącego na podłodze w magazynie, lekarz, którego sprowadzono w pośpiechu, nie mógł już pomóc. Ojciec Christiana od lat zmagał się z chorobą serca, ale praca była dla niego najważniejsza i zawsze twierdził, że jest zdrowy. Matka przeżyła

męża zaledwie o dwa miesiące, bowiem na początku lutego zmarła na zapalenie płuc.

Christian z rozmachem zainwestował oszczędności swoich rodziców, kupił sąsiedni dom, wybił ściany i w ten sposób prawie podwoił powierzchnię sklepu wraz z magazynem. Asortyment towarów również znacznie się poszerzył, choć teraz stał się trochę bardziej ostrożny w swoich wyborach, zwłaszcza że zbyt wiele ładnych i niezwykłych rzeczy, zakupionych na fali początkowego entuzjazmu, zbierało kurz lub psuło się na sklepowych półkach. W oczekiwaniu na większy zysk zatrudnił jako sprzedawczynie dwie młode kobiety oraz młodziutkiego czeladnika, który otrzymał tylko niewielkie wynagrodzenie. Christian dobrze wyszkolił te dziewczęta, zawsze były doskonale ubrane i zwracały się do klientów, używając właściwych nazwisk i tytułów.

W międzyczasie czeladnik Julius założył żelazną kratę przed drzwiami sklepu, zabezpieczoną dodatkowo ciężką kłódką. Christian potrząsnął nią jeszcze raz na wszelki wypadek, po czym skinął głową i wziął ze sobą pęk kluczy. Sprawdzał osobiście, czy drzwi do sklepu zostały dobrze zamknięte, tak jak zawsze robił to jego ojciec. Sprzedawczynie sumowały w tym czasie dzienne zarobki przy kasie, pewnie znowu będzie jakaś różnica, co było dla niego irytujące, bo wtedy musiał je wypytywać i upominać. W przeszłości, kiedy to jeszcze ojciec i matka prowadzili sklep, zarobek zawsze zgadzał się co do ostatniego grosza.

– Znowu w kasie jest o trzydzieści pięć fenigów za mało – lamentowała jedna z nich.

– Jak to możliwe?

Dziewczyna przewróciła oczami i westchnęła głęboko, po czym spojrzała na koleżankę, która ponownie przeliczała monety. Oczywiście to była jej wina, nie uważała, dodając do siebie poszczególne kwoty. Koleżanka przyłapała ją na tym trzykrotnie, raz to była kwestia dwóch fenigów, następnym nawet całej marki. Ale nie chciała mówić tego głośno, tylko dawała do zrozumienia, mając nadzieję, że pan Ohlsen sam to zauważy.

– No nie ma tego więcej – stwierdziła ze smutkiem druga sprzedawczyni po tym, jak sprawdziła wszystkie stosy monet. Christian nie miał ochoty zaczynać liczenia od początku. Cyfry i tak nie były jego mocną stroną, nie lubił też prowadzić ksiąg i często się przy tym mylił.

– Zostawmy to na dziś.

Dziewczyny były bardziej niż chętne, aby mu się przypodobać. Często zostawały dłużej, by rozpakować nowe dostawy, lub rozpisać kartki z cenami. Wręcz miało się wrażenie, że są nachalne. Mężczyzna zdawał sobie sprawę z tego, co siedzi w ich głowach. Ohlsen wiedział natomiast, że na pewno nie zaczynałby jakiegokolwiek zażyłej znajomości z żadną ze swoich pracownic, nie wspominając nawet o małżeństwie, zupełnie go to nie interesowało. Starannie więc wybrał tę dwójkę: były one niebieskookimi blondynkami, o pulchnych kształtach. Dwoma typowymi wieśniaczkami, jakich mnóstwo w okolicy – czyli dokładnie takimi kobietami, jakie go jedynie nudziły.

Poinstruował je jeszcze, aby zapełniły półki towarem, później sam chciał zrobić nowe dekoracje w dwóch witrynach sklepowych – tę pracę lubił szczególnie. Głowa starego lwa od dawna leżała w jakiejś skrzyni na strychu, gdzie prawdopodobnie zjadały ją mole, więc kupił inne przyciągające wzrok przedmioty: ząb słonia w złotej oprawie z Indii, różne sztylety z rękojeściami inkrustowanymi srebrem i kamieniem księżycowym, afrykańskie rzeźby z hebanu i kolorowe nakrycie głowy południowoamerykańskiego Indianina wykonane z papuzich piór, kolorowych koralików i błyszczących kamieni. Niestety, musiał usunąć figurkę Buddy wykonaną z zielonego jadeitu z witryny sklepowej, ponieważ nadinspektor Doden zabronił swojej żonie robić zakupy u Ohlsena, jeśli ten niechrześcijański bożek będzie się wdzięczył w sklepie.

Właśnie zdecydował, że ustawi w witrynie hebanowy posąg oraz kieł słonia i już miał iść do magazynu, aby zabrać odpowiednie przedmioty i dekoracje, kiedy jego wzrok przyciągnął ktoś idący ulicą. Czy to była ona? Tak, nie mylił się, tam pośród tłumu spacerowała mała Dirksen ze swoją kuzynką. Jak miała na imię jej towarzyszka? Klara. Szczupła, niczym niewyróżniająca się dziewczyna, rzadko widywano ją na mieście, bo chodzenie sprawiało jej kłopot, biedaczka od urodzenia miała kulawą nogę. Kobiety poruszały się dość wolno, często napotykając przeszkodę w postaci entuzjastycznie przemierzającego się tłumu.

Christian podszedł bliżej do okna i uważnie się im przyglądał. Mała Dirksen od lat nie opuszczała jego myśli i to było niemalże komiczne, jak silną obsesję miał na jej punkcie. Christian zbliżał się do trzydziestki i był w mieście niezwykle pożądanym kawalerem, ciągle go gdzieś zapraszano, rozmawiano z nim w niedziele po kościele, a wiele matek przychodziło na zakupy ze swoimi córkami, mając nadzieję na małżeństwo. Już dawno mógł się zdecydować na

zawarcie opłacalnego związku, ale nie szukał małżeństwa dla pieniędzy, pragnął czegoś zupełnie innego. Kogoś niezwykłego. Dziewczyny takiej jak Charlotte Dirksen.

Od tamtego dnia ponad dziesięć lat temu rzadko pojawiała się w sklepie, zwykle z babcią, która była mroczna jak noc i kupowała tylko najtańszą kawę. Czasami bywała też z ciotką, gadatliwym strachem na wróble, z którym mimo wszystko gawędził z ożywieniem, żeby tylko zatrzymać Charlotte w sklepie trochę dłużej. Rzadko się odzywała, ale patrzyła na wszystko z wielkim zainteresowaniem, wahała przyprawy, wdychała zapach drogich mydeł, dotykała tej czy innej rzeźby, oglądała pudełka w jaskrawych kolorach, ustawione na półkach. Oddałby połowę swojego majątku za jej przyjazne spojrzenie lub wymianę kilku bezsensownych zdań, ale Charlotte Dirksen była niedostępna. Komplementy przyjmowała z szyderstwem, a wiele mówiący uśmiech potrafił sprawić, że odwracała się na pięcie i odchodziła bez słowa. Nie był jedynym, który tego doświadczył, inni mężczyźni, którzy zabiegali o jej piękny posag, napotykali ten sam chłód.

Cały czas spoglądał na te dwie idące ulicą dziewczyny. Im bardziej się oddalały, tym częściej zasłaniał je inni bywalcy jarmarku i musiał coraz mocniej wyciągać szyję, żeby widzieć przynajmniej jej słomkowy kapelusz przewiązaną białą wstążką. Charlotte Dirksen była wysoka, wyższa od swojej kuzynki o pół głowy, ale również bardzo szczupła, wręcz można by powiedzieć zbyt smukła. Jako koneser kobiet, którym był – w czasach studenckich nabrał jednak nieco więcej ogłady – mógł z dużym prawdopodobieństwem ocenić, że pod marynarką i sukienką kryją się delikatne, ale właśnie dlatego tak bardzo kuszące, kobiece kształty.

Egzotyczna uroda była tym, co zawsze fascynowało go w Charlotte Dirksen. Lekko opalony odcień skóry latem. Gęste, kruczoczarne włosy, które tak bardzo chciałby rozpuścić z upięcia. Oszalaniający bursztynowy kolor oczu. Była niczym drogocenny kamień, luksusowy towar, ta mała Dirksen, nie spotyka się kogoś takiego na co dzień, zwłaszcza nie tu, na równinie, w szarym miasteczku takim jak Leer. Co ona mogła robić przy tych witrynach wystawowych? Czy chciała pokazać kuzynce menażerię z rzadkimi zwierzętami? A może miała jakiś inny cel? Spotkać kogoś, kto zdołałby przebić twardą zbroję, którą zawsze zakładała, żeby się chronić? Jarmark świetnie się do tego nadawał, w tym tłumie, gdzie byli przecież sami nieznajomi, rozmowa z młodym mężczyzną byłaby ledwie zauważalna. Christian

Ohlsen tak naprawdę nie wierzył, że taki był powód jej wizyty na jarmarku, ale poczuł zazdrość i pogorszył mu się nastrój.

– Skończyłyśmy, panie Ohlsen – powiedziała jedna z dziewcząt, stojących za nim. – Jest jeszcze wcześniej, mogłybyśmy rozpakować nową dostawę z Bremy...

– To teraz nieważne – odparł nieuprzejmie. – Możecie już iść. Jestem pewien, że też będziecie chciały rzucić okiem na jarmark.

Podziękowały mu. Z rozbawieniem zauważył, że wyglądały na rozczarowane. Lubił, gdy sprawiały takie wrażenie, ponieważ dodawało mu to pewności siebie, którą zawsze tracił na myśl o Charlotte Dirksen. Niech to szlag, w końcu był kimś, kobiety go pożyły, a nawet chciały u niego pracować za darmo. Dlaczego nie mógł zaimponować małej Dirksen? Może była księżniczką? Córką burmistrza? Komornika? Jej dziadek był pastorem, a ona sama od wielu lat sierotą. Charlotte Dirksen nie miała żadnego powodu, by zachowywać się tak wyniośle. Żadnego, poza faktem, że była egzotycznym skarbem, którego tak bardzo pragnął Christian Ohlsen. Mógł przecież odmalować i udekorować te witryny sklepowe jutro lub w poniedziałek, teraz i tak nie miał do tego głowy. Wyszedł szybkim krokiem na sklepowy korytarz, szybko sprawdził, czy któregoś z pracowników nie ma wciąż w magazynie, zmienił kamizelkę i marynarkę, wybrał kolorowy krawat i zawiązał go misternie. Zatrzymał się przed lustrem, włożył kapelusz, przesunął go do przodu, a potem jednak do tyłu, przygładził włosy na skroniach i zwilżonym palcem przesunął po brwiach.

Wyszedł tylnym wyjściem, z którego musieli korzystać również pracownicy, i przeszedł między domami oraz ogródkami na rynek, bo nie miał ochoty przeciskać się przez ruchliwą Pfefferstrasse. Z wysiłkiem zmusił się do powolnego chodzenia – na pewno jeszcze stała gdzieś przy budkach. Nie mogła opuścić jarmarku tak szybko, zwłaszcza ze swoją kuzynką, która miała problemy z chodzeniem. Hałas był wręcz ogłuszający, nie tylko bywalcy targowiska krzyczeli i głośno rozmawiali, sprzedawcy również starali się zwrócić na siebie uwagę donośnym nawoływaniem i zachwalaniem produktów. Zamożniejsi z nich wznosili namioty lub fantazyjne, kolorowe budki przypominające orientalne pałace i przyciągali tłumy samym malowniczym wyglądem straganów. Christian zastanawiał się, czy Charlotte przypadła do gustu ta egzotyczna mozaika. Nieco dalej, w czerwonym namiocie, wystawiono najrozmaitsze na w pół chore zwierzęta: lamparty, zebry, bezzębnego lwa i węża. Widział jeden

z takich pokazów jako dziecko i nadal pozostał mu w pamięci dziwny, ostry zapach, wyczuwalny w czasie pokazu, który jednak nie miał nic wspólnego z wyziewami koni czy innych tresowanych zwierząt. Niezdecydowany, szedł dalej. Spotkał po drodze kilku znajomych, witających go bardzo serdecznie. Przedstawili mu również siostrzenicę oraz jej przyjaciółkę – obie oczywiście gotowe do małżeństwa. Ten niespodziewany „przestój” w czasie spaceru po jarmarku jeszcze bardziej pogorszył mu nastrój.

– Czy zobaczymy się w przyszłym tygodniu, drogi panie Ohlsen? Z pewnością zechce pan przyjechać na festiwal Liedertafel^[9]!

Grzecznie zdjął kapelusz i zapewnił, że zrobi wszystko, aby nie przegapić tego wydarzenia. Chociaż oczywiście sklep nieustannie wymaga jego pełnego zaangażowania...

W tej samej chwili zauważył słomkowy kapelusz Charlotte z białymi wstążkami i Christian pożegnał się w pośpiechu. Z trudem przepchnął się przez tłum, zirytowany, gdy został odepchnięty na bok i na chwilę stracił Charlotte z oczu, ale mimo to nie dał się zbić z tropu i doskonale radził sobie ze wszystkimi przeszkodami napotkanymi na drodze. Nagle zobaczył w górze czerwono-żółty płomień, usłyszał okrzyki zaskoczenia i podekscytowania zgromadzonych. Dostrzegł wtedy Charlotte oraz jej kuzynkę, podziwiające umiejętności połykacza ognia. Więc podobało się jej coś takiego – kto by pomyślał! Zaraz potem z irytacją zorientował się, że Charlotte i Klara nie stały tam same. Dołączyli do nich młoda kobieta i mężczyzna w czarnym, sztywnym kapeluszu, ale nie mógł zobaczyć ich twarzy, ponieważ byli odwróceny do niego plecami. Mężczyzna z zapalem rozmawiał z Charlotte, która z uśmiechem pokręciła głową, po czym spojrzała pytająco na swoją małą kuzynkę. Christian podszedł kilka kroków bliżej i udawał, że również podziwia występ połykacza ognia. W rzeczywistości jednak chciał rzucić okiem na rozmówcę Charlotte i z ulgą rozpoznał Petera Hansena. Ożenił się z kuzynką Charlotte, Ettje, dwa lata temu – chociaż oczywiście mówiono, że początkowo miał oko na Charlotte, ale został odrzucony, zresztą jak wielu innych.

– Chyba nie chcę tego oglądać – usłyszał teraz jej głos.

– No chodźże przecież! Peter chce nas zaprosić, włos ci z głowy nie spadnie. Chcesz zepsuć zabawę Klarze? Ona i tak nie pójdzie nigdzie bez ciebie!

To był głos Ettje Hansen, więc Peter przyprowadził ze sobą żonę. O czym rozmawiali? Czego nie chciała zobaczyć?

– To bardzo pouczająca wystawa, Charlotte. Byli tam nawet wczoraj uczniowie gimnazjum ze swoimi profesorami. Nie uwierzyłbyś, jakie dziwne stworzenia chodzą po Bożej ziemi! Wystarczy spojrzeć na to ogłoszenie!

Wyciągniętą ręką Peter Hansen wskazał na jeden z większych namiotów, okrągłą konstrukcję wykonaną z brudnożółtego materiału, z kolorowymi plakatami przyczepionymi dookoła. Christian musiał zmrużyć oczy, żeby przeczytać pogrubione na plakatach słowa:

NON PLUS ULTRA. BARDZO RZADKIE I DZIWNE WYTWORY NATURY

Znał tego sztukmistrza z Bożej łaski, niskiego, szczupłego mężczyznę z ledwie widoczną siwą bródką, będącego tutaj w towarzystwie żony i dwóch młodych asystentów, którzy prawdopodobnie byli jego synami. Przyjeżdżali na Gallimarkt od lat i nieźle zarabiali, bo wejście do namiotu nie było tanie. W poprzednich latach prezentowali „Heliophobusa, albinosa”, otyłego mężczyznę o bardzo jasnych włosach, patrzącego bezmyślnie przed siebie, o skórze przypominającej pancerz larwy serowej. Była też młoda Indianka z Neuholland, delikatna istota o bardzo grubych włosach, która to wykonywała taniec wojenny i była karmiona mięsem z czarnego koguta. Dorośli mężczyźni, za odpowiednią dopłatą, po oficjalnym przedstawieniu mieli możliwość przez krótką chwilę podziwiać kobietę w jej stroju ludowym – skórzanym, wąskim pasku plecionym, założonym na nagie biodra. Christian Ohlsen oglądał to przedstawienie dwa razy, ponieważ dziewczyna była bardzo atrakcyjna, ale mimo to czuł się nieswojo. Całkiem dobrze rozumiał, że Charlotte nie chciała iść na to widowisko.

Wydawało się jednak, że w końcu udało się ją przekonać, bo cała czwórka ruszyła w kierunku żółtego namiotu o kształcie wielkiego dzwonu. Christian wahał się przez chwilę, po czym zdecydował się pójść za nim. Po spektaklu mogła być okazja, żeby porozmawiać zupełnie nieformalnie o tym, co było prezentowane w trakcie spektaklu, jeśli nie z Charlotte, to chociaż z Hansenami. Peter Hansen był asystentem w głównym urzędzie celnym, Christian często miał z nim do czynienia, gdy dostarczano mu towary, więc może rzeczywiście byłaby duża szansa na to, żeby zbliżyć się do Charlotte przez Hansenów. Mieszkali bardzo blisko siebie, więc jeśli będzie ich często odwiedzał, może za którymś razem spotka tam wreszcie

Charlotte. Dlaczego dopiero teraz na to wpadł? Pomysł był przecież doskonały.

Odwiedzający targowisko ustawili się w długą kolejkę przed namiotem, w której Christian zajął miejsce na końcu. W tym czasie Hansenowie, Charlotte i Klara zostali wpuszczeni do środka. Spojrzał ze złością na tłum przed sobą, próbując ocenić, czy ma jakiegokolwiek szanse na dostanie się na pokaz. Miał jednak szczęście, ponieważ w oczach korpulentnej żony właściciela, która pobierała opłatę za wstęp, rysowała się nieposkromiona chciwość i tylko machała ręką, żeby wszyscy szybko wchodzili do środka. Christian zajął miejsce jako jeden z ostatnich, niestety już z tyłu namiotu, gdzie nie było za dużo widać, ale i tak było to lepsze niż stanie w kolejce wśród rolników i wieśniaków śmierdzących oborą. Chociaż, z drugiej strony, powietrze w namiocie było tak gęste, że można by je kroić na kawałki. Częściowo była to zasługa ciepłego październikowego słońca, z drugiej strony swój wkład miały również wydychane przez tłum gapiów opary. W środku siedzieli półkolem na grubo ciosanych drewnianych ławkach, najdroższe siedzenia z przodu areny miały nawet oparcia, ale w tylnych rzędach zupełnie nie dbano o komfort publiczności. Drewno czasem pękało i trzeba było uważać, żeby nie usiąść za szybko na chwiejącej się ławce, by nie przewrócić się wraz z nią. Około jedną trzecią okrągłego wnętrza namiotu wydzielono malowanymi drewnianymi tłami. Widać było na nich stylizowane palmy i rzeźbione kolumny, pomiędzy którymi widniały litery stylizowane na orientalne pismo, a także okna niczym z haremu, z ozdobnymi kratami, z których zaczynała się już łuszczyć czarna farba. Pośrodku tych fantazyjnych dekoracji znajdowała się ciemnoczerwona, lekko podarta zasłona ze złotymi sznurkami – wkrótce pojawił się tam właściciel z kózką bródką, by przedstawić pierwsze „kurioza”, żadnej wrażeń publiczności.

Christian zauważył Charlotte siedzącą w pierwszym rzędzie pomiędzy kuzynkami – Peter Hansen musiał nieźle zainwestować w to zaproszenie. Gdy pochylił się mocno do przodu, mógł zobaczyć profil Charlotte, miała delikatny nos, pełne wargi, usta były chyba trochę za duże, ale jemu się to podobało. Zaduch panujący w namiocie sprawił, że policzki dziewczyny nabrały rumianego koloru i wachlowała się ulotką, żeby się ochłodzić. Peter Hansen wyciągnął z kieszeni chusteczkę i ocierał pot z karku.

Zadźwięczał w końcu dzwonek i pomruki widzów ucichły, a w tylnych ławkach ludzie poruszali głowami i wyciągali szyje, aby

móc zobaczyć, co dzieje się w przedniej części areny. Czerwona kurtyna rozsunała się i kuglarz z bródką pojawił się przed publicznością z obiecującym uśmiechem. Christian stwierdził, że człowiek ten nic a nic się nie zmienił. Jego aparycja, począwszy od wyrazu twarzy, obszytego złotem garnituru, workowatych spodni, aż po lukę w uzębieniu. Podczas gdy kozia bródka opowiadał o wszelkiego rodzaju nieistotnych ciekawostkach zadziwiająco mocnym, głębokim głosem, Ohlsen uważnie obserwował twarz Charlotte. Spuściła czarne oczy i lekko zmarszczyła nos – najwyraźniej uznała, że to, co mówił zapowiadacz było wulgarnie. Teraz odwróciła się do Klary, objęła ją ramieniem i uśmiechając się, zamieniła z nią kilka słów. Christian nigdy nie widział u niej takiego wyrazu twarzy, szczerego i pełnego czułości. Coś go nagle przeszyło na wskroś i poczuł lekki zawrót głowy. Musiało to być spowodowane tym paskudnym, dusznym powietrzem albo bełkotem tego obleczonego w złoto starego kozła, który żałośnie zabawiał tłum. Ale mogło to również wynikać z uświadomienia sobie, że ten egzotyczny skarb, który tak bardzo chciałby nazwać swoim własnym, był czymś więcej, niż wcześniej sądził. Ona potrafiła być troskliwa, kochająca, czuła. Charlotte Dirksen do tej pory sprytnie ukrywała takie cechy przed całym światem.

Na chwilę zamknął oczy i oddawał się słodkim fantazjom, aż otrzymał mocne szturchnięcie z prawej strony, gdy jego sąsiad podskoczył, by lepiej widzieć, co działo się na przodzie. Na scenie pojawiły się różnorakie przedmioty, zapowiedziane na początku spektaklu słowami pochodzenia łacińskiego, zupełnie niezrozumiałymi dla większości widzów. Pokazywano je teraz z każdej strony i dodatkowo opowiadano o nich makabryczne historie. Wśród obiektów znajdowały się brązowa, skurczona głowa z zaszytymi ustami z dalekiej Polinezji, kości Anglika zabitego przez indyjskiego tygrysa, a nawet wypchany aligator z odległej krainy piramid z wężem wetkniętym w otwartą paszczę. Podobno miał go zjeść, gdy w tej samej chwili trafiła go kula myśliwego. Kuzynka Charlotte, Klara, wpatrywała się z szeroko otwartymi oczami w tę okropną kolekcję, Peter Hansen wachlował się kapeluszem, a twarz jego żony Ettje przybrała barwę szkarłatu i miało się wrażenie, że za chwilę wybuchnie z gorąca i przerażenia. Iskry ekscytacji w oczach wskazywały, że podobał jej się ten pokaz. Brwi Charlotte tymczasem znów się zmarszczyły, a twarz wyrażała głęboki niesmak. Christian podejrzewał, że przyszedł teraz czas na albinosa, który

prawdopodobnie już czekał za kurtyną, aby dwaj młodzi pomocnicy właściciela mogli go wypchnąć na scenę. Musiało mu być ciężko, skoro w swojej ojczyźnie żył podobno pod powierzchnią ziemi i polował tylko nocą, stąd też te jego kanciaste, czerwone oczy. Ale ku zaskoczeniu Christiana ogłoszono inną atrakcję, właściciel musiał gdzieś chyba zagubić swojego albinosa, a może biedny chłopak umarł.

– Prawdziwy Murzyn z dżungli pod Kilimandżaro – oznajmił publiczności pan kozia bródka, wykonując przy tym zamaszty gest ręką. – Jego plemię jest przyzwyczajone do jedzenia ludzkiego mięsa, zarówno surowego, jak i smażonego. Ten okaz został schwytany rok temu przez lorda Stanhope'a podczas wyprawy w głąb Czarnej Afryki i przywieziony do Europy w zakratowanej klatce.

Ściągacze przy kurtynie zadziałały niezawodnie. Jak na zawołanie czerwone szpalery materiału rozsunęły się i ukazała się masywna czarnoskóra postać. Jego górna część ciała była naga, wokół bioder miał owiniętą skórę, pochodzącą prawdopodobnie od srokatego żrebaka. Zatoczył się do przodu, stawiając kilka kroków, krzywiąc się i obnażając białe zęby, spiłowane w taki sposób, że przypominały kły drapieżnika. Udało się osiągnąć zamierzony efekt, ponieważ męczyzna zrobił silne wrażenie na publiczności. Jakaś kobieta wrzasnęła w panice, a kozia bródka pospiesznie zapewnił ją, że „jego Murzyn” jest całkowicie niegroźny i oswojony, o czym świadczył pierścień, włożony w jego nos niczym wielki kolczyk. Ponadto od dawna jest wyleczony z kanibalizmu, żywi się żywym drobiem, a także lubi jeść owsiankę.

Widownia się uspokoiła, niektórzy podejrzewali, że czarnoskóry męczyzna wyszczerzył zęby nie po to, żeby gryźć, ale żeby się uśmiechnąć. Chociaż nie wszyscy byli co do tego w pełni przekonani. Tymczasem nawrócony kanibal nadal stał nieruchomo, nie okazując ani nieśmiałości, ani wrogości. Jego masywne, ciemne ciało błyszczało, najwyraźniej przed pokazem wtarto w nie jakiś rodzaj tłuszczu.

– Ten okaz jest mocny i wspaniale zbudowany, skóra czarna jak heban, z wyjątkiem dłoni i stóp...

Właściciel przybytku odważnie podszedł do ciemnoskórego olbrzyma, uniósł w górę jego zwisające prawe ramię i obrócił dłoń tak, że widać było jasną skórę na jej wewnętrznej stronie. Lekki kuksaniec skłonił pokazywany obiekt również do podniesienia stopy. Zabieg ten miał dostarczyć zainteresowanym słuchaczom naukowego dowodu

na prawdziwość wcześniej wygłoszonej obserwacji. Christian był wewnątrznie rozdarty tym pokazem, który uważał za uwłaczający, ale jednocześnie ekscytujący. Co zrobili temu hebanowymi olbrzymowi, że stał tak beznamiętnie i poruszał się jak marionetka? Pod błyszczącą skórą odznaczały się grube pasma mięśni, teraz wiotkie, ale kiedy kozia bródka uniósł jego ramię, widać było, jak się napinają. Jeden cios „eksponatu” mógł zakończyć żywot tego kuglarza, ale czarnoskóry mężczyzna stał pobożnie jak baranek, uśmiechając się do gapiącego się tłumu. Jego oczy wydawały się Christianowi dziwnie utkwione w jednym punkcie. Pigułki nasenne? Otępiający sok? A może ten biedak postradał zmysły i nawet nie zdawał sobie sprawy, co się z nim dzieje?

Pulchna żona koziej bródki pojawiła się w szafranowożółtym szlafroku obszytym błyszczącymi lamówkami i szklanymi koralikami. Osobliwa szata nadawała jej wygląd gigantycznego budyniu. W każdej ręce trzymała bezgłowego brązowego koguta i pokazywała martwe ptactwo widzom, jakby to było coś zupełnie niezwykłego.

– Jesteście teraz świadkami karmienia afrykańskiego ludożercy, które odbywa się codziennie o tej porze i w ten sam sposób. Ze względu na wrażliwość damskiej publiczności Murzyn nie zje kogutów żywcem, jak to ma w zwyczaju, ale zje surowe i wciąż jeszcze ciepłe. Po karmieniu wykona taniec wojenny swego ludu, który jest tradycją Kikuju^[10] przed polowaniem.

Christian wciąż wpatrywał się w bezgłowe kurczaki, którymi hochsztaplerka w kolorze krokoszu wymachiwała przed publicznością, gdy nagle usłyszał mocny, wściekły krzyk, który sprawił, że aż podskoczył w miejscu. Pochodził z pierwszego rzędu, niektórzy widzowie również się zerwali, słysząc osobliwy dźwięk, potem rozległy się wściekłe okrzyki, krzyki dzieci, przekleństwa kobiet, a w końcu również i donośny głos pana koziej bródki.

– Proszę się uspokoić, moja droga. Pozostańcie na swoich miejscach, panie i panowie, nie ma żadnego niebezpieczeństwa. Jeśli nie chcesz patrzeć, po prostu zamknij oczy...

– To jest obrzydliwe! Jesteś potworem!

„Boże w niebie, to Charlotte!” – pomyślał z przerażeniem Christian i wstał ze swojego miejsca. Robi z siebie wariatkę na oczach wszystkich!

Charlotte nie miała szans przedostać się pomiędzy w pełni zajętymi ławkami do wyjścia, widział jak biega tam i z powrotem w przyływie złości. W końcu próbowała przepchnąć się przez tłum stojących

widzów, po czym rozległy się krzyki i śmiech. Zrobiło się jeszcze większe zamieszanie, gdyż niektórzy widzowie celowo nie chcieli jej przepuścić. – Jeśli masz słabe nerwy, to trzeba było zostać w domu!

– Chcesz nam zepsuć przedstawienie? Zapłaciłem i nie mam zamiaru stąd wychodzić!

– Nie bądź głupia, dziewczyno, nie widziałaś nigdy martwego koguta?

Christian nie miał wojowniczej natury, ale pospiesznie przeszedł, krocząc nad nogami siedzących obok niego ludzi, nadepnął nawet na stopy kilkorga, potknął się, usłyszał przekleństwa i krzyki skierowane w jego stronę, aż wreszcie dotarł w pobliże stojącej na środku sali dziewczyny.

– Odsunąć się! Zejść mi z drogi! – Jego ślepa determinacja zrobiła wrażenie na tyle, że ludzie odsuwali się, tylko częściowo protestując, a on zdążył przedostać się do żółtej plandeki, której poszczególne panele przymocowane były do wąskich żelaznych słupków skórzanymi paskami i sprzączkami. Tam gdzie stykały się dwa pasy materiału, można było znaleźć przesmyk, żeby się prześlizgnąć.

– Tutaj, panienko Dirksen! – ryknął. – Tutaj jest wyjście!

Mocował się potem ze sprzączką aż prawie połamał sobie paznokcie, ale na szczęście młody chłopak obok niego zorientował się, co robi, i zaczął mu pomagać, bo najpewniej też chciał już wyjść. Christian zerknął na Charlotte, spojrzął na jej kapelusz z białymi wstążkami, odepchnął tłoczących się ludzi na bok i wyciągnął do niej rękę.

– Tutaj! Do mnie! Wyciągnę panienkę stąd!

Plandeka się ugięła, przez szczelinę wdarło się jasne światło słoneczne i w tym samym momencie udało mu się chwycić Charlotte za rękę. Działając pod wpływem impulsu, nie zapytał jej o zgodę, tylko przyciągnął ją do siebie i opiekuńczo objął ramieniem. Nie opierała się, wiedziała, co zamierza i pozwoliła się popchnąć w stronę zaimprovizowanego wyjścia, pośród głośnych obelg i wybuchów szyderczego śmiechu.

– Ostrożnie. Płótno jest nadal przymocowane na dole.

Kolejno przeszli przez otwór i znaleźli się w samym środku jarmarkowego zgiełku. Tuż obok nich podawano brandy, jakaś kobieta śpiewała głośno i ochryple, młody człowiek w kaszkiecie zataczał się wokół, a Christian stanął w opiekuńczej pozie przed Charlotte. Oddychała szybko, ogarnięta wstrętem i złością schowała twarz w dłoniach. Zobaczył, że cała się trzęsie i miał ochotę wziąć ją

w ramiona, ale się opanował. Nie byłoby to przyzwoite posunięcie z jego strony. Trzymał się więc blisko niej, czekając, aż się uspokoi i pilnując, by żaden z pijanych biesiadników do niej nie podszedł.

– Muszę cię przeprosić, panienko Dirksen.

Charlotte odsunęła ręce z twarzy i próbowała ułożyć potargane włosy. Nie płakała, jak początkowo sądził, to wzburzenie sprawiło, że drżała. Teraz wydawała się już opanowana, tylko zmrużone oczy zdradzały jej wewnętrzne rozedrganie.

– Pan? Ale za co?

– Obawiam się, że w tej całej wrzawie zachowałem się wobec panienki bez należytego szacunku. Ja... nie chciałem panienki urazić...

Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że wcześniej, tam w namiocie objął ją ramieniem. Miał ochotę ugryźć się w język – teraz dopiero ją odstraszył, jaki z niego głupiec.

– Zachowałeś się wspaniale, panie Ohlsen. Mam u pana dług wdzięczności.

– Ale nic podobnego – wykrzyknął z ulgą. – Zrobiłem to całkiem spontanicznie, nawet nie wiem, co mnie napadło. Ale bardzo się z tego cieszę...

Kobieta stojąca za nim znowu zaczęła zawodzić, poprosiła o brandy, a jakiś ochrypły głos oznajmił jej, że ma dość i powinna już wreszcie iść do domu. Cały ten zgiełk docierał do Christiana Olsena teraz tylko częściowo, ponieważ czarne oczy Charlotte Dirksen przyglądały mu się właśnie z wielką powagą.

– To było okropne – powiedziała cicho. – Nigdy w życiu nie widziałem czegoś tak haniebnego, tak obrzydliwego.

– Chodźmy – poprosił. – Odsuńmy się trochę, robi się tu za głośno.

Podał jej ramię, a ona bez wahania wzięła go pod rękę. Przeszli powoli kilka kroków, a potem pomyślał o odpowiedzi.

– Muszę przyznać, że czułem to samo, ale nie miałem odwagi wstać i odejść tak jak pani, panno Dirksen. Bardzo panienkę podziwiam.

Spojrzenie, którym obdarzyła go, patrząc z boku, wydawało się niepewne, może nawet trochę kpiące. Wyglądało na to, że nie do końca mu wierzyła. Mimo to mówiła dalej.

– To człowiek, dokładnie taki jak my. Co daje im prawo tak go ośmieszać? Karmić go publicznie jak dzikie zwierzę? Jak to możliwe, że ci wszyscy ludzie płacą tyle pieniędzy, aby zobaczyć coś tak

podłego? Czy oni nie mają serca? Są bez uczuć? Nie mają wstydu i godności?

– Nie wiem, dlaczego to robią. Ale my, ludzie, często robimy rzeczy, które później powodują, że jesteśmy głęboko zawstydzeni. Tak mi się dziś przytrafiło...

– Mnie również – zgodziła się gorzko.

Zatrzymał się, niezdecydowany, zastanawiając się, czy powinien skorzystać z szansy, która została mu podarowana.

– Pozwolisz, że odprowadzę cię do domu, panienko Dirksen?

– To bardzo miło z pana strony, ale poczekam na kuzynkę. Klara nadal tam jest i chcę iść z nią do domu.

Oczywiście – jak mógł o tym zapomnieć. Pamiętał jej czuły uśmiech – wydawała się bardzo przywiązana do małej kuzynki. Mógłby oczywiście próbować argumentować, że Klara przecież wróci do domu z Hansenami, jednak nie byłoby to dobrym posunięciem, jak wywnioskował. Odmówił – nie będzie na nią naciskał.

– W takim razie pozwól, że dotrzymam ci towarzystwa, dopóki występ się nie skończy.

Propozycję dość chętnie przyjęła, choćby dlatego, że dla młodej kobiety samotne przebywanie na jarmarku było nie do przyjęcia. Chodzili tam i z powrotem, a on próbował z nią rozmawiać, opowiadał o swoich studenckich czasach w Hamburgu, o pięknie wielkiego miasta, o Inner Alster^[11], porcie. Ku jego zadowoleniu, ona też stała się rozmowna. Znała Hamburg, była tam z rodzicami jako dziecko, także w Bremie, a raz nawet w Rotterdamie. Potem skierował rozmowę na sprawy związane z prowadzeniem sklepu, które pozostawiały mu tak mało czasu na przyjemności...

– Czy ma pan jeszcze tego lwa?

Naprawdę to pamiętała! Obiecał Charlotte, że wyjmie lwia głowę z pudełka i zleci jej renowację, i był zachwycony, że wywołało to uśmiech na jej twarzy. Czas naglił, a z kościoła reformowanego słychać było już szóste uderzenie dzwonu. Przedstawienie wkrótce miało się skończyć. Przed wejściem do namiotu zebrali się już kolejni widzowie, którzy nie chcieli przegapić spektaklu.

– W piątek wspólnota Liedertafel urządza przyjęcie. Czy pani i Klara też tam będziecie?

Wydawało mu się, że jej babcia była członkiem tej grupy wiernych, ale mógł się mylić. Szczęście najwyraźniej mu jednak dzisiaj sprzyjało.

– Tak, już o tym myślałam, ale Klara jest temu przeciwna, nie czuje się dobrze podczas spotkań towarzyskich.

– To bardzo źle. Pani kuzynka to miła, ładna dziewczyna, nie może odcinać się od świata. Może powinna jej panienka trochę pomóc, żeby nie została odludkiem...

Pierwsi goście pokazu wysypali się tłumnie z namiotu, niektórzy mieli jeszcze szklące się oczy, ale większość śmiała się i paplała entuzjastycznie o tym, co widzieli.

– Pomyślę o tym – powiedziała Charlotte, wsuwając kosmyk włosów, który powiewał na wietrze, pod słomkowy kapelusz.

Zanim podeszła do Klary, jeszcze raz mu podziękowała i nawet uśmiechnęła się do Christiana. Przyjaźnie, chociaż z odrobiną ironii, bo najwyraźniej przejrzała jego strategię.

Arpeggia^[12] prawej ręki opadały na klawisze pianina niczym iskrzące się kropelki, tworząc pajęczynę nieskończonej czułości, mieniącą się jak babie lato skąpane w promieniach słońca. Melodia wkroczyła potem miękko w niskie tony, wzniosła się, mroczna i piękna, kołysząc się w migoczącej kurtynie arpeggio, przeplatając się z nią, modulując w nową tonację...

– Zamierzasz kiedyś w końcu przestać brzdąkać? – Charlotte nie przestała grać od razu, pozwoliła wyczerpać się arpeggiom, doprowadziła melodię do wymyślnego przez siebie zakończenia oraz powoli i celowo dodała kilka końcowych akordów.

Babcia gwałtownie odetchnęła, trudno powiedzieć, czy z ulgi, czy ze złości. Podeszła do sofy i szarpnęła jedną z poduszek, odłożyła ją z powrotem na miejsce i uderzyła dłonią w sam jej środek, żeby końce były równo rozłożone.

– No i jak w końcu? – zapytała w kierunku Charlotte.

– Nie wiem...

Z biegiem lat twarz babci zrobiła się mniejsza i bardziej pomarszczona, ale nadal nosiła włosy spięte z tyłu i zakrywała kok obszytym koronką czepkiem. Teraz bruzdy rysujące się wokół jej ust pogłębiły się, jak zawsze, kiedy musiała stawić czoła swojej krnąbrnej wnuczce.

– Nie wiesz? Boże święty na niebie! Na co czekasz? Że cesarz Chin padnie ci do stóp? Albo afrykański książę?

– Nie kocham go!

To już było dla babci zbyt wiele. Żadna z jej córek ani wnuczek nigdy nie miała w sobie tylu sprzeczności charakteru i buntu co Charlotte. Było to ewidentnie znamię złej krwi matki, nieznamięj

z innej kultury, z którą związał się wówczas jej biedny syn i będącej, jak mniemała babcia, także winna jego przedwczesnej śmierci.

– Co to za fantazje! W wieku dwudziestu dwóch lat wciąż żerujesz na dziadkach i marzysz o wielkiej miłości. Skąd wzięłaś te nowomodne poglądy?

Charlotte milczała. Słyszała przecież te wyrzuty od lat. Młoda dziewczyna, przy wyborze pana młodego winna była kierować się w pierwszej linii dobrem rodziny. Liczyło się to, aby pozyskać męża z dobrą pozycją społeczną i wystarczającymi dochodami, oczywiście musiał też być odpowiedniego wyznania i nieskazitelnej opinii. Jeśli taki kandydat się znalazł i wykazywał skłonność do zawarcia związku, to trzeba było powiedzieć „tak”.

– Prawdziwa miłość to ziarno zasiane w glebie małżeństwa na lata, aby mogło wykiełkować i wyrosnąć na wspaniałe drzewo. Druga miłość, ta romantyczna, o której myśli wielu młodych ludzi, to tylko słomiany zapał. Kto opiera małżeństwo na tej grzesznej namiętności, nieuchronnie wpada w nieszczęście, bo z całego tego żaru prędzej czy później pozostanie w jego rękach tylko popiół...

Babcia powstrzymała odwoływanie się do literatury brukowej, w której opowiadano młodym dziewczętom o takich „fałszywych” namiętnościach, wzmagając jeszcze bardziej ich rozpalone temperamenty, by wierzyły, że ich przyszły mąż musi przypominać opisanych tam bohaterów.

– Przyjedzie do nas o czwartej – babcia przerwała swoją przemowę. – Mam nadzieję, że do tego czasu się zdecydujesz!

Rzuciła kolejne kontrolne spojrzenie na pokój, stwierdziła, że wszystko jest przygotowane na przyjęcie gościa, po czym odwróciła się w stronę drzwi. Było już po trzeciej, musiała iść na górę, obudzić dziadka z drzemki i pomóc mu się ubrać, bo jego obecność była absolutnie niezbędna w trakcie zbliżającej się wizyty. Pastor Dirksen chorował od kilku miesięcy, jego kręgosłup nie chciał już współpracować, czasami nie mógł chodzić ani siedzieć z powodu bólu. Żołądek też nie był w najlepszym stanie, lekarz zalecił sode oczyszczoną i ścisłą dietę, a babcia winą za tę przypadłość obarczała ciągle palenie tytoniu.

Charlotte westchnęła i odłożyła materiałową osłonkę na klawiaturę z powrotem na swoje miejsce, była to wciąż ta sama, którą jej matka wyhaftowała wiele lat temu, jedynie jedwabny kwiatowy wzór nieco wyblakł. Jeszcze godzina i będzie musiała podjąć decyzję. Christian Ohlsen poprosił ją dwa tygodnie wcześniej, żeby została jego żoną.

Wykorzystał ku temu chwilę kiedy pożegnał się po wizycie i oboje stanęli przez chwilę przed drzwiami wejściowymi bez świadków. Charlotte poprosiła o czas do przemyślenia, a Christian jej go dał. Nie chciał naciskać, ale byłby najszczęśliwszym człowiekiem na świecie, gdyby zdecydowała, że będą wiedli razem dalsze życie.

Christian Ohlsen w niczym nie przypominał bohatera powieści, nie był człowiekiem wysokiej rangi, nie miał mrocznej tajemnicy, nie był też szczególnie przystojny. Ale nawet Charlotte wiedziała dobrze, że w prawdziwym życiu nie ma takich bohaterów. Przynajmniej w Leer nie zauważyła nikogo takiego. Żyli tutaj mężczyźni, którzy byli niesympatyczni i tacy, których można było zaakceptować. Christian należał do tych drugich i najbardziej akceptowalnyCH. Łatwo się z nim rozmawiało, był hojny, uprzejmy, kochał muzykę i podzielał jej pasję do odległych krajów. Zachowywał się sentymentalnie, czasem nawet do przesady, dawał jej kwiaty, a dla babci przynosił pachnące mydło różane. Ubierał się ze smakiem, a kiedy prawił jej komplementy, nie były to czcze słowa, zawsze mówił szczerze. Wszystko wskazywało na to, że Christian Ohlsen był w niej zakochany.

Jakie to dziwne – pomyślała. Dziewczyna nie ma prawa podążać za głosem serca, ale mężczyzna tak. Z zamyśleniem wpatrywała się w jedwabne kwiaty wyhaftowane rękami zmarłej matki. Kilka lat temu dziadek wyjawiał jej, że rodzice pobrali się zaledwie rok przed narodzinami jej brata Jonny'ego. Dla Charlotte był to szok, ponieważ oznaczało to tylko tyle, że ona sama urodziła się jako nieślubne dziecko. Piękna Emily Lindley oddała się kapitanowi Ernstowi Dirksenowi bez aktu małżeństwa – z namiętnej miłości. I co? Czy nie wrócił, żeby się z nią ożenić? Jaki rodzaj miłości połączył jej rodziców? Prawdziwy czy fałszywy? Mogło się wydawać, że byli bardzo szczęśliwi, bo często się przytulali i całowali.

Krople deszczu uderzały o szyby, spływając krzywymi ścieżkami, tworząc splątaną sieć przezroczystych korytarzy, rozplywając się w końcu w jeden wodny krąg. Co za kapryśna kwietniowa pogoda – przed chwilą świeciło słońce, teraz żółte żonkile w skrzynce okiennej uginały się pod atakiem ulewnego deszczu. Pomyślała o Marie, która od czterech lat mieszkała w Egipcie ze swoim mężem George'em. Marie zakochała się w George'u i przez niego zerwała zaręczyny, a więc może się zdarzyć i tak – w rzadkich przypadkach – że dziewczyna ma mężczyznę, którego kocha. Marie udało się to osiągnąć i czy popadła z tego powodu w niełaskę? Wcale nie.

Narzekła oczywiście na upały i rozmaite robactwo, z którymi musi się użerać w Egipcie, ale o swoim George'u mówiła wyłącznie dobre rzeczy, a przede wszystkim to, że był wspaniałym ojcem...

Drzwi do pokoju uchyliły się cicho, Klara zajrzała przez szparę, a kiedy Charlotte się do niej uśmiechnęła, otworzyła szeroko drzwi. Kiedy kuśtykała do salonu, słyhać było, jak ciocia Fanny rozmawia z babcią w kuchni, a Charlotte z niepokojem spojrzała na mały zegar wahadłowy, stojący między figurkami na komodzie. Jego wskazówki wskazywały już wpół do czwartej.

– W końcu przecież przyjęliśmy jego zaproszenie, a ona tańczyła z nim na balu Liedertafel kilka razy z rzędu, widziałam to wyraźnie. Odwiedził nas już trzy razy – a teraz chce go odprawić! Kim ona myśli, że jest? W jej wieku musiałaby mieć dużo szczęścia, żeby znaleźć innego mężczyznę, nie ma już osiemnastu lat...

Klara pospiesznie zamknęła drzwi, żeby przytłumić przemowę ciotki Fanny.

– To niesprawiedliwe, Charlotte. Nikt nie może cię zmusić do małżeństwa, którego nie chcesz...

– Wiem...

Klara dokuśtykała do niej, stanęła za stołkiem fortepianu i położyła obie ręce na ramionach kuzynki.

– Szczególnie nie chcę, żebyś robiła to z mojego powodu – powiedziała zdecydowanym głosem. – Radzę sobie już całkiem dobrze. Zwłaszcza teraz, kiedy zarabiam na szyciu i kiedy przejęłam klientów mamy.

Ciocia Fanny nie była już w stanie szyc na zamówienie, tak bardzo pogorszył się jej wzrok. Okazało się natomiast, że Klara miała ogromne zdolności do szycia i klienci bardzo doceniali jej projekty. Zarobki za całą tę pracę, za te długie noce spędzane przy świetle lampy naftowej były jednak bardzo niskie i Christian zaproponował Charlotte, żeby Klara zamieszkała z nimi. Nie musiałyby się wtedy rozstawać.

– Jeżeli ty dawałabyś lekcje gry na pianinie, a ja bym szyla dla moich klientów, to i tak mogłybyśmy zostać razem – Klara kontynuowała swoją wypowiedź. – Nawet jeśli... nawet gdy dziadkowie odejdą. Mieszkałybyśmy tutaj, w domu, uprawiały ogród, a poza tym, w końcu masz przecież swój posag.

Charlotte wzięła w swoje dłonie ręce Klary, znów strasznie zimne. Ile tak naprawdę zostało z jej posagu? Nie miała pojęcia, zwłaszcza że większość wykorzystano, by pokryć koszty studiów prawniczych

Paula w Hamburgu. Zresztą po tym jak oblał kolejny egzamin miesiąc temu, na pewno będzie potrzebował więcej czasu i tym samym pieniędzy.

– Tak czy inaczej zostaniemy razem, Klaro. Jeśli wyjdę za Christiana, zamieszkamy w ładnym mieszkaniu, będziemy miały sklep i targ tuż przed nosem i nie będziesz już musiała szyć.

Ręce Klary zaczęły się trząść. Ściągnęła je z ramion Charlotte i usiadła na wysokim fotelu dziadka, tak przepastnym, że prawie w nim zniknęła. Na jej wąskiej twarzy uwidoczniła się wewnętrzna walka, którą właśnie w sobie toczyła, jakby musiała samą siebie przewyciężyć, żeby powiedzieć coś, co było przecież bardzo niestosowne.

– To... to pewnie nie będzie zbyt miłe. Mówią, że zawsze boli. Ettje twierdzi, że to było naprawdę straszne, ale to część małżeństwa, nie da się od tego uciec.

– Och, masz na myśli... noc poślubną?

Klara skinęła głową, rumieniąc się. Ani jej matka, ani babcia nigdy nie poruszały tak wstydliwych tematów. O tych rzeczach się nie wspomina, swego czasu Ettje za wścibskie pytania dotyczące tej jakże wrażliwej kwestii, dostała solidny policzek w twarz. Cała sytuacja została dobrze zapamiętana przez pozostałych.

– To się dzieje tam na dole, gdzie nie powinno się dotykać... – wyszeptała Klara.

Charlotte posłała jej gniewne spojrzenie. Teraz tyle to już sama wiedziała, chociaż cztery czy pięć lat temu wierzyła, że dzieci rodzą się z całowania. Wydawało się to zupełnie oczywiste, bo wszystkie powieści kończyły się ślubem kochanków, a potem on ją całował i mieli dzieci. Taki pocałunek uważała za coś niewymownie frywolnego i czytała te fragmenty raz po raz, by poczuć słodki dreszcz zakazanego owocu. W końcu jednak Charlotte zdała sobie sprawę, że oprócz pocałunku musiało się wydarzać coś jeszcze, czego nigdy nie wyjaśniano ani w powieściach, ani w prawdziwym życiu. Miało to związek z nocą poślubną, będącą zawsze przedmiotem straszego zamieszania. To było dziwne, ponieważ dzień ślubu powinien być najpiękniejszym dniem w życiu kobiety. Noc, która następowała później, była ponoć czymś przerażającym, jakby biedną pannę młodą prowadzono do bezwstydnego, makabrycznego sali tortur.

– Boże! Nie może być aż tak źle, Klaro. Wszystkie żony, które znam, przecież to przeżyły.

– Oczywiście. Nie chciałam cię przestraszyć. – Klara zamilkła zawstydzona. Bała się, że posunęła się za daleko. – Trzeba to po prostu cierpliwie znosić, nie stawiać się, pewnie w końcu można się przyzwyczaić.

W szkole czasami szeptano o takich rzeczach. Niektóre dziewczyny zdawały się wiedzieć na ten temat więcej i czerpały przyjemność z imponowania zupełnie nieświadomionym koleżankom. To były naprawdę dziwne sprawy, zupełnie niewyobrażalne sytuacje związane z „częścią ciała”, którą miał mężczyzna, ale kobiety były jej pozbawione. Charlotte pamiętała, jak stała obok niani, kiedy ta kąpała jej młodszego brata. Sama była wtedy mała, tylko trzy lata starsza od Jonny’ego, widziała jednak, że miał mały ogonek, sikający do kąpieli, ku wielkiemu przerażeniu niani. Za małym ogonkiem było coś jeszcze, różowa formacja przypominająca dziwny wrzód, trochę pomarszczona i niezbyt ładna. Żal jej było wtedy biednego Jonny’ego, że musi nosić pod brzuchem coś takiego. Cały sekret nocy poślubnej może więc leżeć w tej dziwnej części ciała. Ale też nie potrafiła sobie wyobrazić, że mężczyzna może ranić swoją żonę takim miękkim, małym różowym ogonkiem. – Ale może jest zupełnie inaczej – powiedziała Klara. – Zwłaszcza jeśli naprawdę się kochacie, to może wtedy to wszystko będzie wspaniałe.

Klara dostrzegła teraz zwątpienie na twarzy Charlotte i poczuła się naprawdę źle. Nie, to nie było w porządku z jej strony, że mówiła Charlotte takie straszne rzeczy tylko dlatego, że wołałaby zostać tutaj, w domu dziadków. Mieszkanie Christiana Ohlsena musiało być bardzo ładne, a ona – tak powiedziała Charlotte – dostałaby tam własny pokój. Jednak bała się tego. Bała się też Christiana Ohlsena, hałaśliwej Pfefferstrasse, wielkiego sklepu, a przede wszystkim wielu znajomych, którzy przychodzili do jego mieszkania. Musiałaby też od tej chwili spać sama. Od ślubu Ettje kuzynki nie dzieliły już co prawda, tego samego łóżka, ale nadal spały w jednej sypialni. Miały teraz cały pokój dla siebie, bo ciocia Fanny przeprowadziła się do gabinetu dziadka, gdzie wcześniej sypiał Paul.

– Jeśli naprawdę się kochacie... – Charlotte powtórzyła w zamyśleniu.

O jaką miłość tak naprawdę chodziło w życiu? Tę z wielkiej namiętności czy taką przypominającą małą roślinkę, która musiała dopiero urosnąć?

– Lubisz go przecież... W pewnym sensie?... Czy?...

– W pewnym sensie.

Mały zegar wahadłowy zaczął pobrzękiwać, po czym zdołał wybić cztery ostre uderzenia, które zabrzmiały jak dźwięk dzwonka przy okienku w urzędzie pocztowym. Charlotte wstała znad pianina, przykrywając klawisze jedwabnym materiałem pokrytym haftem kwiatowym. Podeszła do okna. Był już blisko domu. Wiatr szarpał parasolem z wściekłą siłą, a on w lewej ręce trzymał kurczowo przy piersi bukiet, aby chronić przed deszczem piękną bibułkę osłaniającą kwiaty. Kiedy już prawie doszedł do żwirowej ścieżki prowadzącej do wejścia do domu, zatrzymał się, wsunął bukiet pod pachę i wolną ręką próbował wytrzeć plamy błota z nogawek spodni. Jego wykrzywiona postać wydawała się teraz tak groteskowa, że Charlotte zachichotała pod nosem. Ale potem podniósł głowę i zobaczyła zdesperowany wyraz jego twarzy. On ją kochał. Czekał i bał się przez dwa tygodnie, a teraz przyszedł, by usłyszeć werdykt z jej ust. Patrzyła ze wzruszeniem, jak zmagał się z trzepoczącym parasolem, aż w końcu złożył tego potwora i oparł go o ścianę domu. Kochał ją, dlaczego więc miałyby go unieszczęśliwić?

STYCZEŃ 1894



Christian Ohlsen włożył pióro z powrotem do kałamarza i potarł zeszywniałe od zimna palce. Ogień w małym żelaznym piecyku już dawno wygasł, nie było jednak sensu dokładać kolejnej łopaty węgla – i tak miał zamiar szybko skończyć tę żmudną kalkulację. Wpatrywał się ponuro w otwartą księgę rachunkową. Odnotowywał tam wydatki z ostatnich dwóch miesięcy, ale – jak zwykle – nie wpisywał ich regularnie, wciąż leżały obok rachunki, które niewłaściwie zanotował i potem o tym zapomniał, nawet prezentów świątecznych dla pracowników nadal nie zapisał do księgi. Jednak bez względu na to, o czym zapomniał robiąc notatki, było już jasne, że wydatki znacznie przewyższają dochody. I to pomimo naprawdę udanego utargu świątecznego. Działo się tak przez klientów, którzy oszczędzali, na czym tylko mogli i pozwalali, żeby wszystkie unikalne rzeczy, które zamawiał z daleka, gniły na półkach sklepowych. Tak, gdyby tylko miał sklep w Bremie czy Hamburgu... Tam mieszkali bogaci koneserzy piękna, zamożni mieszczanie, którzy hojnie wydawali zawartość swojego portfela. Mieszkańcy Leer trzykrotnie obracali w dłoniach każdego feniga, zanim go wydali, a jeśli już się zdecydowali, to kupowali tylko trochę kawy, odrobinę herbaty, tani tytoń, może pomadę albo krem do skóry, ale to i tak już był luksus. Wielu nie było stać na takie przyjemności, często zadłużeni, sprzedawali dom i gospodarstwo, by wyemigrować za granicę. Tam zaś liczyli na szczęście i pomyślność, jednak zderzenie z rzeczywistością było brutalne i tylko nielicznym udawało się odmienić swój los. O większości wyjezdnych nigdy więcej nie słyszano.

Wyciągnął zegarek z kieszeni kamizelki i uświadomił sobie, że jest już po dziewiątej, czas iść na górę do mieszkania. Będzie tam z pewnością przyjemnie ciepło, bo Charlotte zawsze kazała dobrze napalić w piecu. Potem porozmawia z nią trochę dłużej, wypije kieliszek wina, a może i dwa. Bilans wydatków może spokojnie

począć do jutra. Zamknął księgi, znalazł ukryty pod szafką kolejny zapłacony rachunek i położył go wśród pozostałych. Na razie i tak nie byłby w stanie zapłacić, jutro chciał napisać do dostawcy w Bremie z prośbą o odroczenie, najlepiej do Wielkanocy. Ostrożnie zgasił lampę i zamknął małe biuro, przeniesione po ślubie na dół do sklepu. Kiedy był kawalerem, trzymał księgi na piętrze, ale teraz nie było tam miejsca, wszystko zostało przeorganizowane i nie chciał, żeby Charlotte widziała brzydkie, niechlujnie prowadzone dokumenty sklepowe.

Korytarz był ponury i czuć było w nim z każdej strony przeraźliwy chłód. Potknął się o pudełko z resztką ozdób bożonarodzeniowych, które jego praktykant miał przenieść do magazynu. Uczeń nie należał do tych najbardziej pojętnych, trzeba go było sprawdzać na każdym kroku, inaczej zapomniałby o połowie obowiązków. Charlotte przewidziała to, kiedy zatrudniła chłopca przed Bożym Narodzeniem. Śmiała się wtedy z niej – co ona wiedziała o pracownikach? W domu jej dziadków nie było nawet służby. Ale okazało się, że miała rację. Klatka schodowa była skąpana w delikatnym świetle sączącym się przez szklane wstawki w drzwiach do mieszkania, co poprawiło mu nastrój. Zbyt długo siedział zamknięty w tej swojej dziupli z księgami, nie odpowiadało mu to, psuło humor i rodziło ponure myśli. Prawdę mówiąc, od jakiegoś czasu wolał przebywać w swoim ładnym mieszkaniu niż w sklepie, gdzie musiał znosić opieszałość pracowników i skąpstwo klientów.

– Charlotte?

– Jesteśmy w salonie!

Zdjął wełniany szalik i zmienił marynarkę, żeby nie wnosić do mieszkania wilgoci ze sklepowego biura. Wszedł do salonu w swoim domowym ubraniu i zastał Charlotte siedzącą na sofie z Klarą, pochyloną nad jedną z wielu książek, które jej podarował. Postać ukochanej w jasnej sukience fascynowała go za każdym razem, gdy ją widział. Uwielbiał te bujne czarne włosy, które nosiła mocno splecione w długi warkocz, choć od czasu do czasu z fryzury wystawały małe loki. Zwijaly się na skroniach, nad uszami lub na karku, nadając jej rysom czarujący, figlarny wyraz.

– Długo ci dzisiaj zeszło – powiedziała, podnosząc wzrok z książki. – Skończyłeś?

– Cóż, na dzisiaj. Niestety, kiedy się prowadzi firmę, praca nigdy się nie kończy...

Wzdychając, odchyliła się do tyłu i ziewnęła, po czym jeszcze ciaśniej otuliła ramiona szalem i odłożyła książkę. Była bledsza niż zwykle, co zresztą podkreślały gęste ciemne włosy, uwydatniając tym samym jeszcze bardziej cienie pod oczami. Wzruszyło go to, ponieważ w pewnym sensie miał swój udział w tym jej mizernym wyładzie: Charlotte od kilku miesięcy była w ciąży.

– Chyba już czas na mnie – powiedziała Klara. – Życzę wam dobrej nocy.

– Dobranoc, Klaro. Słodkich snów.

Obowiązkowy uścisk między kuzynkami i pocałunki na dobranoc były ich cwieczornym rytuałem. Następnie Klara z nieśmiałym uśmiechem skinęła mu głową i pokuśtykała do swojego pokoju. Była cicha jak mysz ta mała kuzynka, którą przyjął do swojego domu. Istota, posiadająca niesłychaną zdolność przebywania w dowolnym miejscu w przestrzeni, nie będąc zauważoną. Wzruszała go ta delikatna dziewczyna: dawała mu drobne upominki, chusteczki do nosa z wyhaftowanym monogramem, zrobiła śliczne pudełeczko na spinki do mankietów z rolowanego jedwabiu. Niemniej, dość często żałował swojej hojności, ponieważ Klara zakłóciła jego więź z Charlotte. Nawet teraz, kiedy usiadł obok żony na sofie i objął ją ramieniem, nie byli całkiem sami. Klara przylgnęła przez te lata do Charlotte niczym cień i był z nią nierozzerwalnie związany.

– Jak się dzisiaj masz, kochanie?

– Bardzo dobrze. Nadal trochę mdli, ale nie tak źle jak na początku.

Przyciągnął ją bliżej siebie i pocałował w policzek. Jej skóra była miękka i chłodna, wdychał zapach jej włosów i próbował przycisnąć swoje usta do jej ust, ale się odsunęła.

– Jestem twoim mężem, kochanie. Nie jakimś paskudnym uwodzicielem! – zażartował. – Nie możesz odmówić mi tego, co mi się należy.

– Nie dzisiaj... Nie czuję się dobrze, a to może zaszkodzić dziecku.

– Jestem pewien, że nie zaszkodzi dziecku, jeśli cię pocałuję.

Poddała się, czyniła tak na chwilę, zносиła pieszczoty, a nawet odwzajemniała je tak, jak ją uczył, ale kiedy próbował rozpiąć haczyki jej sukni, stawiała opór. Podjął jeszcze kilka nieudanych prób, by ją uwieść, ale w głębi duszy już wiedział, że to nie zadziała, więc w końcu się poddał. Szkoda, spodziewał się o wiele więcej po nocach z nią. Oczywiście nie po nocy poślubnej, kiedy wszystkie przyzwoite kobiety nie mają o niczym pojęcia i zachowują się tak, jakby ktoś chciał je zabić. Prawie zupełnie nie odpowiadała jednak na jego

późniejsze wysiłki, nie okazując pożądanego ani namiętności, a kiedy godziła się spełniać jego pragnienia, robiła to tylko po to, by go zadowolić. Potajemnie przeklinała surowe wychowanie protestanckiej babci, które najwyraźniej zepsuło Charlotte. Nigdy nie pokazywała mu się nago, ubierała i rozbierała za parawanem, a w nocy miała na sobie długie, obszyte koronką koszule. A on nie mógł powstrzymać pragnienia zobaczenia tej egzotycznej piękności całkowicie rozebranej i z rozpuszczonymi włosami.

– Pokaż mi, co oglądałyście, gdy wszedłem. Czy to nie ja przywiozłem ci tę książkę z Bremy?

Zdawała się odetchnąć z ulgą, że nie miał do niej pretensji i pośpiesznie położyła książkę na kolanach. Rzeczywiście, była to przywieziona przez niego książka opisująca rozwój żeglugi – od początkowych wynalazków do technik konstruowania nowoczesnych parowców pocztowych. Przewróciła kilka stron i zaczęła wyjaśniać olinowanie trójmasztowca, opowiadając o masztach, całunach, drzewcach i szotach, opisując szczegółowo, jak działają różne liny i do czego są używane. Christian Ohlsen nie należał do osób, które chcą znać mechanizmy i przyczyny działania każdej rzeczy, ale cierpliwie słuchał żony, choć prawie nic nie rozumiał. Cieszył się jej żywotnością i szybkimi mrugnięciami powiek, gdy zerknęła, by sprawdzić, czy też jest tym zainteresowany. Jej oczy w takich momentach błyszcząły w świetle lampy jak złoty bursztyn, szkoda tylko, że marnowała swoją pasję na tak bezsensowne rzeczy, zamiast wykorzystywać ją tam gdzie naprawdę coś znaczyła.

– Jeśli chcesz, mogę ci kupić jeden z tych ładnych drewnianych modeli statków, które widzieliśmy w Bremie. Sprawiłoby ci to przyjemność?

Odchyliła się do tyłu i wzięła kilka głębokich oddechów – takie siedzenie nad książką w zgarbionej pozycji zdawało się zupełnie jej nie odpowiadać.

– Jeśli chcesz mnie uszczęśliwić, możesz odrobinę wesprzeć Paula. Zaraz będzie zdawał egzaminy i potrzebuje trochę książek prawniczych...

– Paul! – warknął niezadowolony. – Naprawdę myślisz, że zda egzaminy końcowe?

– On bardzo się stara, Christianie.

Był w rozterce. Z jednej strony nie chciał jej odmówić, bo prośba była bardzo szczerą, a z drugiej irytował się, że posag Charlotte został zmarnowany, żeby Paul mógł się uczyć. Zaraz po ślubie

położył kres temu rozdawnictwu, teraz on zarządzał majątkiem żony, a ten był pilnie potrzebny jako wkład w rozwój sklepu. Paul nie był złym człowiekiem, prawdopodobnie sprawdziłby się jako dobry rzemieślnik, a może nawet i przedsiębiorca, ale zdaniem Christiana nie nadawał się na prawnika. Całej tej sytuacji, w jakiej się znalazł, winne były chore ambicje Fanny, jego matki.

– Zobaczymy, Charlotte. W tej chwili jest jeszcze kilka zamówień, a także wyjazd do Bremy na zakupy. Muszę zmieścić się w budżecie.

– Czy zabierzesz mnie ze sobą, kiedy pojedziesz do Bremy?

– Kochanie, lepiej zostań w domu w swoim stanie.

– Ale nic mi nie jest! – zaprotestowała gorliwie. – Co najwyżej nuda przyprawia mnie o mdłości. Nie mogę tylko czytać lub grać na pianinie przez cały dzień.

Ponownie ostrożnie objął ją i pogłaskał po ramieniu. Była delikatna i trochę koścista, jak nastolatka, i to mu się podobało, podsycalo jego pożądanie. Kochał tę jej dziecinną, niezupełnie dorosłą aparycję. Można tylko było mieć nadzieję, że macierzyństwo nie zmieni za bardzo jej ciała, miała wyzywające piersi, jędrne, małe, szpiczaste półkule oraz płaski brzuch.

– Możesz ładnie umeblować nasze mieszkanie, coś uszyć, wyhaftować, pojechać na wieczór z przyjaciółkami albo – czego bardzo bym chciał – w końcu założyć niektóre z tych ładnych rzeczy, jakie dostałaś ode mnie i wyglądać pięknie dla swojego męża. Co z tymi wszystkimi sukienkami, kapeluszami i modnymi bibelotami w twojej szafie? Nigdy nie nosiłaś złotego naszyjnika z czerwonymi kamieniami, który dałem ci na gwiazdkę!

Brakowało tylko, żeby pojechała do Bremy! Kilka tygodni po ślubie lekkomyślnie zabrał ją ze sobą, tak naprawdę tylko po to, by zaimponować jej swoimi koneksjami handlowymi, umiejętnościami i wiedzą. Bardzo tego żałował, bo zaczęła mu udzielać rad, nazwała ten czy inny produkt zbyt drogim, a pewnego razu – musiał szybko interweniować – zaczęła targować się z hinduskim handlarzem jak prawdziwa lwica. Tę „drugą naturę” odziedziczyła oczywiście po babci Dirksen, której skąpstwo przesłaniało wszystko inne, do tego stopnia, że w dni powszednie nie pozwalała rodzinie nawet wypić filiżanki kawy.

– Naszyjnik jest piękny, Christianie. Chociaż czasami mam niemal wyrzuty sumienia, że wydajesz na mnie tyle pieniędzy.

– Na kogo innego miałbym je wydać, jeśli nie na ciebie, moja słodka żono. Chcę, żebyś błyszczała, żeby wszyscy ci zazdrościli, bo

jesteś najcenniejszym, co w życiu mam.

Sam poczuł, że jego słowa brzmią zbyt patetycznie, ale powiedział prawdę. Czy ona to czuła? Uśmiechnęła się i potrząsnęła głową, ale jednocześnie przytuliła się do niego trochę bliżej, a on cieszył się tą dobrowolną bliskością, której poza tym bardzo mu skąpiła.

– Ciągle czuję się bezużyteczna, Christianie. Oczywiście dbam o to, aby w domu było przyjemnie, ale kucharka zajmuje się gotowaniem, pokojówka sprząta pokoje, a jeszcze inna kobieta przychodzi robić pranie. Gdybym chociaż mogła pomagać w sklepie. Sprawiłoby mi to wielką przyjemność.

– Sklep lepiej zostaw mnie, Charlotte!

Odpowiedział krótko i stanowczo, ponieważ kłócili się już o to kilka razy. Oczywiście, matka obsługiwała klientów, ale jego żona nie będzie. Po prostu, tak najzwyczajniej w świecie nie chciał tego.

– Mogłabym ci pomóc w prowadzeniu ksiąg – zasugerowała z uporem. – Zawsze byłam jedną z najlepszych w arytmetyce, a kiedy się postaram, potrafię zapisywać liczby tak precyzyjnie, jakby były wydrukowane.

– Nie masz pojęcia o prowadzeniu ksiąg.

Jakaż potrafi być uparta. Nie wydawała się onieśmielona stanowczym tonem jego głosu, przeciwnie, zamiast tego jej oczy teraz płonęły.

– Mogłabym się nauczyć. W salonie postawimy biurko, abyś nie musiał wieczorami siedzieć godzinami na dole w ciasnym pokoju i odmrażać sobie palców. Wyjaśnisz mi, jak prowadzi się księgi i zawsze sprawdzisz, co napisałem, aby upewnić się, że nie ma błędów. W ten sposób mogłabym ci się przydać w sklepie, ale nie pracowałabym za ladą, czego wiem, że nie chcesz.

– Zobaczmy – powiedział, zrezygnowany, przytulając ją jeszcze raz, zanim wstał z sofy. – A może lubisz rysować tuszem? Wyobrażam sobie, że jesteś bardzo utalentowana, kochanie. W każdym razie przywiozę ci blok rysunkowy, pędzel i tusz z Bremy...

– A co z księgami? – nalegała z uporem.

– Książki dla Paula? Musi mi najpierw powiedzieć, jakie mają tytuły...

Teraz jej oczy błyszczały od tłumionego gniewu, a czarne brwi prawie się złączyły u nasady nosa.

– Dokładnie wiesz, które książki mam na myśli, Christianie!

– Nienawidził, kiedy tak gwałtownie mu się sprzeciwiała. Dlaczego była taka nieszczęśliwa? Inni kobiety zazdrościły życia, jakie tutaj

prowadziła. Czyż nie traktował jej niczym księżniczki? Ale ona chciała zamiast tego prowadzić jego rachunki! Dobry Boże!

– Raz na zawsze, Charlotte: tylko ja prowadzę te księgi. Nie chodzi o to, że ci nie ufam, ale to po prostu rodzinny nawyk, tradycja – mój ojciec też zawsze sam prowadził swoje księgi.

Rozczarowanie malujące się na jej twarzy zraniło go, ale chciał pozostać stanowczy bez względu na wszystko. Gdyby raz się zorientowała, że jej ulega, nie będzie potem już nigdy w stanie postawić na swoim.

– Chodźmy do łóżka – zasugerował miękko, wyciągając obie ręce, by pomóc jej wstać z sofy. – Chcesz, żebym przyniósł ci coś jeszcze z kuchni? Jakaś przekąskę? Kubek mleka? Kucharka już śpi, ale jak wiesz sam umiem trafić do kuchni...

– Nie, dziękuję.

Wstała bez jego pomocy, nie spojrzała też na niego, kiedy szła obok w stronę drzwi prowadzących na korytarz. Potem zaczęła krzątać się po łazience. Odkręciła wodę i słychać było, że myła zęby.

W sypialni odsunął kołdry i na każdym z łóżek znalazł blaszane termofory, które wcześniej kazała tam przezornie umieścić. Jakby kochające się małżeństwo potrzebowało głupich podgrzewaczy do łóżek!

Postanowił jak najszybciej pojechać pociągiem do Bremy i zostać tam na noc. Kochał Charlotte, ale w porcie w Bremie znajdował się pewien przybytek, do którego udał się już dwukrotnie od początku swojego małżeństwa. Jedna z dziewcząt, filigranowa niczym chłopiec, miała skórę koloru kawy z mlekiem. Nie krzywdził przecież w ten sposób Charlotte. Po pierwsze, rzadko to robił, a po drugie, przecież była w ciąży.

W pokoju było ciemno, na zewnątrz wokół domu szalała burza, zrywając dachówki i wyjąc między kratownicą umieszczoną w drzwiach sklepu. Charlotte nagle z jękiem usiadła na łóżku i potarła plecy. Co to było? Kiedy kładła się do łóżka, ten ciągnący ból był zupełnie nieszkodliwy, ale teraz przebiegał przez jej żołądek jak gwałtowny skurcz, przychodził i odchodził, nie ustawał całkowicie. Ból przypominał ten, który miała podczas miesiączki, ale przecież była w ciąży, nie miała tych dni. Brak okresu stanowił znak, że kobieta jest przy nadziei, taką wiedzę już posiadała, bo babcia dopuściła ją do tej części skarbnicy swoich doświadczeń.

– Klara? – wyszeptwała.

Cieszyła się, że Christian został w Bremie, bo to Klara była z nią tej nocy. Christian nigdy nie pomagał w takich sprawach, panicznie bał się chorób i bardzo się denerwował nawet gdy tylko się przeziębiła.

– Nie czujesz się dobrze? Zrobić ci rumiankową herbatę? – zapytała cicho jej kuzynka.

Charlotte opadła z powrotem na poduszki z westchnieniem ulgi. Szarpanie zelżało, może już w końcu przejdzie całkiem.

– Boli mnie brzuch. Chyba ta kolacja zalega mi w żołądku.

– Zachowaj spokój. Zrobię ci zaraz ciepły okład.

Rozbłysła zapalka, a potem po pokoju rozprzestrzeniło się żółte światło. W blasku lampy naftowej można było dojrzeć intarsjowaną^[13] komodę z lustrem, chiński jedwabny parawan i ciemnoczerwone zasłony w oknach. Klara stała już przy łóżku i pospiesznie narzucała szal na koszulę nocną, po czym spojrzała na Charlotte i posłała jej uspokajający uśmiech.

– To pewnie burza. Ja też nie mogłam spać z powodu tego hałasu na zewnątrz...

– Połóż się. Myślę, że chyba już przeszło...

– To żaden problem, Charlotte. Piec prawdopodobnie jest jeszcze ciepły. Zaraz do ciebie wrócę.

Kiedy wyszła, kulejąc, zostawiła otwarte drzwi do sypialni, a Charlotte słyszała, jak biedzi się w kuchni z miską i chochlą. Klara nie była taka niezdarna, jak mówiły babcia i ciocia Fanny, kiedy było trzeba, wiedziała, jak należy pomóc. Otworzyła szufladę – musiała wyjąć świeży ręcznik kuchenny, żeby włożyć go do ciepłej wody. Nagle ból powrócił z nieoczekiwaną intensywnością, ściskając brzuch i szarpiąc plecy. Charlotte głośno jęcząc, przycisnęła obie ręce do brzucha i mimo dręczących skurczów poczuła ciepłą ciecz, sączącą się między jej nogami. Dziecko! Ogarnęło ją paraliżujące przerażenie. Było jeszcze o wiele za wcześnie, nie miało się jeszcze urodzić. Pospiesznie odsunęła kołdrę, na chwilę zapomniała nawet o rozdzierającym bólu, a potem zobaczyła długą, jaskrawoczerwoną plamę na białej koszuli nocnej. To była krew – czy kobieta krwawiła, kiedy nosiła w brzuchu dziecko? Wiedziała, że pod żadnym pozorem nie powinna zostać w łóżku, bo wtedy podkład i materac zupełnie przemokną od krwi.

– Klara! Potrzebuję ręczników! Chyba mam okres...

Podciągnęła koszulę nocną i zacisnęła zmiętą tkaninę między nogami. Koszula i tak była teraz zakrwawiona i będzie musiała odmakać w wodzie z octem. Ale na prześcieradle widniała też

jasnoczerwona plama, więc będzie musiała zdjąć je z łóżka, wyprać podkład... Podniosła się szybko, ale zrobiło się jej niedobrze i wydawało się, że widzi przed sobą obracające się skrzydła wiatraka. Znowu ogarnął ją ból, silniejszy niż wcześniej, okalając jej brzuch dookoła niczym piekący pierścień i ściskając go z coraz większą mocą. Zgięła się wpół i chciała oprzeć się o stolik nocny, ale nie mogła znaleźć uchwytu. Stos książek, leżący na stoliku, spadł z łoskotem na deski podłogi. Czuła się tak, jakby jakaś ołowiana ręka leżała na niej przyciskając ją nieubłaganie do podłogi.

– Charlotte! Proszę... otrząśnij się. Powiedz coś. Jestem z tobą...

– To... tak bardzo boli...

Leżała blisko łóżka, nie mogąc zapanować nad własnym ciałem. Gdy tylko podniosła głowę, cały pokój zaczął się kręcić. Między jej nogami było coś śliskiego, ciepłego, coś obcego, co nie należało do niej.

– Obudzę pokojówkę – szepnęła klęcząca obok niej Klara. – Sprowadzi doktora Holzmanna. Leż bardzo spokojnie.

Półświadomie zdawała sobie sprawę, że Klara, kulejąc, wychodzi z pokoju, słyszała jej podekscytowany głos na klatce schodowej, brzmiący rozsądnie i niezwykle stanowczo. Pokojówka lamentowała, że boi się tej strasznej burzy, że jest czarna jak smoła, a wiatr wszystko rozrywa na strzępy. Klara pokuśtykała z powrotem na korytarz, słyszała, że wieszak spadł na podłogę, po czym drzwi do mieszkania się zatrzasnęły. Charlotte zamknęła oczy i próbowała zapanować nad drżeniem, które wstrząsało jej ciałem. Ból zniknął i już nigdy nie powrócił, zostawiając za sobą kołatanie serca i ogromne wyczerpanie.

– Klara? Klara!

Gdzie ona przepadła? Czy w końcu sama poszła po lekarza? Tylko w tym szalu zarzuconym na koszulę nocną? To przecież absurd, już po wszystkim. Nie było już bólu, zawroty głowy ustąpiły, tylko drżenie ciała jeszcze pozostało. Usiadła ostrożnie, rozpięła guziki koszuli nocnej, ściągnęła ją i wytarła krew spomiędzy nóg. Nie chcąc wiedzieć, co kryje się w jej fałdach, zostawiła zwiniętą na podłodze i naga podeszła do komody po czystą koszulę.

Gdy Holzmann pojawił się w mieszkaniu po ponad godzinie, razem z całkowicie przemarzniętą Klarą, Charlotte leżała na stronie Christiana w świeżo pościelonym łóżku, materac był wyprany, a na nim rozłożone białe ręczniki. Zakrwawiona koszula też zniknęła, wepchnęła ją do wiadra i zniosła po schodach na ganek.

– Poronienie – warknął lekarz, z trudem powstrzymując złość z powodu niepotrzebnego zakłócania nocnego spokoju. – Czy pani tańczyła? Za bardzo się ruszała?

– Nie.

– Wie pani, że kobieta w ciąży powinna być cicha i wycofana. Lekkie jedzenie, bez kawy, a nawet alkoholu, trzeba chodzić wcześniej spać. Żadnych ekscytacji.

– Tak.

Nie chciał nawet jej zbadać, zalecił leżenie w łóżku, wzmacniające jedzenie, od czasu do czasu kieliszek czerwonego wina na wyrównanie utraty krwi. Następnie pobrał honorarium, oczywiście było wyższe ze względu na porę nocną. Klara musiała pójść do sklepu, bo w mieszkaniu nie trzymali tyle gotówki. Charlotte nie słyszała już nawet, jak wychodził z domu, by pośród trzaskających piorunów i wichury wrócić do swojego wciąż jeszcze ciepłego łóżka. Czuła jedynie wszechogarniające zmęczenie i dziwną pustkę, jakby wszystko, co się wydarzyło, przestało ją obchodzić. Chciała tylko spać, zanurzyć się głęboko w studni zapomnienia, gdzie mogła dryfować w chłodnej ciemności, bez snów, bez świadomości, bez pamięci.

Wzruszyła ją rozpacz, z jaką Christian przyjął tę wiadomość następnego dnia. Zostawił sklep pracownikom i spędził popołudnie, siedząc przy łóżku, trzymając ją za rękę, roniąc łzy i błagając, by szybko wyzdrowiała.

– To nie twoja wina, Charlotte... Nie zrobiłaś nic złego... To było przeznaczenie...

Posyłał Klarę i pokojówkę, żeby przynosiły dla Charlotte różne drobiazgi, pokłócił się z kucharką, a wieczorem zrobił żonie niespodziankę złotym pierścieniem w kształcie zwiniętego węża.

– Kupiłem go dla ciebie w Bremie, moja kochana. Spójrz, pasuje na twój palec, jak ulał. Czy dobrze wybrałem?

Udawała, że jest szczęśliwa, żeby go nie urazić. Potajemnie jednak uważała, że taki prezent jest zbyt przesadny. Tak jak i jego nadmierny smutek, a te wysiłki, by uczynić łożo boleści tak wygodnym, jak to tylko możliwe, raczej ją osaczały, niż pomagały. Ukojenie znajdowała tylko w tych kilku chwilach, kiedy była sama z Klarą.

– Opuściło mnie, zanim je poznałam, zanim mogłam je potrzymać w ramionach...

– Na pewno czuło twoją miłość, Charlotte, i już na zawsze w nim pozostanie. Nikt nie wie, dlaczego musiało odejść. Bóg je powołał

i dlatego tak musiało się stać.

Nocą we śnie zobaczyła znowu, po dość długim czasie, dumny trójmasztowiec, sunący po falach, wiatr szarpał jego żaglami, morze mieniło się na niebiesko i zielono, a piana tworząca się przed dziobem statku była nieskazitelnie biała. Co dziwne, ten sen ją uspokoił. W stałym pędzie statku i mocnym ruchu fal odnalazła ulgę, a wszystkie jej smutki nagle zniknęły.

– Czy cię nie ostrzegałam? – zapytała babcia. – Ale wolałaś cały czas siedzieć przy pianinie. Każdy normalny człowiek widzi, że to niezdrowa pozycja dla kobiety w ciąży!

Ku zdziwieniu Christiana Charlotte pozostała w łóżku tylko przez jeden dzień, po czym nalegała na powrót do normalnego życia. Nic jej nie dolegało, nie była chora i najchętniej chciałaby się też obyć bez wizyt rodziny składającej kondolencje. Siedziała, zręczliwa, w salonie, otwierając kolejno książki, które z powrotem odkładała po chwili, lub apatycznie uderzając kilka akordów na pianinie. Owinięta wełnianą płachtą stała przy oknie i trzęsąc się, patrzyła na mokrą ulicę. Kucharka i pokojówki nie mogły jej dogodzić, praczce dała wyraźnie odczuć swoje niezadowolenie. Nawet Klara usłyszała od niej kilka zjadliwych uwag. Ciągłe zatroskany wyraz twarzy Christiana działał jej na nerwy, unikała go jak tylko mogła, kładła się wcześniej wieczorem do łóżka i udawała, że śpi, kiedy do niej przychodził. W nocy leżała, nie mogąc zasnąć i rozmyślając. Tęskniła za zgiełkiem panującym niegdyś w domu dziadków, za bezmyślną paplaniną Ettje, za wygłupami Paula, tak, nawet za energiczną ręką babci, która doprowadzała wszystkich i wszystko do porządku. Ileż to razy marzyła wtedy o pokoju tylko dla siebie, własnej szafie lub chociaż komodzie, a teraz miała całe mieszkanie, książki i nuty, ubrania i biżuterię, ale żadna z tych rzeczy nie miała dla niej najmniejszego znaczenia. Dlaczego nie miała radosnej natury Klary? Klara potrafiła się dopasować do każdego i ze wszystkiego była zadowolona. Szyła i haftowała, zaglądała do różnych książek, a ostatnio poprosiła o pudełko z farbami, które Charlotte niedbale wrzuciła do szuflady w komodzie. Teraz z wielkim zapałem wyczarowywała na papierze filigranowe listeczki, posplatane ze sobą płatki śniegu i delikatne piórka.

Może właśnie na tym polegało życie? Dopasowywać się wszędzie i dawać z siebie, ile się potrafiło? Tam gdzie Bóg nas umieścił, wiernie wypełniać swój obowiązek? Tak mawiał dziadek i zapewne

było w tym sporo sensu. Charlotte miała natomiast poczucie, że została umieszczona w niewłaściwym miejscu. Ciągle słyszała, że:

– Kobieta ma być w domu, tam jest panią i powinna wiernie zarządzać majątkiem, dbać o wychowanie dzieci. Na zewnątrz natomiast rządzi mężczyzna, ona musi podporządkować się jego decyzjom, bo to on odpowiada za rodzinę!

Christian był teraz poza domem dość często, również w nocy, kiedy musiał jechać do klientów, aby załatwić różne sprawunki, kupić towary lub rozwiązać sprawy celne. Kiedy wracał, wydawał się Charlotte spięty i czuła wyrzuty sumienia, gdy nie spełniała jego próśb. Nie była ładnie ubraną lalką, którą chciał z niej zrobić, ani tym bardziej namiętną kochanką. Śmiał się z niej, gdy w końcu zdecydowała się zapytać o jego zdrowie.

Kilka razy w czasie jego nieobecności zeszła na dół do sklepu, czego tak naprawdę nie wolno jej było robić. Obejrzała magazyn i obserwowała poczynania pracowników sprzedających w sklepie, ale bardzo się jej nie spodobało to, co zobaczyła. Dwie młode kobiety były schludnie ubrane i przyjazne, ale zupełnie pozbawione wyobraźni w trakcie obsługi klientów. Przynosiły tylko to, o co prosili i wzruszały ramionami z żalem, gdy towar nie był dostępny. Charlotte była pewna, że ją byłoby stać na więcej. Sprzedawca miał za zadanie rozmawiać z klientami, stworzyć przyjemną atmosferę, dowiedzieć się, czego mogą potrzebować, a następnie zaoferować im wszystkie ładne rzeczy, które wciąż czekały na półkach magazynowych. Dlaczego nie było specjalnych obniżek cen jak w innych sklepach? To by przyciągnęło klientów. I czemu ten młody czeladnik kręcił się tylko leniwie po magazynie i żuł laski lukrecji? Od razu znalazła pracę, którą mógłby się zająć: trzeba było wycierać witryny, drzwi skrzypiały niemiłosiernie i przydałoby się naoliwić zawiasy, a na górnych półkach kłębił się kurz. Pracownicy nie zadali sobie jednak najmniejszego trudu, żeby wykonać jej polecenia, zamiast tego złośliwie oświadczyli, że zapytają pana Ohlsena, czy konieczne jest zrobienie tego wszystkiego. Wiedzieli doskonale, że młoda pani Ohlsen nie pojawia się w sklepie i z pewnością nie ma tu nic do powiedzenia.

– Dlaczego nie zaangażujesz się w spotkania chóru? – Christian zapytał ze złością, kiedy powiedziano mu o wizytach Charlotte w sklepie. – Szukają kogoś, kto będzie im akompaniować na pianinie – to mogłoby być dobrym zajęciem dla ciebie.

– Chcę zrobić coś sensownego!

Westchnął głęboko i spojrzał w sufit, jakby był tam ktoś, kto rozumie jego zmartwienia.

– W czasie damskich spotkań zboru luterańskiego kobiety robią na drutach skarpetki i czapki dla dzieci mieszkających w sierocińcach. O ile mi wiadomo, te prezenty są potem pakowane na Boże Narodzenie i rozdawane podczas uroczej ceremonii...

– Wiem...

Zrobiła pogardliwą minę i tym samym go uciszyła. Z rezygnacją sięgnął po „Leerer Anzeiger”, przestudiował ogłoszenia, a następnie pograżył się w lekturze relacji z protestów w Reichstagu przeciwko dymisji Bismarcka. Spojrzała na jego czoło, na którym wciąż widoczne były poziome linie, nie chcące zniknąć, i pomyślała o jego ojcu. Nie miało żadnego sensu tłumaczenie, że nie czuła się dobrze wśród kobiet z kongregacji luterańskiej, że nie ma ochoty rozmawiać o małych dzieciach, przepisach na przetwory z owoców i koronkowych kołnierzykach robionych szydełkiem. Ani tego, że źle śpiewane dźwięki podczas spotkań chóru powodowały u niej ból uszu. Żadna z tych głupich gęsi nie miała pojęcia o nawigacji ani geografii, bo jeśli w ogóle czytały książki, to były to chrześcijańskie powieści o żonach pobożnych pastorów.

– Dlaczego nie ubierzesz się ładnie, Charlotte? Zawsze ta sama sukienka i ten sam wełniany szal na ramionach!

– Bo marznę.

Był już koniec marca, ale zima uparcie opierała się nadchodzącej wiosnie. Na Ledzie dryfowały kry, a zamarznęte łąki nad Nesesem lśniły w padającym z ukosa porannym słońcu. Jak na ironię, do Charlotte, pogarszając tym samym jej stan psychiczny, napływały same złe wieści. Kantor Pfeiffer, ukochany i jedyny muzyczny powiernik, zmarł na zapalenie płuc i niedawno został pochowany. Według życzenia umierającego to Charlotte w udziale miały przypaść pozostawione instrumenty oraz nuty, ale jego siostra broniła dobytku niczym furia, więc młoda pani Ohlsen zrezygnowała z tego problematycznego spadku. Człowiek ten zasiał w jej sercu miłość do muzyki, więc po co jej jego nuty i instrumenty? Wszystkie szczęśliwe godziny, które wspólnie spędzili, zapisała na zawsze w pamięci, nigdy nie zapomni ani jednej nuty, ani jednego słowa, które do niej wypowiedział. Zawsze będzie też szanowała jego entuzjizm i wieloletnią służbę wielkim mistrzom, którym był tak wiernie oddany.

Martwił ją również dziadek, którego zdrowie także wyraźnie się pogarszało. Czasami bolało go serce, czasami plecy, czasami nie

mógł swobodnie oddychać, więc obawiano się najgorszego. Ciocia Fanny albo babcia musiały go ubierać i kłaść na fotelu w gabinecie, nie miał na tyle sił, aby samodzielnie zejść po schodach do salonu, a dwie starsze kobiety, nawet wspólnie nie były w stanie go tam zanieść. Ettje też niewiele była w stanie pomóc, bo spodziewała się kolejnego dziecka, już trzeciego. Tym razem z pewnością miała to być dziewczynka. Dwóch ruchliwych chłopców pod jednym dachem, w zupełności wystarczyło. Ileż razy to Ettje zazdrościła kuzynce Charlotte, a teraz było odwrotnie – Ettje była szczęśliwą matką, podczas gdy Charlotte czuła się bezużyteczna i zbędna.

Kiedy nadeszła wiadomość, że Paul nie zdał końcowego egzaminu, Christian chodził tam i z powrotem po salonie z obiema rękami położonymi na czole w geście wściekłości.

– Tyle pieniędzy wydanych na nic! A ja mogłem je tak dobrze wykorzystać w sklepie, na tak wiele sposobów!

– Ale i tak ci się udało, Christianie. Sprzedaż idzie świetnie, prawda?

Zatrzymał się, opuścił ręce i spojrzał na nią. Potem uśmiechnął się i przygładził swoje zmierzwiłone włosy.

– Oczywiście – mruknął. – Wszystko idzie bardzo dobrze, ale byłoby łatwiej z tymi pieniędzmi...

Mróz nie chciał odpuścić, nawet po Wielkanocy słońce rzadko się pojawiało, północny wiatr niósł ze sobą marznący deszcz i pokrywał chodniki cienką, błyszczącą taflą. Drewno i węgiel drzewny już im się kończyły, ponieważ Charlotte cały czas kazała ogrzewać mieszkanie. W ciągu dnia siedziała odwrócona plecami do pieca, miała na sobie ciepłe skarpetki i wełniany szal ciasno owinięty wokół ramion, ale jej palce były tak zmarznięte, że ledwie mogła przewracać strony książki, a gra na pianinie była dla niej niemożliwa. Kładąc się do łóżka, przyjmowała pod kołdrą pozycję kota zwiniętego w kłębek, obejmując swoim ciałem termofor. Pomimo to, nadal czuła zimno przenikające jej plecy. To nie był ten sam mróz, który sprawiał, że sople lodu rosły na rynnach na zewnątrz domów i obsypywał szronem w kształcie gwiazdek gonty dachu. To był inny rodzaj mroźnego chłodu, oporny na ciepło pieca oraz ognia, taki, z którym nie mógł się mierzyć nawet ukochany wełniany szal.

W pochmurny kwietniowy poranek Charlotte stała przy oknie i wpatrywała się w szarą mgłę, która przesuwiała się kierunku miasta znad rzeki.

– Spójrz – powiedziała Klara. – Narysowałam to dla ciebie. Podoba ci się?

Charlotte westchnęła. Rysunki Klary prawie zawsze były tworzone dla niej, ukazując ją od przodu lub z profilu. Ona i Christian ustawili mały stolik i krzesło w salonie dla jej kuzynki, żeby nie rozlała czarnego atramentu na piękną tapicerkę, zwłaszcza że pewnego razu przewróciła pojemniczek z tuszem – pod wpływem ekscytacji wywołanej jedną z jej artystycznych inspiracji.

– No pokaż mi. Czy to kolejny mój portret? Boję się, że będzie jak zawsze: nie potrafię rozpoznać siebie na twoich rysunkach.

– Nie, tym razem to krajobraz.

Widać było na nim wzgórze zaznaczone zaledwie kilkoma pociągnięciami pędzla, a za nimi postrzępiony wierzchołek piramidy. Obok niej palma uginająca się na wietrze, pełna wdzięku i jednocześnie twarda w swojej giętkości. Jeźdźcy, ledwie zarysowani, ale dobrze rozpoznawalni, karawana poruszająca się powoli między wysokimi wydmami...

– Musiałam pomyśleć o Marie – wyjaśniła Klara, podczas gdy Charlotte wciąż wpatrywała się w karton bloku rysunkowego. – I o George'u.

– O George'u...

Ile czasu minęło od tamtego dnia? Tylko dziewięć lat temu, a wydawało się, że cała wieczność. Wtedy, kiedy wyznali sobie swoje sny na Plytenbergu, miała nadzieję, że dokończy to jedno zdanie, które brzmiało jak obietnica jak obietnica, mogąca zmienić całe jej życie. Ale nie zrobił tego. A teraz było już za późno.

– Dlaczego nie napiszesz do Marie? Babcia nie kwapi się, aby odpowiedzieć na jej ostatni list, choć leży u niej już od tygodni.

– Ja?

Klara spojrzała na nią czule i uśmiechnęła się porozumiewawczo. Nic się między nimi nie zmieniło.

– W Egipcie musi być teraz tak gorąco, że człowiek poci się nawet w cieniu.

Charlotte zawahała się. Do tej pory Marie pisała tylko do swoich dziadków i przesyłała pozdrowienia wszystkim krewnym w Leer. Jej charakter pisma był schludny, jak u uczennicy, a listy czytano na głos podczas odwiedzin, ale zawsze odpowiadał na nie tylko dziadek. Charlotte nigdy nie myślała o napisaniu własnego listu do Marie. Właściwie w ogóle powinna? Wiadomości od Marie kierowane do rodziny ograniczały się do wyliczania trosk o dzieci, skarg na

nierzetelnych pracowników, narzekań na brak znajomych mówiących po niemiecku oraz na strach przed burzami piaskowymi. Jej żywiołowa natura, pogoda ducha oraz urok osobisty, nie dawały o sobie znać, gdy czytało się zapisane w listach słowa. Prawdopodobnie prawdziwą naturę Marie można było poznać dopiero, gdy stawało się z nią twarzą w twarz. Należała do trzeźwo myślących kobiet; miała praktyczny zmysł babci, była dobrą żoną, rozsądną panią domu, a także troskliwą matką. Nie więcej, ale też nie mniej. George nigdy nie napisał długiego listu do swoich krewnych w Leer, co najwyżej wcisnął kilka słów pod szczegółowymi opowieściami Marie, czasem ograniczał się tylko do napisania pozdrowienia i swojego imienia.

Charlotte otrzymała pozwolenie na napisanie listu od swojej babci, która tak naprawdę cieszyła się, że mogła wyrzec się tej żmudnej papierkowej roboty, i spędziła trzy popołudnia na tworzeniu swojego pierwszego listu do Egiptu. Napisała w imieniu każdego z krewnych, wymieniając wszystkie rodzinne wydarzenia z ostatnich kilku tygodni, relacjonowała budowę nowego ratusza w Leer, spotkania w kościele luterańskim, a także dodała opisy kilku wesołych incydentów, by trochę rozbawić Marie. Na końcu listu przesłała pozdrowienia dla dzieci i George'a. Książkę, którą dał jej przed laty, przeczytała z wielką przyjemnością nieraz. Angielski nie był przeszkodą, w końcu mówiła w tym języku jako dziecko.

Nie chciała dodawać więcej, choć czuła się w obowiązku napisać o tej książce, wyrazić swój entuzjazm dla barwnych opisów, rysunków i relacji z podróży po Nilu. Jakże podziwiała tę kobietę, która w męskim stroju podróżowała wśród egipskich i sudańskich żeglarzy, żeby obserwować i badać krainę faraonów.

Czekała tygodniami na odpowiedź, chowając w sercu maleńką nadzieję, o której nie rozmawiała nawet z Klarą. Ale ta mała iskierka wystarczyła, by pokonać przenikające zimno i podnieść ją na duchu. Nagle znów znalazła radość w grze na pianinie. Zaproponowała nawet akompaniowanie chórowi kościelnemu i cierpliwie grała chorały oraz szanty morskie, rozdzierające serce „Abendlied” Friedricha Silchera czy uproszczone refreny z oratoriów Bacha.

– Widzisz, mój skarbie – powiedział z satysfakcją Christian. – To tylko kwestia całkowitego oddania się czemuś ważnemu. Słyszałem hymny pochwalne na twoją cześć ze wszystkich stron, a nawet zostałeś wymieniona z imienia i nazwiska w artykule prasowym z okazji majowych obchodów święta pieśni kościelnej.

Uśmiechnęła się i była zadowolona, że wyświadczyła mu przysługę, chociaż była szczerze obojętna na pochwały i wzmianki w gazecie. Czasami zastanawiała się, co tak naprawdę chciała uzyskać z wymiany tych listów. Gdyby George w ogóle przeczytał jej słowa, byłby co najwyżej zadowolony. W najgorszym możliwym obrocie spraw, mógł sobie przypomnieć nieprzyjemną scenę sprzed ośmiu lat i ponownie obudziłaby się w nim złość. Bez względu na to, jak ją wspomina po tych wszystkich latach, nie było powodu, by otrzymała od niego jakąkolwiek odpowiedź. Pod koniec czerwca do domu dziadków dotarł list z brytyjskiego protektoratu Egiptu. Zawierał długi list od Marie, fotografię i złożoną kartkę papieru, którą babcia przekazała Charlotte.

– Co za charakter pisma – powiedziała, kręcąc głową. – Ale, no cóż, George jest naukowcem. Cieszę się, że chociaż Marie pisze takie ładne, czytelne listy.

Puls Charlotte nagle skoczył gwałtownie z ekscytacji. Najpierw jednak musiała jeszcze usiąść obok Klary w salonie dziadków, wypić podaną kawę i przeczytać na głos list Marie. Ciocia Fanny też chciała usłyszeć jego treść, ale jej oczy były zbyt słabe, by sama mogła odczytać litery.

– Jak pięknie wygląda Marie! – powiedziała babcia, która wyjęła okulary, by jeszcze raz przyjrzeć się zdjęciu. – A te maluchy, jak już urosły. Berta skończy w tym roku sześć lat, a Johannes cztery...

Zdjęcie przypominało stare zdjęcie jej rodziców, które – wciąż ozdobione żałobną wstążką – wisiało w salonie. Wyblakłe i całkiem zbrązowiałe. Marie siedziała sztywno na krześle. Przybrała na wadze, a jej uśmiech był raczej triumfalny niż zalotny. Za nią stał George, ubrany w jasny garnitur, nadmiernie szczupły, z jedną ręką zwisającą w dół, a drugą zgiętą i ułożoną na ramieniu Marie. Twarz miał opaloną, co mocno kontrastowało z jasnymi włosami i brwiami, policzki wydawały się zapadnięte, a oczy miały dziwny wyraz, który mógł oznaczać zniecierpliwienie, ale też i niepokój. Pewnie po prostu irytowała go niekończąca się sesja z fotografem.

– Czy nie chciałabyś przeczytać nam listu do ciebie, Charlotte? – nalegała ciocia Fanny.

– Och, chyba najpierw będę musiała rozszyfrować go sama, w spokoju. Innym razem...

Klara weszła po schodach do pracowni dziadka, żeby z nim trochę porozmawiać. Jej oczom ukazał się, niestety, bardzo smutny widok: pastor Henrich Dirksen wyglądał jakby zmalował w ciągu ostatnich kilku

miesiący i nie mógł już siedzieć prosto na swoim krześle. Musiał być podparty mnóstwem poduszek. Tylko jego duch był nadal zdrowy, ale nawet to nie było błogosławieństwem, ponieważ doskonale rozumiał, co się z nim dzieje i cierpiał z powodu swojego żalosego stanu.

Charlotte oczywiście towarzyszyła kuzynce, ale dziś musiała się zmusić, żeby posiedzieć z nim chociaż przez chwilę, głaszcząc jego wykrzywioną dłoń i rozmawiając o najróżniejszych nieistotnych sprawach. Źle się czuła z tym, że namawiała Klarę do szybkiego wyjścia, ale w jej torbie czekał list George'a, z którego przeczytała na razie tylko nagłówek:

Moja kochana mała Charlotte...

Dziwnie mocno ją to poruszyło, a przecież nie była już małą dziewczynką, która siedziała na trawie pod dębem. Chociaż może wolałaby znowu nią być... Klara wycofała się do swojego pokoju, kiedy wrócili na Pfefferstrasse. Była zmęczona długą podróżą i musiała trochę odpocząć. Christian został na dole w sklepie, dzisiaj miał pracować dłużej, ponieważ chciał jutro znowu pojechać do Bremy na dwa dni.

Moja kochana mała Charlotte,

jakże się ucieszyłam, że mimo wszystko mój prezent Ci się spodobał, początkowo bałam się, że dokonałam naprawdę złego wyboru. Amelia Edwards była nie tylko odważną kobietą, ale także wspaniałą pisarką i dlatego wybrałam dla Ciebie tę książkę. Czytasz więc dzienniki podróżnicze? Innych autorów też? Napisz mi o tym, jestem ciekaw Twoich opinii. Napisz mi również, proszę, co robisz w ciągu każdego długiego, cudownego dnia. Czy nadal grasz na pianinie, chodzą Ci po głowie te piękne, malownicze krajobrazy i chcesz podróżować gdzieś daleko wraz z chmurami?...

W małym rewanżu chciałbym Ci trochę opowiedzieć o sobie. Czy pamiętasz naszą rozmowę, kiedy pewien młody marzyciel zachwycał się czerwonymi wydmami i majestatyczną pustynną samotnością? Tak, doświadczyłem tego na własnej skórze – jazda pustynią, wielka nicość, bezkresna pustka, strefa śmierci. Widziałem to w całym przerażającym majestacie i wspaniałości, czułem żar, który próbował wypchnąć moje oczy z oczodołów, mój język spuchł, a mózg zaczął się gotować. Ale widziałem też srebrną misę księżycy nad wydmami i migoczącą sieć rozgwieżdżonego nieba na czarnym aksamicie nieba. Dwukrotnie spojrzałem śmierci w oczy i poczułem, że życie we

mnie jest silniejsze niż kiedykolwiek wcześniej. Cóż za niestworzone rzeczy Ci tutaj wypisuję, moja mała przyjaciółko! Nie chciałem cię przestraszyć, ale jestem wciąż przepętniony wszystkim, czego doświadczyłem, i liczę na to, że może Ci się spodobać te moje wywody.

Pozwól, że na dzisiaj już zakończę. W Kairze jest już noc, ale wszędzie na dachowych tarasach widać światła, ludzie siedzą razem, rozmawiają i jedzą, próbując się trochę ochłodzić po dusznym upale dnia.

George

PS. Czekam na Twój list!

To było więcej, niż mogła sobie wymarzyć w najśmielszych snach. Wszystkie minione lata nagle wydawały się wymazane, jakby teraz, po tym, co się wydarzyło, można było po prostu ponownie wziąć nić do ręki i nawijać dalej na niewidocznym kołowrotku. Czytała list w kółko, ważąc każde słowo, zastanawiając się nad każdym zdaniem, próbując zrozumieć tego człowieka, dla którego piękno i przerażenie, życie i śmierć tak ściśle się ze sobą splatały. Czy był marzycielem? Z pewnością. Ale jednym z tych realizujących swoje zamierzenia. Podczas gdy ona widziała przed sobą tylko piękne obrazy, on odczuwał życie wszystkimi zmysłami, przeżywał tak wiele, włącznie z udręką, strachem przed śmiercią, przerażeniem. Teraz rozumiała niepokój w jego oczach – był głodny tego życia, rzucał mu wyzwania, siłował się z nim, popychał je do granic możliwości. George Johanssen był tym, który bez wahania sięgnął po kielich bogów, by delektować się nim do dna. Jakże zazdrościła mu tej odwagi! Ona, zamknięta w złotej klatce, z podciętymi skrzydłami, mogąca nieco tłumić swoją tęsknotę za wolnością jedynie książkami i muzyką. Nie usprawiedliwiła jej nawet to, że jest kobietą. Amelia Edwards, Alexandrine Tinné^[14] przecież nic sobie z tego nie robiły...

Charlotte nie pokazała tego listu nikomu, nawet Klarze, która też zresztą o niego nie pytała. Jeszcze przed powrotem Christiana napisała odpowiedź i zaniosiła ją na pocztę. Starannie dobierała słowa, nie chcąc, by George wyczuł, jak samotna i nieszczęśliwa czuje się w małżeństwie. Zamiast tego wymieniła część książek, jakie przeczytała, i napisała, co o nich sądzi. „Quer durch Afrika” Gerhardta Rohlfsa^[15] w niektórych fragmentach wydawała jej się zbyt powierzchowna i uważała, że podróżnik wkładał zbyt mało wysiłku w zrozumienie obcych kultur, które poznawał. Heinrich Barth^[16] był za to bardzo skrupulatny i precyzyjny, jego ciekawość świata i chęci do

zglębienia wiedzy robiły na niej wrażenie, ale książki tego autora były zbyt trudne do czytania. Henry'ego Mortona Stanleya^[17] uznała natomiast za aroganckiego, ekstrawaganckiego i zakochanego w sobie. Przez chwilę zastanawiała się, czy Marie w ogóle brała udział w podróżach George'a, ale gdyby brała, z pewnością napisałaby o tym rodzinie w swoich listach. George prawdopodobnie realizował te swoje przedsięwzięcia w towarzystwie przyjaciół i miejscowej ludności. Zakończyła list zapewnieniem, że bardzo podobała się jej jego opowieść i nie może się doczekać, aby usłyszeć więcej.

Dla niepoznaki dołączyła w kopercie również list do Marii, a także jeden z rysunków Klary. Oczywiście nie jeden z jej portretów, ale zdjęcie przedstawiające widok z okna: spiczaste dachy, kominy, a nad nimi szare niebo naszkicowane w kilku kreskach; miejsca, które na rysunku pozostawiono białe, oznaczały płynące chmury.

Oczekiwanie na odpowiedź, trwające tygodniami było wyczerpujące. Wyobraziła sobie, jak jej list jedzie pociągiem do Hamburga, a potem jest ładowany na jeden z parowców Reichspost^[18] i wiązany z innymi w torbie pocztowej gdzieś w ładowni statku. Statek musiał następnie przepłynąć wzburzone morze, zwłaszcza w kanale La Manche, a następnie na Atlantyku wzdłuż wybrzeży Francji i Hiszpanii, by wreszcie dotrzeć do Morza Śródziemnego w pobliżu Gibraltaru. Ale było lato, morze powinno być łaskawe, parowiec wiozący jej list zapewne zacumuje bezpiecznie w Marsylii, a potem w Neapolu i bezpiecznie dotrze do portu w Port Saidzie na afrykańskim wybrzeżu. Stamtąd nie było już daleko do Kairu. Obliczyła, że taka podróż zapewne potrwa przynajmniej dwa tygodnie i jeżeli George odpisze natychmiast, to listu z odpowiedzią mogła spodziewać się pod koniec lipca.

Charlotte rozkwitła na nowo. Prosiła Christiana o kupowanie jej książek o Egipcie, zagłębiała się w tajemnice faraonów, czytała o Jeanie-François Champollionie i kamieniu z Rosetty, który umożliwił rozszyfrowanie egipskich hieroglifów. Ku jej zaskoczeniu mąż również wydawał się zainteresowany tym, o czym czytała. Wbrew wcześniejszym zwyczajom często wieczorami siadał z nią przy książkach. Czy chciał jej tym zrobić przyjemność? Z jednej strony uznała ten gest za wzruszający, z drugiej, czuła się wyczerpana, ponieważ nie miała ochoty rozmawiać z nim o tych wszystkich fascynujących kwestiach. Promień, który się w niej zapalił, nie miał nic wspólnego z Christianem Ohlsenem.

Pewnego wieczoru na początku sierpnia, kiedy właśnie odchodziła od zmysłów w oczekiwaniu na odpowiedź i rozważała ponowne pójście do domu dziadków na Ulrichstrasse, Christian beztrudno rzucił list na stół. George wysłał list na jej adres przy Pfefferstrasse i leżał między pocztą, którą listonosz przynosił do sklepu każdego ranka.

– Marie musiała do ciebie napisać – zauważył Christian.

– O tak – powiedziała szybko, starając się ukryć podekscytowanie.

– Babcia poprosiła mnie o kontynuowanie korespondencji...

Odłożyła list, pozornie niedbale, i zaczęła opowiadać o dziwnym gościu, próbującym tego ranka dostać się do mieszkania. Pytał o Christiana, a kiedy zapewniła go, że jej mąż jest w sklepie na dole, nie chciał uwierzyć.

– Co to był za człowiek? Jak on wyglądał?

– Nosił zieloną kamizelkę i miał ogromne wąsy. Wydaje mi się, że był to handlarz z Bremy, ale niestety zapomniałam jego nazwiska.

Odwrócenie uwagi od listu zadziałało idealnie, bo Christian bardzo się zdenerwował i odsądzał od czci i wiary człowieka, który włamuje się do cudzego mieszkania, a co więcej, pod nieobecność pana domu.

– Czy nie było go w sklepie na dole?

– Na pewno nie!

– Czy powinnam była wysłać pokojówkę na komisariat?

– Ale nie... nie. To... to po prostu niestosowne i denerwuje mnie takie zachowanie.

Próbowała uspokoić męża, jednocześnie dyskretnie wsuwając list pod poduszkę leżącą na sofie. Planowała przeczytać go później, gdy będzie zupełnie sama. Czy musiała mieć z tego powodu wyrzuty sumienia? Oczywiście, utrzymywanie sekretów przed mężem nie było w porządku – ale co złego tak naprawdę robiła? W końcu nie był to list miłosny, tylko przyjacielska wymiana zdań, a przecież George był rodziną. Ponadto jej radosny nastrój sprzyjał również Christianowi, opiekowała się nim, ubierała tak, jak zawsze chciał, układała włosy w nowy sposób i okazywała czułość, kiedy jej pragnął. Jednak ostatnio zdarzało się to bardzo rzadko.

Dopiero następnego ranka znalazła okazję, by otworzyć list George'a. Był bardzo długi, a oprócz listu, w kopercie znalazła również dwie gęsto zapisane kartki, na których odwrocie znajdowały się szkice ołówkiem: roślin, zrujnowanych murów jednej z osad, łodzi z wąskimi żaglami i wioślarzy na spokojnie płynącej rzece.

*Moja droga przyjaciółko,
z jakim entuzjazmem przeczytałem Twój list! Miałem przeczucie, że Ty też pozostałaś wierna swoim marzeniom, nie mogło być inaczej, przecież one są częścią Ciebie. Stałaś się mądrą dziewczyną, droga Charlotte. Twoja ocena różnych dzienników podróжных zgadza się całkowicie z moimi odczuciami, również nie podoba mi się styl Stanleya, chociaż jest genialnym pisarzem. Jeśli możesz, przeczytaj „Quer durch Afrika” Verneya Lovetta Camerona^[19], myślę, że bardzo ci się spodoba...*

Nie napisał niczego o Marie, ani słowa o dzieciach, ale wspominał o swojej pracy w klinice, która co prawda była placówką brytyjską, ale leczono tam także rdzenną ludność. Oburzało go, że nawet od najbiedniejszych żądają pieniędzy, których oni zwyczajnie nie mają. Kilka razy opiekował się tymi ludźmi za darmo i wywołał tym gniew ze strony kolegów po fachu.

Wieczorami, kiedy szukam chłodu nocy na tarasie na dachu, często żałuję, że nie możesz usiąść obok mnie i spojrzeć mi przez ramię, gdy piszę. Zaplanowałem spisanie moich doświadczeń, ale nie czuję się pewnie w piśmie i boję się, że obiorę niewłaściwy ton oraz kierunek. Czy mogę Cię prosić o przyjrzenie się tym pierwszym i niewątpliwie bardzo nieudanym próbom? Nie żartuję, Charlotte, jesteś jedyną osobą, której ufam w kwestii tych moich zapisków...

Charlotte musiała przerwać czytanie listu, żeby opanować ogarniające ją uczucia. Czysta satysfakcja przewyższająca wszystko, to był prawdziwy triumf. Powierzył te zapiski jej, a nie Marie, swojej żonie, która mieszkała z nim w Egipcie i z łatwością mogłaby podjąć się tego zadania. Jednocześnie wezbrała w niej gorycz. Powinien wtedy powiedzieć tylko to jedno słowo, dać odrobinę nadziei. Dlaczego nigdy nie poprosił jej o przyjazd do Egiptu? Mogłaby mieszkać w jego domu, pomagać Marie i dotrzymywać jej towarzystwa... Trzy lata temu osiągnęła pełnoletność i miała do dyspozycji swój posąg. Wolał milczeć przez dziewięć lat, a teraz lamentował, jak dobrze byłoby, gdyby usiadła obok niego! Charlotte przyszła do głowy negatywna myśl. Może faktycznie rozważał zaproszenie jej, a to Marie się nie zgodziła? Jej kuzynka potrafiła być bardzo sprytna i zawsze dostawała to, czego chciała. Natychmiast zawstydziło ją to podejrzenie i pograżyła się w lekturze dziennika podróży George'a. Zauroczył ją. Ledwie przeczytała dwa pierwsze zdania, a już miała wrażenie, że czuje smak czerwonego pustynnego pyłu na języku, wdycha zapach wielbłądów, słyszy krzyki walczących

Beduinów. Z drżącym sercem pochłonęła relację z burzy piaskowej, która prawie zabiła George'a i jego towarzyszy. Była tam z nim, klęczała u jego boku pośród tego piekielnego żywiołu i czuła, jak próbuje ją chronić swoim ciałem przed nadciągającymi strumieniami ziaren piasku i drobnych kamieni... Gwałtownie oderwała się od tekstu i schowała głowę w obu dłoniach. Nie, to już dawno minęło. Wtedy kiedy miała piętnaście lat, była zakochana w George'u, było to tylko głupie, dziecinne zauroczenie, które zaburzyło wtedy jej wewnętrzną równowagę i zostało przez nią dawno zapomniane. To, co ich teraz połączyło, to związek bratnich duszy – dzielili tę samą pasję, rozumieli się i wymieniali poglądy.

Przeczytała relację do końca, przyjrzała się uważnie rysunkom, które w przeciwieństwie do szkiców Klary były bardzo precyzyjne i ukazywały wiele szczegółów. Potem wzięła do ręki pióro i zaczęła poprawiać tekst, robiąc na osobnej kartce sugestie, jak jaśniej wyrazić niektóre myśli, podkreślając te miejsca, w których jej zdaniem pojawiają się przesada w opisie i nieścistości oraz zadając rzeczowe pytania. Praca ta zajęła jej dwa dni, a potem napisała jeszcze o tym osobno w liście, chwalać George'a i zachęcając go do kontynuowania swojej opowieści, a także dodając żartobliwie, jak bardzo żałuje, że robiąc poprawki, nie mogła usiąść obok niego, ponieważ w ten sposób mogliby ze sobą zwyczajnie porozmawiać i oszczędziliby sporo pieniędzy na wysłaniu listów.

Kiedy następnego ranka niosła list na pocztę, ogarnęła ją dziwna myśl, że teraz jej zapiski udadzą się w daleką podróż, a ona bez nich zostanie zupełnie sama. Były takie marzenia, których można w życiu doświadczyć, co George bez wątpienia udowodnił. Bywają też jednak i takie pragnienia, które nigdy nie zostają spełnione.

LISTOPAD 1895



Wciąż spała, kiedy zadzwonił dzwonek do mieszkania – dwa razy, po czym ktoś mocno zaczął uderzać pięścią w drzwi. Klara, śpiąca obok niej, uniosła się gwałtownie z łóżka, zaskoczona tym, co się dzieje.

– O Boże! – jęknęła. – Czyżby coś straszego wydarzyło się na Ulrichstrasse?

Było po ósmej. Blade poranne światło ponurego listopadowego dnia przebijało się przez szpary w zasłonach okiennych. Ponurego również dlatego, że list George’a był spóźniony o kilka tygodni.

– Pozwól pokojówce otworzyć drzwi!

Charlotte chwyciła szlafrok i naciągnęła go na koszulę nocną. Kiedy odsunęła zasłony, pokój wypełnił się ołowianym światłem. Padał deszcz, ale na Pfefferstrasse znajdowało się dużo ludzi, najwyraźniej czekających na otwarcie sklepu.

Dzwonek znowu zadzwonił kilka razy w krótkich odstępach czasowych, słyhać było, jak pokojówka biegnie korytarzem i cicho przeklina pod nosem.

– Czy naprawdę trzeba w ten sposób budzić ludzi tak wcześnie rano? Idę już przecież, idę...

Charlotte pomogła Klarze założyć szlafrok, szybko ułożyła jej włosy i szeptała, starała się uspokoić trzęsącą się kuzynkę.

– Coś straszego musiało się stać, Charlotte...

Usłyszały męskie głosy w korytarzu, a potem pokorne szepty pokojówki, wpuszczającej kogoś do salonu. Zaraz potem zapukała do sypialni i uchyliła drzwi, nie czekając na odpowiedź. Jej szeroka, brzydka twarz wyglądała na przerażoną, jak zawsze, gdy coś nieprzewidzianego zakłócało zwyczajną rutynę dnia.

– Przyszli jacyś urzędnicy. Powiedziałam, że pan Ohlsen jest w Bremie, ale oni nalegają na rozmowę z panią. Mówią, że w tej sprawie nie wolno zwlekać.

Dobrze już, Anni. Powiedz tym panom, że już idę.

Charlotte włożyła kapcie i ściągnęła mocniej paski od szlafroka w talii. Skoro panowie przeszkadzali im tak wcześnie rano, musieli się zadowolić porannym peniuarem. Była poirytowana, ponieważ prawdopodobnie znowu przyszli tylko po to, by domagać się od Christiana pieniędzy, co zresztą ostatnio zdarzało się coraz częściej i zastanawiała się, czy jej mąż nie prowadzi biznesu zbyt niedbale. Zazwyczaj wystarczało kilka słów wyjaśnienia, aby zmylić wierzycieli; nie była zaznajomiona z działalnością męża i niestety nie mogła pomóc.

Jej domysły okazały się błędne. Trzech dżentelmenów, stojących przy tapicerowanych meblach z poważnymi twarzami w zroszonych deszczem pelerynach, nie było handlarzami. Jednym z nich był Klaus Sundermann, mąż pani z Liederkreis, która wczoraj wieczorem ze łzami w oczach zapewniała Charlotte, że gra jak anioł. Pozostałą dwójkę znała tylko z widzenia, ale pracowali w sądzie rejonowym, w którym Paul znalazł posadę.

– Dzień dobry, panowie.

Jej przyjacielskie powitanie zostało odwzajemnione, a twarze mężczyzn wyrażały wyraźny niepokój. Nagle poczuła ucisk w klatce piersiowej. Skąd te poważne twarze, ten dziwny wzrok skierowany na nią, jak gdyby należało jej jak najgłębiej współczuć?

– Bardzo nam przykro, że musimy panią niepokoić o tak wczesnej porze, pani Ohlsen, ale pokojówka poinformowała nas, że pani mąż jest nieobecny...

Sundermann był mężczyzną około pięćdziesiątki, niskim i krępy. Przez wiele lat pielęgnował wąsy pastą do brody, którą jego żona kupowała na dole w sklepie. Miał dobrą posadę u pana Büntinga, handlarza herbatą, a także zajmował kilka honorowych stanowisk w Kościele Reformowanym.

– Mój mąż jest w Bremie w interesach, panie Sundermann. Wróci do Leer jutro około południa. Ale proszę usiąść, może do tego czasu ja będę mogła panom jakoś pomóc?

Żaden z mężczyzn nie spełnił jej prośby, zamiast tego wymienili między sobą znaczące spojrzenia. Charlotte podejrzewała, że towarzysze Sundermanna byli co najwyżej komornikami lub pismakami. Paul twierdził, że ci ludzie lubią się popisywać, ale tak naprawdę nie mają nic do powiedzenia.

– W Bremie. W interesach...

– Jak już powiedziałam...

Musiała ukryć narastającą panikę. Skąd to dziwne zachowanie? Te grobowe miny? W tym momencie przed oczami zobaczyła znowu twarz dziadka, tę samą jak dwanaście lat temu, gdy została zawołana do jego gabinetu.

– Czy coś się stało mojemu mężowi? Proszę mnie nie oszczędzać, chcę wszystko wiedzieć.

Mamy nadzieję, że nie, pani Ohlsen – Sundermann wyraźnie zaintonował każde słowo.

Słysząc było teraz hałas na ulicy, ktoś trząsał kratą przed drzwiami sklepu, wściekłe krzyki można było usłyszeć wyraźnie u góry. Charlotte przeszła obok gości do okna i odsunęła zasłony.

– Co się dzieje? – zawołała zdenerwowana. – Czego ci wszyscy ludzie chcą? Dlaczego stoją przed sklepem?

– Więc pani nie wie, pani Ohlsen?

W głosie Sundermanna zabrzmiała nuta współczucia, zacisnęła wąskie wargi i przygładził dłonią wąsy.

– Nie mam pojęcia, co się dzieje, panowie. Czy moglibyście mnie oświecić?

– Czuję się z tym bardzo niekomfortowo, pani Ohlsen, ale przyszliśmy zabezpieczyć budynek. Postępowanie upadłościowe pani męża rozpoczęło się dwa miesiące temu, moja skromna osoba została wyznaczona na syndyka.

Nie do końca dotarło do niej to, co mówił, ale poczuła, jak drżą jej nogi. Bankructwo było czymś bardzo złym. Zawsze podejrzewała, że Christian robi zbyt rozrzutne zakupy, zamawia o wiele za dużo, mierzy za wysoko w swoich planach...

– Ma pani pół godziny na spakowanie kilku osobistych rzeczy. Przedmioty wartościowe zakupione ze środków męża należą do masy upadłościowej. Muszę też zaznaczyć, że dopuści się pani popełnienia przestępstwa, ukrywając biżuterię lub inne kosztowności...

Nagłym ruchem odwróciła się od okna i stanęła twarzą do przybyszów. Czy to był jakiś niesmaczny żart? Czy próbowali ją zastraszyć, żeby wyłudzić pieniądze od Christiana?

– Ale... to jest przecież niedorzeczne.

Sundermann skinął na jednego z urzędników, który wyciągnął z teczki dokument i podał go Charlotte. Słowa „postanowienie sądu”, „postępowanie upadłościowe”, „ustanowienie masy upadłościowej” tańczyły jej przed oczami. To nie był żart, miała przed sobą oficjalne, sądowe pismo. Cała sytuacja przybrała nagle niezwykle poważny ton.

– Ma pani prawo zażądać rzeczy osobistych, co do których może pani udowodnić, że wniosła je ze sobą do małżeństwa. Sąd podejmie decyzję w tej kwestii. Na razie wszystko zostaje w mieszkaniu do czasu oszacowania wartości, w celu późniejszej licytacji.

Dopiero teraz zdała sobie sprawę z pełnego wymiaru tej katastrofy. Odebrano im wszystko: dom, meble, książki, nuty... Niczym żebracy mieli zostać wyrzuceni na ulicę, na pożywkę tych wszystkich ludzi, krzyczących na dole, którzy z pewnością przyszli napawać się ich klęską.

– Proszę usiąść, pani Ohlsen. Nie jesteśmy brutalami, ale prawo musi być przestrzegane. Pani mąż oszukał niezliczonych przedsiębiorców, dokładna kwota jego długów nie jest jeszcze znana, głównie dlatego, że nie prowadził należycie ksiąg handlowych...

Oszłomiona, dała się doprowadzić do krzesła, nie zauważając, że Klara, która w tym czasie się ubrała i weszła do salonu, rozplakała się i objęła ją ramionami. Niejasno zaczęła zdawać sobie sprawę, że towarzysze Sundermanna zaczęli spisywać meble stojące w salonie, otwierać szuflady i bezwstydnie w nich grzebać. Włamali się nawet do pokoju Klary.

Jak mogła przeoczyć wszystkie oznaki tego strasznego upadku? Gdzie była przez ostatnie miesiące? W swoich snach o dalekim Egipcie, w listach, które wymieniała z George'em?

– Nie czytała pani o tym w „Leerer Anzeiger”? Informacja ta została przecież oficjalnie opublikowana w ogłoszeniach gospodarczych.

Nie, niczego nie czytała. Christian kazał jej przecież rano przynieść gazetę – czy usunął więc z niej tę część? Ale nawet jeśli tego nie zrobił, zawsze była szczerze obojętna na urzędowe wiadomości. O Boże! Czyli wszyscy o tym wiedzieli, ich przyjaciele, śpiewacy w zespole chóralnym, członkowie kościoła luterańskiego, pewnie też Ettje i Peter, ciocia Fanny, babcia... Ale nikt jej nic o tym nawet nie wspomniał.

– Niech się pani opanuje, odpocznie chwilę – potem obawiam się, że będę musiał panią poprosić o ubranie się i spakowanie niezbędnych rzeczy...

Klara przestała płakać, usiadła na poręczu fotela i pogłaskała Charlotte po ramieniu.

– Jak mógł tak po prostu pojechać do Bremy? – zapytała ze złością. – Wiedział, co się tu wydarzy. Och, jakie to tchórzliwe z jego strony, że zostawił nas same z tym wszystkim!

– Chciał kupić jakieś nowe produkty, opłacić rachunki... – mruknęła Charlotte.

– Pani mąż nie był w stanie prowadzić żadnych interesów od czasu rozpoczęcia postępowania upadłościowego, pani Ohlsen. Jego księgi rachunkowe są zamknięte, zaksięgowane to, co do tej pory zostało sprzedane w sklepie. Niestety, należy się obawiać, że pani mąż rozmyślnie opuścił Leer...

Charlotte walczyła z desperacją, która próbowała ją obezwładnić. Christian uciekł, bo nie mógł znieść wstydu. Teraz nadeszła jej kolej, by ocalić to, co można było jeszcze uratować.

Nagle zdała sobie sprawę, że urzędnicy będą węszyć po wszystkich pokojach, byli teraz jeszcze w pokoju Klary, ale zaraz wejdą do sypialni i otworzą komodę...

– Czuję się lepiej, panie Sundermann. Chciałabym się teraz ubrać. Jeśli panowie, którzy właśnie przeszukują moje mieszkanie, dadzą mi oczywiście taką możliwość...

– Jest to w pełni zrozumiałe, jak najbardziej. Do tego czasu sprawdzimy budynki gospodarcze. Nie musi być pani zaniepokojona, w sklepie odbywa się już licytacja przedmiotów, ale póki co dotyczy tylko tego, co jest wystawione na półkach.

A więc wyprzedawali sklep, zabierali półki, srebrną kasę, ładną, małą gablotę, która stała na ladzie. Te sępy opróżniały magazyn i sprzedawały połączane kły słoni, błyszczące sztylety, indyjską biżuterię i inne przedmioty, które Christian z takim entuzjazmem kupił w Bremie. Może wezmą też i głowę starego lwa, która gniła w pudle na strychu. Nie, raczej nie... Kto by chciał mieć u siebie tego potwora?

– Zostań przy drzwiach, Klaro! – nakazała, gdy zostały same w sypialni. – Powiedz mi, kiedy ktoś będzie szedł.

– Co chcesz zrobić? Nie słyszałaś, że możesz iść za to do więzienia?

– To już mi teraz obojętne!

Klara nadal drżała, stojąc w drzwiach sypialni. Słysząc było płacz pokojówki, weszli pewnie teraz do kuchni. Kucharka też przyjechała, przeklinała na głos i zażądała od Sundermanna zaległych pensji. Co to za sprawiedliwość? Bogaci kupcy odzyskują swoje pieniądze, ale służących można było oszukać i nie oddać należnych im wypłat...

Teraz gdy jej tragiczna sytuacja stała się jednoznaczna, Charlotte nagle zaczęła działać jasno i celowo. Cokolwiek zrobił Christian, nie zamierzała pozwolić, by zostało im wszystko odebrane. W pięknie

intarsjowanej komodzie, którą Christian kupił kiedyś w Hamburgu, była cała biżuteria. Wszystkie te drogocenne naszyjniki, pierścionki i bransoletki, które dotychczas były jej tak obojętne. Opróżniła zawartość komody do bawełnianej pończochy, dorzuciła też złote spinki do mankietów Christiana, kilka złotych monet i zegarek kieszonkowy z łańcuszkiem. Potem zawiązała koniec pończochy i przywiązała wąski węzełek pod spódnicą do szerokich, obszytych koronką majtek. Sundermann nie powinien odważyć się tam zajrzeć! Christian zostawił jej trochę gotówki. To było tylko kilka marek. Nie chciała jednak myśleć, skąd pochodzą te pieniądze, bo z tego, co zrozumiała, nie mógł już od jakiegoś czasu rozporządzać dochodami sklepu. Niemniej wystarczyło, żeby zapłacić pokojówce i wynająć powóz. Kucharka będzie stratna, ale Charlotte i tak nigdy nie lubiła tej hałaśliwej, upartej osoby. Gorliwy syndyk masy upadłościowej powinien zadbać o wypłatę jej pensji! Potem przyniosła ze strychu dwie zakurzone walizki, kupione na wyjazd do Berlina na miesiąc miodowy i później już nigdy nie użyte.

– Spakuj wyłącznie potrzebne rzeczy, Klaro. Pościel i ciepłą odzież, płaszcz, buty i pończochy.

– Nie potrzebuję walizki, Charlotte. wystarczy mi jedna torba.

Zawsze blada twarz Klary była teraz niemalże sina ze zdenerwowania, ale podobnie jak Charlotte działała szybko i rozsądnie. Dobrze było móc zrobić cokolwiek, ocalić choćby niewielką część dobytku, żeby nie zatracić się całkowicie.

– W takim razie wezmę drugą walizkę na rzeczy Christiana.

Do walizki włożyła garnitury, bieliznę i buty, wszystkie drogie ubrania, które tak kochał Christian, zostawiła w szafie. Dla siebie wybrała prostą sukienkę z angielskiej wełny, kostium z długim żakietem i futrzanym kołnierzem, bordową czapkę z ciemną kokardą. Kiedy zamknęła walizkę i miała wynieść bagaż do przedpokoju, zatrzymała się i pobiegła z powrotem. Na dnie szafy, prawie zapomniane przez lata, znajdowało się małe pudełeczko, zawierające wspomnienia z jej dzieciństwa. Nie zostawiłaby go chciwym wierzycielom.

Zawołała pokojówkę i dowiedziała się, że panowie rozgościli się w kuchni z małą przekąską i filiżanką kawy. Biedna Anni wyglądała na tak nieszczęśliwą, jakby jej własnych rodziców wyrzuciono na bruk bez grosza przy duszy.

– Nie mogę w to uwierzyć, pani Ohlsen – szlochała. – Zawsze była pani dla mnie dobra.

– Na pewno znajdziesz inną posadę, Anni. Masz, weź te pieniądze, to wszystko, co mogę ci dać. Ale nie mów o tym nikomu i nie pokazuj tutaj w domu, słyszysz? I zamów nam powóz. Niech woźnica poczeka przy targu.

Dziewczyna otarła załzawione oczy i zapewniła, że pod żadnym pozorem nie chce brać pieniędzy, ale kiedy było słychać kroki, pospiesznie schowała banknoty do kieszeni spódnicy.

– Wóz. Tak, pani Ohlsen.

Na korytarzu pojawili się teraz trzech panowie, syci i pobudzeni kawą. Jeden z urzędników miał wąsy posklejane miodem. Ich miny, które na pierwszy rzut oka wydawały się wesole, zmieniły się w oficjalną surowość, w momencie gdy ich oczom ukazały się walizki.

– Niestety, muszę prosić o otwarcie bagażu.

Przeszukali spakowane ubrania, sięgnęli do wszystkich kieszeni garniturów Christiana, przeczesali pranie, otworzyli małe pudełko i dokładnie obejrzelili każdy przedmiot, aby zobaczyć, czy ma on jakąkolwiek większą wartość. Charlotte czuła się bezbronna, była na ich łasce, tak jak wtedy, gdy ciocia Fanny spoliczkowała ją i nie znalazł się nikt, kto mógłby ją powstrzymać. Jakim człowiekiem był ten Sundermann! Czy miał podwójną naturę? Czy to może być ten sam wesóły, palący cygara mężczyzna, opowiadający dowcipy w wesołym towarzystwie na festiwalach chóru kościelnego? Zaledwie kilka tygodni temu uśmiechnął się do niej z uznaniem, kiedy grała walc Mendelssohna na Sommerfest, a teraz nie wahał się grzebać swoimi grubymi palcami w jej bieliźnie.

– Mnie też chce pan przeszukać? – spytała prowokacyjnie.

Sundermann ponownie wstał i polecił jednemu ze swoich pomocników zamknąć walizki. Jego twarz była szkarłatna, jednak nie ze wstydu, a dlatego, że krew napłynęła mu do głowy, kiedy tak nisko pochylał się nad walizką.

– Niech pani nie sądzi, że lubię to robić, pani Ohlsen.

– Więc dlaczego pan to robi? Został pan do tego zmuszony?

– Pełnię ten urząd, ponieważ uważam, że moim obowiązkiem jest służyć społeczeństwu. Pani mąż wykorzystał dobre imię i reputację swoich zmarłych rodziców, aby bez skrupułów oszukać niezliczonych partnerów biznesowych. Naliczyłem dobrze ponad pięćdziesięciu wierzycieli, z tak odległych miejsc jak Brema i Hamburg...

Bez wyrzutów sumienia wyczuła pod spódnicą mocno wypełnioną pończochę. Christian też ją zdradził, jej posag przepadł i nikt nie jest

w stanie przewidzieć, czy kiedykolwiek odzyska choć jedną markę od Paula...

– Fortepian należy do mnie i nie może być wystawiony na aukcję. To spadek po moich rodzicach, wszyscy krewni mogą to potwierdzić!

Był już na liście, ale teraz Sundermann postawił krzyżyk na krawędzi kolumny – cokolwiek to miało znaczyć.

– Podobnie jak moje książki i nuty! – zażądała.

Pozwolono jej zabrać ze sobą kilka zeszytów z nutami, które i tak były już dość zużyte, ale książek nie mogła wynieść z mieszkania. Sam Christian wielokrotnie opowiadał Sundermannowi, jakie interesujące i drogie dzieła kupił swojej żonie, ponieważ była tak zapaloną czytelniczką. Po ciężkiej walce udało się jej zatrzymać dla siebie pudełko ze skarbami z dzieciństwa, zawartość była nic nie warta, ale pudełko było bardzo ładnie i starannie wykonane.

– Może pani później odebrać te przedmioty, które nie będą się nadawały do sprzedaży.

Nikt nie oponował na zawartość torby Klary, znajdowały się w niej tylko ubrania i blok rysunkowy. Panowie pomogli im znieść bagaże po schodach do tylnego wyjścia, tam pozostawiono je wraz z dobytkiem na deszczu, bo na górze w mieszkaniu było jeszcze dużo papierkowej roboty. Do niektórych mebli wzywano fachowca, żeby wszystko ocenić jak należy i żeby nic się nie zmarnowało.

Charlotte niosła walizki, Klara walczyła z torbą, wzbraniając się stanowczo przed pomocą kuzynki. Trzeba po prostu iść, zamknąć oczy i nie oglądać się za siebie. Nie obserwować zamieszania mającego miejsce w sklepie, w którym trwała właśnie aukcja. Anni sumiennie wykonała polecenie. Tuż przy skrzyżowaniu z Königstrasse czekał powóz, należący do gospodarza, dostarczającego jarmuż i wieprzowinę do gospody Voogdge. Zadowolony, że udało mu się dodatkowo zarobić parę groszy. Bez zbędnych słów upchnął pudła, kosze i inne przedmioty na otwartej pace wozu, postawił obok nich walizki i torbę, a następnie ustawił kilka worków, aby kobiety mogły na nich usiąść. Wszystko to było przemoknięte od deszczu, podobnie jak sam rolnik, któremu kapelusz ociekał wodą, spływającą też po kurtce, ale jemu najwyraźniej to nie przeszkadzało. W milczeniu przeliczył pieniądze – to były ostatnie, jakie miała przy sobie Charlotte – po czym wspiął się na swój wóz i zawołał na konia. Pojazd zaczął powoli jechać, przetoczył się przez Königstrasse, skręcił w prawo, by przejechać przez Kirchgasse w kierunku Lindenbaumstrasse, a następnie jechał Osterstrasse,

żeby w końcu dotrzeć do Ulrichstrasse. Obydwie kobiety wciąż czuły, jak ludzie gapią się w ich stronę przez okna domów. O, tam właśnie jadą, młoda, ładna pani Ohlsen i jej kuzynka Klara, brudnym wiejskim wozem, przemoczone od deszczu i biedne jak myszy kościelne. Tak, ci mierzący wysoko, często nisko upadali.

Przed domem dziadków rolnik wystawił ich walizki i torbę na ulicę, a następnie z turkotem kół odjechał swoim wozem. Mieszkał w Loga i nie musiał jechać zbyt daleko, cała ta wycieczka to był dla niego czysty zysk. Ciocia Fanny otworzyła drzwi w odpowiedzi na dźwięk dzwonka i, tak jak się spodziewała Charlotte, natychmiast wybuchła płaczem.

– Wstyd! Wstyd! Że też musiało do tego dojść! Od razu przecież mówiłam, że ten mężczyzna nie jest dla ciebie, Charlotte...

Zatem wieść o bankructwie dotarła już też tutaj.

– Wielokrotnie zapewniał nas, że wszystko będzie dobrze. Teraz widać, ile warte były te jego obietnice. Absolutnie nic. Wstyd! Nasze dobre imię jest zrujnowane. Nigdzie już nie możemy się pokazać.

Charlotte nie miała ochoty dłużej słuchać tego jęczenia. Razem z Klarą były przemoczone i prawie zeszywniałe z zimna, potrzebowały teraz suchych ubrań i ciepłego pieca. Energicznie wypchnęła bagaże na korytarz, a potem zamierzała otworzyć drzwi do salonu.

– Nie, nie tam, jesteś cała mokra! – krzyknęła przerażona ciocia Fanny. – Chcesz zniszczyć meble i dywan? Chodź tutaj, do kuchni!

Nieco później pojawiła się także babcia, która w ostatnim czasie prawie wyłącznie siedziała na górze przy łóżku męża – pastor Dirksen stracił przytomność kilka dni temu. Nie powiedziała wiele, po prostu stała przed dwiema młodymi kobietami, które chwilę temu wreszcie usiadły obok ciepłego pieca, przyglądając się im uważnym wzrokiem.

– Może Bóg zdoła mu wybaczyć, ja nie potrafię! – Chwilę później odwróciła się, nałala dla siebie z garnka parujący rumianek i wyszła. Ale zanim zamknęła drzwi, dała cioci Fanny stanowczą instrukcję:

– Pościel im łóżka w sypialni. Dopóki żyję, żadne z moich dzieci i wnuków nie będzie musiało spać na ulicy.

Charlotte pomyślała z goryczą, że jeszcze nie tak dawno żałowała, że nie może wrócić do domu swoich dziadków. Teraz znów tu była, ale dom nie był przytulny, przypominał schronisko, a w jego murach panowało przygnębienie. Ciocia Fanny utraciła ponownie własną sypialnię i musiała zadowolić się ciasną kwaterą. Na domiar

wszystkiego również Paul znowu mieszkał z dziadkami, ponieważ niewielka pensja, jaką otrzymywał w urzędzie, nie wystarczała mu na utrzymanie. Po szczeblach kariery musiał wspinać się od samego dołu, nieukończone studia były tylko stratą czasu.

– Oczywiście, że wiedziałem o postępowaniu upadłościowym – przyznał. – Ale Christian zawsze utrzymywał, że to tylko nieporozumienie, że sprawa wkrótce zostanie zamknięta i że nie powinienem się tym w ogóle martwić.

– Co się z nim stanie, kiedy wróci? – zapytała Charlotte z niepokojem w głosie.

– Byłby idiotą, gdyby wrócił do Leer. Mogą go wsadzić do aresztu. A nawet do więzienia.

– Do... więzienia?

Paul zrobił minę wszechwiedzącego. W pracy przed przełożonymi był nic nieznaczącym trybikiem, ale tutaj, w domu, mógł pochwalić się swoją wiedzą.

– Jasne. Zamiar oszustwa. Źle prowadzone księgi. Na jego miejscu albo bym się powiesił, albo zniknął na zawsze. Czy nie zostawił listu pożegnalnego? Samobójstwa są teraz dość częste.

– Nie miałam czasu, żeby poszukać – mruknęła niespokojnie Charlotte.

Ze wszystkich ludzi, niespodziewanie, to właśnie Ettje, z którą Charlotte toczyła tyle wojen w przeszłości, była teraz osobą, która dawała jej pocieszenie i pomoc.

– Nie zasłużyłaś na to, Lotte – powiedziała i wzięła ją w ramiona. – Klara też nie. Ale jesteśmy tu dla ciebie, tak też powiedział Peter. Będzie dobrze.

Krótkie wizyty, podczas których przyprowadzała ze sobą trzech chłopców, wносиły życie i szczęście do ponurego domu. Dwóch starszych szalało po kuchni i salonie, najmłodszy już raczkował, z zaciśniętym wyrazem twarzy i błyszczącymi, jasnoniebieskimi oczami. Ettje była spełniona w macierzyństwie i dzieliła się swoim szczęściem z każdym, kto go potrzebował. Zaopatrywała Charlotte i Klarę w najrozmaitsze drobiazgi, o których w pośpiechu zapomniwały – spinki do włosów, kokardki, rękawiczki i podwiązki. Najmłodszego sadzała na kolanach swojej matki, pocieszała babcię i siadała przy łóżku chorego dziadka. Gdy tylko została sama z Charlotte, zaczęła mówić o przyszłości, tak jak ją rozumiała na swój praktyczny sposób.

– Kiedy dziadka zabraknie, nie będzie też już pieniędzy. Peter powiedział, że zabierzemy matkę do domu. A ty i Klara możecie się

wtedy zająć babcią.

Ettje już o wszystkim pomyślała. Charlotte mogłaby udzielać lekcji gry na pianinie, Klara znowu by szyła – tak mogły się utrzymać. A jakby im nie starczało na życie, to Peter nieźle zarabiał, pomagali też jego teściowie. Nie zostawiliby ich na śmierć głodową.

– A gdy upłynie trochę czasu, to może znowu wyjdiesz za mąż, Charlotte. Jesteś urocza. Nawet bez posagu znajdziesz nowego męża.

– Ale jestem żoną Christiana!

Ettje westchnęła głęboko i spojrzała na nią, kręcąc głową.

– Chyba nie myślisz, że jeszcze go zobaczysz? Nie słyszałeś, co powiedział Paul? Po kilku latach można go uznać za zmarłego...

– Nie zrobię czegoś takiego, Ettje!

– Dobry Boże! Chcesz do końca życia udzielać lekcji gry na pianinie? Jeśli ponownie wyjdiesz za mąż, to mąż się tobą zaopiekuje, a my zajmiemy się Klarą!

Charlotte potajemnie zdecydowała, że nigdy więcej nie zaufa żadnemu mężczyźnie. Pończochę wraz z biżuterią i innymi kosztownościami umieściła na dnie pudełka, tak żeby czuwało nad nimi czarne bóstwo z Afryki. Kiedy nadejdzie czas, zamieni te rzeczy na pieniądze i wyjedzie z Klarą do Emden lub Aurich, może nawet do Jever. Wynajęłaby sklep i zaczęła handlować, czemu nie? Dałaby radę. Zdecydowanie nie chciała zostawać tutaj, w Leer.

Tydzień później do drzwi zapukał nieznajomy. Chudy, zarośnięty mężczyzna bez płaszcza i marynarki, w podartej i poplamionej kamizelce. Charlotte potrzebowała chwili, by rozpoznać męża, po czym otworzyła drzwi i wpuściła Christiana do środka. Posadziła go przy kuchennym stole, gdzie pochłaniał chleb i kiełbasę, pił ciepłe mleko i gadał bzdury. Chciał jeszcze odwrócić tę sytuację. W Bremie byli mu winni pieniądze, więc mógł uratować swój interes. Ale wierzyciela nie było, wszystko się opóźniało, a potem nie miał pieniędzy na podróż powrotną do Leer. Charlotte nie powinna rozpaczać, chciał zacząć wszystko od nowa, przysięgał to sobie. Kochał ją, była wszystkim, co mu pozostało, pracowałby bez względu na wszystko, woziłby dla niej pudła lub jeździł z obornikiem, gdyby tylko jeszcze było między nimi dobrze.

Charlotte i ciocia Fanny z trudem przeprowadziły mężczyznę na sofę w salonie, położyły na nim koc i nakazały spać.

– Jeszcze tylko tego nam było trzeba! – zawodziła ciocia Fanny. – Co on sobie wyobraża? Po tym, co nam zrobił, myśli, że będziemy go

karmić!

– Wolałabyś, żeby odebrał sobie życie? – zapytała z oburzeniem Klara.

– Co ty mówisz! To po prostu lekkomyślne, żeby tak tutaj przychodzić!

Charlotte była rozdarta. Odczuwała ogromną ulgę, że Christian żyje, ale jednocześnie była świadoma, że ten wyczerpany i dezorientowany mężczyzna nie był mężem, któremu oddała się dwa lata temu. Znała go tylko częściowo, jako hojnego, czułego, czasem upartego człowieka, uwielbiającego otaczać się pięknymi przedmiotami, który zamykał żonę w złotej klatce. Teraz poznała także drugą stronę Christiana Ohlsena: był rozrzutnikiem i oszustem, tchórzem i handlarzem, który okazał się nieudacznikiem. Christian spał jak kamień do następnego ranka, kiedy pojawił się w kuchni ciotki Fanny i poprosił o ciepłą wodę do golenia. Przerażona ciotka Fanny pobiegła do Charlotte, która była na górze z babcią i z Klarą, żeby zmienić pościel dziadkowi

– On nie może mnie o to prosić! Sama dbaj o swojego męża, Charlotte. W końcu go poślubiłaś!

Charlotte zniosła na dół świeżą pościel i ubrania, dała mu zestaw do golenia należący do dziadka i patrzyła, jak się myje. Był pobity, miał siniaki na całym ciele, a po ogoleniu zobaczyła głębokie zadrapanie biegnące po jego prawym policzku. Czy powinna mu współczuć?

– Jak to się stało?

Był zakłopotany, zawstydzony, że jest całkowicie zdany na łaskę jej spojrzenia, ale ona nie zwracała na to uwagi.

– Czy wspominałem, że mam dług do odebrania? Brudny Hindus w Bremie, który nie chce zapłacić... – Zamilknął i spojrzał w dół. – Wybacz mi. Wszędzie są dobrzy i źli ludzie.

– Z pewnością!

Przez długi czas nie miała żadnego kontaktu z dziadkami w Indiach. Nie wiedziała nawet, czy jeszcze żyją. Włożył białą bieliznę i kalesony, ściągnął koszulę przez głowę i założył za duże już na niego w pasie spodnie. Jego kamizelka i marynarka też już nie były dopasowane, ale kiedy się ubrał i uczesał, uśmiechnął się do niej nieśmiało.

– Chodź do mnie, moja droga. Bardzo się cieszę, że jesteś przy mnie w tej godzinie próby. Kocham cię, Charlotte.

Nie próbowała nawet wstać z krzesła. Kąciki jego ust opadły, a uśmiech zniknął.

– Chcę od ciebie wyjaśnień, Christianie!

– Oczywiście, kochanie. Masz do tego prawo. Nikt nie ma do tego większego prawa niż ty. Powiedziałem, że mogłem jeszcze temu wszystkiemu zapobiec...

Ze złością uderzyła pięścią w kuchenny stół. Naczynia zabrzęczały, łyżeczka spadła na kamienną podłogę. Jej mąż podskoczył w szoku.

– Chcę poznać prawdę, Christianie! – warknęła na niego. – Żadnych wymówek i kłamstw. Jak mogło do tego dojść? Dlaczego ukryłeś przede mną naszą sytuację? Gdzie byłeś cały ten czas?

Nigdy wcześniej nie widział jej tak wściekłej. Jego twarz zrobiła się niemalże sina. Parę razy otwierał usta, by zacząć wyjaśniać, ale potem przestał próbować i zamilkł, zmieszany.

– Czy to takie trudne? Wtedy będę mogła ci pomóc. Czy to możliwe, że interes był już na minusie, kiedy poprosiłeś o moją rękę?

– Nie, Charlotte – zawołał zaskoczony. – To nie tak. Nie poślubiłem cię dla twojego posagu. Proszę, nie myśl tak. Kocham cię. Kocham cię nad życie. Tylko dla ciebie wróciłem i przysięgam ci, że wolałbym uciec...

– Wierzę ci!

Zdania wylewały się z niego teraz jak woda przez pękniętą tamę. Prawda i fantazja, wyznania i próba wybielenia swoich czynów, rozpaczliwe wyrzuty sumienia, przysięgi, fakty i całkiem oczywiste kłamstwa, wszystko mieszało się ze sobą. Przerywała mu kilka razy, co nie było łatwe, ponieważ otworzenie przed nią serca przynosiło mu nieskończoną ulgę. Nie potrafiła jednak doszukać się sensu w tej chaotycznej plątaniu słów, tylko jedno szybko stało się dla niej jasne: Christian nie był przebiegłym oszustem, był marzycielem, osobą, która zawsze unosiła się kilka metrów nad ziemią i nagle trafiła na śmiertelną otchłań pośrodku pięknej doliny. Wystawiał weksle i opłacał je nowymi wekslami, tworząc jedną dziurę, by zatkać poprzednią, opóźniając spłaty dla wierzycieli i zaciągając nowe długi gdzie indziej. A kiedy sprzedaż szła dobrze, przeznaczzał te pieniądze na kupno ładnych rzeczy, szył garnitury i dawał żonie prezenty.

– Zaczynamy od zera, Charlotte – powiedział, a jego oczy płonęły gorączką. – To wszystko było dla mnie lekcją, od teraz będę kimś innym. Mały sklepik w bocznej uliczce, tylko tytoń i kawa. A ty będziesz przy mnie, stojąc w sklepie i obsługując klientów. Tego zawsze chciałaś, kochanie...

Pozwoliła mu mówić, a sama zaniósła brudne ubrania do pralni, namaczając je w wodzie, rozpałała ogień w piecu i nastawiła garnek z mlekiem. Myślał o otwarciu sklepu tutaj, w Leer! Dobry Boże, czy naprawdę był aż tak naiwny, czy też desperacja doprowadzała go do szaleństwa?

Jeszcze zanim śniadanie było gotowe, przed domem pojawiło się dwóch policjantów, aby aresztować Christiana. Paul zgłosił policji wcześniej rano, jeszcze zanim zaczął pracę, że Christian Ohlsen wrócił do Leer. Spełnił swój obowiązek; cokolwiek innego mogło mieć negatywny wpływ na jego karierę. Christian wydawał się oszołomiony, odpowiadał na wszystkie pytania, bez oporu dał się zakuć w kajdanki. Kiedy go zabrali, szedł między dwoma policjantami jak wędrowiec we śnie, dopiero przed powozem odwrócił się do Charlotte, szukając jej spojrzenia bezradnymi oczami. Następnie wepchnięto go do środka i zamknięto drzwi.

– Tak musiało się stać – powiedziała ciocia Fanny. – Ten człowiek jest oszustem, ale ty tak desperacko chciałaś go poślubić. Od razu wiedziałam, że to przestępca...

– Zamknij się wreszcie! – syknęła Charlotte.

Ciocia Fanny odsunęła się od siostrzenicy, zbesztła ją i poszła do kuchni. Ta dziewczucha sprowadziła tylko nieszczęście i hańbę do domu. Ale co się dziwić. Zła krew. Cała ta tragedia zaczęła się, gdy biedny Ernst związał się z Hinduską. Zła krew...

– Mimo wszystko żał mi Christiana – powiedziała Klara. – Ale nie możemy mu pomóc.

– Jeszcze zobaczymy!

Cokolwiek zrobił, Christian nie był przestępcą. Nieostrożny, bezmyślny, z pewnością tchórz, ale przecież nikogo nie zabił. Nie, nie pozwoliłaby zamknąć go w więzieniu. Był jej mężem, ślubowała stać przy nim w dobrych i złych chwilach. Będzie o niego walczyła. Babcia była tego samego zdania. Christian Ohlsen popełnił poważne grzechy, ale nadal był członkiem rodziny. Przestępca zamknięty w więzieniu zdecydowanie zrujnowałby reputację pastora Henricha Dirksena.

– Sprawdź na górze, co u mojego pacjenta. Idę do dziekana Claasena. Luteranie muszą stanąć w naszej obronie, to jest ich chrześcijański obowiązek!

Kiedy babcia wróciła ze swojej misji, przemarznięta na kość i z ociekającym parasolem, była zdenerwowana.

– Twój mąż dawał na kredyt i nigdy nie domagał się zwrotu pieniędzy, głupiec. To już jest bezmyślna dobroduszość! Każdy biedak mógłby dostać od niego kredyt, otrzymać ryż, kawę i pastę do butów bez konieczności płacenia.

Dziekan Claasen był zdania, że Christian Ohlsen nie może być złym człowiekiem, skoro ma serce dla biednych. Choć być może jego dobroduszość wynikała bardziej z niechlujstwa niż z chrześcijańskiej miłości. Charlotte walczyła ze sobą chwilę, po czym przezwyciężyła niechęć i złożyła poranną wizytę pani Sundermann na Koenigstrasse, która zawsze lubiła Charlotte. Może uda jej się wpłynąć na męża. Pokojówka patrzyła na nią przez szparę w drzwiach, a kiedy zapytała, czy pani Sundermann ma czas się z nią zobaczyć, szepnęła:

– Nie wiem...

Kilka tygodni temu pani Sundermann powitałaby ją z entuzjazmem, kazała przynieść herbatę i ciasto oraz błagała, żeby Charlotte zagrała dla niej kilka utworów na pianinie. Teraz nie spieszyła się, jej gość stał w deszczu przed frontowymi drzwiami i czekał z niespokojnym sercem. W końcu dziewczyna oznajmiła, że pani Sundermann czeka, ale może jej poświęcić tylko kilka chwil. Wzięła parasol Charlotte, pozostawiając ją jednak w mokrym płaszczu, po czym poprowadziła gościa na pierwsze piętro, gdzie znajdowały się pomieszczenia mieszkalne.

– Moja droga! Jak się cieszę, że cię widzę. Szkoda, że los często nie jest dla nas łaskawy. Podejź bliżej, niestety się śpieszę, ale zawsze jest czas na kilka słów...

– Jak mi przykro, że jestem nie w porę. Nie chcę pani zatrzymywać...

Charlotte uśmiechnęła się swobodnie, nie przyszła tutaj jako pokorna suplikantka, nie nalegała, by ją wysłuchano. Jej rozmówczyni zawahała się przez chwilę, po czym wrażliwa dusza pani Sundermann zatriumfowała nad wszelkimi obawami.

– Usiądź, moja droga przyjaciółko. Daj mi swój płaszcz. Na litość boską, jest cały przemoczony. Greta! Dlaczego nie wzięłaś płaszcz od pani Ohlsen...

Usiadły, a pani Sundermann kazała przynieść herbatę i ciastka, i nie było już mowy o pilnym obowiązku. Zamiast tego gospodyni otworzyła dla niej swoje serce.

– Że też musiało ci się to przytrafić! Taka wspaniała artystka. Jakie piękne uroczystości obchodziliśmy razem! Z jaką czułością zawsze

nam towarzyszyliście! A twoje występy solowe... Wzruszałam się do łez...

Charlotte milczała i słuchała. Czy wzruszyła ją gra na pianinie czy bankructwo ich sklepu? Nie było łatwo rozsądzić, ponieważ uczucia i wyznania pani Sundermann łatwo się przeplatały. Żałowała, że piękny sklep już nie istnieje, uwielbiała robić zakupy u pana Ohlsena. Co za uprzejmy, uroczy mężczyzna. Kto by przypuszczał, że on...

– Też się tego nie spodziewałam... – Charlotte wtrąciła ostrożnie i pociągnęła łyk herbaty z filiżanki.

– Z pewnością ucieszy cię wiadomość, że sklep wkrótce zostanie ponownie otwarty...

Moritz Schmidt, kuzyn Sundermanna, kupił na aukcji wyposażenie domu i sklepu. Chce zamknąć swój mały sklepik na Osterstrasse i założyć sklep spożywczy na Pfefferstrasse. Nieco skromniejszy niż Ohlsena, ale oczywiście oferowałby wszystko, co pani Sundermann tak chętnie kupowała od Christiana.

Jak miło – pomyślała gorzko Charlotte. Sundermann kupił tanio dom i sklep dla kuzyna, a jego żona znowu ma gdzie kupować mężowi воск do wąsów. Jak szybko luki się wypełniają, a świat wraca do poprzedniego stanu.

– Potrzebuję pani pomocy, droga pani Sundermann – powiedziała.
– Pewnie wiesz, jak się sprawy mają się z moim mężem.

Z pewnością wiedziała i prawdopodobnie dlatego wahała się, czy zaprosić Charlotte do domu.

– Przychodzę do pani, bo wiem, że pani zrozumie. Nie mogę zostawić męża samego w jego rozpacz...

– Rozumiem, że masz dobre serce, moja droga przyjaciółko. Och, jak dobrze cię rozumiem – zrobiłabym to samo...

Obiecała stanąć w obronie Christiana. Kto odniósłby korzyści, gdyby został skazany? Nikt, bo długi i tak by się przez to nie zmniejszyły. Jej mąż był rozsądnym, bystrym człowiekiem, z pewnością też to wiedział. Charlotte musiała wypić pięć filiżanek herbaty, przełknąć niezliczone ciastka, a następnie obiecać, że udzieli córkom Sundermannów lekcji gry na pianinie. Pani Sundermann uważała, że to dobry uczynek; w obecnej sytuacji Charlotte potrzebny był przecież każdy grosz, a dotychczasowy nauczyciel muzyki miał nazbyt wygórowane wymagania. Kiedy Charlotte w końcu mogła wrócić do domu, musiała wziąć głęboki oddech. Czuła się tak, jakby dusiła się pod wpływem łaskawości pani Sundermann. Deszcz ustał, tylko lodowaty północny wiatr wiał

bezlitośnie, a listopadowe niebo wisiało nad miastem ciężkim i ciemnym całunem. Ostatnie brązowe jesienne liście pływały w kałużach, nasyciły się wilgocią, a potem powoli opadały, by połączyć się z podłożem. Mijały ją dorożki konne, ochlapując płaszcz. Od czasu do czasu widziała znajomą twarz, ale niewielu ją witało. Większość szybko odwracała głowę w bok, wpatrując się intensywnie w witryny sklepowe, w drzwi, w jarmuż rosnący w ogródku. Trzęsąc się z zimna, Charlotte zawinięta w płaszcz, przyśpieszyła kroku, żeby jak najszybciej opuścić ruchliwe ulice. Szczerze nienawidziła tego miasta. Było szare i ciasne, pełne zadufanych w sobie ludzi, pozbawione słońca i ciepła. Jak udało się jej znieść to tak długo?

Kiedy wreszcie dotarła do domu dziadków, na kuchennym stole leżał list adresowany do niej. George napisał kilka tygodni wcześniej, ale urząd pocztowy przechowywał list i dostarczył Sundermannowi całą korespondencję zebraną od czasu ogłoszenia upadłości. Nikt nie uszanował faktu, że nazwisko Charlotte było na kopercie, list został otwarty i przeczytany, w końcu mógł to być jakiś układ, który Ohlsen sprytnie chciał zawrzeć za pośrednictwem swojej żony. Charlotte odłożyła list, nie zaglądając do środka. Nie chciała wiedzieć, co w nim jest, czas na słodkie sny się skończył. Być może napisze do George'a później, znacznie później, kiedy zdecyduje, jak chce dalej żyć. Teraz mogła tylko czekać.

Wieczorem ukłękła w sypialni i wyjęła spod łóżka szkatułkę zawierającą wszystkie jej skarby. Ile może być warta biżuteria? Nie miała pojęcia. Christian miał niezwykły gust, nigdy nie zawracał sobie głowy tanimi rzeczami. Ale wiedziała też, że odsprzedając biżuterię, zyskuje się tylko niewielką część prawdziwej wartości. Cóż, będzie się targowała do skutku, bez jakiegokolwiek trudności, miała to we krwi. Światło lampy odbijało się od szkła na wieczku szkatułki, więc musiała je unieść, żeby zobaczyć kolorowy rysunek, fascynujący ją od dziecka. Szczyty Kilimandżaro wznosiły się samotnie w kierunku nieba, przyciągając wzrok i zachęcając spoglądającego do zmierzenia się z ich potęgą oraz wysokością, do odważenia się na niemożliwe, do zmierzenia się z niezwyciężonym. Dreszcz przeszył jej ciało, miała wrażenie, że czuje chłód szczytów, oddycha wiatrem, wiejącym stamtąd i niosącym ze sobą zapach wolności. Kiedy podniosła wieczko do końca, czarny bożek uśmiechnął się do niej. Jakie to dziwne – nigdy nie zauważyła, że miał wesoły, niemal psotny wyraz twarzy. A może tak jej się dzisiaj tylko wydawało? Pogładziła jego kędzierzawe włosy, ścięty nos, szerokie, wypukłe usta. Czarne

drewno było ciepłe w dotyku, jakby gromadziło całe promienie słoneczne w sobie, dzięki któremu rosnęło. Ojciec kupił figurkę na Zanzibarze, tajemniczej wyspie u wybrzeży Afryki, od wieków nazywanej Wyspą Korzenną. Afryka, kraina ciepła, zapachów i światła.

Trzy tygodnie później Christian Ohlsen został zwolniony z aresztu. Łaska została okazana, a skarga wycofana za wstawiennictwem kongregacji luterańskiej. Ofiary oszustwa myślały praktycznie: od więzienia nie dało się wyciągnąć więcej pieniędzy. Stan Christiana był niepokojący. Milczał, prawie nie jadł, godzinami przesiadywał na krześle w kuchni, wpatrując się w wyłożoną kafelkami podłogę. Jeśli zadawało się mu pytania, podnosił głowę, jakby wychodził z głębokiego transu, a na odpowiedź trzeba było długo czekać.

– Prawdopodobnie dopiero teraz to wszystko zrozumiał – Klara powiedziała cicho do Charlotte, gdy tego wieczoru leżały w łóżku. – Możemy mieć tylko nadzieję, że nie zachoruje poważnie.

Licytacja pokryła jedynie część długu, resztę musiałby spłacić Christian. Cokolwiek robił, gdziekolwiek zarabiał pieniądze, zatrzymywał tylko niewielką ich część, wszystko inne miało trafiać do wierzycieli. A że suma była spora, musiał liczyć się z tym, że do końca życia nie odniesie sukcesu finansowego. Śmierć dziadka na krótko przed Bożym Narodzeniem nie była niespodziewana i mimo całego żalu stanowiła też ulgę nie tylko dla nieboszczyka, ale także dla babci, która od niemalże tygodni trwała przy łożu boleści. Charlotte po raz kolejny musiała przeżyć spotkanie w gronie licznej rodziny, jednakże tym razem z powodu smutnej okazji, jaką trzeba było uczcić kawą i ciastem w domu babci. George i Marie nie przyjechali, co sprawiło, że Charlotte odetchnęła z ulgą. Menna była już mężatką i chodziła w zaawansowanej ciąży, jej brat Henrich stał się dobrym, pełnym nadziei studentem teologii, a pastor Harm Kramer objął stanowisko superintendenta^[20], dlatego jego kazanie przy stole było nieco dłuższe i bardziej pobożne. To było ostatnie rodzinne spotkanie, na którym chciała być obecna – Charlotte zdecydowała o tym dawno temu, dlatego też skrupulatnie zapamiętywała każdy nawet najkrótszy moment, by zachować go w swojej pamięci: pogrzeb na oblodzonym cmentarzu pod ołowianoszarym niebem, ożywiona rozmowa w ogrzonym pokoju, płacz ciotki Fanny, bez troskie szczęście małych synków Ettje, głęboki, cichy żal babci.

Po raz pierwszy w życiu miała wziąć przyszłość we własne ręce. Od tego czy ułożone plany uda się zrealizować zależało nie tylko szczęście jej, ale także dwóch innych osób. Drżała ze strachu przed tym przedsięwzięciem, a jednocześnie upajała się nim. Ścieżka do tych sennych krajobrazów, które zawsze wisały jej przed oczami, stała teraz otworem. George miał rację, marzeniami można żyć. Ale przejście przez bramę do wolności bez szwanku wymagało niezwyklej sprawności, wielu umiejętności i dużej mądrości. Późnym wieczorem, kiedy goście wyszli i prace w kuchni były zakończone, przeszła do salonu, gdzie na sofie spał Christian. Ukrywał się cały dzień, nie poszedł na cmentarz; pijąc kawę schował się w sypialni. Zostawiła go samego, wiedząc, że wstydzi się przed rodziną.

– Christian?

Leżał zwinięty, z twarzą obróconą do tylnego oparcia łóżka, kiedy delikatnie potrząsnęła jego ramieniem, nie poruszył się. Wiedziała jednak, że nie śpi.

– Musimy porozmawiać, Christianie.

Poczuła, jak jego ciało sztywnieje. Pewnie myślał teraz o tej wściekłej kłótni sprzed czterech tygodni, tuż przed tym, jak go zabrano. O tak, był tchórzem. Niczego nie bał się bardziej niż przyznania się przed nią do własnej porażki i nieudolności.

– Wyjedziemy stąd – powiedziała zwięźle. – Ty, ja i Klara.

Wzięła głęboki oddech, nie umiała stwierdzić, czy był to wyraz ulgi, czy dezaprobaty. Nie dawał już znaku życia.

– Słyszałeś, Christianie? Wyjeżdżamy za dwa miesiące, wszystko dokładnie zaplanowałam.

Teraz w końcu zdecydował się udzielić jej odpowiedzi. Jego głos był ochrypły i bardzo cichy.

– To niemożliwe, Charlotte.

Było jej przykro z powodu desperacji bijącej od niego, ale nie mogła się zmusić, by pogłaskać go po ramieniu. Był jej mężem, ślubowała, że zostanie przy nim i tej przysięgi dotrzyma, ale nie czuła już do niego szacunku i podziwu – był bezradnym dzieckiem, którym musiała się opiekować, nie mogła pozwolić, by utonął w swoim nieszczęściu.

– Posłuchaj – powiedziała, siadając na skraju krzesła. – Rozmawiałam w wujem Gerhardem, napisze do mnie, kiedy parowiec Reichspost wypływa z Hamburga, najpewniej będzie to miało miejsce pod koniec lutego lub na początku marca. Do tego czasu nikomu nie powiemy o naszych planach. Wiesz dlaczego.

Obrócił się na plecy i patrzył na nią szeroko otwartymi oczami, jakby oszalała. Wydawał się jej teraz taki dziwny ze swoimi potarganymi włosami i zaniedbaną brodą, którą zapuścił w specyficzny sposób.

– Co ty sobie wymyśliłaś, Charlotte? Aresztują mnie, jeśli spróbuję opuścić kraj.

– Nikt nie zauważy. Wcześniej rano wsiadamy w pociąg do Emden, skąd płyniemy statkiem do Hamburga. Oczywiście możemy zabrać ze sobą tylko niewielką ilość bagażu...

Musiałyby zostawić swoje pianino. Fortepian matki, który towarzyszył jej przez lata i który dawał jej tyle szczęśliwych chwil. Jednak kochana przez nią muzyka, działała niczym środek znieczulający, skutecznie odwracający jej uwagę od prawdziwego życia.

Zdeterminowany wyraz twarzy Charlotte zrobił swoje. Christian wstał, żeby usiąść, jego oczy były teraz niespokojne, jakby nie wiedział, czy odczuwa nadzieję, czy rezygnację.

– Parowcem Reichspost? Skąd chcesz wziąć pieniądze na tę przeprawę? Dokąd właściwie chcesz płynąć?

– Do Afryki.

– Do Afryki? – powtórzył z niedowierzaniem. – Nie do Egiptu, gdzie mieszka twoja kuzynka?

– O nie!

Marzenie, aby być jak najbliżej George'a odeszło bezpowrotnie. Była bez grosza przy duszy, musiała opiekować się niepełnosprawną kuzynką Klarą i załamany Christianem. W Egipcie byłaby zdana na pomoc George'a. Na to nie pozwalała jej duma.

– Chcę pojechać na Zanzibar. Może też do Dar es Salaam.

– Do nowej kolonii? Do Niemieckiej Afryki Wschodniej? I co mamy tam robić? Bez grosza?

– To samo, co zrobilibyśmy tutaj, w Niemczech. Tylko będzie łatwiej. Chcę otworzyć sklep i handlować.

Zachichotał. Wyglądało to dziwnie, z jego ust nie wydobył się żaden dźwięk, tylko jego klatka piersiowa i ramiona zadrżały.

– Ty?

Z litości powstrzymała złośliwą odpowiedź, jaką miała na końcu języka.

– Tak, ja. I jestem pewna, że mi się uda.

Nie była do końca o tym przekonana, ale zrobiłaby wszystko, by osiągnąć ten cel. Jednak stanowczość, z jaką wypowiedziała to

zdanie, zrobiła na Christianie ogromne wrażenie. Obiema rękami przeczesał swoje zmierzwiłone włosy i teraz wydawał się popierać jej obmyślony plan.

– Jeśli tak zrobimy, to oboje, Charlotte. Znam się na rzeczy, a ty nawet nie wiesz, jak prowadzić księgi rachunkowe...

Także i to przemilczała. Ważne było, że w końcu odzyskał odwagę i wróciły mu siły. To, co miało nadejść później, zostało zapisane w gwiazdach. W jasnych, lśniących gwiazdach afrykańskiego nocnego nieba.

– Ani słowa komukolwiek, Christianie – upomniała go. – Ani babcia, ani ciocia Fanny, ani nikt z krewnych nie może się o tym dowiedzieć. Wie o tym tylko Klara i wujek Gerhard, ale on obiecał milczeć.

– To szalony pomysł, Charlotte...

– To jedyna droga!

Obiecał, że będzie milczeć, z początku trochę bez przekonania, ale coraz bardziej entuzjastycznie podchodził do tego planu. Następnego ranka pojawił się schludnie ubrany i ogolony w kuchni, aby zjeść śniadanie, i przez cały dzień szukał okazji, by zostać sam na sam z Charlotte i zadać jej pytania. Dlaczego Afryka Wschodnia? Dlaczego nie Ameryka? Klimat tam przyjemny, ziemia rozdawana emigrantom, można nawet znaleźć złoto... Czy nie czytałaś w gazecie o powstaniu Bushuri? Arabowie powstali przeciwko Niemcom na wschodnim wybrzeżu Afryki, były walki i ofiary śmiertelne, Dar es Salaam zostało obrócone w gruzy. Tylko z pomocą niemieckiej floty wojennej można było opanować tych nędznych handlarzy niewolników...

– To było siedem lat temu, Christianie. Teraz panuje tam spokój. Niemieckie Towarzystwo Wschodnioafrykańskie planuje założyć plantacje, nie myśleliby o tym nawet, gdyby nadal panowały tam zamieszki!

W końcu i on poczuł tę samą ekscytację. Po świętach zaczął mówić o pieniądzach, które mógłby jeszcze odebrać w Bremie, wypytywał też o koszt przeprawy.

– Jeśli to zrobisz, wszystko się wyda! Zostań w domu i nie rozmawiaj z nikim. Musisz mi przysiąc, Christianie!

Zgodził się, choć niechętnie. Ogarnął go wielki niepokój. Charlotte udzielała lekcji gry na pianinie różnym rodzinom i spędzała całe popołudnia poza domem, Klara przyjmowała zamówienia i szła do późna w nocy. W nielicznych wolnych chwilach rysowała portrety swojej babci i ciotki Fanny, Ettje i Petera Hansenów oraz ich trzech

synów. Narysowała dom i ogród, teraz pokryty śniegiem, wejście z pustym jaskółczym gniazdem, ulicę, przechodzących ludzi.

– Nie przesadzaj, Klaro! – Charlotte ostrzegła ją cicho, gdy spojrzała jej przez ramię.

– Nie chcę, żebyśmy o tym wszystkim zapomnieli. Rysunki pomogą nam zobaczyć naszą ojczyznę, nawet z daleka.

Większość zarobionych pieniędzy wydawali na artykuły spożywcze, ponieważ nie mogli prosić babci, by ich karmiła. Część, choć niewielką udało się jednak odłożyć. Może nie było tego dużo, ale na przejazd do Hamburga powinno wystarczyć. W tym czasie Charlotte otrzymała list od Gerharda i dowiedziała się o cenach za przeprawę. Zakręciło jej się w głowie, gdy czytała te liczby. Nawet gdyby podróżowali trzecią klasą, potrzebowaliby około sześciuset marek.

– Skąd chcesz wziąć te pieniądze? – zapytał podekscytowany Christian. – Masz zamiar to ukraść?

– Zdobędę je!

Nie ufała mu i nie powiedziała nic o biżuterii w drewnianej szkatułce. Och, musiałaby też zostawić swoją ukochaną skrzynkę. Nie zmieści się do walizki, którą trzeba było przecież wypełnić ubraniami i bielizną.

Dwa dni później Christian postanowił udać się na targ, gdzie nosił ciężkie skrzynie, zamiatał przed sklepami, mył okna i sprzedawał swój dobry garnitur oraz kapelusz u handlarza-gaduły.

– Nie chcę być leniem, kiedy wy obie pracujecie – powiedział zawstydzony i dał Charlotte zarobioną sumę.

– Och, Christianie!

W Leer, gdzie wszyscy go znali, było to nie lada poświęcenie! Ile kpin, ile złośliwych spojrzeń musiało go spotkać! Nie, nie był tchórzem. Nagle znów się wzruszyła, objęła mężczyznę ramionami i cieszyła się, że go nie zawiodła.

W noc przed wyjazdem napisała czuły list do babci, dziękując jej za opiekę, prosząc o przebaczenie i obiecując, że wyśle list tak szybko, jak to będzie możliwe. Wszystkie drobiazgi, pozostałe z licytacji i które należały teraz do gospodarstwa, oddała Ettje, tylko fortepian miał należeć do Gerharda, tak jak kiedyś chciał tego dziadek.

Żadne z nich nie spało tej nocy; wszyscy troje przewracali się na łóżkach i wstali przed świtem, cicho, drżąc z zimna i podniecenia. Latarnie gazowe pomogły im znaleźć najkrótszą drogę do stacji kolejowej, gdzie tylko kilka osób czekało na pociąg do Emden, szare, zmarznięte postacie, które prawie ich nie zauważały. Nikt nie

zabraniał im opuszczać miasta. Leer przemknęło więc za oknami pociągu niczym ciemna, nieznajoma postać. Przed nimi naznaczał się horyzont wielkiej przygody i nowego początku.

CZĘŚĆ II



MARZEC 1896



Słońce lśniło na morskich falach, nadając im jasnoniebieski, a miejscami wręcz turkusowy kolor oraz obsypując je oślepiającymi iskrami. Charlotte zasłoniła oczy dłońmi, by chronić się przed błyszczącymi refleksami światła, ale nadal nie mogła odwrócić wzroku. Odkąd wypłynęli z Hamburga, wykorzystywała każdą okazję, by stanąć na dziobie parowca, patrzeć na falującą wodę, czuć, jak wiatr szarpie jej ubranie i oddychać morzem, tak dziwnie dla niej znajomym.

– Dzisiaj jest przyjemniej – odezwał się męski głos. – Nie tak jak w zeszłym tygodniu, kiedy burza prawie cię zdmuchnęła, młoda damo!

Był to jeden z palaczy kotłowych, silny młodzieniec z Bremy, który podobnie jak jego towarzysze pojawiał się od czasu do czasu na dziobie, by odpocząć po wyczerpującej pracy. Widział wcześniej, jak marynarze zmuszali Charlotte do zejścia z górnego pokładu podczas sztormu atlantyckiego, chociaż ona poważnie zamierzała przyłgnąć do relingu i obserwować wspaniały spektakl natury.

– Na pewno nic by mi się nie stało – odparła z uśmiechem. – Mam dobre wyczucie morza.

– W każdym razie tak było lepiej – odparł spokojnie palacz. – Fale tym razem wznosiły się cholernie wysoko.

Nie bała się wtedy. Chociaż morze było wzburzone, a jego szare fale rzucały statkiem w górę i w dół, ani przez sekundę nie bała się, że żywioł wody może ją pochłoniąć. Zamiast tego obserwowała, zafascynowana, wściekle pulsowanie głębin, wznoszące się fale, wędrujące przez ocean, i zrozumiała, że tam, na dnie tej wielkiej wody, bije serce morza.

– Gdzie teraz jesteśmy?

Zmrużył oczy i osłonił je dłonią, patrząc na południe. Wczoraj minęli Cieśninę Gibraltarską i mieli okazję zobaczyć z pokładu Tarifę z przybrzeżną wyspą Las Palomas – jasną skałę, zarys białej latarni

otoczonej kobaltowo-niebieską wodą. Potem wieczorne słońce sprawiło, że wszystko przybrało karmazynowy odcień, a ziemia w oddali zdawała się płonąć. Afrykańskie wybrzeże, wypatrywane przez nią z utęsknieniem, jak na razie było jedynie ciemną poszarpaną smugą, na wpół ukrytą przez mgły, które później zmieniły się w rdzawoczerwoną mgiełkę.

– Tam jest Maroko – mruknął mężczyzna. – Jest za daleko, żeby je dostrzec. Kolejne dni spędzimy na otwartym morzu, gdzie napotkamy co najwyżej kilka wysp. Prawdopodobnie w Neapolu utkniemy na kilka zachodów słońca, załadujemy węgiel i prowiant, tam też zabierzemy na pokład pocztę. Powinna pani zejść na brzeg i się rozejrzeć.

Neapol! Tyle czytała o tym mieście, o żyznych wzgórzach, na których rosły oliwki i winorośl, o majestatycznym, ziejącym ogniem Wezuwiuszu, o stalowoniebieskim morzu, otaczającym białe skały w zatokach. Może zrobią małą wycieczkę po porcie, to wszystko, na co z Klarą mogła sobie pozwolić. Na wypożyczenie samochodu i zwiedzanie miasta oraz okolic potrzebowałiby pieniędzy.

– A teraz niech pani spojrzy na naszego gościa! Sledzi nas od wielu dni, musiał nas polubić!

Mrużąc oczy i mrugając, spojrzała w kierunku wyciągniętej ręki mężczyzny, gdzie widać było wielkie dźwigi statku oraz dym unoszący się z komina. Wysoko nad nimi, na błękitnym niebie, widniał zarys dużego ptaka morskiego z rozpostartymi skrzydłami, który wydawał się nieruchomy. Od czasu do czasu w pobliżu lądu przyłączało się do niego kilka mew – męczących osobników, które otaczały go wrogo, chcąc zakłócić płynny lot. Ignorował jednak intruzów i kontynuował swoją podróż, jakby istniał jakiś sekretny związek między nim, wolnym panem niebios a dymiącym, kołującym się statkiem daleko w dole.

– No cóż, muszę już iść – powiedział palacz i puścił poręcz. – Uważaj, żebyś nie wypadła za burtę, młoda damo. Byłoby cię szkoda.

Roześmiała się i mocniej zawiązała chustę, chroniącą włosy przed wiatrem.

– Wszystkiego dobrego! Niech się pan upewni, że płyniemy we właściwym kierunku.

– Na pewno tak zrobię!

Kroczył dumnie po pokładzie, gdzie kilku pasażerów trzeciej klasy próbowało się opalać. Choć takie stwierdzenie nie padło z jego ust wprost, w kotłowni musiało być istne piekło. Tak wnioskowała

Charlotte, z kilku mimowolnie rzuconych przez mężczyznę uwag. Rozpalona do czerwoności, smocza paszcza maszyny musiała być karmiona bez przerwy, ludzie pracowali na zmiany, przerzucając węgiel w dusznym powietrzu i palącym żarze do całkowitego fizycznego wyczerpania.

Z początku przerażało ją ciągle dudnienie silnika, nie ustające nawet w nocy, ponieważ pasażerowie trzeciej klasy zostali zakwaterowani pod dziobówką, niedaleko maszynowni. Z czasem zrozumiała jednak, że ta ogromna, niestrudzona siła jest jej sprzymierzeńcem. W przeciwieństwie do żaglowca, uzależnionego od siły i kierunku wiatru, parowiec płynął prosto przez fale, zmierzał niezachwianie do celu bez konieczności zmiany trasy czy niespodziewanych przestojów. Ta hałaśliwa, niepowstrzymana praca piekielnej maszynierii w samym brzuchu statku niosła ją do upragnionego celu – zatem była to siła dobra, na której można było polegać.

Jeszcze raz spojrzała na mieniące się kobaltowo-niebieskie morze, zaczerpnęła chłodnej morskiej bryzy, po czym westchnęła i odepchnęła się od poręczy, by spojrzeć na drewniany właz z uchwyty, prowadzący w dół do przestrzeni międzypokładowej. Musiała zajrzeć do Klary i Christiana, którzy mimo pięknej, słonecznej pogody nie pojawili się na pokładzie. Na nowo obudzone uczucia względem małżonka oraz wzruszenie, które wzbudził w niej, próbując za wszelką cenę zarobić potrzebne im pieniądze, nie zwracając uwagi na przeciwności losu, nie trwały zbyt długo. Wkrótce po przyjeździe do Hamburga, kiedy wujek Gerhard zabrał ich do ciasnego dwupokojowego mieszkania, zaczęły wybuchać między nimi gwałtowne kłótnie. Christian rozgniewał się, kiedy zobaczył biżuterię i miał za złe Charlotte, że trzymała ten skarb w tajemnicy przed nim. Sytuacja pogorszyła się jeszcze bardziej, gdy nalegała, że sprzeda biżuterię sama, bez jego udziału. Był bowiem przekonany, że brak jej doświadczenia i zostanie oszukana. Sumę, jaką w końcu otrzymała po wielu nieudanych próbach i uporczywych negocjacjach, określił mianem śmiesznej. Jego zdaniem uzyskała tylko ułamek rzeczywistej wartości klejnotów i zwyczajnie dała się wyprowadzić w pole. Całą sytuację łagodziła jedynie obecność Klary, która starała się ich uspokajać i pośredniczyła w kłótniach małżeństwa. Gdyby nie kuzynka, Charlotte prawdopodobnie nie trzymałaby języka za zębami i z jej ust padłyby słowa, których potem szczerze by żałowała. Gerhard również nie doczekał się nawet najmniejszej aprobaty ze

strony Christiana, pomimo swoich starań i opieki, jaką ich otoczył. Co to za typ? Jak mógł mieszkać w tak zaniedbanym mieszkaniu w pobliżu portu? Z tymi wszystkimi dziwnymi rzeczami, które zgromadził.

Do tej pory Charlotte nie miała pojęcia, jak zarabia na życie jej wujek i wątpiła, by ktokolwiek w rodzinie wiedział cokolwiek na ten temat, nawet dziadkowie posiadali jedynie strzępki informacji. Wujek Gerhard był muzykiem, w jego mieszkaniu znajdowały się skrzypce, lutnie, a także trąbka, flet oraz bęben. Wszędzie wisiały dziwacznie kolorowe ubrania, długie jedwabne pończochy, buty z błyszczącej skóry i wszelkiego rodzaju świecidełka przywodzące na myśl teatr lub cyrk. Christian lekceważąco twierdził, że Gerhard był włóczęgą i ulicznym śpiewakiem, może też jednym z tych ekscentrycznych artystów, którzy występowali w małych teatrzykach lub rewiach razem z tancerzami, oswojonymi lwami czy tresowanymi pudłami. Może miał rację, bo każdego popołudnia przez te kilka dni, kiedy tam mieszkali, Gerhard pakował najróżniejsze ubrania i instrumenty, po czym opuszczał mieszkanie i wracał zazwyczaj późno w nocy. Mimo to był życzliwym człowiekiem, bez jego pomocy nigdy nie byłoby w stanie podjąć się tej podróży. Zamówił i opłacił dla nich trzy bilety na rządowy parowiec Reichspost. Zapewnił jedzenie i zakwaterował ich w swoim niewielkim mieszkaniu. Nie chciał też zwrotu pieniędzy, w końcu Charlotte dała mu pianino. Obiecała jednak spłacić dług, gdy tylko zamieszkają w nowym domu. Kwota, która im została nie była duża, ale musiała wystarczyć na prowadzenie skromnej egzystencji.

Schodząc po schodach usłyszała głos Christiana. Jej mąż zdawał się rozmawiać z ożywieniem z jakimiś towarzyszami podróży.

– Mkwawa^[21] – nigdy o nim nie słyszałem. Kto to jest? Jakiś Murzyn? – rozległ się niski, szyderczy śmiech.

– Nie powinienes lekceważyć tych typów. Kilka lat temu Mkwawa i jego ludzie zabili ponad trzystu Askarysów, którym towarzyszyli niemieccy oficerowie. W ciągu dziesięciu minut wszyscy zginęli, także dowódca niemiecki – nazywał się Zelewski, biedny chłop.

– Dobry Boże! A czy ten Mkwawa został już złapany?

– Wciąż knuje tam jakieś swoje intrygi. W każdym razie dziesięć koni nie zaciągnęłoby mnie do tej niemieckiej kolonii w Afryce.

Rozmowa ucichła, gdy dotarła do dolnego pokładu. Dwaj mężczyźni, z którymi Christian siedział przy stole, byli bardzo młodzi. Prawdopodobnie mieli nieco ponad dwadzieścia lat, ale wyglądali na takich, którzy wiedzą, jak wiązać koniec z końcem, na wszelkie

możliwe sposoby. Rzekomo chcieli pojechać do portugalskiego Mozambiku, stamtąd zaś do Republiki Południowej Afryki, gdzie mieszkał wujek jednego z nich. Wpatrywali się w Charlotte z nieskrywanym pożądaniami. Na pokładzie było niewiele kobiet; w trzeciej klasie oprócz niej i Klary podróżowała tylko jedna pasażerka, mająca już swoje lata i bez skrępowania nawiązująca relacje różnej natury z podróżującymi mężczyznami.

– Dlaczego nie pójdziesz na pokład? – zapytała Christiana. – Słońce i świeża bryza dobrze ci zrobią.

– Nie chcę już oglądać tej cholernej wody.

Trzej mężczyźni roześmiali się, jakby opowiedziała niezły żart. Prawdziwy powód był jednak prawdopodobnie inny: Christiana bolał fakt, że pasażerowie trzeciej klasy mieli do dyspozycji jedynie przedni pokład, po którym kręcili się także pracownicy kotłowni i marynarze, podczas gdy górna część statku była zarezerwowana dla pasażerów pierwszej i drugiej klasy. Te wspaniałe, pomalowane na biało nadbudówki, z pięknymi oknami i zadaszonymi pokładami bocznymi, wznosiły się jak forteca nad dziobem, ale nie pozwolono im nawet wejść po schodach, żeby się rozejrzeć. Panowie w jasnych garniturach oraz nieliczne spacerujące damy, które można było zauważyć, nie życzyli sobie kontaktu z pasażerami trzeciej klasy.

– W takim razie pójdę z Klarą.

Christian zignorował ją i nic nie odpowiedział. Chyba nie miał ochoty pomagać szwagierce wchodzić po schodach i podtrzymywać ją na kołyszącym się pokładzie. Z radością pozostawił opiekę nad dziewczyną Charlotte. Mimo to czuł się znacznie lepiej teraz, gdy morze było spokojniejsze. Choć na początku nie mógł opanować euforii, jaka towarzyszyła mu od momentu wypłynięcia z portu w Hamburgu, zwłaszcza że nie został wytropiony i aresztowany, już po kilku dniach pogrążył się w rozpacz. W przeciwieństwie do Charlotte i Klary, Christian cierpiał na chorobę morską, gdy tylko fale były niespokojne i wzburzone, leżał na koi, wymiotując. Charlotte z miłością opiekowała się nim, co nie było łatwe zwłaszcza w tych momentach, gdy morze dawało o sobie znać. I nie tylko ze względu na stan Christiana. Jedynie stół był przykręcony do podłogi. Krzesła, naczynia i inne przedmioty niebezpiecznie szybko przesuwały się z jednej strony pomieszczenia na drugą, a mężczyźni na górnych pryzkach musieli uważać, żeby ich z nich nie wyrzuciło.

Tylna część pokładu została oddzielona ruchomą drewnianą ścianą, w której znajdowały się koje dla kobiet. Damska część była

tak wąska, że nie zmieściłby się w niej nawet stół. Tutaj również wstawiono piętrowe łóżka z twardego drewna i bez materacy. Dla każdego podróżnego przewidziano dwa koce. Klara i Charlotte dzieliły pryczę, drugą zajmowała jedna z nielicznych kobiet, również podróżujących trzecią klasą, która rozłożyła na górze łóżka swoją odzież. Sarah William była posiadaczką pokaźnej kolekcji ubrań, łączonych przez nią na różne sposoby. Do tego mogła pochwalić się wachlarzem oryginalnych kapeluszy, które nigdy nie chciały pasować do jej ubrań pod względem koloru i kształtu. Lubiła pojawiać się na pokładzie wystrojona za każdym razem w coś nowego. Było to o tyle dziwne, zdaniem Charlotte i Klary, że jak twierdziła Sarah, była ona w drodze do Dar es Salaam, gdzie miała zamiar odwiedzić narzeczonego, pracującego w hamburskiej firmie zajmującej się gruntami i plantacjami. Przymykając jednak oko na to jakże specyficzne zachowanie, Sarah okazała się osobą pomocną i energiczną, szczególnie upodobała sobie nieśmiałą Klarę. Prosiła ją o namalowanie swojego portretu i była tak zachwycona efektem końcowym, że zaoferowała Klarze pieniądze za wykonaną pracę. Jednak, ku irytacji Charlotte, Klara odmówiła i dała jej portret w prezencie, a Sarah w podziękowaniu zrewanżowała się jednym ze swoich kapeluszy.

Charlotte znalazła Klarę siedzącą na skraju koi, gdy ta cerowała kurtkę Christiana w przyćmionym świetle maleńkiego iluminatora.

– Zepsujesz sobie oczy! Chodź natychmiast ze mną na górę, do słońca!

Trzeba ją było chwilę przekonywać, bo Klara niechętnie wychodziła na górny pokład. Charlotte wielokrotnie tłumaczyła kuzynce, że na pokładzie mało kto, jeżeli w ogóle zauważy jej niepełnosprawność. Nie była przecież jedyną osobą, która czuła się niepewnie z powodu ciągłego kołysania statku.

– Jestem dla was ciężarem, prawda? Może powinnam była zostać w Leer...

– Nigdy bym bez ciebie nie wyjechała, Klaro. Naszym przeznaczeniem jest być razem, wiesz o tym.

Klara uśmiechnęła się niewyraźnie. Tak, należały do siebie, niezmiennie od wielu lat. Jednak w przeciwieństwie do Charlotte, która z entuzjazmem podchodziła do tego co nowe i nieprzewidywalne, Klara tęskniła za domem dziadków, ciasną sypialnią, ogródkiem i wszystkim, co kiedyś było dla niej bezpieczną

przystaną. Co się z nią stanie w obcym kraju, jeśli nie będzie mogła nawet sama wspiąć się po schodach?

– Pospiesz się. Morze chwilowo się uspokoiło, będzie ci łatwiej.

Charlotte przerzuciła jeden z koców przez ramię i wzięła Klarę pod drugą rękę, kiedy szły przez strefę przynależną mężczyznom w stronę schodów. Dlaczego tak się zachowywała? Nierówny chód Klary był prawie niezauważalny, dopiero na schodach zaczęła się potykać, a na pokładzie Charlotte musiała ją mocno trzymać, bo zaczęła się niepokojąco kołysać.

– Mój Boże, co za słońce! – szepnęła Klara i zamknęła oczy. – Jest niewiarygodnie jasne, całkowicie mnie oślepia!

Poczekaj tylko, aż będziemy w Neapolu, a wtedy zobaczysz kolory jeszcze piękniejsze niż na wybrzeżach Hiszpanii i Portugalii. A co dopiero w Afryce! – zachwyciła się Charlotte.

Jak już będę wiedziała z czego możemy się tam utrzymać, to kupię jej akwarele, to ją uszczęśliwi, dodała w myślach Charlotte.

Nieliczne leżaki były zajęte, ale Klara nie byłaby w stanie skorzystać z tak chwiejnego siedzenia. Charlotte znalazła kąć osłonięty od wiatru, rozłożyła koc na deskach pokładu i pomogła kuzynce usiąść. Niedaleko nich leżała również Sarah, otoczona kilkoma towarzyszami podróży. Było wesoło, butelka krążyła, a śmiech kobiety coraz częściej przerywały radosne cmoknięcia i kuksańce. Marynarze na pokładzie wołali ją, kiedy przechodzili, ale musieli być ostrożni, bo oficer miał na nich baczne oko. Charlotte cieszyła się, że silnik statku ryczał tak głośno, że nie była w stanie zrozumieć ich paplaniny.

Kiedy Christian w końcu pojawił się na pokładzie, niebo znowu się zmieniło, rzeński wiatr wzburzył morze, które nagle stało się szare i wrogie. Na burcie statku rozpryskiwały się białe welony fal, ale były one nieszkodliwe i miło się na nie patrzyło, zupełnie inaczej niż na Morzu Północnym. Potem uderzyły jednak z niebezpieczną siłą w pokład, a morską wodą spłynęła po schodach na śródpokład. Przygnębiony Christian usiadł obok Charlotte na kocu. Coraz bardziej niespokojne ruchy statku źle na niego działały, a nastrój mężczyzny stawał się coraz bardziej ponury.

– Spójrz na tego szlachetnie urodzonego dżentelmena – zadrwił, wskazując bezwstydnie na górny pokład. – Stoi tak przy balustradzie od wielu dni, patrząc na nas z góry, jakbyśmy byli hordą małp w zoo.

Charlotte również zauważyła tego mężczyznę już kilka razy. Miał na sobie jasny garnitur w stylu safari, jak wielu pasażerów pierwszej

i drugiej klasy i zawsze chodził bez kapelusza. Jego twarz była opalona, miał mały wąsik, a falujące blond włosy powiewały na wietrze. Tym, co zwracało szczególną uwagę, był fakt, że zawsze stał sam, prawdopodobnie nie zależało mu na nawiązywaniu więzi z innymi współpasażerami.

– Dlaczego myślisz, że nas obserwuje? Patrzy przecież na morze, to wszystko.

Christian nawet nie zwracał uwagi na to, co mówiła, za bardzo był pochłonięty daniem upustu swojej złości, jak to został zlekceważony.

– Kabina z umywalką i oknem, palarnia, jadalnia, salon z kanapami i fotelami. Co za luksus! Wielu z nich nosi ze sobą całe kolekcje broni, chce polować na lwy, strzelać do słońi i nosorożców. Zadufane nieroby! Nawet ich służba zajmuje kabiny drugiej klasy.

Charlotte pozwoliła mu mówić. Ona również podziwiała bogate wyposażenie pierwszej klasy, pokazywane w broszurach, ale nie tęskniła za luksusem. Przez całe lata dzieliła maleńką sypialnię z Klarą, Ettje i ciocią Fanny, była przyzwyczajona do ograniczeń.

– Jeszcze kilka tygodni i wszystko będzie inaczej!

Fale zdawały się teraz uderzać w statek ze wszystkich stron, aż zakłósał się niepokojąco i słychać było świszczenie oraz łomotanie całej konstrukcji. Twarz Christiana poszarzała.

– Będzie cudownie – powiedział cynicznie. – Jeśli kiedykolwiek dotrzemy do Dar es Salaam, władze niemieckie zamkną mnie i odeślą z powrotem do Rzeszy. Tak to się skończy!

– Dlaczego mieliby to robić? Nikt tam nic nie wie o twoich długach. A poza tym musieliby ci pokryć koszty podróży powrotnej do domu!

Machnął lekceważąco ręką i wstał niezdarnie, starając się jak najszybciej wrócić do swojej koi. Klara też chciała zejść na dół, zmarzła, a jeszcze przecież musiała zacerować Christianowi kurtkę...

– Nie nadaję się na morskie podróże, Charlotte. Lepiej zostaw mnie na dole, wtedy nie będziesz musiała się za każdym razem tak bardzo wysilać.

– To mi nie przeszkadza! – zaprzeczyła ze złością Charlotte i wyciągnęła rękę, by pomóc kuzynce wstać.

Czyż nie zawsze opiekowała się obydwójkiem? Czy nie starała się ich rozweselić, dodać otuchy? Mój Boże, robiła wszystko, co w jej mocy, by doprowadzić Klarę i Christiana do nowego, wolnego, szczęśliwego życia, ale oni zamiast być jej wdzięczni, ciągle męczyli narzekaniem. Prosty jak pień niebieski pas kanału biegł pośród

pustynnego piasku, wąski, otoczony fałdami czerwono-żółtych brzegów. Tylko gdzieniegdzie można było dostrzec trochę zieleni. Palmy i krzewy wyrastały z zakurzonej ziemi, pasły się kozy, szare wielbłądy stały ze związanymi przednimi łapami i gryzły cierniste poszycie. Znajdowała się tam oaza niskich, białych budynków, między którymi kobiety w długich ciemnych szatach dźwigały ciężary na głowach. Trzej czarnoskórzy chłopcy stali na piaszczystym wzgórzu, tęsknie patrząc na leniwie przepływający parowiec, machali z całych sił.

– Jak oni mogą jeszcze podskakiwać w tym upale – dziwił się Christian, stojąc obok Charlotte przy relingu i wycierając pot z czoła chusteczką.

– Są do tego przyzwyczajeni – odparła ze znużeniem.

Chciała podnieść rękę, by pomachać w odpowiedzi tym radosnym chłopcom, ale była zbyt słaba. Na jej samopoczucie miał wpływ zapewne upał, którego nie był w stanie zniwelować lekki wiatr. Piękny ptak morski, towarzyszący im podczas rejsu przez wiele dni, zniknął nagle. Można było wnioskować, że prawdopodobnie wrócił do swojej ojczyzny nad Morzem Śródziemnym lub po prostu znalazł sobie inny statek.

Niezwykle trudno było teraz rozróżniać poranki od wieczorów. W mgnieniu oka światło dnia wyłaniało się z nocy, a kiedy dzień zapadał z powrotem w ciemność, po chwili już żółta, świecąca kula słońca zabarwiała krajobraz na kilka minut głęboką, płonąca czerwienią. Parowiec zacumował w Port Said na jeden dzień. Węgiel i poczta zostały załadowane na pokład, pojawili się nowi pasażerowie, by teraz w tym dojmującym upale żeglować wąskim, niemalże gładkim kanałem. Na zachodzie, gdzie słońce rozpałało co wieczór jaskrawe widowisko, daleko za płaskimi piaszczystymi wzgórzami, gdzie tylko czasem górował filigranowy cień palmy, w mglistej oddali, leżało miasto Kair. Musieli podróżować jeszcze tylko dwa dni by tam dotrzeć, a jednak cel wydawał się nieosiągalny. George oczywiście nie miał pojęcia, którędy płynęli.

Christian objął żonę ramieniem. Burze na Morzu Śródziemnym mieli już za sobą, dlatego też jego nastrój znów się poprawił. Traktował Charlotte z czułością, prosząc nawet o przebaczenie za „głupie, niepotrzebne kłótnie”. Korzystał teraz z każdej okazji, by jej dotykać, bo po dość długim czasie rozłąki znów obudziła się w nim tęsknota za ciałem żony.

– Proszę, nie, Christianie. Jest tak gorąco...

Ramię męża zaczęło jej ciążyć, a dotyk stawał się coraz bardziej krępujący. W Port Said pokład przy dziobie wypełnił się licznymi współpasażerami, ludźmi ubranymi w orientalne stroje, o różnych odcieniach skóry, którzy usadowili się ze swoimi tobołkami i pakunkami na leżakach oraz deskach pokładu. Niewielu z nich korzystało z koi w trzeciej klasie, gdzie sen był utrudniony z powodu hałasu silników, upału i dusznego powietrza. Większość nocowała owinięta w koce na świeżym powietrzu. Christian cofnął ramię z westchnieniem, ale nie mógł się powstrzymać, od dotykania jej, więc przesunął uwodzicielsko dłoń po nagiej szyi kobiety. Jeden z maleńkich loków owinał się na jego palcu i Charlotte skrzywiła się, gdy niezdarnie za niego pociągnął.

– Przepraszam, kochanie. Nie chciałem tego zrobić.

– To nic...

– Jest naprawdę bardzo gorąco. A krajobraz też nie jest specjalnie urozmaicony. Nic dziwnego, że jesteś taka przygnębiona, moja droga...

– Jestem tylko trochę zmęczona.

Małe łodzie rybackie wiosłowały blisko brzegu, stawianie żagli nie miało dziś większego sensu, ponieważ niebo było bardzo spokojne. Za nimi wybuchła nagle kłótnia między nowymi pasażerami. Usłyszeli szybką, podekscytowaną mowę kobiety, zagłuszającą innych. Słowa brzmiały nierówno, pospiesznie, urywane dźwięki, niesłyszane przez nich nigdy wcześniej. Christian uniósł na chwilę kapelusz, po czym naciągnął go z powrotem, jakby obawiał się udaru słonecznego. Charlotte zapomniała ocalić jeden z jego ślicznych jasnych słomkowych kapeluszy przed sprzedażą na aukcji, co było dość irytujące. Jednak nie winił jej za to. Mimo upału uparcie nosił ciemny garnitur, zwężony przez Klarę i czarny kapelusz chroniący przed słońcem. Bieganie w koszuli bez rękawów, jak to robili niektórzy jego współpasażerowie z trzeciej klasy, nie wchodziło w grę. Jedynym ustępstwem, na jakie sobie pozwolił, było niezłożenie kamizelki pod marynarkę.

– Wiesz, doszedłem do wniosku, że osiedlenie się w takim miejscu jak Dar es Salaam byłoby bezsensowne – kontynuował. – Na wybrzeżu panują podobno temperatury tropikalne, okolica jest chyba nawet bagnista, więc łatwo dostać gorączki.

Nic nie odpowiedziała, jak zawsze, kiedy opowiadał o swoich wnioskach. Może jednak w tej akurat kwestii nie mylił się tak bardzo. Wielu Europejczyków zmarło na tropikalną gorączkę i wiadomo było,

że winne są temu mokradła. Dlatego zalecano regularne przyjmowanie niewielkich dawek chininy. Postanowiła, że zdobędzie to lekarstwo, choćby kosztowało majątek. Ten środek wydawał się jej ważniejszy niż cokolwiek innego.

– Powinniśmy przenieść się w góry, Charlotte. Do Usambara, gdzie Niemieckie Towarzystwo Wschodnioafrykańskie zakłada obecnie plantacje. Albo w okolice Kilimandżaro.

– Na Kilimandżaro? Jak zamierzasz się tam dostać?

– Planują tam otwierać plantacje. Mają uprawiać banany. Albo kawę, nie wiem dokładnie. W każdym razie klimat w górach jest dużo przyjemniejszy i zdrowszy niż na wybrzeżu.

Kilimandżaro! Brzmiało to tak kusząco, że na chwilę zapomniała o skrywanym żalu. Potężna góra, która wznosiła się ze stepu i rozciągała swój ośnieżony wierzchołek aż po chmury. Czy w prawdziwym życiu wyglądała tak wspaniale, jak na rysunku, pozostawionym w Leer razem z ukochaną skrzynką? Ale potem otrząsnęła się z tych myśli. Skończył się czas marzeń. Być może pewnego dnia zobaczy tę cudowną górę na własne oczy. Musiało to jednak poczekać. Z pewnością nigdy nie zobaczy Kairu, nie wolno jej było, nie chciała. Kiedyś napisze do George'a. Później.

– Potrzeba bardzo dużo pieniędzy, żeby założyć plantację, Christianie.

– Och, nonsens, Charlotte! Co jest z tobą nie tak? Ledwo cię poznaję. W Hamburgu byłaś jeszcze pełna nadziei i entuzjazmu, a teraz tylko mówisz o pieniądzach, których nie mamy.

– Ale tak właśnie jest – upierała się, próbując odpowiednio wcześniej zniszczyć jego fantazje. – Potrzeba kilku tysięcy marek, żeby wykupić taką plantację, a to tylko początek.

Nie chciał tego słyszeć, uparcie argumentując, że Towarzystwo Wschodnioafrykańskie z pewnością ucieszyłoby się z każdego Niemca, który chciałby osiedlić się w kolonii i oddałoby mu ziemię prawie za darmo.

– Tu nie chodzi tylko o ziemię, Christianie. Musielibyśmy zapłacić robotnikom, którzy wycinają drzewa i przygotowują nasadzenia. Kupować plony, nawadniać glebę, budować budynki i co tam jeszcze...

– Co?! Murzyni pracują przecież za grosze. Wodę zaś znajdziesz w górach wszędzie. Zbyt dużo jest w tobie czarnowidztwa, kochanie. Kiedy pierwsze zbiory zostaną sprzedane, będziemy bogaci i spłacimy wszystkie nasze długi...

– Być może...

Nie myślała o tym zbyt wiele. Nawet gdyby towarzystwo skredytowało mu trochę pieniędzy, z pewnością nie był typem człowieka, który mógłby założyć plantację. Oczami wyobraźni widział siebie, siedzącego w wygodnym zacienionym fotelu, z drinkiem w rękę, podczas gdy czarnoskórzy pracownicy pracowaliby na zewnątrz na plantacjach. Tak naprawdę jednak żadne z nich nie miało pojęcia o rolnictwie, byli przecież handlarzami.

– Zobaczysz, Charlotte – powiedział z uśmiechem, delikatnie obejmując ramieniem jej talię, by przyciągnąć ją bliżej. – To wszystko będzie dużo łatwiejsze, niż myślisz. Zaczynamy od nowa, we dwoje, razem, ramię w ramię. I tym razem cię nie zawiodę!

Znosiła jego objęcie, nie chcąc ponownie go odrzucić. Możliwe, że był szczery w swoich zamiarach. Tak, zdecydowanie mówił poważnie. Nie mogła jednak na nim polegać, tego również była pewna. Chciała zrobić to, co uważa za słuszne z niewielką kwotą oszczędności, jaką udało się jej uzbierać.

W połowie kwietnia opuścili Port Aden, odludne miejsce otoczone czarno-szarymi skałami, gdzie w niemalże widocznym skwarze stało tylko kilka żółtawych domów. Ani drzewa, ani krzaka, tylko nagie, poszarpane góry, czarne, otoczone stalowoniebieskimi falami, majestatyczne jak krajobraz przed początkiem świata, a jednocześnie przerażające i wrogie. Tej nocy, kiedy parowiec stał w Port Aden, Charlotte nie spała. Po raz pierwszy podczas tej podróży poczuła głębokie wątpliwości co do swoich planów oraz postanowień, których dokonała tak gwałtownie, starając się nie zatrzymywać nawet na chwilę. Natura nie wszędzie troszczyła się o człowieka na tyle, żeby go karmić i ubierać. Nie było szans na życie w krainie tych wrogich czarnych skał, pochłaniających palące słońce tego dnia. Tam czekała śmierć, której George, zafascynowany odkrywaniem nowych miejsc, stawiał czoła na pustyni i ledwo uniknął. Ona jednak nie była George'em, nie szukała granic ludzkich możliwości, chciała znaleźć miejsce do życia, dom, zielony gaj palmowy, okno z widokiem na morze. I tego samego chciała dla Klary i Christiana. Czy to było zbyt wiele? Czy zachowała się nierozważnie? Co by się z nimi stało, gdyby jednak nie udało jej się związać końca z końcem w obcym kraju?

Kilka dni później, gdy parowiec płynął wzdłuż wschodniego wybrzeża Afryki, wszystkie te obawy zniknęły. Na pokładzie panował entuzjazm, stała między Christianem a Klarą przy relingu, wśród

paplających, gestykulujących, śmiejących się pasażerów o wszystkich możliwych kolorach skóry. Z zachwytem wpatrywała się w linię brzegową, wzdłuż której właśnie przepływali. Palmy i akacje rozciągały się tam na tle błękitnego nieba, filigranowe gałęzie, delikatnie kołysane wiatrem, tworzyły gęste, zielone zagajniki, ukazując magię żyznej nadmorskiej krainy. Łąd opadał w kierunku plaży stromym nasypem, ale nawet na tym zboczach tylko gdzieś tam pojawiała się ciemna skała rafowa. Zacznie częściej widać było gęstwiny porośnięte zieloną roślinnością. Morskie fale delikatnie uderzały w biały piasek, na którym cumowały małe łodzie rybackie, a na płycznach bawiły się dzieci o ciemnym kolorze skóry. Od czasu do czasu można było zobaczyć dorosłych mężczyzn w długich, jasnych szatach z dziwnymi nakryciami głowy, zbierających coś z ziemi.

Podróżni zebrali się też przy relingu na górnym pokładzie, widać było, że trzymają kieliszki do szampana i wznoszą toasty. Wymawianych przez nich słów nie było dokładnie słychać przez ryk maszyny, ale nietrudno było się domyślić, o czym rozmawiano.

– Tanga! Tanga!

Nazwa nadmorskiego miasteczka zabrzmiała nad dziobem. Nawet jeśli nie zrozumieli ani jednego słowa z rozmów ciemnoskórych towarzyszy podróży, domyślili się, że port Tanga musi znajdować się na cyplu, wsuniętym daleko w turkusowe morze, prawie ukrytym wśród bujnie rosnącej, tropikalnej roślinności. Dotarli do wybrzeży niemieckiej kolonii – więc podniosły się zaraz okrzyki na cześć cesarza Wilhelma, niemieckiej kolonii w Afryce Wschodniej i pana Wissmanna, tłumiącego kilka lat wcześniej tak chwalebnie arabskie powstanie.

– Spójrz! – krzyknął Christian, machając w podnieceniu kapeluszem. – Widać stąd góry Usambara. Wkrótce będziemy mieć tam plantację, kochanie!

Śmiała się z jego bezsensownego zapału, ale w swoim radosnym nastroju zignorowała go. Może pewnego dnia rzeczywiście znajdą swój dom w tych górach, które stąd widać było tylko jako niebieskawe wzgórze, rysujące się gdzieś daleko, w głębi łądu. Na razie jednak znacznie bardziej interesowało ją samo wybrzeże, błękitno i zielonkawo mieniące się morze, małe statki z białymi i różnobarwnymi żaglami, falującymi niczym wielkie krople na wietrze, nazywanymi *dau*^[22]. Czy to nie był kraj, o którym zawsze marzyła?

– Ale tam ładnie – powiedziała Klara stojąca obok niej tak cicho, że ledwo ją słyszała przez ogólne wrzaski.

– Dokładnie tak to sobie wyobrażałam, Klaro! – odpowiedziała triumfalnie Charlotte i przyciągnęła do siebie kuzynkę.

– Kraina ciepła i światła, bogata, nieskończenie piękna kraina. Spójrz na te wszystkie ptaki – myślę, że to pelikany.

Stado dużych czarno-białych ptaków wzbilo się z zielonych zarośli w głębi łądu. Nawet z daleka wydawały się ogromne, a jak musiały szeleścić ich skrzydła, brzmieć ich krzyki!

– To dobra wróżba – powiedziała Klara z uśmiechem i zakryła oczy dłonią. – Mówi się, że pelikany przynoszą szczęście, gdzieś o tym czytałam!

– Szczęście i błogosławieństwo! – wykrzyknęła radośnie Charlotte. – Nigdy nie lubiłam tych szarych dachów i wąskich uliczek. Nigdy więcej nie chcę widzieć pochmurnej mgły i zazdrosnych ludzi! Jesteśmy wolni. I będziemy szczęśliwi, Klaro!

Śmiejąc się, odrzuciła głowę do tyłu i w tym momencie jej wzrok przykuł ubrany na biało mężczyzna stojący z dala od pozostałych pasażerów na górnym pokładzie. Podobnie jak inni trzymał w dłoni kieliszek z szampanem, a teraz w dobrym humorze unosił go wysoko i uśmiechał się do niej z góry, jakby chciał wznieść toast za jej pomyślność. Pomachała mu w euforii, ale po chwili szybko opuściła głowę i mocniej naciągnęła szal, owijając włosy.

– Postąpiłaś słusznie, kochanie – usłyszała tuż obok siebie głos Christiana i poczuła, jak jego ramię obejmuje ją w talii. – Ożeniłem się ze wspaniałą, inteligentną kobietą. Doprowadziłaś nas do tego raj, Charlotte. Tak bardzo jestem ci za to wdzięczny!

Pocałował ją delikatnie w skroń, z czułością, całkowicie pozbawioną fizycznego pożądania. Dlatego też gest ten głęboko ją poruszył. Był z niej dumny i kochał ją. Czego żona może pragnąć bardziej niż miłości i aprobaty męża?

Dzień później zebrały się małe chmurki, tworząc już po chwili groźnie ciemne, burzowe niebo, a wybrzeże zaczęła spowijać mgła spadających mas deszczu. Rozległ się gwałtowny grzmot nad nimi, zagłuszający nawet ryk i łomot silnika statku. Ku wielkiej rozpacz Charlotte, tajemniczą, długo przez nią wyczekiwaną wyspę Zanzibar, minęli i pozostała tylko niewielkim niebiesko-szarym kształtem w oddali. Och, tak bardzo miała nadzieję zobaczyć tę wyspę, podziwiać pałace sułtana, oddychając magią pachnącego

przyprawami Orientu. Jednak otrzymała jedynie przemoczoną sukienkę i mokre włosy, czekając na pokładzie.

– Jest pora deszczowa, moja droga – powiedziała Sarah William, kręcąc głową, gdy rozczarowana Charlotte wróciła do kobiecej części sterówki. – Nie ma sensu wychodzić na pokład i stać tam w nieskończoność. Dobrze, że jest tu tak ciepło, bo twoje ubrania szybko wyschną.

Właśnie trwała pora deszczowa, która minie dopiero z końcem maja, po niej przychodził okres suszy. Kiedyś o tym czytała, ale szybko uleciało jej to z pamięci. Padało – to było czyste błogosławieństwo dla tej części kontynentu, mając na uwadze upalny, gorący, pustynny krajobraz Egiptu oraz pustkowia Adenu.

Kiedy parowiec minął wejście do portu Dar es Salaam, niebo nad nimi było ciemne, a chmury rozświetlały błyskawice. Przeprowa przez szeroki, naturalny kanał nie należała do najbezpieczniejszych ze względu na rafy koralowe, maszyna zatrzymywała się kilka razy, słychać było głośne komendy sternika, a niecierpliwie czekającym pasażerom wydawało się, że minęła wieczność, aż w końcu szeroki teren portowy otworzył się przed nimi. Faktycznie był ogromny, otoczony bujną roślinnością i osłonięty od sztormowych fal przez przybrzeżne rafy.

– Dar es Salaam, oaza spokoju – powiedział jeden z młodych mężczyzn, z którymi Christian miał przyjemność spędzać coraz więcej czasu, odkąd opuścili Hamburg.

W tym momencie nad ich głowami rozległo się uderzenie grzmotu, a zalane deszczem niebo zasłoniło ląd i objęło port. Na zadaszonych pokładach bocznych nikomu nie przeszkadzała gwałtowna tropikalna burza, ale na pokładzie dziobowym panował chaos, ponieważ wielu pasażerów zdążyło już wynieść swoje bagaże z kajut. W szczególności Sarah głośno narzekała. Zarzuciła koce ze statku na walizki i pudełka na kapelusze, ponieważ obawiała się, że wilgoć zniszczy jej ubrania. Charlotte, Christian i Klara przytulili się do siebie, jakby w ten sposób lepiej mogli stawić czoła ulewnemu deszczowi.

Parowiec płynął wolno w kierunku miasta, rozciągającego się na wybrzeżu na prawo od wejścia do portu. Zobaczyli palmy, wstrząsane przez burzę, między kilkoma jasnymi nowymi budynkami, nie tak okazałymi jak pałac gubernatora, widoczny z morza. Budynki nadal sprawiały wrażenie bardziej stabilnych i stanowiły wyraźny kontrast do innych domów, wyglądających raczej na zaniedbane

i opuszczone. Ale mogło to być spowodowane ulewnym deszczem, który zaciemnił widok i zniekształcił kolory.

– Tam jest molo! – krzyknął Christian. – Myślę, że zmierzamy w tym kierunku.

– Dzięki Bogu – mruknęła Charlotte.

Ale ich nadzieja została rozwiana. Mimo że parowiec poruszał się w kierunku przystani, nie zacumował przy niej, ale zatrzymał silnik w pewnej odległości od brzegu i tam zarzucił kotwicę. Wyglądało na to, że pasażerów trzeba będzie dowozić na pomost łodziami. Klara nic nie powiedziała, ale Charlotte widziała narastającą panikę w jej oczach. Jak jej kuzynce, która miała trudności nawet w chodzeniu po zwykłych schodach, uda się zejść po wąskim trapie, zabezpieczonym tylko dwiema poręczami, do kołyszącej się łodzi?

– Idziemy razem, Klaro. Złapiemy się za ręce, a drugą ręką będziesz się trzymać poręczy!

Na razie nic się nie działo, czekali aż skończy się tropikalna ulewa, które, jak wiadomo, zwykle nie trwały zbyt długo. Kiedy deszczowe chmury rozwiął wiatr, a wilgoć pod wpływem gorącego słońca uniosła się w postaci drobnej mgiełki, rozpoczęły się przygotowania do zejścia na ląd. Teraz gdy wielki silnik przestał ryczeć, dało się słyszeć inne dźwięki, pluski i mruczenie fal, rozkazy wydawane dla marynarzy, a nawet wskazówki dla służby będącej wciąż na górze w strefie pierwszej i drugiej klasy.

– Spójrz, woda w porcie jest bardzo spokojna! – powiedział Christian.

Charlotte spojrzała w dół na odbijającą światło tafłę wody, która teraz w słońcu była jasnoniebieska, a falujące załamania migotały jak lśniąca potłuczone szkło. Z lądu zbliżały się łodzie wiosłowe; były wypełnione wyłącznie czarnoskórymi mężczyznami, którzy ciężko opierali się na wiosłach, jakby mieli wziąć udział w wyścigu wiosłarskim. Jednak gdy pierwsza z łodzi zacumowała przy trapie, który został już zawieszony i zabezpieczony, Charlotte wydawało się, że mała łódka gwałtownie podskakuje w górę i w dół.

Przepuścili innych podróżujących w pierwszej kolejności. Pasażerowie z wyższej klasy, w większości mężczyźni, bez trudu wchodzili na pokład łodzi wiosłowych, niektórzy nawet zdawali się tym cieszyć. Dało się słyszeć ich żarty i szczery, mocny śmiech. Kobiety z ich pokładu – było ich pięć, w tym dwie służące – również dosyć sprawnie zeszły, przyjmując pomoc mężczyzn i zajmując miejsca w łódce. Nie stanowiło to dla nich większego problemu,

właściwie główną niedogodność stanowił ubiór, utrudniający tę krótką wyprawę: ciasne sznurowane spódnice i buty nienadające się na taką gimnastykę.

– Poczekajmy jeszcze trochę – poprosiła z niepokojem Klara, kiedy Charlotte chwyciła jej torbę i chciała dołączyć do podróżnych, którzy kierowali się w stronę trapu.

– To i tak musi się stać, Klaro – zaprzeczył ze złością Christian. – Nie możemy zostać na statku na zawsze, prawda?

Zdesperowana Klara wzięła Charlotte pod ramię, podczas gdy Christian niósł walizkę. Zejście pasażerów o ciemnym kolorze skóry przebiegało znacznie szybciej, ponieważ wszyscy, łącznie z kobietami, poruszali się z elastycznością i zwinnością, która zdumiewała Charlotte. Ich bagaże były składowane na łodziach, a ludzie stłoczeni tak ciasno, że obawiano się, iż łódź nie udźwignie ładunku i zatonie.

– Czy mogę pani pomóc?

Charlotte odwróciła się w stronę mężczyzny, który zagadnął do niej, myśląc, że to jeden z marynarzy. Ale ku jej zaskoczeniu był to jasnowłosy pasażer, wznoszący toast kieliszkiem szampana w jej kierunku. Co go zatrzymało? Inni podróżujący z wyższej klasy już dawno wysiedli.

To bardzo uprzejme z pana strony, ale myślę, że sobie poradzimy.

Uśmiech mężczyzny wydawał się miły, ani natrętny, ani podstępny, jednocześnie wyrażający niezachwianą pewność siebie.

– Zniosę pani siostrę na dół – zaproponował. – To nie zajmie nawet minuty i oszczędzi jej niepotrzebnej wspinaczki!

Klara nie umiała odpowiedzieć na tę propozycję. Było dla niej nie do pomyślenia, żeby była dotykana, a tym bardziej noszona przez zupełnie obcego człowieka.

– Zaufasz mi, młoda panienko? – zawołał radośnie, kłaniając się lekko. – Jesteś tak bezpieczna w moich ramionach jak na łonie Abrahama!

Okazało się, że bierze jej milczenie za aprobatę. Szybkim, zamaszystym ruchem podniósł całkowicie sparaliżowaną zdumieniem Klarę jak lekkiego ptaka i zaniósł ją w stronę wiosłujących łodzi.

– Ale to jest... Kto to w ogóle jest? ...Jak on się tutaj znalazł? – wyjąkał zaskoczony Christian.

Charlotte nie odpowiedziała, ale też nie była zadowolona z impulsywnego działania mężczyzny. Choć musiała przyznać, że nieznajomy nie rzucał słów na wiatr. Klara siedziała teraz cała

i zdrowa w łodzi, podczas gdy jej pomocnik balansował ciężarem swojego ciała na kołyszącej się łodzi i najwyraźniej czekał na przyzwolenie na dalszą pomoc. Wziął więc walizkę od Christiana, który schodził jako następny, aby ułatwić mu wejście do łodzi, po czym zmrużył oczy i spojrzał pod słońce na burtę. Charlotte, która również dotarła do dolnej części trapu bez pomocy nieznanego, ujęła wyciągniętą rękę męża.

Kiedy czarnoskórzy wioślarze pokonywali niewielką odległość do pomostu, pomocnik o jasnych włosach usiadł naprzeciwko niej, opierając łokcie na kolanach. Wydawał się zdawać sobie sprawę, że jego pomoc była trochę nazbyt gwałtowna i próbował się usprawiedliwić oraz zadośćuczynić swojej porywczosci.

– Nawet się nie przedstawiłem – proszę o wybaczenie. Maximiliana von Roden. Z Brandenburgii.

Christianowi szybko minęła złość na współpasażera, przedstawił siebie, swoją żonę i szwagierkę, wyjaśnił, że chce założyć plantację w górach Usambara i opowiedział o prowadzeniu dużego biznesu we wschodniej Fryzji. Klara otrząsnęła się z szoku i podziękowała za pomoc. Charlotte tylko skinęła mu głową, a potem wpatrywała się uważnie w miasto, do którego się zbliżali.

Gdy łódź przycumowała do pomostu, Klara mogła liczyć na kilku pomocników – czarnoskórzy wioślarze chwycili ją bez słowa i przenieśli na pomost. Charlotte musiała mocno walczyć o walizkę, którą nadgorliwy wioślarz chciał wynieść na brzeg. Gdy energicznie mu się przeciwstawiła, postawił bagaż, patrząc na wściekłą białą kobietę z takim niezrozumieniem i dezorientacją, że po raz kolejny pożałowała swoich głośno wypowiedzianych przekleństw. Szła powoli po drewnianej kładce, u boku Klary. Pod nimi fale uderzały o płaską plażę. Widać było czarne skały wygładzone przez wodę, a także rozrzucone muszle i wodorosty. Kiedy kładka się skończyła, z wahaniem postawili stopy na piaszczystej ziemi nowej ojczyzny. Była wilgotna i pokryta śladami idących przed nimi ludzi, w większości bosych stóp miejscowych tragarzy, ale widać było także odciski szerokich, kanciastych męskich butów i zarysy damskich pantofli, których kwadratowe obcasy wierciły w piasku płytkie otwory.

Zatrzymali się na chwilę pod samotnie stojącą palmą. Christian odłożył walizkę i spojrzeli niepewnie na niemiecki urząd portowy, do którego prowadziły kamienne schody. Był to długi, jasny budynek o osobliwym wyglądzie, będący połączeniem starej, znanej im architektury i orientalnych form. Kwadratowe wieżyczki ze

spiczastymi dachami z pewnością wyglądały dla nich znajomo, jednak misternie rzeźbione futryny drzwi zdradzały egzotyczne wpływy.

– No to jesteśmy – powiedział Christian, dysząc z wysiłku i opierając się plecami o pień palmy. – I co teraz?

Pytanie było uzasadnione. Pasażerowie statku *Bundesrath* już dawno zniknęli w centrum miasta, nigdzie nie było też widać Maximiliana von Rodena. Zamiast tego mijali ich miejscowi tragarze, niosąc na głowach pokaźne tobołki i worki oraz idąc energicznie po schodach prowadzących do budynku portowego. Spojrzeli z zaciekawieniem na dwie białe kobiety i ich towarzysza, jednak nie zaprzęтали zbyt długo swojej uwagi nowo przybyłymi Europejczykami. Tymczasem niebo pociemniało, zapowiadając kolejną tropikalną nawałnicę, jaka miała przejść nad zatoką pokoju.

– Czy mogę jakoś państwu pomóc?

Słowa te nie brzmiały zbyt przyjaźnie, ton głosu mężczyzny był wyraźnie oficjalny i wyrażający irytację. Drugi mężczyzna, ubrany na biało, który jeszcze chwilę temu był w jednej z łodzi, również szedł teraz w ich kierunku. Oficer? Jego ramiona zdobiły kolorowe epolety z cesarskim orłem, a na głowie miał białą czapkę z czarnym daszkiem. Urzędnik? Nieważne – był białym mieszkańcem tej miejscowości i mówił po niemiecku.

– To bardzo miło z pana strony – odparł Christian. – Właśnie przyjechaliśmy i nie wiemy, gdzie powinniśmy się teraz udać.

Ten drugi zmierzył ich oceniającym spojrzeniem, zatrzymując się na Charlotte przez dłuższą chwilę. Twarz miał opaloną, policzki pełne, usta zaciśnięte pod wąsami w odcieniu ciemnego blondu.

– Jesteście Niemcami?

– A jakże. Z Hamburga. Nazywam się Ohlsen, to moja żona i jej kuzynka...

– Witamy zatem. Jestem Erwin Kunert, administrator dystryktu Cesarskiej Poczty Niemieckiej. Jeśli szukacie miejsca na nocleg, mogę polecić Afrika Hotel. Załatwię państwu riksę, to najłatwiejszy środek transportu w okolicy...

– Byłoby cudownie... – odpowiedział Christian z wielką ulgą, ale przerwała mu Charlotte.

– Przepraszam, ale nie interesują nas hotele, szukamy prostego zakwaterowania. Niestety nasze zasoby są ograniczone.

Urzędnik odwrócił się szybko, żeby wykrzyczeć kilka słów w niezrozumiałym języku do stojącego obok czarnoskórego tragarza,

po czym zdjął na chwilę czapkę. Był prawie łysy, tylko cienki, krótko przystrzyżony pukiel włosów otaczał jego czaszkę.

– Rozumiem – powiedział cicho. – To nie będzie łatwe. Życie w tym kraju kosztuje, pani Ohlsen. Rzadko dostaje się coś za darmo.

– Poradzimy sobie – powiedziała Charlotte pewnym tonem. – Jednak na początek nie musimy od razu zatrzymywać się w hotelu. Czy nie ma innej możliwości?

Erwin Kunert gwałtownie wypuścił powietrze z płuc i przez chwilę zastanawiał się, co zrobić. Wtedy niebo zdecydowało o ich losie, zsyłając ulewę z grzmotami i błyskawicami.

– Chodźcie ze mną. Na razie ulokuję państwa na poczcie. Ale to rozwiązanie tylko na dzień lub dwa. Nie mogę państwu pozwolić błąkać się tak po deszczu...

I tak byli przemoczeni, a kiedy wspinali się po schodach do budynku portowego, szukając schronienia przed lejącymi się z nieba strumieniami wody, przemokli doszczętnie po raz drugi. Stali, dezorientowani, w korytarzu, trzymając się blisko ścian, aby uniknąć zderzenia z czarnoskórymi pracownikami chodzącymi tam i z powrotem między biurami a głównym magazynem. Parowiec przewoził na pokładzie towary z Niemiec, wymagające dokładnego skontrolowania – czy są kompletne oraz jaki jest ich stan. Poprzez syczenie i bębnienie deszczu słyszeli, jak biali urzędnicy wykrzykiwali zwięźle rozkazy, drzwi otwierały się i zamykały, przez krótką chwilę zobaczyli też jednego z oficerów ze statku, siedzącego w biurze, który ze spokojem wyciągał nogi na krześle.

Charlotte zwróciła wzrok na otwartą bramę wejściową. Deszcz padał tak mocno, że niebo, woda i linia brzegowa spowijała delikatna mgiełka, sprawiająca, że wszystko wyglądało jak jednolita plansza. Charlotte wzięła głęboki oddech i poczuła, jak to wilgotne ciepło ją ożywia, jakby było to coś od dawna jej znanego, co teraz odkrywała na nowo. Unosił się w tym wilgotnym powietrzu zapach ziemi, nieokreślony, słodki i pełen obcych przypraw, ekscytujący zapach kiełkujących roślin i rozwijających się kwiatów.

– Co za pogoda! – jęknął Christian, potrząsając kapeluszem.

– Powinien się pan szybko przyzwyczaić, inaczej to nie jest miejsce dla pana – zauważył Kunert. – Moja żona i ja opuszczamy Dar es Salaam za kilka dni i wracamy na *Bundesrath* do Niemiec.

– O, naprawdę? – zapytał zawstydzony Christian.

Milczeli przez chwilę. W jednym z pokoi wybuchła właśnie wojna na słowa i można było odróżnić szorstki ton niemieckiego urzędnika od

miękkiej, elokwentnej mowy Orientu, którą z pewnością posługiwał się petent. Nie mogli zrozumieć ani jednego ich słowa.

– Musieliśmy tu pochować nasze pierwsze dziecko – powiedział nagle Kunert, jakby musiał im wytłumaczyć swój wyjazd. – Gorączka tropikalna. Wiele dzieci umiera tutaj na febrę.

Charlotte zobaczyła smutek w jego oczach i dopadło ją przerażenie, a jednocześnie wróciło wspomnienie tej strasznej burzowej nocy w Leer, kiedy to małe stworzenie, żyjące w niej, tak nagle odeszło. Była przepętniona współczuciem dla tego człowieka.

– Tak mi przykro – powiedziała cicho.

Rysy jego twarzy wyraźnie się teraz ściągnęły, najpewniej nie oczekiwał i nie chciał współczucia od innych. Zapewne żałował, że się przed nimi otworzył.

– Nie powiedziałem tego, żeby państwa przestraszyć. To po prostu fakt, którego nie należy ignorować.

– Oczywiście. Dziękuję za szczerość, panie Kunert.

Deszcz złągodniał. Cała czwórka opuściła chroniący ich budynek portu i skierowała się do miasta. Ulice były szerokie, woda deszczowa spływała do portu żółtawymi, bulgoczącymi strumyczkami po obu stronach, ziemia była rozmoczona, a Klara musiała uważać, żeby nie poślizgnąć się na wodzie. Gdzieś wznosiły się ukończone nowe budynki, masywne, z kolumnowymi okapami i krytymi balkonami, ozdobionymi orientальnymi rzeźbami. W innych miejscach leżały kamienie i materiały budowlane. Czarnoskórzy robotnicy ubrani jedynie w krótkie spodnie wypełzali spod rozciągniętych plandek, pod którymi czekali aż minie ulewa. Urząd pocztowy w Dar es Salaam wydawał się niezwykle duży. Okiennice wyposażone w żaluzje zamykały okna na parterze, dokoła pierwszego piętra biegł drewniany balkon, płaski dach wsparty był białą, dziwnie postrzępioną rzeźbą, która sprawiała, że budynek wyglądał z daleka jak kwadratowy tort z kremem. Nad drzwiami frontowymi widniał emblemat Niemieckiej Poczty Cesarskiej.

Gdy weszli do środka, przywitał ich chłód, a czarnoskóry urzędnik w jasnych, półdługich spodniach i białej koszuli czyścił korytarz. Pachniało drewnem, kamieniem i niemiecką czystością. Kunert zaprowadził ich do wysokiego, niezbyt dużego pomieszczenia, nazywając je gabinetem. Korzystał z tego pomieszczenia tylko w ciągu dnia, ponieważ poczta zapewniała urzędnikom własne mieszkania.

– To miejsce byłoby dla pań. Dla pana, panie Ohlsen, ustawię łóżko w sąsiednim pokoju. Oczywiście rozwiązanie to jest tymczasowe. Jestem pewien, że wkrótce znajdziecie inne miejsce na nocleg...

– Jesteśmy panu naprawdę bardzo wdzięczni...

Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyła Charlotte, był brązowy drewniany zegar ścienny, dokładnie taki sam jak ten wiszący w gabinecie jej dziadka. Podłużne pudełko ozdobione rzeźbionymi liśćmi dębu i małymi naczótkami, a przez szklaną wkładkę widać było jasną, okrągłą tarczę i kołyszące się leniwie złote wahadło. Nad brązową drewnianą półką, na której było wiele przegródek na dokumenty, wisiał oprawiony w ramki obraz cesarza Wilhelma II. Biurko pana Kunerta było zavalone papierami, wiecznymi piórami, kałamarzami, bibularzami^[23] i różnymi innymi przedmiotami biurowymi, a przed nim ustawiono mały stolik, zupełnie pusty oraz kilka krzesel. Za parawanem ukryto łóżko z zawieszoną nad nim konstrukcją z metalowych prętów, na której rozłożono cienką siatkę.

– Przeciwno przekłętym komarom – wyjaśnił Kunert. – Upewnijcie się, że wieczorem nie ma pod spodem żadnej z tych bestii i nie podnoście tej siatki w nocy pod żadnym pozorem.

– Czy jest tu dużo komarów? – zapytał niespokojnie Christian, przeszukując wzrokiem bielone ściany pokoju.

– Północne i zachodnie ziemie za miastem to właściwie same bagniska, wspaniałe tereny lęgowe tych krwiopijców. Dostaliście chininę? To jedyne lekarstwo na gorączkę, ale powoduje zawroty głowy i siniaki.

Charlotte miała dość. O ile mogła w pełni zrozumieć ból po śmierci dziecka, to słuchanie tych ciągłych ostrzeżeń było przygnębiające. Musieli być Europejczycy, którzy osiedlili się w tym kraju i czuli się tu jak w domu.

– Powinniście też jak najszybciej zgłosić się do guberni – kontynuował Kunert, składając jakieś papiery na biurku i wkładając je do szuflady. – Idźcie do ratusza, tam wam pomogą. A jeśli naprawdę zamierzacie założyć plantację, to polecam Towarzystwo Wschodnioafrykańskie. Mają tu oddział i wspierają emigrantów, chcących się osiedlić.

– A co musielibyśmy zrobić, jeżeli chcielibyśmy założyć sklep? – zapytała Charlotte.

Urzędnik potrząsnął głową i westchnął rozczarowany takim bezmiarem ignorancji.

– Powinna pani jak najszybciej zapomnieć o tym pomysle, pani Ohlsen. Handel w Dar es Salaam jest całkowicie zdominowany przez Hindusów i Arabów. Sprowadzają towary jakimiś zawilumy drogami z Zanzibaru i Indii lub taszcza produkty trasami dla karawan z wnętrza kraju na wybrzeże – żaden Niemiec nigdy nie zdołał stworzyć tutaj dla siebie niszy w handlu.

Pożegnawszy się, wyjaśnił, że ma jeszcze pracę w biurze telegraficznym i wyszedł na korytarz, a po chwili usłyszeli, jak wydaje kolejne polecenia. Używał niemieckich słów, ale także zwrotów w innym języku, które brzmiały obco. Charlotte słyszała je już na statku.

– Suahili – powiedziała. – Musimy się nauczyć tego języka, by móc się porozumieć.

– Och – warknął Christian, wyraźnie poddenerwowany. – Jesteśmy w niemieckiej kolonii, Murzyni na naszej plantacji będą mówić po niemiecku, zadbam już o to.

– Naprawdę myślisz, że pożyczymy pieniądze na założenie plantacji?

– Oczywiście. Handel i tak nie wypali, Charlotte. Właśnie to usłyszałaś.

– Nie powinniśmy wierzyć we wszystko, co mówi ten człowiek!

Christian westchnął głęboko ze złością i chciał coś odpowiedzieć, ale Klara powstrzymała kłótnię, delikatnie dotykając jego ramienia.

– Najpierw przebierzmy się w suche ubrania – powiedziała. – W mokrych ubraniach jest bardzo niewygodnie.

Kobiety cieszyły się, że mają parawan, bo w ten sposób mogły zachować przyzwoitość, a Klara nie musiała się przebierać przed Christianem. Jednak rzeczy w walizce też były wilgotne, zapewne w porze deszczowej było to normą i z czasem będą musieli się przyzwyczaić. Zabrali niewiele ubrań, które już w podróży dość mocno ucierpiały. Na statku mogli jedynie wyprać bieliznę, o prasowaniu czy krochmaleniu nie było mowy. Christian zamartwiał się chyba najbardziej tą sytuacją. Marzył o lekkim, tropikalnym garniturze, słomkowym kapeluszu, białych skórzanych butach i ładnym krawacie.

– Kiedy już założymy plantację, zlecimy uszycie odpowiedniej odzieży, Charlotte. Jest to niezbędne ze względu na klimat, a poza tym my, Niemcy, powinniśmy dawać przykład Murzynom.

Rozległo się pukanie do drzwi i do gabinetu wszedł czarnoskóry młodzieniec. Na kędzierzawych, krótko ostrzyżonych włosach miał

białą czapkę, a jego lekka, sięgająca do ziemi szata była tak czysta, jakby dopiero co została uprana. Postawił z poważną miną tacę na biurku, po czym wykrzywił twarz w uśmiechu, który odsłonił jego wspaniałe, śnieżnobiałe zęby i się uklonił.

– *Jambo, bwana, jambo bibi...* – powiedział. – Witamy.

Chociaż bardzo się starał zachować sztywną postawę służącego, była w nim dziecięca swoboda. Ciepło, niezwykle pozytywnie działające na Charlotte i którego tak bardzo jej brakowało u niemieckiego urzędnika, pomimo wszystkich jego wysiłków.

– Dziękuję – powiedziała, uśmiechając się. – Co pan nam przyniósł? Jak to się nazywa?

Nie zrozumiał jej i najwyraźniej bał się, że popełnił błąd, ale kiedy wskazała na jedną z misek, zrozumiał.

– *Ko-ko* – powiedział, uśmiechając się i zginając łokcie jak trzepoczące ptasie skrzydła. Potem wskazał na dzban, a jego twarz przybrała ekstatyczny wyraz i potarł brzuch rękami.

– *Scherbet*.

Ko-ko było oczywiście gotowanym kurczakiem. *Scherbet* okazał się natomiast aromatyczną lemoniadą owocową. Zauważając, że byli zadowoleni z przyniesionego posiłku, ponownie się uklonił i wyszedł.

– Bardzo bystry – powiedział Christian, przeżuwając. – Nie całkiem jak moi niegdysiejsi uczniowie, ale nie wydaje się głupi.

– Pewnie pracuje tylko w domu – dodała Klara. – Zachowuje się prawie jak służący zatrudniony przez szlachecką rodzinę. Tak dostojnie. Myślę, że jest dumny ze swojej wspaniałej szaty i białej czapki.

Był to jej pierwszy posiłek na afrykańskiej ziemi i smakował, trochę nieznamo, słodkawą, aromatyczną przyprawą przypominającą gałkę muszkatołową, nie był jednak ostry. Kurczak został podany z ryżem i gotowaną czerwoną fasolą.

– Bardzo smaczne!

Christian otarł usta chusteczką, a jego usatysfakcjonowany uśmiech dał do zrozumienia Charlotte, że jest teraz w lepszym nastroju, pełnym werwy. W rzeczywistości aż kipiał od nadmiaru energii i po krótkiej przerwie po posiłku przekonał Charlotte i Klarę, żeby poszli prosto do ratusza, a potem od razu do oddziału Towarzystwa Wschodnioafrykańskiego. Ledwie Klara wyciągnęła się na łóżku przez pięć minut, a już namawiał ją do wyjścia. Wszelkie formalności przecież najlepiej było załatwiać od razu. Władze niemieckie na pewno również tutaj, na terenie kolonii, trzymają

wszystko żelazną ręką i zapewne pilnują sumiennie, by to miejsce nie stało się zbieraniną nielegalnych imigrantów. Christian już na statku rozpytywał się, jak dotrzeć do odpowiednich władz. W trakcie podróży obawiał się jeszcze, że zostanie uwięziony w Dar es Salaam i zaraz po przybyciu na miejsce odesłany do Niemiec. Teraz jednak widział siebie jako dumnego właściciela plantacji w afrykańskich górach!

Na zewnątrz świeciło słońce. Woda pozostała po ulewie odparowała zaskakująco szybko, błoto zamieniło się w cienką warstwę pokrywającą ziemię niczym skorupka. Tylko tu i ówdzie błyszcząca jeszcze kałuża, nad którą brzęczały komary. Teraz na ulicach było niewielu ludzi, można było dostrzec kilku białych, ale przeważającą większość stanowili młodzi ciemnoskórzy chłopcy, ubrani jak urzędnicy pocztowi, którzy najwyraźniej mieli sprawy do załatwienia. Na placach budowy ciosano i układano kamienie, czemu towarzyszyły ożywione rozmowy – czarni robotnicy zdawali się nie spieszyć do wznoszenia masywnych, jasnych budynków swoich niemieckich panów kolonialnych.

Magistrat również nadal nie został ukończony, ale był to jeden z niewielu budynków, które spodobały się Charlotte. Być może takie wrażenie wywarły na niej liczne białe arkady, otaczające parter i przywołujące na myśl swoim zakrzywionym kształtem styl architektoniczny pałacu sułtana. Na piętrze nadal trwały prace, zamontowano balustrady, pomalowano ściany, a na niedokończonym balkonie stał biały mężczyzna w kurtce i krótkich spodenkach, paląc papierosa. Przed budynkiem uwiązano dwa osiodłane konie, a niedaleko nich stał czarnoskóry służący, który następnie przykucnął na stopniu i dużym palcem u nogi kreślił kształty w wilgotnej ziemi. Nagle jednak zerwał się na równe nogi i stanął na baczność. Zanim w pełni zorientowali się, jaka była przyczyna gwałtownego ruchu mężczyzny, usłyszeli kanonadę dudniących kroków. Grupa ciemnoskórych mężczyzn w mundurach wyłoniła się zza rogu i prowadzona naprzód przez czarnego oficera maszerowała w stronę magistratu. Choć było ich może dziesięciu lub dwunastu, zdawało się, że czuli satysfakcję, robiąc tyle hałasu, jakby ulicą szedł co najmniej cały pułk. Im bardziej zbliżali się do ratusza, tym mocniejsze stawiali kroki, a gdy byli już nieopodal arkad, z ust oficera rozległ się głośny okrzyk w języku niemieckim:

– Oddział stać!

Mężczyźni wykonali jego polecenie. Charlotte wpatrywała się z fascynacją w tę dziwną grupę muskularnych młodych Afrykanów,

ubranych w kurtki koloru khaki z czerwonymi klapami i pagonami oraz spodnie tej samej barwy. Niektórzy z nich nosili czapki, inni mieli przewiązane na głowach czerwone chustki, ale wszyscy byli uzbrojeni w sztylety i broń palną.

– Askarysi^[24] – wyjaśnił Christian. – Wszyscy żołnierze w kolonii to Murzyni. Słyszeliście, jak dobrze mówią po niemiecku?

Po chwili z ratusza wyszło dwóch niemieckich oficerów w strojach konnych. Kazali czarnoskóremu służącemu przyprowadzić konie. Po czym odjechali żwawym kłusem, a za nimi podążyli askarysi, idąc teraz bardzo szybko, tak aby dotrzymać kroku jeźdźcom.

– Musieli to być oficerowie bardzo wysokiej rangi – podejrzewał Christian. – Może nawet był wśród nich sam gubernator. Jaka szkoda, że odjechali, moglibyśmy od razu się przedstawić.

Za malowniczym rzędem arkad znajdowały się zwykle, wysokie, prostokątne okna, a nad dwuskrzydłową bramą wjazdową płaskorzeźba niemieckiego orła cesarskiego. Chociaż wyglądała tutaj dziwnie, to mimo wszystko robiła wrażenie. W korytarzu stało kilka krzeseł i mały stolik, na którym leżała duża muszla, najwyraźniej używana jako popielniczka. Dwaj Afrykanie, chudy staruszek o siwych włosach w postrzępionym fartuchu i młody chłopak z wytatuowanymi policzkami, przykucnęli beznamiętnie na wyłożonej kafelkami podłodze, jakby na coś czekali. Na jednym z krzeseł siedział siwobrody mężczyzna w niechlujnie zawiniętym turbanie, w żółtej zapinanej na guziki marynarce i workowatych spodniach do połowy łydki. Uśmiechnął się, gdy go mijali. Kiedy Charlotte napotkała spojrzenie nieznanego, była zaskoczona: jego migdałowe, brązowe oczy przez krótką chwilę błyszcząły złotą barwą.

Tymczasem Christian zapukał do drzwi i został poproszony o wejście. Jakie to dziwne – wszystkie niemieckie biura wyglądały niczym groszki w strąku, były do siebie podobne niezależnie od tego, czy znajdowały się we wschodniej Fryzji, czy w kolonii w Afryce. Wszędzie stały szare szafy na akta, biurka z toczonymi nogami, na których leżały stosy teczek i papierów, a na ścianie wisiał portret cesarza w połączanej ramie. Można było dostrzec też kilka muszli wielkości pięści, nakrapianych brązem i bielą, leżących na parapecie oraz różowy koral na biurku, wyglądające jak pamiątki, przywiezione z wycieczki przez jednego z oficerów.

– Czekaliśmy już na państwa! Pan Ohlsen, zgadza się? Serdecznie zapraszamy. Drogie panie, na wasz widok cieszę się oczywiście

szczególnie. Gottfried Ebert, do usług. W tym kraju kobiet jest wciąż dość niewiele. Oczywiście, tylko na razie, wkrótce to się zmieni...

Niemiecki urzędnik był barczystej budowy i miał masywny kark niczym byk, jednocześnie sprawiając wrażenie człowieka pogodnego. Jego radość z powitania trzech rodaków na obczyźnie wydawała się ciepła i szczerą.

– Pan... Pan się nas spodziewał?

– Oczywiście – Uśmiechnął się. – Mój dobry znajomy, pan von Roden, który był u mnie niedawno załatwić pewne formalności, skorzystał z okazji, żeby mi państwa gorąco polecić.

– Na... naprawdę? – wyjąkał zdumiony Christian. – Cóż, to było... bardzo miłe z jego strony.

– Ale proszę usiąść, drodzy państwo. Mtumi! Mtumi! Gdzie jest ten leniuch? Mtumi!

Klasnął w dłonie. Po chwili pojawił się czarnoskóry służący z tacą, na której stały cztery szklanki i dwie butelki, jedna brązowa, druga biała.

– Dla mnie proszę nie nalewać – powiedziała Klara z drżeniem, Charlotte też nie podeszła do propozycji z entuzjazmem.

– Cóż, bez wątpienia wkrótce będziecie się musiały przyzwycząić do tego typu trunków, drogie panie. Whisky czy dobra brandy to nie alkohol, ale lekarstwo. Spożywamy je codziennie, aby przeciwdziałać temu okropnemu klimatowi i afrykańskiej mentalności. Nie wolno wam odmawiać małego łyka na powitanie.

Charlotte ustąpiła i pociągnęła łyk pikantnego napoju, który pachniał o wiele lepiej, niż smakował. Klara tylko zwilżyła usta, Christian za to nie wstrzymywał się długo, pił dużymi łykami i wylewnie chwalił alkohol.

– Tak, baron Max von Roden – bełkotał Ebert, który opróżniał kieliszek łapczywymi łykami i kazał sobie nalewać kolejny, raz za razem, po czym kontynuował. – Mówi się, że jego przodek osiągnął sławę i honor pod rządami starego Fritza. Duża posiadłość w Brandenburgii, zamek, prawdziwa perełka. Pokłócił się z jakiegoś powodu z krewnymi, głuptas. Cholera wie dlaczego, ale trzeba przyznać, że to specyficzny typ. Teraz kupił od Araba plantację na Kilimandżaro i chce uprawiać sizał...

– No proszę – odpowiedział Christian. – Na Kilimandżaro!

– W pobliżu Moshi. Dobra gleba i już od wielu lat pod pługiem. Musi teraz ciężko pracować – w przyszłym roku chce sprowadzić swoją narzeczoną.

Charlotte słuchała w milczeniu, jak Ebert objaśniał dobrobyt kolonii i wychwalał żyzną glebę, na której oprócz rodzimych roślin można uprawiać ziemniaki, kapustę, rzodkiewkę lub sałatę. Sadzonki rosną, zwłaszcza na Kilimandżaro, ale teraz także w górach Usambara, gdzie wykonuje się właśnie pierwsze nasadzenia próbne.

– Za kilka lat wieczni narzekacze i ci małostkowi ludzie w Rzeszy w końcu zamilkną. Wtedy Niemiecka Afryka Wschodnia przyczyni się do dobrobytu naszej ojczyzny kością słoniową, kawą, tytoniem, kopalem i lasami tropikalnymi. A kiedy zaczniemy eksportować bawełnę, Anglicy będą musieli się mieć na baczności... Na razie jednak bilans handlowy jest nadal ujemny, więcej towarów trzeba importować, niż eksportować, przede wszystkim sprzęt budowlany i odpowiednią żywność, bo wołowina, masło i sery są w Afryce niemalże nieznanne. Nalewki, koniaki, wino i piwo też trzeba przywozić, bo żaden Europejczyk nie może pić tego, co warzą ci Murzyni, bo nie wiadomo, jak to odchoruje.

Christian pod wpływem whisky zaczął entuzjastycznie opowiadać o swoich planach. Plantacja w Usambara, jak największa, robotnicy są oczywiście dostępni. Chce uprawiać kawę albo bawełnę, nieważne, zna się na takich towarach, w końcu handlował nimi wiele lat. Ebert wziął trzeci kieliszek, ale w przeciwieństwie do Christiana alkohol najwyraźniej nie miał na niego żadnego wpływu. Charlotte zauważyła, że whisky raczej go uspokoiła i pobudziła jego myślenie. Oficer obserwował Christiana z uniesionymi brwiami, tylko tu i ówdzie wtrącał konkretne pytanie i cały czas uważnie zerkał na Charlotte i Klarę.

On nas sprawdza – pomyślała niespokojnie Charlotte – Mój Boże! Dlaczego Christian musi tak paplać?

– Cóż, oczywiście cieszymy się z każdego Niemca, który chce osiedlić się tutaj, w kolonii – powiedział w końcu powoli, kiedy retoryka Christiana została nieco stłumiona. – A więc prowadził pan sklep. A czy jest może jakieś rzemiosło, którego nauczył się pan przy okazji? Pytam tylko dlatego, że bardzo brakuje nam tutaj niemieckich rzemieślników.

– Rzemiosło? Nie. Jestem handlarzem, mój sklep kolonialny był największy w regionie, sprzedawałem towary, których nie można było kupić nigdzie indziej...

Ebert postawił pustą szklankę na biurku i machnięciem ręki powstrzymał służącego przed napełnieniem jej ponownie. Teraz kiedy

wstał z krzesła, nie zachwiał się ani o cal, pomimo trzech kieliszków whisky. Podeszedł do biurka, usiadł i wytarł spoconą twarz chusteczką.

– Załatwmy szybko oficjalne sprawy, panie Ohlsen. Proszę wszystkich o wypełnienie tego formularza... A potem potrzebuję dokumentów...

– Dokumentów? Jakiego rodzaju?

– Cóż, oczywiście paszporty. I oficjalne wyrejestrowanie w państwa rodzinnym mieście.

W duchu Charlotte przeklęła niemiecki formalizm, który panował nawet w koloniach. Mogli pokazać paszporty, ale wtedy okazałoby się, że nie przyjechali z Hamburga, tylko z Leer we wschodniej Fryzji, jednak to był akuratnie najmniejszy problem, bo Christian i tak już ich wydał. Nie mieli natomiast oficjalnego wyrejestrowania. Jak daleko sięgała niemiecka biurokracja? Czy można napisać do Leer i to sprawdzić?

– Mamy dokumenty w bagażu – trąkotał już Christian. – Przywieziemy je jutro.

– Nie ma pośpiechu. Prosiłbym jednak o doręczenie ich w ciągu najbliższych dni. Po to, żeby wszystko nam się tutaj zgadzało.

Nie był głupi ten Ebert, na pewno nie. Jego brwi unosiły się coraz częściej, a życzliwe rozbawienie na jego czerwonej, spoconej twarzy ustąpiło miejsca kpiącej wątpliwości, którą można było wyczytać z jego oczu i gestów. Szybko ocenił, kim naprawdę był Christian Ohlsen: fantastą. Czy mogła mieć to za złe Ebertowi? W zasadzie nie, bo jak wszyscy urzędnicy wykonywał tylko swój obowiązek. Mimo to wyraźnie czuła, że nie lubi tego formalisty.

– Ma pan na to fundusze? – zapytał od niechcienia Christiana.

– Możemy zainwestować określoną kwotę...

– To dobrze. Kto przybywa tu bez środków finansowych, na starcie ma duże trudności. Cóż, sugeruję, żebyście na początku zamieszkali z nami.

Ebert ze szczególną serdecznością pożegnał się z „damami”, polecił w niedzielę wysłuchać koncertu orkiestry wojskowej oraz wspomniał o różnych zajęciach dla żon oficerów i urzędników.

– Nie musicie się martwić o swoje bezpieczeństwo, moje panie – powiedział, pozwalając spojrzeniu wędrować od Klary do Charlotte. – Dziesiąta Kompania stacjonuje w Dar es Salaam, a od wielu lat mamy policję, pilnującą porządku w całym kraju. Czujcie się więc z nami bezpiecznie na każdym kroku...

Po wyjściu z kamienicy Charlotte wzięła głęboki wdech wilgotnego, ciepłego, nadmorskiego powietrza. Stado białych ptaków przeleciało nad ich głowami, prawie dotknęło zielonych liści palmowych w niskim locie i zniknęło w głębi łądu. Skądś dochodziły dziwne dźwięki, monotonne i pełne melancholii, w stałym rytmie, który zdawał się wypływać z powolnego pulsowania płowej afrykańskiej ziemi. Poczula, jak odczuwane przez nią napięcie oraz niechęć znikają i narasta radosna, pozornie bezpodstawna pewność siebie. Serce tego kraju nie biło w niemieckim urzędzie czy pracującym w nim służbiście, tutaj czuć było jego pulsowanie wraz z każdym chwytanym oddechem, zasłyszonym dźwiękiem. Odwieczny nieśmiertelny rytm życia, wnikający we wszystkie pory skóry.

– Co za miła osoba – powiedział podchmielony Christian. – Myślę, że już wkrótce elegancko pokonamy nasze małe trudności.

Grzmiący wystrzał armatni przerwał południową ciszę i cała trójka podskoczyła w przerażeniu.

– To było na plaży – wyjąkała Klara.

– O ile mi wiadomo, w tej chwili nie ma tu żadnych walk – mruknął Christian. – Może ci cholerni Anglicy są...

Urwał nagle, bo za ich plecami rozległ się głośny, złośliwy śmiech. Odwracając się, zobaczyli dwie czarnoskóre kobiety w jaskrawych, długich spódnicach, klaszczące w dłonie i pochylające się z rozbawieniem nad płochliwymi obcokrajowcami.

– *Bum bum!* – krzyknęła jedna z nich. – *Pumsika, bwana.* Ćwiczyć, ćwiczyć. Armata mówić, jest południe...

– Dobry Boże! – mruknął Christian, ocierając pot z czoła. – Co za kraj! Czy oni nie mają zegarów kościelnych?

Chociaż whisky podsyciła entuzjazm Christiana, po powrocie na pocztę, zdecydował, że chce trochę odpocząć. W końcu nie spali od wczesnego ranka, a teraz, w porze obiadowej, nie było sensu odwiedzać Towarzystwa Wschodnioafrykańskiego. Charlotte nie czuła zmęczenia, wręcz przeciwnie, rozpałała ją ciekawość życia w tym mieście, toczącego się poza niemieckimi budynkami administracyjnymi i zielonymi terenami otoczonymi żywopłotami. Ale gdzie właściwie mogła go doświadczyć? Wchodząc do portu, miała wrażenie, że nowe, jasne budynki znajdują się głównie w centrum i we wschodniej części miasta. W części zachodniej, wewnątrz miasta, zdawały się dominować inne odcienie. Jasnoszary, brązowy, piaskowy i ochra, choć nie można było rozpoznać ich jednoznacznie z tej odległości, wśród bujnej roślinności ukrywały się liczne

domostwa. Prawdopodobnie były to dzielnice Afrykanów, a także sklepy Hindusów i Arabów.

Nie wspomniała Christianowi o zaprzątających ją myślach, podeszła bliżej do tej części pokoju, gdzie przebywała teraz jej kuzynka. Klara była bardzo wyczerpana, na statku siedziała głównie w swojej kabinie, więc teraz chodzenie było dla niej jeszcze trudniejsze niż wcześniej. Niemniej, podobnie jak Charlotte, była wewnątrznie poruszona nowych światem, do którego przyjechali, i kiedy leżały obok siebie na wąskim łóżku, Klara mówiła bez przerwy, a słowa wylewały się z niej niczym strumień, którego nic i nikt nie może zatrzymać.

– Stworzenie tej plantacji to dobry pomysł, Charlotte. Daleko w górach, gdzie powietrze jest chłodne i świeże. Dom tylko dla nas, mały ogródek, uprawiałybyśmy ziemniaki i warzywa...

Charlotte westchnęła głęboko. Tak, to było piękne marzenie.

– Wolałabyś mieszkać w odosobnieniu niż w mieście, prawda?

Klara potwierdziła. Powietrze było tu tak duszne, a do tego te przysadziste, białe budynki, szerokie ulice i oczywiście wiecznie tłoczący się ludzie.

– Jakie to będzie łatwe dla narzeczonej naszego uczynnego pomocnika – zauważyła Charlotte z zazdrością. – Spokojnie sobie czeka, aż plantacja będzie wystarczająco gotowa i wygodnie urządzana, a następnie osiadzie w tym gnieździe, uwitym przez niego dla niej.

Klara odwróciła głowę w jej stronę i się uśmiechnęła. Charlotte oblała się rumieńcem, kuzynka przyłapała ją na niegodnych myślach.

– Jest baronem – szepnęła w zamyśleniu Klara. – Ale wcale nie jest taki dumny i snobistyczny. Jego narzeczonej musi go naprawdę bardzo kochać, skoro chce porzucić wygodne życie w Niemczech. Z pewnością też pochodzi ze szlachty i jest bardzo bogata.

Charlotte milczała. Życie było o wiele łatwiejsze, kiedy się miało pieniądze i wpływy, nawet tutaj, w kolonii, obowiązywało to samo niepisane prawo. Max von Roden był przyjacielem Eberta, może nawet znał samego gubernatora, kupił plantację, był w stanie opłacić swoich robotników i z pewnością cieszył się pełnym poparciem niemieckiego rządu kolonialnego.

– Chcę się rozejrzeć, Klaro. Połóż się spokojnie i odpocznij, zaraz wrócę.

Klara patrzyła przerażonym wzrokiem, jak Charlotte szykuje się do wyjścia.

- Ale nie możesz przecież całkiem sama...
- Słyszałaś przecież, że chronią nas tutaj na każdym kroku!
- Co mam powiedzieć Christianowi?
- Prawdę, poszłam zobaczyć miasto.

Czuła się wolna jak ptak i upajała się tym stanem bezgranicznie. Czy kiedykolwiek była gdzieś naprawdę sama? W Niemczech młoda kobieta nie chodziła bez opieki po nieznanym ulicach. Dopiero w Hamburgu, kiedy nosiła się z zamiarem sprzedania biżuterii, stanowczo odrzuciła towarzystwo Christiana. W tym czasie chodziła od sklepu do sklepu przygnębiona i z nieczystym sumieniem. A po powrocie musiała wysłuchiwać całej masy wyrzutów. Teraz nie gryzło ją sumienie. To, co zrobiła, było może nierozsądne, ale stanowiło jej własną decyzję, za którą odpowiedzialność ponosiła ona sama i nikt inny. Zwłaszcza nie Christian, zajęty właśnie paplaniem wszelkiego rodzaju nonsensów w biurze, które stanowiło teraz ich tymczasowe lokum.

Na poczcie panowała cisza, tylko w jednym pokoju słychać było cichy szum i cykanie telegrafu. Na zewnątrz przywitało ją palące afrykańskie słońce, które w międzyczasie pochłonęło prawie wszystkie kałuże tworzące się na czerwonożółtej ziemi. Po niebie przesuwaly się puszyste białe chmury. Nie wyglądały na takie, które miałyby przynieść deszcz, może dzisiejsze ulewy już minęły.

Szła prostą drogą w kierunku portu, skąd skierowała się na zachód. Minęła grupę czarnoskórych kobiet niosących na głowach kosze z praniem i podziwiała ich pewny, gibki chód oraz delikatne ruchy bioder. Niektóre podtrzymywały pakunki jedną ręką, inne niosły je swobodnie na głowach, trajkocząc przy tym i chichocząc. Wydawały się też zupełnie nie przejmować praniem wypadającym z koszy. Charlotte czuła ich zdumione spojrzenia i narastała w niej niepewność. Najwyraźniej w tym kraju też było to niespotykane, aby biała kobieta chodziła bez opieki.

Tuż przed budynkiem portu zauważyła znak drogowy postawiony w cieniu dużej akacji. Napisano na nim „Kaiserstrasse”^[25]. Nagle zobaczyła coś, co ją rozbawiło. Małe szare małpki bawiły się w gałęziach akacji, miały pomarszczone, ciemne twarze i patrzyły na nią bystrymi oczami. Wkrótce odkryła także hotel Afrika, nieco wyblakły, staromodny budynek z wąskimi kolumnami i kolorowymi zasłonami w oknach. Zebrał się przed nim tłum ciemnoskórych mężczyzn, niektórzy stali przy wejściu i gestykulowali, inni kucali beznamiętnie na ziemi, jakby przypadkowo przybyli tu na spokojną

przerwę obiadową. Charlotte domyśliła się, że grupa łowców, która przybyła parowcem, wynajęła miejscowych tragarzy do przetransportowania żywności, namiotów, naczyń kuchennych i innego bagażu w głąb lądu. Czytała kiedyś, że prawie żadne zwierzę juczne nie przeżywało podróży przez dżunglę i step, zapewne nie konie, co najwyżej woły czy muły, ale nawet te często padały ofiarą febry lub były zabijane przez dzikie zwierzęta. Biali myśliwi najwyraźniej nie zawracali sobie głowy zatrudnianiem tragarzy; zadanie to miał wykonać ciemnoskóry mężczyzna w turbanie i szerokich spodniach do połowy łydki. Nikt nie zwracał na nią uwagi, kiedy przechodziła, co szczerze ją ucieszyło. Teraz ulice zwężały się, tworząc rozmaite zaułki i ostre zakręty. Widać było na wpół zrujnowane domy. Niektóre zdawały się służyć już tylko jako źródło materiałów budowlanych, bowiem usunięto z nich kamienie i załadowano na wozy. Obok Charlotte przejechała riksza, drewniana skrzynia na dwóch kołach, wyglądająca jak mały powóz, ale ciągnięty nie przez zwierzę pociągowe, tylko jednego z lokalnych mieszkańców. Pod baldachimem ze słomy siedział brodaty Europejczyk, który nosił – a jakże – czarną marynarkę i ciemny kapelusz do kompletu. Czy był misjonarzem? Słyszała, że mieszkają tutaj, zarówno protestanci, jak i katolicy krzewiciele wiary. Jak dotąd była to jedyna biała osoba, jaką spotkała na swojej drodze. Dziwne uczucie. Gdzie podzieli się wszyscy? Siedzieli w swoich biurach, mieszkaniach lub w Afrika Hotel przy obfitym obiedzie? A gdzie znajdowały się ich żony? Powinno być ich tutaj o tej porze co najmniej kilka, ale najwyraźniej nie ruszały się z domów. Być może biali mieli czarnoskórych pracowników, załatwiających wszystkie ich sprawy?

Zaszczekał na nią żółty pies, a chwilę później sfera roześmianych, wrzeszczących czarnoskórych dzieci podbiegła w jej stronę, jednak wykonały zadziwiająco wprawny unik by się z nią nie zderzyć. Ciepły nadmorski wiatr przynosił znajomy, ale jednocześnie dziwny zapach: mieszaną pobudzających korzennych aromatów, zgniłych warzyw, słodkich pomarańczy i mięsa drobiowego nie pierwszej świeżości. Można było w nim wyczuć także ropę naftową i woń gorzkich ziół, których nazw nie znała. Gdzieś tu musiał być targ. Wkrótce usłyszała też typowe odgłosy, niewiele różniące się od tych, jakie znała z domu. Mieszanka głosów była jednakże nieco bardziej dynamiczna i wydawało się jej, że ma radośniejszy wydźwięk. Choć różnił się od nieco snobistycznego i pełnego emfazy sposobu mówienia

wschodnich Fryzyczyków, nadal mogła wywnioskować, że i tutaj towary były chwalone i wyśmiewane, targowane, sprzedawane z pasją i zapalem. Targ znajdował się pod szerokim dachem krytym strzechą, otoczony palmami, krzewami i kilkoma kamiennymi domkami, zapewne niebędącymi dziełem niemieckich kolonizatorów. Zachwycona, zatrzymała się, by uchwycić w pamięci ten kolorowy, ruchomy obraz. Tutaj toczyło się życie, tu była Afryka, cudowna w swoim blasku kolorów. Co to mogą być za owoce leżące na szmatach na podłodze? Były jaskrawoczerwone i pomarańczowe, inne przybierały matowe odcienie niebieskiego, trawiastej zieleni i orzechowego brązu. Widziała też kokosy i ochrowożółte bardzo małe banany, dziwnie ukształtowane białe i brązowawe korzenie, owalne jasnozielone owoce niesamowitych rozmiarów. Melony? Dynie?

Musiła iść przed siebie, aby nie stwarzać przeszkody dla odwiedzających targ, mijając powoli i wciąż trochę niepewnie kolejnych sprzedawców. Były to głównie kobiety, wiele z nich stało z małymi dziećmi, uroczymi aniołkami o skórze w kolorze ciepłej czekolady, przytulonymi do swoich matek lub po prostu śpiącymi na ziemi. Charlotte zbierała się na odwagę i tu i ówdzie pytała o nazwę produktu, dopytywała się o cenę, dotykała i wahała ten czy inny owoc; tak jak pozostali kupujący, dotykała pulchnej, gładkiej powierzchni mango, kolczastych liści ananasa, upajała się aromatami, które raz były słodkie i delikatne, a to znów kwaśne i świeże. Tak bardzo chciała kupić trochę pysznych owoców. Pieniądze nosiła w skórzanej sakiewce zawieszanej na szyi, ale miała wyłącznie niemiecką walutę, z czego większość stanowiły banknoty. Podejrzewała jednak, że kobiety na targowisku preferowały zapłatę w peso lub rupiach. Poza tym nie uważała za zbyt rozsądne wystawianie swojego skarbu na widok publiczny. Na targowiskach zawsze kręcili się najrozmaitsi złodzieje. Afryka w tym wypadku niewiele różniła się od wschodniej Fryzji i tamtejszych targowisk.

– *Not this one* – odezwał się nagle wysoki głos. – *It's not ripe. Let's buy some coconuts and bananas instead.*

Odwróciła się w bok i zobaczyła Europejczyka w jasnym garniturze, z głową chronioną przed słońcem kapeluszem w stylu wojskowym i miękkimi, sznurowanymi butami na stopach. Musiał być bardzo młody, ponieważ twarz miał pozbawioną brody, a jego jasny głos potwierdzał chłopięcy wiek. Teraz pochylił się nad stołem niewielkich, brązowych owoców, wziął jeden do ręki i sprawdził jakość. Za nim

czekały dwie czarnoskóre służące z wiklinowymi koszami, w których leżały już różne smakołyki i owoce. W każdym razie był to biały człowiek. Czy należał do grupy myśliwych? Charlotte nie mogła oderwać od niego wzroku. Patrzyła, jak kupuje owoce, po czym wyciąga z kieszeni sakiewkę i odlicza kilka monet, kładąc je na wyciągniętej dłoni handlarza. Było coś dziwnego w tym młodym mężczyźnie, ale nie potrafiła określić co dokładnie. Rozejrzał się wokół siebie, najwyraźniej chciał jeszcze raz ocenić dostępne produkty, a Charlotte przez chwilę patrzyła mu prosto w twarz. Zdała sobie sprawę, że stoi przed nią kobieta! To nie mogły być zwidy, ponieważ teraz odkryła również pasmo kręconych, blond włosów, wywijających się z boku pod wojskowym kapeluszem i opadających na jej ramię. Charlotte nie mogła w to uwierzyć: ta kobieta miała na sobie męskie spodnie i luźną kurtkę, spiętą w talii paskiem. Wydało jej się to całkowicie bezwstydne i zaczęła się zastanawiać, jak ta dziwna dama może obejść się bez gorsetu. Ale wtedy pomyślała o podróżniczkach, przemierzających Saharę oraz Nil w męskich ubraniach, i nagle poczuła szacunek dla nieznajomej. Odważne i zarazem bardzo rozsądne było włożenie tych ubrań, które sprawdzały się lepiej w ciężkiej podróży.

Nieznajoma zwracała na Charlotte równie mało uwagi jak na każdą inną osobę na targu, najwyraźniej była zainteresowana tylko zakupami. Po kilku minutach zniknęła wraz z dwiema towarzyszkami w tłumie kupujących, a Charlotte wciąż stała w tym samym miejscu, oczarowana, wstrząśnięta, ale zdecydowanie bogatsza w wiedzę.

W końcu uwolniła się spod tego czaru i kontynuowała spacer po targu, wzdrygając się na widok mięsa ułożonego na deskach, po którym pełzały muchy. Mijała kosze z gdakającymi kaczkami i kurczakami, a potem poczuła lekki zawrót głowy.

Nic dziwnego – pomyślała. Afrykanki owijają włosy chustami, biała Angielka nosiła ten swój kapelusz, a ja chodzę bez żadnego nakrycia głowy.

Podążyła alejką, która prowadziła między domami na szerszą ulicę. Znajdowały się tu sklepy – jeden obok drugiego. Ciemne, wąskie budki, ale i większe. W niektórych można było obserwować pracę rzemieślników, w innych tylko sprzedawano gotowe produkty. W przeciwieństwie do ożywionego targowiska, było tu spokojniej, zainteresowanie danym towarem wykazywało tylko kilku, wyłącznie czarnoskórych klientów, kupcy i rzemieślnicy kucali na dywanach, drzemali w południowym słońcu i czekali na nadchodzące okazje.

Charlotte podeszła z zaciekawieniem, żeby obejrzeć oferowane przedmioty. Były tam czajniki i garnki, lampy naftowe, kosze, jaskrawo kolorowe naczynia i wszelkiego rodzaju biżuteria, a także amulety zwisające z tyczek lub z sufitu. Prawie żaden sklep nie specjalizował się w jakimś konkretnym towarze, każdy oferował to, co akurat udało się tanio kupić. Worki z ryżem lub kukurydzą stały obok oliwy do lamp i mydła, szale powiewały na wietrze, kapelusze i parasole leżały na stosach dywanów. W wielu sklepach znajdowały się niskie ławki, na których wystawiano oszałamiającą różnorodność przypraw.

Jak zaczarowana pochylała się nad małymi koszykami zawierającymi aromatyczne ziarna i nasiona, owoce, korzenie lub bulwy. Znała tylko czerwonobrzowe, pachnące żywicą gałki muszkatołowe, mające dziwne skręcone wzory na powierzchni, oraz czarne, pomarszczone ziarna pieprzu. Jednak zawartość większości koszy była jej zupełnie obca i pełna tajemnic. Widziała małe, brązowe gwiazdki, pachnące anyżem, czarne okruchy o ciężkim, ziemistym aromacie, żółte, cierpkie korzenie, suszone liście pachnące cytryną, brązowe, podłużne strąki, które wyglądały jak suszona fasolka szparagowa, ale wydzielały charakterystyczny świeży, kwaśny zapach...

– Tamaryndowiec. Wkładasz je do wody, aby uzyskać kwaśną ostrość i zrobić z nich ciemny sok.

Sprzedawca, oparty o framugę drzwi, z rękami splecionymi za plecami, musiał ją obserwować od jakiegoś czasu, kiedy upajała się zapachem przypraw. Charlotte spojrzała na niego ze zdumieniem, nie tylko dlatego, że mówił bezbłędnie po niemiecku. Znała go.

– Był pan wcześniej w magistracie, prawda?

– Zgadza się. Widzieliśmy się tam.

Był to ten sam mężczyzna ze złotym błyskiem w oczach. Spojrzała na niego nieśmiało, ledwie zbierając w sobie odwagę, by spojrzeć na jego twarz. Był Hindusem, nie Arabem. A może się myliła? Chyba wyczuł jej zakłopotanie i zaczął trochę opowiadać o przyprawach, wyjaśniając, skąd pochodzą i do czego służą, pokazując, że istnieją cztery rodzaje pieprzu, biały, czarny, czerwony i zielony, a potem dał jej do spróbowania mały kawałek indyjskiego lauru, o smaku zbliżonym do cynamonu lub goździków. Aromat był tak ostry, że znowu zakręciło jej się w głowie.

– Potrzebuję chusty na włosy.

– Mam ładne jedwabie. Niech pani ze mną pójdzie.

Tak naprawdę nie chciała niczego kupować, ale poszła za nim do sklepu, gdzie było przyjemnie chłodno. Na rozklekotanych półkach piętrzyły się bele tkanin w jaskrawych kolorach, także w odcieniach bieli i zieleni. Między nimi stały pudła z najrozmaitszymi błyszczącymi bibelotami, wazony i dzbany, na ścianach wisiały skórzane paski ze srebrnymi sprzączkami. W zręczny sposób, jednym ruchem, potrafił rozłożyć chusty na małym stoliku. Ciepły żółty odcień, matowy róż, turkus, który lśnił jak rozświetlone słońcem morze. Były też takie z wzorami przypominającymi skręcone muszle ślimaków lub filigranowe liście.

– Ile to kosztuje? – zapytała, wskazując na chustę w ciepłym odcieniu złota.

– Dla pani pięć rupii. Jest wykonany z indyjskiego jedwabiu. Piękna chusta dla pięknej kobiety...

– Mam przy sobie tylko niemieckie pieniądze...

– W takim razie wezmę od pani sześć niemieckich marek.

Charlotte była zaskoczona. Sześć marek? Nigdy, przenigdy nie mogłaby wydać tyle na szal. Nawet jeśli był to indyjski jedwab... Podniosła materiał i poczuła, jaki jest lekki. Miękki i chłodny, prześlizgiwał się przez palce i zaczepiał o każdy szorstki skrawek skóry. Znała takie tkaniny, mama nosiła suknie uszyte właśnie z takich materiałów, które potem zostały przerobione na spódnice dla Ettje i ciotki Fanny...

– To zbyt drogo dla mnie...

– Tej jakości nie znajdzie pani nigdzie taniej.

Nie zawracała sobie głowy targowaniem się. Nawet jeśli przeceniłby chustę o jedną lub dwie marki, to byłby kompletny nonsens, żeby w ich sytuacji pozwalać sobie na tak drogie ubranie.

– Muszę to przemyśleć.

Uśmiechnęła się przepaszająco, jednak z wyrazu twarzy mężczyzny wywnioskowała, że ten dobrze wiedział, co było powodem jej niechęci. Ukłonił się jej, gdy wychodziła, co wydało jej się dziwne.

Pobiegła pospiesznie ulicą przed siebie i dopiero gdy odeszła trochę dalej, znów zaczęła spacerować, żeby obejrzeć inne sklepy. Było wielu rzemieślników kucających przed swoimi stanowiskami, młotkujących metal, nitkujących biżuterię lub szyjących na maszynach długie białe szaty.

Klara też potrafi szyc – pomyślała. Trzeba by wynająć jeden z tych sklepików, kupić towary i je sprzedawać. Szycie odzieży. Tworzenie

ładnej biżuterii. Dlaczego miałyby to nie być możliwe? Nigdzie jednak nie widziała pustego miejsca. Nawet najmniejsze budki pełne były koszy i bel towarów, przy których kręcił się handlarz, Arabowie sączyli kawę i wdychali dym z długich węży przymocowanych do smukłego szklanego kanistra. W powietrzu unosił się słodki zapach i znowu poczuła, jak ziemia zaczyna się lekko pod nią kołysać. Tkaniny łopotały na stojakach, fioletowe, krwistoczerwone, szafranowe, z jedną błyszczącą pomiędzy nimi niczym ciemne złoto. Indie, ziemia jej matki...

Odwróciła się i ruszyła zdecydowanym krokiem ponownie w kierunku, skąd przyszła.

Indyjski kupiec miał klientów w sklepie. Dwie czarnoskóre kobiety kupiły przyprawy i ryż, który odmierzył i napełnił nim przyniesioną przez klientki torbę wykonaną z rafii. Następnie obejrzały wszystkie czajniki, ważyły je w dłoniach, sprawdzały dziobek, uchwyt i podstawę, aż w końcu podjęły decyzję i wybrały jeden z nich. Targowały się przez chwilę, używając w tym celu uwodzicielskich uśmiechów i dynamicznej gestykulacji, a indyjski kupiec przyjął to z przyjaznym spokojem, nie przestając się uśmiechać i w końcu obie strony dobiły targu.

Kiedy wyszły ze sklepu, zwrócił się do Charlotte.

- Czy zmieniła pani zdanie?
- Chciałabym jeszcze raz zobaczyć tę chustę.
- Niech pani przymierzy, tu jest lustro.

Ułożył już chusty z powrotem na półce, ale jedwabna żółta płachta leżała na wierzchu. Kiedy ją rozwinął, rozpostarła się przed Charlotte niczym falująca złota flaga, powiew orzeźwiającego powietrza, odległe, czułe wspomnienie, delikatne jak pajęczyna. Jednocześnie poczuła się jakby objęta niewidzialną ochroną, ciepłą i zarazem przynosząca łagodny chłód w gorący dzień. Podał jej okrągłe lustro w srebrnej ramie.

- To pani kolor, idealnie pasje do oczu.

Więc on też to zauważył. Ułożyła materiał inaczej, krzyżując końce pod brodą i zawiązując je na karku.

- Mam pytanie – powiedziała zdecydowanie.

Chyba coś podejrzewał, bo jego oczy nagle nieco się zwężyły, a usta wykrzywiły się w ironicznym grymasie.

- Słucham...
- Chcę wynająć jakieś miejsce, żeby otworzyć sklep.

Nie do końca chyba spodziewał się, co chciała wiedzieć, ponieważ zdawał się szczerze zaskoczony.

– Tutaj? Co chce pani sprzedać?

– Wszelkiego rodzaju towary. Garnki, dywany, tkaniny, przyprawy. Moja kuzynka dobrze szyje, możemy szyć ubrania...

Powiedziała, że targowała się na rynku od dziecka, że mieli sklep spożywczy, że handel ma we krwi i że jest zdeterminowana, by zacząć tu od początku. Wysłuchał wszystkiego cierpliwie, po czym z żalem wyjaśnił, że znacząca większość sklepów jest już zajęta. Nie jest łatwo znaleźć tutaj miejsce handlowe.

– To może być tylko bardzo mały sklepik. Na początek. Nie zna pan nikogo, kto chciałby stąd wyjechać? Albo kogoś, ktoś wypadł z interesu?

Spoglądał na nią nadal z przymrużonymi oczami, w których pojawiła się teraz nieufność, co dodatkowo pogrzebało jej nadzieję.

– Jest pani Niemką? – zapytał.

– Tak.

Nic nie odpowiedział, patrzył, jak ponownie rozwiązuje materiał, próbując innego wiązania. Stał za nią i spojrzał przez ramię w lusterko, pokazujące twarz kobiety otoczoną złotym jedwabiem. Pytanie zadawane jej tyle razy, zawisło niewypowiedziane w powietrzu, jednak tym razem wszystko wskazywało na to, że właściwa odpowiedź mogła zmienić wszystko. To, co było przekleństwem w małym miasteczku Leer, tutaj mogło otworzyć niejedne drzwi.

– Moja babcia była Hinduską. Niestety nie znam nawet jej imienia. Byłam dzieckiem, gdy zginęli moi rodzice i brat...

– Pani babcia powróciła w pani.

Sens tego zdania zrozumiała dopiero znacznie później, kiedy poznała go lepiej. Teraz, w tej chwili, uznała tę uwagę za niedorzeczną.

– Mężczyzna, który prowadzi sklep obok mnie, za kilka tygodni jedzie do Usambary – powiedział spokojnie. – Plantacje, które Kompania Wschodnioafrykańska chce stworzyć, przyciągną wielu ludzi. Niemcy to dobrzy klienci, potrzebują dużo przedmiotów i płacą swoim pracownikom na czas. Afrykanie są jak dzieci, gdy tylko zarobią trochę pieniędzy, kupują tanie noże i piękne ubrania, biżuterię, srebrne guziki oraz alkohol.

Nie podobało jej się, w jaki sposób mówił o „Afrykanach”, wyczuwała bowiem wyraźną pogardę w jego głosie. Ale chciała

skorzystać z oferowanej okazji.

– Więc może mogłabym wynająć ten sklep? Czyj on jest? Z kim mogłabym porozmawiać?

– Jest mój – powiedział cicho. – Ale nie mogę pani wynająć całego sklepu, potrzebuję części do przechowywania towarów.

– To nie byłoby wcale takie złe. Chcę zacząć od czegoś małego – wyjaśniła z zapalem. – Ile wyniosłby czynsz?

– To nie tylko sklep, wynajmuję też mieszkanie nad nim.

Mieszkanie składało się z trzech pokoi, był dostęp do wody i prostego pieca, którego, którego nie bardzo potrafiła sobie wyobrazić. Mógł jej pokazać rano, teraz nie miał kto przypilnować jego sklepu.

– Gdzie kupuje pan towary?

Uśmiechnął się z wyrazem wyższości, ale chyba również współczucia. Nigdy nie spotkała podobnej mu osoby. Trudno było jej ocenić, czy zaoferował jej sklep i mieszkanie, bo miała babcię z Indii? A może dlatego, że ją polubił?

– Pomogę pani w zakupach.

Czy mogła mu zaufać? Instynkt podpowiadał jej, że musi mieć inny powód, dla którego złożył jej tę ofertę. Może po prostu chciał ukraść jej oszczędności? Czowała też jednak wyraźnie, że nie ma do czynienia z przebiegłym oszustem, choć mogła się oczywiście mylić.

– Przyjdę rano obejrzeć mieszkanie. Do tego czasu proszę, żeby nie pokazywał go pan nikomu innemu.

– Oczywiście, że nie.

Wyciągnęła chustę z włosów i trzymała ją w dłoniach. Rzuciła na jej dłoń miękki cień i wyglądała jak złoty, opalizujący strumień przepływający przez jej palce.

– Wezmę za cztery marki – powiedziała odważnie.

Najpierw widziała tylko, jak wzruszył ramionami, potem usłyszała, jak zachichotał, a w końcu się roześmiał. Nie głośno, ledwie słyszalnie, ale nadal wydawał się rozkosznie rozbawiony.

– Niech ją pani weźmie ze sobą – to prezent od Kamala Singha. Będę czekać na panią rano.

Jak na standardy europejskie mieszkanie wydawało się bardziej niż prymitywne. Miało dwa małe okna wychodzące na ulicę. Do tego od strony północnej, gdzie znajdował się niewielki zaułek, przez kwadratowy otwór w ścianie wpadało trochę światła, ale służył on głównie temu, by powstający podczas gotowania dym, mógł ulecieć z kuchni. Poza tym, w środku było ciemno. W małych sypialniach nie

można było nawet stać w pozycji w pełni wyprostowanej, bo płaski dach od strony przeciwnej do ulicy był mocno nachylony, tak aby deszczówka mogła po nim spływać bez problemu. W wielu miejscach odpadał tynk ze ścian, które poprzedni lokator zakrył kolorowymi gobelinami. Podłoga była częściowo pokryta odpadającymi lub częściowo ukruszonymi płytkami.

Hinduska rodzina zamieszkująca nadal mieszkanie zdawała się nie mieć nic przeciwko zwiedzającym. Witła Kamala Singha niczym dobrego przyjaciela, przyjaźnie zwracała się też do się trojga Niemców, którzy nachodzili ich z rana, częstując ich herbatą w maleńkich, pięknie malowanych filiżankach. W mieszkaniu znajdowało się niewiele mebli. Do siedzenia służyła wiklinowa mata na podłodze. Czworo dzieci bawiło się na niskich łóżkach, a najmłodsze z nich nie miało nawet roku. Christian powstrzymał oburzenie, dopóki nie wrócili na drugą stronę ulicy, gdzie uprzejmie, ale stanowczo poinformował Kamala Singha, że nie ma zamiaru wynajmować tego mieszkania. Po czym odszedł energicznym krokiem w przekonaniu, że Charlotte i Klara pójda za nim. Mylił się jednak. Kiedy odwrócił się, obydwie kobiety wciąż stały przed sklepem Hindusa, więc był zmuszony zawrócić.

– Co robisz? Chcesz się wprowadzić do tej dziury?

– Chcę zobaczyć sklep – powiedziała stanowczo.

Zgodził się na to, potrząsając głową. Sklep był pustym pomieszczeniem z brudnymi, niegdyś pobielonymi ścianami. Poprzedni właściciel z obecnego wyposażenia chciał zostawić jedynie chwiejącą się półkę, pewnie dlatego, że nie przetrwałaby wyprawy w góry, resztę miał zamiar zabrać ze sobą. Zasłona oddzielała tylną część sklepu, gdzie przechowywano pudła i bele z towarami obłożone płótnem, należące do Kamala Singha. Mogli tam też trzymać swoje rzeczy, jeżeli miejsca byłoby wystarczająco dużo, jednak jeżeli Hindus potrzebowałby tej przestrzeni, musieliby ją zwolnić.

– Nie jesteś zbyt bystra! – skarcił ją Christian, kiedy obie kobiety wróciły do niego. – Ten facet chce tylko naszych pieniędzy. Popatrz na niego!

Charlotte była zła, ponieważ mówił tak głośno, że Kamal Singh, który wrócił do swojego sklepu, mógł go usłyszeć.

– Chcę wynająć to mieszkanie i ten sklep, Christianie!

– Nie za moim przyzwoleniem. Jestem twoim mężem, nie możesz podpisać umowy bez mojej zgody. Gdybyś zapomniała: żyjemy tu na

prawie niemieckim!

– Proszę – powiedziała Klara z rozpaczą. – Nie kłóćcie się! Do tego jeszcze na środku ulicy!

– A jak zamierzasz zarabiać na nasze utrzymanie? – zapytała gniewnie Charlotte, ignorując prośby Klary. – Twoje marzenie o posiadaniu plantacji kawy? Kiedy? Za rok? W ciągu dziesięciu lat? Rozumiem, że do tego czasu mamy głodować?

Nagła ulewa sprawiła, że Christian nie miał możliwości odpowiedzieć, przynajmniej na razie. Pospiesznie schronili się pod słomianym dachem sklepu. Siedzieli tak w milczeniu przez kilka minut, próbując chronić swoje ubrania przed strumieniami wody i wpatrując się w ulewny deszcz, zamieniający ulicę w bulgoczący potok. Christian był w ponurym nastroju, jego nadzieja na pożyczkę została wczoraj rozwiana, przeklął ekonomiczną klikę, dżentelmenów *von und zu*^[26], którzy przekazywali sobie nawzajem pieniądze i ziemię, a innych wykluczali. Poskarżył się Ebertowi, ale ten tylko wzruszył ramionami i zaproponował mu pracę urzędnika w niemieckiej administracji. Niezbyt dobrze płatną, ale przynajmniej coś na początek.

– Znajdę posadę w Usambarze – warknął w końcu. – Chętnie zatrudnię Niemca na plantacji. W ten sposób zdobędę wiedzę i zaoszczędzę pieniądze.

– Możesz to zrobić, ale beze mnie!

Przyznał, że tak czy tak w tej sytuacji nie mógł zabrać jej ze sobą, a tym bardziej Klary. Szaleństwem było jednak ufać temu Hindusowi, człowiek Orientu bowiem myślał inaczej niż normalni ludzie. Zapytał o niego Kunerta. Kamal Singh był właścicielem kilku sklepów na Inderstrasse, jego dwaj synowie również trudzili się handlem i mieszkali na Zanzibarze. Miał też trzech zięciów, z których jeden mieszkał w Bagamoyo, a dwóch pozostałych gdzieś w Arabii. Ta rodzina współpracowała ze sobą dobrze i zapewne handlowali nie tylko czajnikami i tkaninami oraz ubraniami. Kunert wiedział też, że Hindus ma kłopoty z władzami niemieckimi. Chcieli namówić kupca do sprzedaży domu, by zrównać budynek z ziemią. Stale rozrastająca się dzielnica indyjska była cierniem w oku niemieckiej administracji. Prawdopodobnie był to ten sam budynek, który mężczyzna zamierzał wynająć Charlotte. Stanowiło to sprytne posunięcie z jego strony. Gdyby mieszkała tam niemiecka rodzina, władze zostawiłyby go na razie w spokoju.

– Jeśli to prawda, ma jeszcze jeden powód, by mnie nie oszukać!

Tymczasem zapytała o kurs wymiany walut. Rupia była warta trzydzieści trzy marki, a peso dwa fenigi. Sześćdziesiąt cztery peso trzeba było wydać na rupię. Gdy Kamal chciał pięć rupii za chustę, a potem sześć marek w niemieckiej walucie, przeliczył należną kwotę bardzo na jej korzyść.

Panująca teraz między nimi wroga cisza w środku szalejącej burzy przeszkadzała Charlotte, była zbyt surowa, wiedziała, jak bardzo Christian cierpiął z powodu rozczarowania, które go spotkało. Postanowiła przekonać go do swojego pomysłu,

– Jeśli naprawdę chcesz jechać do Usambary, Klara i ja musimy się gdzieś zatrzymać – rzuciła mimochodem. –

W końcu nie możemy zajmować pocztowego biura tygodniami, czy miesiącami nawet. Hotel odpada, jak wiesz nie możemy sobie pozwolić na takie koszty. Dlatego to mieszkanie jest jakimś rozwiązaniem. Zwłaszcza że na pewno, jak tylko zaczniesz zarabiać, wyślesz nam pieniądze.

Ostatnie zdanie okazało się kluczowe. Wierzyła w niego, wierzyła, że mu się uda. Jeśli tak jest, on też będzie mógł w siebie uwierzyć. Jego ponury, skurczony wyraz twarzy się rozluźnił.

– Mieszkanie niech będzie, ale nie sklep.

– On po prostu wynajmuje je razem.

Przekonanie go zajęło trochę czasu, ale w końcu uległ uporowi żony. Dobrze, zapyta o czynsz. Pod jego nieobecność nie wolno jej jednak było kupować żadnych drogich towarów, z którymi potem zostanie. I nie może dać się skusić na zadłużanie się u tego Hindusa. Z pewnością zabrałby im ostatnią koszulę. Charlotte powstrzymała się od złośliwych uwag, które miała na końcu języka i cała trójka wróciła do sklepu Kamala Singha, żeby negocjować. Hindus zdawał się nie słyszeć obraźliwych słów Christiana, gdyż traktował go uprzejmie, chociaż jego uśmiech był trudny do odczytania. Musieli płacić czynsz co tydzień, ale był on zaskakująco niski, więc zawarli umowę najmu, obejmującą mieszkanie i część sklepu znajdującą się poniżej. Charlotte nalegała, by mogła umieścić swój podpis obok podpisu męża.

Wyprawa Christiana do Usambary znacząco nadszarpnęła ich oszczędności. Mężczyzna przybrzeżnym parowcem miał wyruszyć do Tangi, aby dołączyć do grupy zmierzającej w góry. W tym celu chciał wynająć lub kupić muła, potrzebował też pieniędzy na wyżywienie i nocleg. Poza tym mógł liczyć na pomoc Towarzystwa

Wschodnioafrykańskiego: niemieccy robotnicy byli potrzebni, a każdy, kto chciał pracować i coś osiągnąć, był zawsze mile widziany.

Kiedy pożegnali się w porcie, Charlotte poczuła wyrzuty sumienia. Jak mogła pozwolić mu wyjechać zupełnie samemu? Czyż nie była jego żoną i przyrzekała sobie, że zawsze będzie przy nim? Jak taki niezaradny marzyciel jak on, mógł sobie sam poradzić tam w tej dziczy?

– Napisz do mnie jak najszybciej, dobrze? – poprosiła go.

On też był głęboko poruszony, ale starał się ukryć smutek za fasadą szczęścia. Odrzucił rupie, które chciała mu wcisnąć, żeby mógł szybko wysłać jej list, mówiąc, że to ona potrzebuje tych pieniędzy bardziej dla siebie i Klary. Po osiedleniu się dostaną pocztą fundusze na podróż, aby mogły jak najszybciej do niego przyjechać.

– Zaopiekuj się Klarą. I weź chininę, którą kupiliśmy...

– Uważaj na siebie, Christianie. Tam grasują lamparty. I węże...

Mały parowiec pocztowy zacumował przy nabrzeżu, zadzwonił dzwonek, nadszedł czas. Kiedy Christian objął ją, Charlotte poczuła drżenie w klatce piersiowej. Szlochał, a ona też nie mogła już dłużej powstrzymać łez.

– Wybacz mi, Charlotte. Kiedy znów będziemy razem, wszystko się zmieni. Nigdy więcej nie będziemy musieli walczyć. Kocham cię mój skarbie. Tak bardzo cię kocham...

Musiał oderwać się od niej siłą, inaczej nie zdążyłby wejść na pokład. Pomachał jej na pożegnanie, a kiedy parowiec wpłynął do wąskiego kanału łączącego port z oceanem, wciąż widziała, jak jego biała chusteczka powiewa na wietrze. Potem statek zniknął za gęstym gajem palmowym ewangelickiej stacji misyjnej.

Charlotte spędziła kolejne dni w różnych niemieckich biurach, aby zdobyć dokumenty niezbędne do otwarcia sklepu. Tydzień później w ich tymczasowym lokum w urzędzie pocztowym zjawiał się posłaniec od Kamala Singha – mieszkanie i sklep czekały gotowe do zamieszkania. Była to pocieszająca wiadomość dla obydwu kobiet, które czuły się na poczcie niczym jakieś uciążliwe lokatorki. Musiały przenieść się do sąsiedniego pokoju, ponieważ Kunert potrzebował swojego biura, aby wyszkolić następcę. On sam siedział już na spakowanych walizkach – za kilka dni statek Bundesrath miał wrócić z podróży do Delagoa Bay i Mozambiku oraz rozpocząć drogę powrotną do Hamburga przez Dar es Salaam.

Na Inderstrasse czekała ją niespodzianka. Kamal Singh kazał odświeżyć ściany mieszkania, w większym pokoju na podłodze leżały

dywaniki, z sufitu zwisały lampy naftowe, pod oknami stała niska skrzynia z ciemnobrązowego drewna, a w jednej z sypialni ustawiono łóżko z poduszkami. W kuchni znajdowało się wiele przyborów kuchennych, naczyń, wiader, a nawet szufelka i szczotka oraz wiązka drewna do rozpalenia ognia. Przede wszystkim jednak kazał zainstalować piec, wprawdzie strasznie porysowany, był jednak wyposażony w rurkę do odprowadzania dymu na zewnątrz. Ponoć to wyposażenie przynależało wcześniej do mieszkania i były teraz do ich dyspozycji. Charlotte chciała wynająć mieszkanie, płacąc za dwa pierwsze tygodnie z góry, na co Hindus z uśmiechem potrząsnął głową. Ostatecznie jednak i tak wziął pieniądze. Z wyraźnym niezadowoleniem przyjął informację, że marki wymieniła na rupie i peso w magistracie. Czemu nie przyszła do niego, na pewno dałby jej lepszy kurs.

Zostawiając Klarę, by rozpakowała te kilka rzeczy, które przywieźli ze sobą w walizce, godzinami siedziała w sklepie Kamala, pomagając mu obsługiwać klientów i próbując nauczyć się suahili. Kiedy zauważył, że zapisuje zdania i wyrażenia na kawałku papeterii, zniknął na zapleczu swojego sklepu i wrócił z podniszczoną książeczką.

– Słownik języka suahili z gramatyką – odczytała ze zdziwieniem. – Skąd pan to ma?

Wzruszył ramionami, co prawdopodobnie oznaczało, że nie pamięta dokładnie, ale mogła korzystać z tego słownika, jeśli chciała. Został wydrukowany przez Seminarium Orientalistyczne w Berlinie i najwyraźniej był przeznaczony do użytku dla misji ewangelickiej.

– Mądrzy ludzie – powiedział. – Mają swoje budynki misyjne przy wejściu do portu, uprawiają warzywa i owoce, a także palmy kokosowe. Jest tam szkoła i ambulatorium. Traktują wszystkich bez wyjątku tak samo.

Charlotte zdała sobie sprawę, że musiał handlować również z ewangelickimi misjonarzami. Wydawał się jednak bardzo ich cenić. Oprócz dzieci afrykańskich do szkoły misyjnej chodziło także wiele dzieci z Indii. To bardzo ważne, wyjaśnił jej, bo tylko wykształcony Hindus może zdobyć uznanie Niemców, a nawet dostać pracę w administracji. Nie wierzył, że misjonarze katolicy byli zadufanymi ludźmi, znającymi jedynie własną wiarę i nie akceptowali niczego innego. On sam był sikhem^[27] i praktykował w świątyni na północ od Inderstrasse.

– Chciał mi pan pomóc w zakupie towarów.

– Proszę mi powiedzieć, co pani potrzeba.

Była ostrożna. Ryż i herbatę zawsze każdy kupuje, ładne naczynia też, ale niezbyt drogie, trochę artykułów gospodarstwa domowego i tkaniny. Słuchał w milczeniu, kiwając głową z aprobatą dla jej wyboru, choć zauważył, że kilka „błyszczących” rzeczy też by nie zaszkodziło. Trochę biżuterii, odbijające promienie słońca dzwoneczki, przedmioty, które zwracały uwagę.

– I przyprawy. Ale tylko te zwykłe. I maszyna do szycia.

– Maszyna do szycia?

– Dla mojej kuzynki. Potrafi bardzo dobrze szyć.

Skinął głową i powiedział, że taka maszyna jest droga oraz niełatwa do zdobycia, ale się rozejrzy. Następnie podawał jej ceny zakupu, podpowiadał, ile ma kupić i jakie kwoty może na tym zarobić. Charlotte przeliczyła wszystko w myślach i musiała przełknąć ślinę – z jej oszczędności zostałoby wtedy bardzo niewiele. Marża handlowa była zróżnicowana, najniższa na artykuły spożywcze, inne przynosiły więcej zysku. Najpierw jednak trzeba było je sprzedać.

– Będzie dobrze – zachęcał ją. – Przynajmniej na początek. Później zrobi pani na tym zapewne lepszy interes.

Odkryła również, że miał kilku pracowników, głównie Afrykanów, ale także kilku Hindusów. Wpadali do sklepu, przyjmowali zamówienia i znikali, czasami jeden z nich zostawał, by obsługiwać klientów, podczas gdy Kamal Singh szedł z przyjaciółmi na tyły sklepu wypić herbatę lub kawę i prowadzić długie rozmowy.

Zamówiony towar dostarczono do jej sklepu jeszcze tego samego popołudnia. Afrykanie nosili na plecach worki i bele, posłusznie układali rzeczy tam gdzie chciała Charlotte i radowali się po królewsku, gdy otrzymywali kilka peso napiwku. Wkrótce pojawiło się także dwóch młodych Hindusów ze stołami, jednym krzesłem i kilkoma pudłami, wyjaśniając, że sahib Kamal Singh kazał zapytać, czy nie znalazłaby może zastosowania dla tych nieco zakurzonych i porysowanych przedmiotów.

Opis stanu mebli jednak znacząco odbiegał od prawdy. Stoły były wykonane z gładkiego drewna i miały toczony nogi, a krzesło z rzeźbionymi poręczami i tapicerką z czerwonego aksamitu we wzory wyglądało, jakby pochodziło z indyjskiego pałacu, chociaż nosiło lekkie ślady użytkowania. Charlotte postanowiła na razie nie martwić się hojnością Hindusa, Klara zawołała ją na dół i resztę dnia spędziły na układaniu przywiezionych rzeczy. Ponieważ nie zamknęły drewnianej bramy prowadzącej do sklepu, od razu zaczęli pojawiać

się pierwsi klienci i do wieczora zarobiły trzy rupie i dwadzieścia cztery peso.

Gdy tuż przed zapadnięciem zmroku usiłowały pozamykać wieloskrzydłowe bramy, aby zabezpieczyć na noc sklep przed ewentualnym włamaniem, pojawił się sam Kamal Singh, by podać im pomocną dłoń.

– Nigdy nie wychodźcie same wieczorem ani nocą – ostrzegł obie kobiety. – A jeśli już musicie, miejcie przy sobie pistolet.

Klara zbladła. Wszystkie straszne historie, opowiadane przez jej matkę o złodziejach i rabusiach, mogących zrobić kobiecie straszne rzeczy, ożyły w wyobraźni kobiety.

– Pistolet? – spytała Charlotte, która również poczuła się nieswojo.

– Dla kobiety to lepsze niż strzelba – powiedział spokojnie. – Ale najlepiej jest mieć uzbrojonego sługę, który będzie towarzyszył wam w nocy.

– Dziękuję za radę. Nie będziemy wychodziły z mieszkania po zmroku.

Uklonił się z poważną miną i odszedł. Kamal Singh nie mieszkał na Inderstrasse, jego dom znajdował się dalej na południe, w pobliżu głównej drogi. Kunert opowiadał, że Hindus jest wdowcem, ale mieszka z nim wielu krewnych lub przyjaciół i że często przyjmuje gości, a także partnerów biznesowych i tak naprawdę trudno było powiedzieć, kto jest kim w tym towarzystwie.

Ich wieczorny posiłek składał się z gotowanego ryżu doprawionego solą i kurkumą, a tego wieczoru zjadły też mango, które Charlotte kupiła od ulicznego sprzedawcy. Smakowało wyśmienicie, jak dojrzała brzoskwinia. W mieszkaniu brakowało stołu i krzeseł, więc siedziały obok siebie na szafce, trzymając talerze na kolanach i wsłuchując się w deszcz bębniący ciężko o dach. Wspaniale było mieć własne mieszkanie i nie musieć nikogo przeproszać za to, że się w nim przebywa.

– Kiedy uda nam się nabyć maszynę do szycia, będziemy mogły tworzyć przy jej pomocy ładne ubrania – mruknęła Charlotte, kładąc się na łóżku obok Klary.

– Ale ja nigdy nie szylam na maszynie, Charlotte! – zaproponowała Klara.

Babcia nie ufała nowinkom technicznym. Uważała, że nie potrzeba drogich maszyn, o ile w domu było wystarczająco dużo kobiet, umiejących posługiwać się igłą.

– Szybko się nauczysz. Nawet mężczyźni potrafią tutaj szyć. Widziałaś, jak siedzą przed swoimi sklepami i w skupieniu zszywają materiały?

Chociaż Klara była już wyraźnie śpiąca, jej obawy wciąż pozostawały ogromne i musiała dać im upust.

– Ale ja nie mogę siedzieć na ulicy, kiedy wszyscy patrzą, jak pracuję, Charlotte. Jeśli mam szyć, to chcę to robić po cichu, we własnym tempie, gdzieś na zapleczu sklepu.

– Tam jest za ciemno, Klaro. A poza tym chcemy, żeby ludzie wiedzieli, że szyjemy ubrania, bo inaczej nie dostaniemy żadnych zamówień.

– Możemy zawiesić szyld...

– Znak? – zapytała Charlotte, chichocząc. – A co chcesz na nim napisać? W jakim języku? Większość z miejscowych i tak nie umie czytać...

W dużym pokoju zostawiły otwarte okna. Przestało już padać i do środka napływało świeże powietrze, co uznały za niesłychanie przyjemne. Z zewnątrz dobiegł ich dziwny dźwięk, skrobanie i drapanie, a potem głucho uderzenie.

– Co to było? – wyszeptała przerażona Klara. – Mam nadzieję, że to nie złodziej próbujący włamać się do naszego sklepu?

– To nie u nas, tylko dalej z przodu...

Usłyszały pęknięcie drewna, potem dziwne parskanie, a następnie głębokie, grzechoczące warczenie, mrozące krew w żyłach. Charlotte wyskoczyła z łóżka i podbiegła do okna. Na ulicy było teraz głośno, paliły się pochodnie, mężczyźni wymachiwali pałkami, krzyczeli, biegali w różne strony, przeklinali we wszystkich językach.

– *Simba! Simba!*

W półmroku Charlotte zobaczyła przemykający cień dużego zwierzęcia. Nagle rozległ się głuchy pomruk, a potem głęboki, groźny ryk. Mężczyźni cofnęli się, jeden rzucił płonąca pochodnię w bestię. W blasku płomieni Charlotte zobaczyła rozwarte szczęki i dzikie, błyszczące oczy lwicy, która syknęła ze złością, po czym odwróciła się i pobiegła ulicą, aż zniknęła w ciemności.

To dlatego nie powinny wychodzić nocą na ulice! Kiedy było ciemno, lwy zapuszczały się do miasta, próbując ukraść wszelkiego rodzaju żywność z domów i sklepów. Pomyślała tęsknie o wypchanej głowie lwa, która wiele lat temu wisiała na wystawie sklepu Ohlsena. Wierzyła wtedy, że król sawanny jest wolnym, szlachetnym władcą

afrykańskiej dziczy. Teraz jednak okazało się, że ten wielki kot był zwykłym złodziejem i padlinożercą.

Schammi pojawił się tego samego dnia, gdy Kamal Singh kazał przywieźć maszynę do szycia dla Klary. Charlotte pobiegła na targ, żeby kupić owoce i warzywa, kiedy zauważyła chłopca. Przykucnął przy jednym z drewnianych słupów długiego, krytego strzechą dachu, pod którym odbywał się targ. Charlotte czuła intensywne spojrzenie głodnych oczu, gdy kupiec wrzucał jej dwie garście orzeszków do koszyka, i wiedzioną nagłym impulsem przykucnęła przed nim, podając mu kilka orzeszków. Z początku się nie poruszył, w jego wzroku odbijały się wątpliwości i nieufność. Miał duże, ciemnobrązowe oczy, które wydawały się ogromne w stosunku do jego wąskiej twarzy. Może właśnie to poruszyło Charlotte tak bardzo. Minęło trochę czasu, zanim powoli podniósł rękę i wyjął orzechy z jej dłoni, jeden po drugim. Skinęła mu głową z uśmiechem, po czym pośpieszyła z powrotem do swojego sklepu, gdzie Klara krzątała się przy maszynie do szycia.

Dopiero później zdała sobie sprawę, że poszedł za nią. Początkowo Charlotte walczyła zdenerwowana jednocześnie z upartym urządzeniem i łagodną rezygnacją Klary, która od razu wiedziała, że ten zakup nie ma sensu.

– To dla mnie zbyt męczące, Charlotte. Moja stopa...

– Masz dwie nogi, Klaro. Zdrową stopą możesz sprawnie obsługiwać maszynę!

– To jest za trudne. Kiedy w końcu to ustrojstwo zaczyna się poruszać, nic pęka.

Maszyna do szycia została wyprodukowana przez firmę Seidel & Naumann z Drezna, co można było wyczytać ze złotych liter na czarnym żelaznym korpusie. Kamal Singh nabył ją w nie do końca jasny sposób, rzekomo od holenderskiego osadnika mieszkającego w RPA.

– Jeśli zrobili to Niemcy, to musi być solidna – stwierdził.

Charlotte była pewna, że maszyna jest solidna, nic się nie chwiało, tyle tylko, że urządzenie było wyjątkowo toporne w użytkowaniu. Charlotte poprosiła Hindusa o olej i rzuciła się na tę żelazną damę z małą puszką, wlewając porcję przezroczystego, dziwnie pachnącego płynu do każdego małego otworu, na każdą śrubę i na wszelki wypadek także na duże koło zamachowe. Stopniowo tworzył się przy sklepie krąg widzów, z zaciekawieniem przyglądających się wysiłkom kobiety. Młodzi mężczyźni, dzieci w różnym wieku, kobiety

z koszami i ciężarami oraz koszami na głowach – wszyscy się zatrzymywali, śledzili każdy jej ruch, gawędzili, dziwili się, a także klaskali w dłonie, gdy maszyna przez krótką chwilę wykonywała swoją pracę. W tłumie prym wiedli Afrykanie, można było jednak dostrzec także Hindusów, mieszkańców Goa i Arabów. Charlotte odkryła, że uciecha z czyjegoś niepowodzenia była powszechna na całym świecie, ale tu, w Afryce, okazywano ją znacznie bardziej otwarcie. Śmiech towarzyszący jej mozolnym próbom uruchomienia tego ustrojstwa był głośny, czasem nawet piskliwy, ale nie uważała go za złośliwy, bo wyraźna była w nim dobroduszna radość.

Po wielu nieudanych podejściach w końcu udało jej się wykonać prosty szew bez klucia się w palce i zrywania podstępnej nitki. Sekret polegał na złapaniu odpowiedniego rytmu. Gdy nieopatrznie się go traciło, maszyna szła do tyłu.

– To nie takie trudne, Klaro. Kilka dni, a nauczysz się i nie będziesz już chciała szyć ręcznie!

Spotkał ją mały aplauz, gdy triumfalnie uniosła do góry dobry szew. Niewiele zrozumiała z radosnych słów, które wypowiedano w jej stronę, ale zdawało się, że zwłaszcza czarnoskórym kobietom jej wyczyn sprawił wielką przyjemność. Klara, w momentach kiedy okazywano im tyle uwagi, najchętniej wczołgałaby się do najbliższej dziury. Odetchnęła w końcu z ulgą, gdy ludzie wreszcie się rozeszli. Został tylko czarnoskóry szczupły chłopiec, w wieku może dziesięciu, jedenastu lat, ubrany jedynie w krótki jutowy fartuch. Usiadł na ziemi tuż przed sklepem, zaraz obok stołu, gdzie Charlotte rozłożyła swoje przyprawy, kilka garnków i kolorowych kubków. Rozpoznała go od razu.

– *Jambo*. Chcesz jeszcze trochę orzeszków ziemnych?

– Nie.

Skierowała wzrok bezradnie na Klarę, która wzruszyła ramionami i spojrzała smutno na chłopca.

Musi być głodny, Charlotte. Zobacz tylko, jaki jest chudy.

Chłopiec powiedział coś w suahili, czego na początku nie rozumiała. Potem mówił wolniej, wskazał na stół z przyprawami, stanął przed nim i wypiął klatkę piersiową.

– Myślę, że on chce pilnować naszych towarów.

– Ale to niemożliwe – powiedziała Charlotte. – Nie możemy mu zapłacić.

– Pieniądze nie. Tylko *chakula*^[28]. Schammi nie je dużo.

Wyglądało na to, że chciał pracować za jedzenie.

– Nikogo nie potrzebujemy.
– Biała *bibi*^[29] potrzebuje *boy*. *Bibi* źle chodzić. Schammi przyniesie to, czego ona chce. Schammi złapie złodzieja. Schammi zanieś pudełko. Schammi pobiegnie, gdzie ona chce...

Jego słowom towarzyszyły dynamiczne gesty, podskakiwał tam i z powrotem, udając, że trzyma wyimaginowanego łotra, a potem zgarbiony ciągnął nieistniejący pakunek. Z pewnością był utalentowanym mimem.

– Nie zgadzajcie się na to – poradził Kamal Singh, podchodząc, by przynieść im dwie szklanki słodzonej herbaty i trochę herbatników na tacy. Odkąd otworzyły sklep obok niego, robił to każdego ranka i wczesnym popołudniem.

– To sprytny złodziej – powiedział ze swoją zwykłą obojętnością. – A co najważniejsze, nosi w sobie zarodek śmierci.

– Zarodek śmierci? Co ma pan na myśli?

Charlotte dostrzegła w oczach Kamala Singha coś, czego nigdy wcześniej nie widziała. W złocistej ciemności jego tęczyówek pojawił się chłód.

– Istnieją takie choroby, których nikt nie potrafi nazwać ani wyleczyć. Jego rodzina zmarła na gorączkę, tylko on przeżył. Nikt nie wie, dlaczego został wybrany, ale jest nosicielem choroby.

Schammi ponownie usiadł obok stołu z towarem i przypominał teraz ciemny posąg. Nie poruszył się, dopóki Kamal Singh rozmawiał z Charlotte i Klarą. Gdy Hindus wrócił do swojego sklepu, ożył na nowo.

– Nie pieniądze. Tylko mała *chakula*.

– To nasz chrześcijański obowiązek, Charlotte – powiedziała Klara.

– Kamal Singh może być dla nas miły, ale jest człowiekiem o twardym sercu.

– A jeśli ma rację?

– Bóg nas ochroni. A na gorączkę jest chinina.

W kolejnych dniach obydwie kobiety miały sporadyczne napady gorączki lub biegunki, ale dolegliwości te ustąpiły szybko. Charlotte zdecydowała się zaufać Schammiemu. Posyłała go w celu załatwienia różnych sprawunków, jego zadaniem było pilnowanie sklepu, miał im pomagać robić drobne naprawy, zakupy na targu, a przede wszystkim chciały z nim mówić w suahili i jednocześnie uczyć się tego języka.

Pierwszą noc Schammi spędził w sklepie. Rano znalazły go na tyłach, wśród beł towarów, drżącego ze strachu, bo choć drewniane

drzwi były zamknięte na zamek, bał się lwów. Do zakupów też się nie nadawał, zawsze przynosił złe rzeczy, pod pretekstem, że owoce, które miał kupić, były zepsute, dlatego przyniósł inne. W ogóle nie przejmował się arytmetyką, kiedy wracał z targu, nigdy nie potrafił powiedzieć, ile zapłacił. Ale wykazał się innymi zdolnościami. Bardzo szybko nauczył się niemieckich słów, wkrótce był w stanie nazywać najróżniejsze przedmioty i sytuacje, a Charlotte musiała bardzo się starać, aby dokonać tego samego w suahili. Klara, darząca go szczególną sympatią, cieszyła się jego uwagą przez cały dzień. Krytycznym wzrokiem obserwował, jak pracuje przy maszynie do szycia i przynosił jej wszystko czego potrzebowała, zanim zdążyła wypowiedzieć swoje życzenie. Niemniej grzechotanie maszyny do szycia napawało go lękiem, był szczególnie podejrzliwy w stosunku do migających metalowych części, obracających się w górę i w dół i za żadne skarby świata nie odważyłby się dotknąć metalowego korpusu maszyny. Powiedział kiedyś, że mieszka w nim *Sheitani* [30].

– Czasami myślę, że chce mnie chronić, gdyby Scheitani wyskoczył z maszyny do szycia – powiedziała z uśmiechem Klara.

– Shammi miałby cię obronić? Przed tymi swoimi duchami i demonami? Przecież to największy tchórz, jakiego znam.

– Jest jeszcze dzieckiem, Charlotte!

Od pierwszej nocy, kiedy Schammi prawie umarł ze strachu w sklepie, mieszkał w ich mieszkaniu. W sypialni, która wciąż była pusta, leżał skulony jak niemowlę na dywanie i wydawał się zadowolony ze swojego twardego łóżka.

Charlotte postanowiła wysłać swój pierwszy list do domu. Nie był to szczegółowy raport, poinformowała tylko, że są zdrowi, prowadzą mały sklep w Dar es Salaam i mają tam ugruntowaną pozycję. Nie napisała nic o wyprawie Christiana w góry Usambara. Nie miały od niego wiadomości, odkąd parowiec odpłynął trzy tygodnie temu i zaczynała się martwić.

– Każdy początek jest trudny – pocieszała Klara. – Nie napisze do nas, dopóki nie poczuje, że ma pewnym grunt pod stopami.

Jeśli w ogóle znalazł gdziekolwiek pracę albo przynajmniej posadę na krótki czas – pomyślała z niepokojem Charlotte.

Okropne wizje, dręczące ją podczas bezsennych nocy wołała zachować dla siebie. Pojawiały się przecież niezliczone doniesienia o zaginięciu Europejczyków gdzieś w dżungli lub na stepie, których los nigdy nie został wyjaśniony. Jednak jeszcze gorsza od martwienia się o Christiana była dla niej pewna okropna, grzeszna myśl, którą

odrzucała ze wstydem, ale której nie mogła się oprzeć: życie bez niego było przyjemne.

Kamal Singh wiedział, że mąż Charlotte podróżował do Usambara, ale nigdy o niego nie pytał. Jej zaś wydawało się, że Hindus wątpił, by Christian kiedykolwiek stamtąd wrócił. Tym bardziej nie spodziewał się, że Charlotte i Klara pewnego dnia pojedą do Usambari, by zamieszkać razem z Christianem Ohlsenem. Kamal Singh nadal pomagał Charlotte w prowadzeniu sklepu. Załatwiał Klarze zamówienia od szerokiego kręgu znajomych, dostarczał wszelkiego rodzaju towary, które były tanie w zakupie i dobrze się sprzedawały, a kiedy przynosił im herbatę, coraz więcej mówił o swoim biznesie. Sprowadzał kość słoniową, zwierzęce rogi, pazury i zęby z głębi lądu, a także materiał, który pozyskiwano inaczej: brązowe kępy starożytnej żywicy drzewnej, wykopywanej przez Afrykanów. Ale handel stał trudniejszy w tych czasach, wyposażenie karawany było niezwykle drogie, ponieważ tragarze domagali się coraz wyższych zarobków. Dawniej tę pracę wykonywali niewolnicy, więc trzeba było tylko zapłacić za sprzęt i jedzenie. Arabowie prowadzący swoje sklepy po drugiej stronie ulicy również doświadczyli tego na własnej skórze. Mimo wszystko interes Kamala wydawał się niezłe prosperować. Miał wielu klientów, potrafiących zapłacić niemałe pieniądze za pazury lwa czy rogi nosorożca. Robiono z nich specjalny puder, bardzo popularny wśród mężczyzn.

– Nie podoba mi się to, co nam mówi – powiedziała Klara, kiedy tego wieczoru zostały same. – Z pewnością sam też trzymał niewolników. I te rzeczy, robione z rogów zwierząt, to nic więcej niż jakieś dziwne przesady i czysta bzdura.

Charlotte była mniej krytyczna. Biznes to biznes, a jeśli nabywcy tych proszków wierzyli, że może to zwiększyć potencję, dlaczego miał nie wychodzić naprzeciw ich potrzebom? Zresztą, może faktycznie ten specyfik pomagał, kto wie. Były to jednak sprawy, o których nie powinna rozmawiać z Klarą. Jej kuzynka zarumieniła się, gdy tylko usłyszała słowo „potencja”. W bliskości, jaka łączyła je od lat, w ostatnim czasie pojawiły się pęknięcia. Charlotte coraz częściej musiała ukrywać swoje myśli, a wiedziała, że Klara też ma przed nią jakieś tajemnice. Jej kuzynka przekonała się do szycia na maszynie przed sklepem, jednak wykonywała ona swoją pracę, nie oglądając się na nikogo i na nic. Gdy już się odzywała, rozmawiała jedynie z Charlotte i Shammim. Żywy, pogodny sposób, w jaki Charlotte obsługiwała swoich klientów – doradzała im, rozmawiała z nimi

w języku suahili, arabskim czy niemieckim, a przede wszystkim targowała się o ceny – było czymś zupełnie obcym dla cichej Klary. Nie lubiła kontaktu z ludźmi i tęskniła za małym pokojem, w którym mogłaby wykonywać swoją pracę bez towarzystwa wścibskich spojrzeń. Przede wszystkim jednak wyraźnie też potrzebowała oparcia pod postacią religii chrześcijańskiej, w której dorastała. W każdą niedzielę wynajmowała riksę, aby jechać z Schammim na misję ewangelicką, gdzie uczestniczyła w nabożeństwie. Charlotte, nie odczuwając potrzeby poszukiwania pocieszenia w religii, stanowczo odmawiała zamykania sklepu w tym czasie, więc zostawała sama, sprzedając towary również w niedzielę i dni świąteczne.

Pierwsza prawdziwa kłótnia wybuchła między nimi w dniu, kiedy Sarah William pojawiła się na Inderstrasse. Charlotte, stojąc przed sklepem, targowała się z kucharzem z Goa i jego służącym o cenę korzeni czerwonego galgantu^[31]. Nagle zauważyła w oddali, tam gdzie Arabowie mieli swoje sklepy, fioletową plamę. Na początku myślała, że oczy płatają jej figle, ponieważ nadeszła pora sucha i każdy najmniejszy podmuch wiatru wzbijał tumany żółtawego pyłu, utrudniającego widoczność. Kiedy jednak dobiła targu i szybko opowiedziała Goańczykom o owocach gałki muszkatolowej i kolendry, które jutro mają być dostarczone do sklepu, zobaczyła wyraźnie kapelusz Sarah z przyczepionym delikatnym strusim piórem.

– Patrzcie, kto do nas idzie! – zawołała do Klary. – Sarah William – zastanawiałam się, co się z nią stało.

Ubrana bardziej efektownie niż kiedykolwiek, Sarah wywołała niemałe poruszenie nawet tutaj, gdzie wiele afrykańskich kobiet preferowało jasne, jaskrawe kolory. Kiedy Charlotte zamachała do niej, kobieta zatrzymała się zaskoczona i zmrużyła oczy przed słońcem. Kiedy w końcu rozpoznała swoją dawną współpasażerkę, z zachwyty rozłożyła ramiona i pobiegła w jej stronę. Dwóch czarnoskórych chłopaków w białych czapkach i długich szatach, towarzyszących swojej *bibi*, pobiegło za nią.

– Charlotte Ohlsen i moja mała Klara! Co za radość! Bałam się, że zgubiłyście się w górach Usambara...

Uściskała Charlotte, a Klara musiała przerwać pracę przy maszynie, gdy Sarah również i jej podarowała serdeczny uścisk i pocałowała w oba policzki.

– Wciąż mam ten ładny rysunek, maleńka. Zajmuje honorowe miejsce na ścianie nad moim łóżkiem, a każdy, kto go widzi, chce

natychmiast wiedzieć, kto jest autorem.

Charlotte wysłała Schammiego do mieszkania, żeby zaparzył kawę, co młody chłopiec zrozumiał bez problemu, po czym wskazała swojemu gościowi fotel, подарowany jej przez Kamala Singha. Sarah usiadła w skromny, a zarazem czarujący sposób.

– To nie jest twój własny sklep, prawda? Mój Boże, co za praca, zwłaszcza w ten upał! Pokaż mi te kolczyki z zielonymi kamieniami. Nie, nie te, te wiszące obok nich. Czy to prawdziwy jodeit czy tylko kolorowe szkło? Zobaczmy, czy mi pasują. Masz lustro?

Mówiła potem dalej, nie robiąc żadnej przerwy. Szczerze mówiąc, jej małżeństwo jednak nie dojdzie do skutku, bo narzeczony okazał się strasznie nudną osobą, ona zaś w ogóle nie nadaje się do zamążpójścia. Wynajęła ładne mieszkanie na zachodzie miasta, jest tam przyjemnie cicho, domy są w większości w dobrym stanie, nie może narzekać na brak towarzystwa.

Obaj towarzyszący jej chłopcy byli wyposażeni w plecione torby, do których zebrano już wszelkiego rodzaju tkaniny i inne drobne przedmioty. Podczas gdy ich pani piła kawę i nie przestawała mówić, afrykańscy służący podeszli do Schammiego i rozmawiali z chłopcem w obcym języku, który nie miał nic wspólnego z suahili.

– Musicie mnie odwiedzić – powiedziała Sarah. – Że też moja mała Klara tak dobrze szyje... Chociaż, no przecież zawsze siedziałaś na parowcu i coś tam dziergałaś. A gdzie twój mąż, Charlotte? Zgubiłaś go? – Roześmiała się głośno ze swojego żartu, który ani Charlotte, ani Klarze nie wydał się zabawny.

Następnie przyznała, że słyszała o Christianie Ohlsenie, który przeniósł się w góry Usambara, aby pracować na plantacji. Charlotte zapytała, od kogo to wie.

– O, najdroższa! Znam wielu ludzi. Oficerowie, inspektorzy, lekarze, urzędnicy... Wszyscy, którzy tutaj osiedli, prędzej czy później trafiają na mnie. Słyszałyście, że niedługo powstanie tu niemiecki browar? Niejaki Wilhelm Schmidt robi piwo pszeniczne – okropne, ale tak przyjemnie przypomina niemiecką ojczyznę...

Charlotte wiedziała, że piwo pszeniczne pije się z wysokich szklanek. Może więc ten Schmidt też potrzebowałby kufli z nazwą swojego browaru? Wciąż zastanawiała się, jak mogłaby je zdobyć, kiedy Sarah przeszła już do następnego tematu.

– Klaro, moja słodka! Pilnie potrzebuję wykwalifikowanej krawcowej. Czy potrafisz również szyć gorsety? Bieliznę? Ci Hindusi

nie potrafią zrobić porządnych ubrań, nie mówiąc już o ich guście. Wszystko jest za duże, a na domiar złego szwy się rozchodzą.

Ostatecznie Sarah kupiła dwie pary srebrnych kolczyków, czerwony jedwabny szal i trochę pachnących saszetek, autorską mieszankę Charlotte. Tworzyła je ze skrawków materiału, między którymi umieszczała trawę cytrynową, goździki lub laski wanilii. Produkt sprzedawał się jak świeże bułeczki. Sarah nie targowała się, zapłaciła cenę wywoławczą bez wahania, a jej skórzana sakiewka, schowana pod kurtką, wydawała się wciąż pełna.

Pożegnanie było serdeczne – przynajmniej ze strony Sarah. Charlotte zachowywała się przyjaźnie, ale z rezerwą, a Klara, której zachowanie Sarah i całe to zamieszanie wydało się strasznie krępujące, musiała się przemóc, żeby w ogóle się z nią pożegnać.

– *Bibi* jest głośna kobieta. Dużo mówić – powiedział bez zażenowania Schammi, podczas gdy Charlotte i Klara milczały zawstyżone. – Ona ma afrykańska dziewczyna, która ma na imię Mgumditemi. Musi prac ubrania i gotować jedzenie, ale biała *bibi* nie być zadowolona. Wieczorem ma wielu gości w mieszkaniu. Śmieje się i dużo pije. Wielu białych mężczyzn przychodzi do białej *bibi* i...

– Zamknij się – przerwała mu Klara niezwykle gwałtownie i ostro. – To straszne, Charlotte. Powinnyśmy były zauważyć to od razu na statku. O Boże – ona jest...

Nie mogła wydusić z siebie słowa, więc znowu usiadła przy maszynie do szycia, która teraz w porze suchej była zakurzona i wymagała częstego oliwienia. Zdenerwowana kobieta zbyt mocno nacisnęła na pedał, maszyna zagrzechotała i nic się zerwała.

– Nie będę szyc dla tej kobiety, Charlotte!

Charlotte pomyślała, że się przesłyszała. Sarah zapewne szczerze zapłaci za zamówione przez siebie ubrania. Co za różnica, czym zajmowała się w życiu? Utrzymywały się z handlu, nie były jakimiś tam strażniczkami moralności.

– Jak śmiesz krytykować tę kobietę? Akurat ciebie szczególnie polubiła Sarah, a ty oceniasz ją w ten sposób?

Klara próbowała nawlec zerwaną nitkę z powrotem, ale ponieważ jej palce drżały z nerwów, nie była w stanie tego zrobić.

– Nie potępiam jej, Charlotte. Nie mam prawa tego robić. Jezus mówi: „Kto z nas jest bez grzechu, niech pierwszy rzuci kamieniem”. Pod żadnym pozorem nie będę jednak wspierała tej profesji, szyjąc dla niej gorsety i bieliznę!

Stało się wówczas aż nazbyt oczywiste, że Klara spędza zbyt dużo czasu w stacji misyjnej. Zazwyczaj przesiadywała tam z Schammim całe niedzielne przedpołudnia. Chciała nawet namówić chłopca, aby poszedł do szkoły misyjnej, ale Schammi uparcie odmawiał. Był dumny z niewielkiej wypłaty, którą w międzyczasie zaczęła mu dawać Charlotte i natychmiast zamieniał pieniądze na wszelkiego rodzaju zbędne, błyszczące przedmioty.

– Swój zawód będzie kontynuować też bez gorsetów i bielizny! – zadrwiła z niej Charlotte.

Klara pochyliła się nad szyciem, ale chociaż miała słomkowy kapelusz z zakrzywionym rondem, aby chronić się przed słońcem, Charlotte zauważyła, że zrobiła się bardzo czerwona. Najwyraźniej kuzynka zrozumiała jej słowa zupełnie nie tak, jakby tego chciała.

– Nasz Pan Jezus Chrystus umarł też i za nią, więc Bóg pewnego dnia przebaczy jej ten grzech – powiedziała cicho. – Jednak nie chcę jej zachęcać do złych uczynków. Nie uszyję dla niej ani jednego ubrania.

Delikatna Klara nigdy wcześniej nie była tak uparta. Charlotte stała przez chwilę oszołomiona, walcząc z narastającym gniewem, aż w końcu odwróciła się na pięcie. W sklepie byli klienci, którymi musiała się zająć. Schammi podążał cicho za nią ze smutnym wyrazem twarzy, ciągle jednak spoglądał w stronę Klary, wykonującej swoją pracę bez podnoszenia wzroku. W końcu zdecydował się zająć miejsce w pobliżu maszyny do szycia. Jego wąska dziecięca twarz wyrażała zakłopotanie, a kiedy spojrzał na Charlotte, zdawał się błagać ją o przebaczenie.

Klara pozostała niezłomna w swoim postanowieniu. Kiedy trzy dni później Sarah wróciła do sklepu, wyjaśniła, że jest tak zarzucona pracą, że w najbliższym czasie nie będzie mogła przyjmować żadnych nowych zamówień. Charlotte odetchnęła jednak z ulgą, ponieważ Sarah nie miała im tego za złe. Na razie miała się w co ubrać, tym bardziej że dobra koleżanka przywiozła jej bardzo ładną bieliznę z Francji. Kupiła od Charlotte kilka małych filiżanek i czajniczek pomalowany w różę, poprosiła o odmierzenie kilku metrów indyjskiego jedwabiu i zapłaciła hojnie, bez targowania.

– Jeśli znowu przyjdą w dostawie jakieś piękne rzeczy, przyślij do mnie swojego *boya* – chętnie wpadnę!

Chłodny południowo-wschodni wiatr rozwiewał jej spódnicę, gdy odchodziła. Musiała też mocno przytrzymywać kapelusz. Pora sucha była nieprzyjemna z powodu stale wzbijającego się z podłoża

drobnego pyłu, ale przynajmniej duszna wilgoć ustąpiła i lepiej spało się w nocy. Było również mniej komarów, ale teraz trzeba było uważać na muchy piaskowe. Na dodatek, z jakiegoś powodu małe szare małpki też stały się teraz bardziej rozbrykane i odważały się wchodzić do sklepu. Schammi musiał mieć oczy dookoła głowy, bo dowcipne małe stworzonka chwytaly błyskawicznie cokolwiek wpadało w ich łapki, po czym przedmiot ten przepadał bezpowrotnie.

Charlotte poznała kilka Niemek, które wyszły za mąż w Dar es Salaam, a ich mężowie byli niemieckimi oficerami stacjonującej tu dziesiątej kompanii Schutztruppe^[32] lub urzędnikami administracyjnymi. Większość z tych kobiet była bardzo młoda, tylko nieliczne miały dzieci. Mimo to Charlotte rzadko przyjmowała zaproszenia na popołudniową kawę, choćby dlatego, że niechętnie powierzała sklep Klarze i Schammiemu. Poza tym w Dar es Salaam, nie było inaczej niż w Leer: nie miała większego pożytku ze spotkań z ułożonymi gospodyniami domowymi i zatroskanymi matkami. Nie podzielała ich entuzjazmu dla niemieckich przepisów na wypieki, nie mogła też wykrzesać z siebie podziwu dla mieszkań wypchanych meblami przywiezionymi z ojczyzny. Żadna z tych kobiet nie musiała utrzymywać się z własnej pracy, ich głównymi zmartwieniami był mąż, dom i dzieci. Mimo to niemieckie żony zdawały się ją doceniać, kupowały towary od pani Ohlsen, wysyłały jej drobne upominki i pytały, czy nie zechciałaby przy tej czy innej okazji zapewnić oprawy muzycznej podczas organizowanej przez nie uroczystości. W pałacu rządowym stał fortepian, a pani von Liebert, żona gubernatora, kilka razy pytała o dobrą pianistkę. Charlotte nie miała na to ochoty i grzecznie zbywała takie propozycje.

W lipcu Schammi w końcu przyniósł długo wyczekiwany list z urzędu pocztowego. Charlotte poczuła ogromną ulgę, gdy rozpoznała charakter pisma Christiana. List był szczegółowy i pełen optymizmu. Po początkowych trudnościach dostał pracę jako brygadzysta na nowo zasadzonej plantacji kawy, relacjonował prace związane z karczowaniem głębokiego buszu, przygotowaniem gleby, zasadzaniem młodych roślin, które powinno być wykonane przed rozpoczęciem pory deszczowej. Wszystko tutaj zdawało się podwójnie trudne, bo Czarni to lenie – wystarczy spojrzeć na chwilę w bok i przestawali pracować. Byli też tacy, którzy po dwóch dniach znikali w buszu i nigdy więcej ich nie widziano. Mają dobrze płacone, jednak ci głupcy nie znają wartości pieniądza, trwonią tygodniową pensję w ciągu jednego dnia na hinduskich i arabskich kupców,

którzy osiedlili się tutaj. Był przekonany, że wkrótce będzie miał własny „dom”, nie z kamienia, ale solidny, z gliny i drewna. Gdy tylko to nastąpi, przyśle im pieniądze na podróż i będą mogły się do niego wprowadzić.

Jeśli nie chcesz przestać handlować, Moja Droga, tutaj też możesz otworzyć sklep. W każdym razie będę najszcześliwszym człowiekiem pod słońcem, kiedy znów będziesz ze mną. Do tego momentu będę myślał o Tobie dzień i noc, tęsknię za Tobą. Pozwól, że przytulę Cię z oddali, moja dzielna mała Charlotte, i nie zapomnij o mnie, dopóki nie spotkamy się ponownie.

Twój kochający mąż.

– Proszę bardzo – powiedziała Klara z radosnym uśmiechem po przeczytaniu listu. – Czy nie mówiłam ci, że nie skontaktuje się z tobą, dopóki nie będzie miał dobrych wieści do przekazania? Och, nie mogę się doczekać przeprowadzki do tego domu. Założymy mały ogródek, Charlotte. A może kupimy też jakieś meble, komodę, stół i krzesła. Tutaj jest trochę ciemno i ciasno...

Charlotte oczywiście również zauważała, że mieszkanie jest bardzo małe, w końcu miało to być rozwiązanie tymczasowe. Kupiły przynajmniej drugie łóżko, a gdyby Klara potrzebowała stołu i krzesel, rozejrzałyby się za dodatkowymi meblami. Charlotte od jakiegoś czasu spała we własnym łóżku, ustawionym w drugiej sypialni, a Schammi bez mrugnięcia przeniósł się na dywan w salonie.

– Och, dlaczego miałybyśmy teraz kupować meble? Jeśli Christian pozwoli nam przyjechać do Usambary, na pewno dom będzie już gotowy.

Charlotte nie chciała psuć radosnego nastroju Klary i we wszystkim się z nią zgadzała. Z pewnością zdrowiej jest mieszkać w górach, choćby ze względu na uciążliwe komary, a jeśli będą sumiennie oszczędzać, na pewno wkrótce zostaną właścicielami własnej plantacji. To dobrze, że Christian zdobywa teraz doświadczenie jako rolnik, bo przyniesie im to później znaczące korzyści. Potajemnie czuła się jednak rozdarta i nieszczęśliwa. Uwielbiała ten mały sklepik, stworzony z pomocą Kamala Singha, przynoszący wystarczająco dużo pieniędzy, by z niego żyć. Obecne mieszkanie też jej się podobało. Było ciasne i ciemne w miejscach oddalonych od okna, ale znajdowało się w samym sercu Inderstrasse. To właśnie tutaj załatwiano interesy, w miejscu gdzie spotykali się kupcy i klienci,

gdzie pulsowało życie. Dość często Kamal Singh kazał też zabierać towary z zaplecza jej sklepu i umieszczał tam nowe produkty. Takie transakcje przynosiły znacznie więcej zysku niż sprzedaż imbryka do herbaty czy jedwabnej chusteczki do nosa, a Hindus nie sprzeciwiał się, aby brała w nich udział. Miała więc rzucić to wszystko, by zamieszkać z Klarą i Christianem w drewnianej chacie w górach Usambara? Nawet gdyby udało jej się tam otworzyć mały sklepik, musiałaby zaczynać od zera. A perspektywa własnej plantacji wcale nie była dla niej kusząca, zwłaszcza po tym wszystkim, co napisał Christian.

Przez cały sierpień nie nadchodziły już żadne listy od męża, a na wieści czekały na próżno także i we wrześniu, kiedy na horyzoncie rysowała się już pora deszczowa. Klara pocieszała siebie i Charlotte, że praca na plantacji na pewno zajmuje mu dużo energii i czasu. Przecież napisał, że rośliny powinny być zasadzone w ziemi przed porą deszczową. Charlotte nie była zła z powodu tej zwłoki, po prostu irytowało ją to, że Kamal Singh coraz bardziej się dystansował, odkąd Klara powiedziała mu, że wkrótce wyjeżdżają. Ze wszystkich ludzi to właśnie Klara, zazwyczaj małomówna, musiała mu przekazać tę wiadomość, w dodatku z wielkim entuzjazmem!

Ziemia była wysuszona tak bardzo, że pojawiały się w niej pęknięcia. Trawa oraz krzewy były zakurzone i wyschnięte. Coraz więcej osób spoglądało w niebo, zachmurzone i zamglone o poranku, przyglądając się chmurom i licząc na deszcz. Charlotte dowiedziała się, że pora deszczowa jest kwestią dość niepewną, w niektórych latach przychodziła późno i trwała tylko przez krótki czas, a czasem nie padało wcale. To były niekorzystne lata dla plantacji kokosów na wybrzeżu, zasadzonych przez Arabów i zarządzanych teraz przez niemieckich panów kolonialnych. Na początku października znad morza nadeszły w końcu chmury, które budziły nadzieję na deszcz. Dryfowały po niebie jak ciemny, niemalże czarny dym, wysoko na horyzoncie, tworząc szarawą i postrzępioną zasłonę tuż nad ziemią. Napięcie w powietrzu odczuwali zarówno ludzie, jak i zwierzęta. Częściej dochodziło do kłótni z błahych powodów. Błyskawice przemykały przez niebo jak świetliste płomienie, po których niemal jak zbawienie słyszano pierwszy grzmot.

Chociaż Charlotte tego ranka otworzyła bramy sklepu, nie odważyła się wypchnąć stołu ani maszyny do szycia na zewnątrz. Klara nie czuła się najlepiej i na razie została na górze w swoim łóżku, co nie miało większego znaczenia, bo Inderstrasse wyglądała

na zupełnie pustą. Tylko kilkoro czarnoskórych dzieci bawiło się w kurzu małymi kulkami z gliny, a obok nich siedział chudy, brązowy pies, starający się wyrwać te okrągłe zabawki. Pierwsze krople spadały dość leniwie, malując małe ciemne plamki w żółtym kurzu, szybko ustępując miejsca kolejnym kroplom. Chwilę później deszcz nadszedł ze strony wybrzeża z wielką siłą, uderzając o dachy, wyginając wysokie palmy, które stały niczym sparaliżowane, a woda pieniała się i bulgotała po ulicach.

Charlotte stała przy otwartych drzwiach i cieszyła się widokiem pierwszej, gwałtownej ulewy. Wdychała głęboko wilgotną mgłę, która łączyła niebo i ziemię, morze i chmury. Schammi wybiegł na ulicę, gdzie skakał w żółtych strumieniach z kilkoma afrykańskimi dziećmi, pozwalając, by deszcz ściekał mu po szeroko otwartych ustach i nie przejmując się, że jego koszula i spodnie przemokną. Charlotte obserwowała go z uśmiechem i trochę żałowała, że sama nie mogła wykonać takiego tańca w deszczu, ponieważ nie była już dzieckiem. Nawet nie zauważyła mężczyzny idącego w deszczu po stronie domów mieszkalnych. Kiedy szukał schronienia przed padającym deszczem w jej sklepie, początkowo był jedynie zakapturzoną, ociekającą wodą postacią.

– *Salam alejkum* – powiedział. – Albo lepiej: *Jambo*.

Charlotte wzdrygnęła się. Nie, to nie mógł być on. A jednak ten głos i sposób mówienia, którego nie zapomniała przez te wszystkie lata. Zdjął długą białą kurtkę, naciągniętą na głowę, aby ochronić się przed deszczem i odgarnął mokre włosy z czoła. Jego twarz wydawała się bardziej pociągła i widać było także małe zadrapania na opalonej skórze pod oczami oraz w kącikach ust. W szarych oczach nie dostrzegła niepokoju, który, jak jej się zdawało, widziała na tamtej fotografii. Były spokojne i intensywnie skupione na Charlotte.

– George? Czy to naprawdę ty? – wyjąkała.

– Czy aż tak się zmieniłem?

Otarł mokrą twarz dłonią i spojrzał po sobie. Tunika i spodnie przylepiły się do jego ciała i miejscami były poplamione żółtym błotem z piaszczystej drogi. Wydawał się niewiarygodnie chudy, jeszcze szczuplejszy niż wcześniej. Może dlatego, że wyglądał teraz dużo poważniej, ale też bardziej męsko.

– Wyglądasz bardziej dojrzałe...

Nie potrafiła znaleźć odpowiednich słów, żeby z nim rozmawiać. Pojawił się znikąd, jak duch wyłaniający się z opadających wód, z wznoszącej się mgły. Zupełnie niczym w tych wszystkich

bezsensownych snach, którym kiedyś się oddawała, tych, które, jak się jej zdawało, dawno już zapomniała.

– Dojrzałe – powtórzył i uśmiechnął się. – Och dziękuję. Ty natomiast wyrosłaś na prawdziwą piękność, Charlotte.

Jego uśmiech był inny niż wcześniej. Oczarowywał, rzucał wyzwania, porywał, uwodził, a czasami sprawiał, że wyglądał jak tamten chłopiec o marzycielskim usposobieniu. Dojrzała jednak również w nim jakieś dziwne, nieokreślone zgorzknienie, więc nieszczególnie spodobał się jej usłyszany komplement.

– Cóż, nie jestem już nieśmiałą małą dziewczynką, z którą prowadziłeś długie rozmowy na Plytenbergu, grającą potem na pianinie, abyś mógł sobie potańczyć...

– Na Boga, oczywiście, że nie...

Odwrócił wzrok i rozejrzył się po sklepie. Skinął głową z uśmiechem na ociekającego wodą, brudnego Schammiego, siedzącego teraz w kącie na podłodze, który z zaciekawieniem przyglądał się przybyszowi. Deszcz spływał po zwisającym płaskim dachu, tworząc szumiącą kurtynę, która zasłaniała widok na ulicę. Pośród chmur można było dostrzec kolejną błyskawicę.

– A więc prowadzisz sklep. W sumie nic dziwnego, twój mąż jest z zawodu handlarzem...

Udało jej się nieco ochłonąć i zebrać myśli. Cokolwiek sprowadziło George'a, w te strony, jego pojawienie się w sklepie powinna traktować jak wizytę rodzinną, należało go więc zaprosić do mieszkania, zaparzyć kawę i umilić czas. Obudzi Klarę i wymienią się wiadomościami dotyczącymi bliskich...

– To jest mój własny sklep. Prowadzę go od sześciu miesięcy i interesy mają się dobrze. Możesz kupić u mnie wszystko, czego dusza zapagnie. Cóż, może prawie wszystko.

– A co robi twój mąż? Czy on też prowadzi sklep?

– Dostał posadę na plantacji w górach Usambara.

George milczał i Charlotte również ucichła. Panowało między nimi dziwne napięcie, niepozwalające rozmawiać tak swobodnie, jak robili to krewni, którzy nie widzieli się od dawna. W roztargnieniu podniósł jeden z amuletów zrobionych z wyrzeźbionych pestek owoców, obejrzał go i odłożył z powrotem. Potem wziął z półki małe pudełeczko, otworzył je i powąchał zawartość.

– Co to jest?

Zarumieniła się. Nawet Klara nie wiedziała o istnieniu tego pudełka, ale on pochwycił je zdecydowanym ruchem dłoni.

– Nic, czego mógłbyś potrzebować.

Zamknął pudełko w milczeniu, ale wyraz jego twarzy zdradzał jej, że domyślił się, jaką skrywa zawartość.

– Wygląda na to, że twój sklep prosperuje naprawdę dobrze. Ten proszek jest sprzedawany po wysokich cenach na Zanzibarze.

– Byłeś na Zanzibarze?

– Teraz tam mieszkam.

Znów ogarnął ją niepokój. Mieszkał na Zanzibarze, tej tajemniczej wyspie oddalonej o dwadzieścia kilometrów od wybrzeża, na której nigdy nie była. Parowiec mógł dotrzeć tam w kilka godzin, ale małej łódce Arabów i Afrykanów, nazywanej *dau*, podróż zajmowała kilka dni. Zanzibar wydawał się jednak być niewiarygodnie blisko, tak blisko, że prawie zakręciło jej się w głowie.

– Zanzibar – powiedziała zdezorientowana. – Myślałam, że mieszkasz w Kairze...

– Życie czasami dziwnie sobie z nami pogrywa – odpowiedział nieco cierpko. – Myślałem, że jesteś w Leer i niecierpliwie czekałem na twój list. Minęło trochę czasu, zanim dowiedziałem się, że razem z Klarą i swoim mężem zniknęłaś z miasta w środku nocy.

Przygryzła wargę. Miał rację, musiała się do tego przyznać, zwłaszcza że do dziś nie miała odwagi do niego napisać.

– Okoliczności były bardzo trudne, George. Wszystko było całkowitym zaskoczeniem i...

Nie dał jej dokończyć. Pod wpływem nagłego impulsu odwrócił się do niej i ujął obie jej ręce. Ironiczny uśmiech zniknął z jego twarzy, mówił podekscytowany i pełen współczucia.

– Wiem, Charlotte! Wybacz moje głupie wyrzuty. Ettje napisała do nas o tym, co się wydarzyło w Leer, a ja... Przyznaję, że byłem pełen złości, kiedy przeczytałem list. Jak twój mąż mógł do tego dopuścić?

Serce waliło jej w piersi niczym młotem. O Boże, dlaczego on to robił? Dlaczego trzymał jej ręce? Już kiedyś dotknął jej dłoni, bardzo lekko, prawie niewyczuwalnie, a ona potem długimi nocami...

Zebrała w sobie całą odwagę i powiedziała:

– To była moja wina, George. Powinnam była to dostrzec, ale chowałam głowę w piasek, grałam na pianinie, snułam dziwne marzenia, podczas gdy wszystko wokół nas się rozpadało.

Potrząsnął głową z rozżaleniem.

– Czemu ukrywałaś to wszystko przede mną? – zawołał z wyrzutem. – Mogłem ci pomóc. Dwa tygodnie po waszym wyjeździe, Marie, dzieci i ja wróciliśmy do Anglii, napisałem ci o tym

w liście, ale prawdopodobnie nawet go nie przeczytałeś. Mój Boże, pożyczylibyśmy wam pieniądze na nowe życie...

– To hojne z twojej strony, George, ale niewiele by to pomogło. Nawet bym tego nie chciała. Jest dobrze, tak jak jest.

Wpatrywał się w nią. Zdawał się przeszywać ją swoimi szarymi oczami, jakby chciał czytać w jej myślach, zrozumieć uczucia. Potem opuścił jej ręce i cofnął się o krok.

– Zapomniałem, że zawsze chciałaś podróżować do dalekich krain – powiedział z uśmiechem. – Od samego początku miałaś tę samą tęsknotę, która i mnie ciągnie do odległych miejsc. Jesteśmy do siebie bardzo podobni, Charlotte.

Potrząsnęła głową w zaprzeczającym geście. Skończyły się dni marzeń i tęsknot, ona ma sklep i zajmuje się handlem, twardo stąpa po ziemi. A poza tym nie wyjechała tak daleko z czystej chęci, zmusiła ją do tego konieczność. Jednak nie żałowała. Słuchał, o czym mówiła i patrzył w zamyśleniu na ulewny deszcz.

– Jeśli handlujesz, powinnaś poznać Zanzibar – powiedział po chwili milczenia. – Pracuję tam jako lekarz w brytyjskiej klinice i mógłbym ci się przydać jako przewodnik.

Wykonała niezbyt przekonujący, wzbraniający się ruch. Propozycja była bardziej niż kusząca, ale właśnie dlatego nie powinna jej przyjmować.

– Dziękuję ci. Ale nie mogę zostawić sklepu...

– To fascynujące miejsce, Charlotte – upierał się. – Tam Afryka spotyka się z Arabią, brytyjski styl życia przeplata się z orientalnym przepychem. Kolorowe, tętniące życie na bazarach współistnieje z gorzką nędzą obrzeży. Arabowie byli tam już w X wieku i przejęli handel przyprawami, później, w XVI wieku Portugalczycy osiedlili się na bogatej wyspie, ale zbyt szybko zostali pokonani i wyparci przez imamów z Maskatu. Nie da się tego porównać do Dar es Salaam, gdzie dawny pałac sułtana popada w ruinę i jest traktowany jako kamieniołom. Orient żyje na Zanzibarze, a spacerując po tamtejszych miastach można by pomyśleć, że jest się w świecie Szeherazady, a kalif Harun ar-Raszid zmartwychwstał... – mówił z coraz gorliwszym entuzjazmem, a ona poczuła, jak udziela się jej ta pasja.

– Chodźmy na górę – powiedziała szybko. – Będziesz mógł przywitać się z Klarą. Schammi zrobi nam kawę. Na pewno znajdziemy dla ciebie suche ubrania, Klara szyje długie szaty Afrykanom...

Przez chwilę wydawał się skłonny przyjąć jej zaproszenie, ale potem odmówił. Przyjechał służbowo, musiał zawieźć lekarstwo do rządowej przychodni i poszukać kolegi z misji ewangelickiej, który cierpiał na gorączkę.

– Wrócę do Dar es Salaam w przyszły piątek – powiedział i podał jej rękę na pożegnanie. – Jeśli chcesz, możemy wczesnym przedpołudniem popłynąć parowcem na Zanzibar. Mam możliwość cię przenocować u mnie – miejsca jest wystarczająco dużo i będziesz mieć okazję, by wrócić do Dar es Salaam w sobotę.

– Och, nie jesteś zbyt bystry! – powiedziała z ironią. – Jakbym mogła zostawić swój sklep bez nadzoru na dwa dni!

– Pomyśl o tym, Charlotte. Być może taka okazja już się nie powtórzy.

Uśmiechnął się, dzięki czemu wyglądał o wiele młodziej. Patrzył teraz na nią prowokacyjnie, nieco wyzywająco, ale jednocześnie jego wzrok był poważny. Zanim naprawdę zdała sobie sprawę, jak ten uśmiech na nią działa, on już zanurzył się w gęstej kurtynie wody spływającej po dachu. Blask błyskawicy uwidoczniał na chwilę jego oddalającą się postać, po czym szara sylwetka zniknęła, a seria grzmotów wstrząsnęła blaszanymi czajnikami na sklepowych półkach.

Przybrzeżny parowiec zmagał się ze wzburzonymi falami Oceanu Indyjskiego, a jednak podążał swoim kursem niewzruszenie i miarowo, ciągnąc za sobą smukłą smugę dymu. Niebo było zachmurzone, przez co morze wydawało się szarozielone. Także kolory wybrzeża zdawały się przytłumione, jednak nic nie było w stanie całkowicie odebrać świetlistości linii brzegowej. Małe wysepki koralowe leżące przed wejściem do portu w Dar es Salaam przesuwaly się powoli obok nich, a w mgłę wyglądały, jakby były pokryte miękkimi zielonymi i cynamonowymi welonami.

George nie spodziewał się, że Charlotte przyjmie jego ofertę, nawet potajemnie miał nadzieję usłyszeć odmowę, ponieważ bał się jej bliskości, która tak bardzo go pociągała. Dlatego dość niepewnym krokiem wyruszył w ów piątek rano, odpowiednio wcześniej na Inderstrasse, obładowany prezentami dla niej, Klary i chłopca. Charlotte stała przed swoim sklepem, wyposażona w parasol i torebkę. Już na niego czekała.

– Masz rację, George – powiedziała, podnosząc głowę, by na niego spojrzeć. – Taka okazja już się nie powtórzy, chcę zobaczyć Zanzibar.

Chociaż rondo słomkowego kapelusza rzucało cień na jego czoło i oczy, poczuł na sobie jej spojrzenie. Starał się ukryć zdumienie, wymieszane z przedsmakiem niepohamowanego szczęścia.

– Sprawiasz mi wielką radość, Charlotte... Byłem pełen obaw, że nigdy się na to nie zdecydujesz.

Stała teraz obok niego, przy relingu nadbrzeżnego parowca, bez kapelusza, który w przeciwnym razie wiatr zdmuchnąłby jej z głowy i patrzyła na wschód, gdzie do tej pory nie było widać nic prócz ogromu oceanu.

– Jest ci zimno?

Widział, jak drżała z zimna w chłodnym porannym wietrze. Na chwilę odwróciła do niego twarz. Miała opuszczone ciemne brwi i mocno zaciśnięte usta. Nie powinien był zabierać jej ze sobą, źle zrobił, proponując tę wyprawę na Zanzibar, ale teraz było już za późno.

– Nie jest mi zimno, dziękuję.

Mógł zarzucić na nią swoją kurtkę, ale wyczuł sprzeciw z jej strony, który uszanował. Z lękiem myślał o tym, jak powinien spędzić z nią czas do jutra rana, co wolno mu było mówić, a czego nie, jakie wyznania może poczynić, a co powinien zachować dla siebie. Byłoby to przecież kroczenie po cienkiej linii i wiedział, że popełniłby przy tym liczne błędy. Pierwszy zresztą już się wydarzył, a on nie miał szansy go cofnąć. Charlotte domyśliła się bowiem, że nie mieszkał z Marie i dziećmi na Zanzibarze. Był tutaj sam, podczas gdy jego żona została w Anglii, nie tylko ze względu na dzieci, które miały tam chodzić do szkoły, ale także dlatego, że Marie stanowczo odmówiła ponownego wyjazdu za granicę. Jego ojciec źle się czuł, nadszedł więc czas, aby George przejął praktykę lekarską w Londynie.

– Będę na Zanzibarze tylko przez kilka miesięcy – powiedział Charlotte. – To była oferta, złożona mi przez kolegę i dlatego zdecydowałem się ją przyjąć.

Przemilczał przy tym fakt, że przyjął tę propozycję, ponieważ dowiedział się, dokąd wyjechała Charlotte. Od czasu gdy zaczęli do siebie pisać, czuł do niej ogromny pociąg. Postrzegał ją jako podobnie myślącą osobę, odgrywającą w jego życiu ważniejszą rolę niż początkowo sądził, że to możliwe. Ale to też wolał przed nią ukryć.

– Jak mogłeś tak łatwo zaprosić mnie do swojego domu? Mieszkasz tam całkiem sam?

– Ależ nie. Mam pracowników i jest wiele pokoi, w których często przyjmuję gości. Twoja dobra reputacja nie jest zagrożona, Charlotte Ohlsen!

Wciąż była porządną protestanką, małomiasteczkową dziewczyną. Powinien był lepiej przemyśleć całą sytuację, zanim ją do siebie zaprosił, ale gdy spotkali się w zeszłym tygodniu, nie był w stanie tego zrobić. Mimo że było zaplanowane, spotkanie z Charlotte całkowicie go przytłoczyło i zajęło mu kilka dni i nocy, zanim rozwikłał plątaninę swoich uczuć. Na miejscu nie znalazł bowiem romantycznej bratniej duszy, nieśmiałej dziewczynki o orientalnych oczach, która kiedyś tak bardzo go poruszyła. Charlotte była piękną w pełnym rozkwicie, ekscytującym połączeniem orientalnej i zachodniej urody. Smukła, a jednocześnie niezwykle kobieca. W jej twarzy przede wszystkim wyróżniały się ciemne, błyszczące złote oczy. I chociaż była ona wciąż pociągła, kanciaste, nieproporcjonalne rysy piętnastoletniej dziewczyny, zupełnie zniknęły. Jednak bardziej niż wygląd fascynowała go jej witalność, energia, taka, której nigdy nie dostrzegł w małej Charlotte o marzycielskim usposobieniu. Prowadziła swój sklep sama i najwyraźniej wykonywała dobrą robotę. Mimo wszystkich zapewnień, że twardo stąpa po ziemi, zauważył też, że nie straciła jednak swoich marzeń ani ciekawości świata.

Musiał również przyznać sam przed sobą, że ta nowa Charlotte obudziła w nim uczucia, jakie nie były dobre dla żadnego z nich. Mówiąc dosadnie: pragnął jej. Nie tylko ciała, ale raczej tej świetlistej witalności, jej czułości, entuzjazmu, który wciąż potrafił w niej obudzić. Przez chwilę próbował wmówić sobie, że zaprosił ją tylko po to, by udzielić rad, nawiązać od nowa znajomość, edukować ją w zakresie chorób tropikalnych i zdobyć dla niej lekarstwa, ale potem zdał sobie sprawę, że to wszystko stanowiło jedynie pozory, więc postanowił wycofać swoje zaproszenie na umówiony piątek. Nie udało mu się jednak tego zrobić.

– Słuchaj, George! – Odwróciła się do niego plecami, trzymając w palcach długi kosmyk włosów, wyswobodzony z upiętego warkocza i łaskoczący ją w nos. Słomkowy kapelusz wisiał na wstążce wokół szyi, a wiatr tańczył na jej plecach. – Przepraszam, że zachowałam się tak głupio. Oczywiście, że zostanę w twoim domu. Jesteśmy dorosłymi ludźmi, prawda?

– Cieszę się, że tak myślisz – powiedział z ulgą. – Ale jeśli masz jakieś wątpliwości, mogę cię umieścić w hotelu lub u rodziny

angielskiego kolegi.

– Nonsens. Jestem taka podekscytowana – czy to już ta wyspa?

– Jeszcze nie, panno niecierpliwa. To trochę potrwa.

Stała się teraz inną osobą, zapominając o swojej zadziornej naturze, słuchała w skupieniu o plantacjach goździków, zasadzonych na Zanzibarze dopiero na początku wieku, które spowijały wyspę silnym, waniliowym zapachem kwitnących drzew w czasie żniw. Z głębokim wzruszeniem poznała historię miłosną niemieckiego kupca i córki sułtana, zadawała pytania, chciała wiedzieć, co się stało z kochankami po porwaniu, a potem z niepokojem uświadomiła sobie, że na świecie były jeszcze tak odważne kobiety, wobec których czuła się tchórzliwa i nic nieznająca. Powiedziała mu, że spotkała na targu w Dar es Salaam kobietę w orientalnym stroju, jedną z tych Angielek, których świat składa się wyłącznie z psów, koni i polowań, i podróżujących do Afryki, by zacząć się na grubą zwierzynę oraz przywieźć do domu zestaw wypchanych głów tylko po to, żeby zawiesić je nad kominkiem jako trofea. George głęboko gardził takimi osobami. Ci ludzie nie wiedzieli o tej obcej i niezwykłej krainie, przez którą podróżowali, nic ponad to, co mieściło się w szklance whisky.

– Czy naprawdę uważasz, że warto zabijać niczego niepodejrzewające zwierzęta, tropione przez czarnoskórych naganiaczy i wabione prosto pod strzelbę, gotową do wystrzału?

Spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami, najwyraźniej nie spodziewała się, że jego ocena będzie aż tak surowa.

– Masz rację – odpowiedziała. – Nie, to wcale nie jest godne podziwu. Nigdy nie zabiłabym zwierzęcia tylko po to, by mieć trofeum. Chociaż chroniłabym się zaciekle przy pomocy rewolweru, gdyby któryś z tych tchórzliwych lwów, przemierzających nocą ulice Dar es Salaam i wykradających mięso, zbliżył się do mnie.

Faktycznie posiadała rewolwer i nawet próbowała z niego strzelać. Ten Hindus zdobył go dla niej, nieoceniony pomocnik, którego wychwalała pod niebiosa. Nie dawało mu to spokoju, nie był w stanie uwierzyć, że ten mężczyzna wspiera ją na każdym kroku z czystej miłości bliźniego. Był przecież handlarzem, prawdopodobnie inwestował tylko w to, w czym widział zysk. Ale wołał przemilczeć swoje podejrzenia, bo nie chciał się z nią kłócić.

– Kiedy wreszcie dotrzesz na afrykańską sawannę, zobaczysz tam lwy, które nie są tchórzliwymi złodziejami.

– Może kiedyś to zrobię – powiedziała z namysłem. Potem uśmiechnęła się do niego, radośnie i uwodzicielsko zarazem, czego

prawdopodobnie nie była świadoma.

– To takie niesamowite, George. Odkąd cię znowu spotkałam, tak wiele rzeczy wydaje się możliwe, chociaż wcześniej nie odważyłabym się nawet o nich pomyśleć. Chciałabym poznać sawannę ze wszystkimi nieznanymi, cudownymi istotami, które tam mieszkają: Masajów, tych dumnych wojowników, niedających zrobić z siebie niewolników, ponieważ umierają w niewoli i tę potężną górę Kilimandżaro, o której marzyłam od dziecka...

Blask widoczny w jej oczach mocno go poruszył, ponieważ wątpił, że kiedykolwiek uda się jej to wszystko zobaczyć. Była kobietą, a jej mąż nie wydawał się szczególnie chętny do odkrywania dzikiego piękna afrykańskiej sawanny razem z Charlotte. Pracował w Usambara na plantacji. Dlaczego tam, a nie w Dar es Salaam u jej boku? Nie, to nie była jego sprawa i będzie uważał, by nie zadawać pytań na ten temat. Chociaż interesowało go to bardzo, a szczegóły w liście Ettje obudziły w nim gniew. Dlaczego wyszła za takiego nieudacznika? Bóg wie, że zasługiwała na lepszego męża.

Słońce sprawiało, że fale połyskiwały, chmury w końcu rozplynęły się, przybierając strukturę delikatnej mgiełki, a morze lśniło wyraźnymi niebieskimi i turkusowymi tonami. Na afrykańskim wybrzeżu kilka małych łodzi ponownie wyruszyło w morze, a ich falujące żagle wyglądały jak białe krople na niebieskozielonej wodzie. Myślni wrócił do czasów, gdy pływał po Nilu na takich statkach i pomagał w czym tylko potrafił. Tutaj, podobnie jak tam na Nilu, szyprowie byli mistrzami w swoim fachu, instynktownie sterując prostymi łodziami, jakby stanowili jeden organizm. Nic dziwnego, większość uczyła się tej sztuki od dzieciństwa.

Spodziewał się, że Charlotte wybuchnie radosnym okrzykiem, gdy w polu widzenia pojawi się główna wyspa Unguja i przybrzeżne rafy koralowe. Ale nie wydała z siebie żadnego dźwięku, wpatrując się szeroko otwartymi oczami w białe piaszczyste plaże i łagodne, ciemnoniebieskie zatoki z ich namorzynowymi zaroślami, gęsto pokrytymi korzeniami mangro^[33]. Dalej na horyzoncie rozciągały się rozległe połacie trawy, krzewów i różnokolorowych plantacji, przy których wysokie palmy sterczały niczym wyciągnięte, salutujące dłonie. Gdzieś tam przez ciemną zieleń roślin prześwitywały białe wiejskie domy Arabów.

– Tak to sobie wyobrażałam w moich snach.

Musiał się pochylić, żeby usłyszeć jej ciche słowa ledwie słyszalne na tle grzechotu i sapania parowca.

– Niebieskawe fale, które stają się jaśniejsze i bardziej przejrzyste, gdy zakrywają piasek. Gęsta płatanina roślin, leżąca na białej koralowej wyspie jak zielona chmura. Tam, w cieniu ogromnych drzew, drzemią stawy, po których pływają różane i żółte pąki kwiatowe...

Jej usta były lekko rozchylone, jakby chciała nie tylko objąć wzrokiem ten widok, ale wciągnąć go w siebie niczym ekscytujący zapach. George był tym poruszony. Niejasno pamiętał, że wtedy rzeczywiście mówiła o obrazach, widzianych w snach, co wywołało jego wzruszenie w tamtym momencie. Tamta mała Charlotte o egzotycznych oczach i czarnych włosach wydawała się ucieleśnieniem jego własnych tęsknot. Dopiero teraz zrozumiał, jak poważnie i głęboko to odczuwała. Wezbrało w nim coś w rodzaju żalu, że tak szybko wtedy o niej zapomniał.

– *Zayn z'al barr* – szepnął jej do ucha. – Tak wołali arabscy marynarze, kiedy po raz pierwszy zobaczyli te wyspy. Po niemiecku oznacza to tyle co: „Ten kraj jest piękny”.

Wydawało się, że na ciemnoniebieskie wody w porcie, przynależnym do miasta w Zanzibar, ktoś porzrzucał małe kawałki białego papieru. Tak wiele niewielkich łodzi wypływało teraz w morze. Były to nie tylko lokalne rybackie *dau'y*, ale przede wszystkim łodzie dłubankowe z podwójnymi podporami, ślizgające się po wodzie z prędkością błyskawicy dzięki swoim wielkim żaglom. Na brzegu zakotwiczyło kilka większych statków handlowych, żaglowców i parowców, zacumował także angielski okręt wojenny. George próbował wytłumaczyć Charlotte podział miasta, wskazać teren pałacu sułtana, pokazać indyjskie bazyliki z ich wielopiętrowymi domami, których okiennice były zawsze pomalowane na szaroniebiesko i zielono, a następnie dzielnicę afrykańską, gdzie na niewielkiej przestrzeni stłoczono małe lepianki. Pokazał jej także klinikę, w której pracował: biały budynek z dwiema wieżyczkami zakończonymi blankami, znajdującą się w dzielnicy dla cudzoziemców, tuż nad morzem. Ale czy ona w ogóle go słuchała?

– Pałac sułtana, powiadasz? Ale to przecież ruiny, zniszczone są całe mury, zawalone są zadaszenia...

– Nic się tu nie zawaliło, Charlotte. Wszystko zostało zniszczone przez działa angielskich okrętów wojennych. Czy nikt o tym nie słyszał w Dar es Salaam?

Zastanawiała się przez chwilę, po czym skinęła głową. Niemki, które odwiedzała od czasu do czasu, opowiadały o jakiejś „operetce”,

która miała miejsce na Zanzibarze. Tamtejsi Arabowie spróbowali się zbuntować, jednak brytyjska marynarka szybko przywróciła im rozsądek.

Ten opis go zirytował, chociaż od dawna znał zarozumiałość brytyjskich i niemieckich oficerów.

To zbyt ładnie powiedziane. Brytyjskie mocarstwo opiekuńcze nie zgadzało się z wyborem następcy zmarłego sułtana i życzyło sobie innego kandydata na tron. Pod koniec sierpnia pięć brytyjskich okrętów wojennych ostrzelało miasto i pałac sułtana, aby wyegzekwować te roszczenia. Zabito ponad pięćset osób, a było oczywiście znacznie więcej rannych. Brytyjczycy natomiast nie stracili ani jednego człowieka w czasie walk w Zanzibarze. – Próbował brzmieć ironicznie, ale niezręczna cisza jaka zapanowała, zdradzała, że Charlotte usłyszała jego rozgoryczenie.

– Teraz jest spokój – powiedział, próbując się uśmiechnąć. – Ludzie tutaj widzieli, jak wielu zdobywców przychodziło i odchodziło. A mimo to Zanzibar jakoś przetrwał do tej pory i poradzi sobie zapewne w przyszłości.

Spojrzała na niego z powątpiewaniem, a on wyczuł, że nie do końca mu wierzy. Być może powinien wrócić do tematu później. Tymczasem fala czarnoskórych kupców płynęła w stronę parowca. Na swoich małych dłubankach przewozili pomarańcze, ananasy i kokosy, kolorowe papugi, a nawet małe małpki, chwając się zwierzakami głośno przed pasażerami. Szli za nimi, kiedy schodzili na brzeg, a George miał trudności z pozbyciem się tych natrętnych typów. Charlotte nie spieszyła się z opuszczeniem portu, zatrzymywała się, patrzyła na morze, z zaciekawieniem obserwowała duże żaglowce i parowce na nabrzeżu, podziwiała afrykańskich tragarzy, niosących bele towarów, z długich baraków celnych, transportując je po kołyszących się deskach wprost do brzuchów zacumowanych statków. Kiedy w końcu zaprowadził ją na jedną z wąskich uliczek kupieckich, pełną straganów pokrytych słomianymi matami, z powiewającymi kolorowymi szalami, natychmiast zmieniła się w energiczną młodą kobietę, którą podziwiał w sklepie w Dar es Salaam. Żaden stragan nie był dla niej za mały, żadna dziura za ciemna, wszystkim musiała się zachwycać, wszystkiego dotykać, pytać o pochodzenie, jakość i ceny. Obserwowała, jak ślusarze krótkimi, pewnymi pociągnięciami młotka wyrabiają złote i srebrne guziki, służące do ozdabiania drewnianych i trzciniowych lasek. Dotykała rogów antylopy i skóry lamparta, wpatrywała się

z fascynacją w otwarte paszcze wypchanych hipopotamów, wtykała nos w każdy proszek, który zobaczyła, wąchała każdą przyprawę, testowała palcami żółtą kurkumę i czarny antymon, rozmawiała z kupcem i zadawała mu wiele pytań. Skąd to pochodzi? Czy jest drogie? Jak długo zachowuje świeżość? Kto to kupuje? Jakie potrawy się tym przyprawia? Szybko okazało się też, że posiadała już na tyle dobrą wiedzę, że nie dałaby się oszukać. Błyskawicznie przeliczała rupie i peso, a także potrafiła posługiwać się funtem szterlingiem i dolarem amerykańskim.

Z rozbawieniem obserwował to widowisko i przypomniał sobie, że Marie uparcie odmawiała powiedzenia choćby jednego słowa po arabsku. Charlotte bełkotała w języku suahili, z domieszką arabskich i indyjskich dialektów, ale bez wysiłku przeszła też na angielski, a kiedy utknęła w rozmowie, pokazywała mimiką i gestami, czego chce. Dał jej czas, cierpliwie stojąc u jej boku i czekając, aż zakończy negocjacje, po czym poszedł za nią do najbliższego sklepu, gdzie wszystko zaczęło się od nowa. Niektóre rzeczy, jak pięknie ukształtowane rogi antylopy, misternie rzeźbione ażurowe kuleczki z kości słoniowej czy srebrne kolczyki w kształcie półksiężyca, zdawały się bardzo trafiać w jej gust, ale nie kupiła ani jednej sztuki. Czy była skąpa? A może zarabiała w swoim sklepie tylko tyle, by wyżywić siebie i kuzynkę? Kiedy przepychała się o coś z arabskim handlarzem, kupił parę drogich srebrnych kolczyków, idealnie pasujących do jej czarnych włosów. Schował biżuterię do kieszeni marynarki, niepewny, czy przyjmie od niego taki prezent. Potem spojrzął na zegarek i zobaczył, że jest już prawie druga.

– Jestem potrzebny w klinice – wyznał. – To zajmie kilka godzin, ale najpierw zabiorę cię do mojego domu, żebyś mogła trochę odpocząć.

Charlotte jednak w ogóle nie myślała o odpoczynku i zdecydowanie chciała mu towarzyszyć, choćby dlatego, by zobaczyć, jak i gdzie pracuje. George jednak zaprotestował. Stwierdził, że musi opiekować się pacjentami, a ona będzie po prostu siedziała i się nudziła. Tak naprawdę chodziło o to, że nie zgadzał się z jednym francuskim kolegą, który nie podzielał wielu jego poglądów na temat czarnoskórego społeczeństwa i nie chciał, aby Charlotte odczuwała napiętą atmosferę w klinice.

– Przyznaję, że mam w tym swój ukryty, samolubny motyw – powiedział z uśmiechem. – Od dłuższego czasu pracowałem nad

moją książką i miałem nadzieję, że wypełnisz sobie czas, grzebiąc w moich rękopisach.

Jej rozczarowanie zniknęło, roześmiała się i zadziornie zapytała, czy w jego domu jest taras na dachu. I czy ma czerwony ołówek, bo skoro ona ma czytać, to też chce się wypowiedzieć na podejmowane przez niego tematy.

– Mam nadzieję, że to zrobisz! Twoje poprawki zawsze bardzo mi pomagały, Charlotte.

Ta pochwała płynęła prosto z serca, a jednak nie powiedział jej wszystkiego. Ważne były nie tylko jej komentarze, których, nawiasem mówiąc, nigdy wcześniej nie dodawała czerwonym ołówkiem, tylko zwykłym. Ta pisemna wymiana zdań była dla niego łącznikiem między nimi, nieszkodliwym sposobem komunikowania myśli i uczuć drugiej osobie, chciał zachować ten ich zwyczaj. Jej mąż z pewnością nie tolerowałby intymnej wymiany listów. Kiedy jednak poprawiała manuskrypty – za co chętnie by jej zresztą płacił – Christian Ohlsen nie miał powodów do zazdrości.

Skierowali się na południe, zostawiając za sobą bazary i wąskie, kręte uliczki centrum miasta. Dzielnica cudzoziemców zaczynała się za starą groblą, wykonaną z grubych murów, z okrągłymi wieżami zwieńczonymi blankami, będącymi dziełem Portugalczyków. Utraciwszy swoje znaczenie militarne, podzieliły los wielu budowli w tym mieście: powoli popadały w ruinę. Niemcy i Brytyjczycy zbudowali rozległe budynki mieszkalne, kwatery wojskowe i reprezentacyjne wille kolonialne. W zasięgu wzroku starych wież znajdował się długi gmach brytyjskiej kwatery głównej, przed którym mieściła się otwarta przestrzeń do prezentacji defilad wojskowych.

– Okolice, w których osiedlają się kolonizatorzy, są podobne bez względu na to, dokąd się udasz – zauważył. – Zawsze położone na najprzyjemniejszych terenach. Jest poczta, hotel i kilka barów, odwiedzanych tylko przez Europejczyków, a oficjalne budynki można rozpoznać z daleka po powiewających flagach. Wkrótce stanie tu też duża katedra: kamień węgielny położyli francuscy misjonarze w lipcu, tuż przed wybuchem buntu.

– Przypomina mi to trochę dzielnicę niemiecką w Dar es Salaam – stwierdziła Charlotte. – Myślę, że mieszka się tu bardzo przyjemnie, ale wolę tętniące życiem bazary w centrum miasta.

Uśmiechnął się z przekąsem na te słowa. Najwyraźniej nie zdawała sobie sprawy, jak niebezpieczne dla Europejczyka jest zgubienie się w tych ponurych uliczkach. Charlotte prawdopodobnie trudno było

sobie wyobrazić przemoc, jaka panowała w nocy w takich zaułkach. Nie zamierzał jednak nic o tym mówić, przynajmniej dzisiaj. Chciał, żeby swój pobyt tutaj wspominała pozytywnie.

Jednopiętrowy domek, przydzielony mu na mieszkanie, był prostym, wzniesionym w pośpiechu budynkiem ze spiczastym dachem, który równie dobrze mógłby znajdować się w Szwajcarii albo w Niemczech. Jedyłą, bardzo istotną różnicę, stanowiła zieleń i palmy rosnące dookoła oraz oczywiście bezpośrednia bliskość morza.

– Będę zajęty do około piątej, możesz przyjść po mnie do kliniki, jeśli chcesz – zasugerował. – Nie będziesz miała problemów, aby ją znaleźć, po prostu musisz iść nad morze, klinika jest na południe stąd, tuż przy plaży. Jeśli zechcesz, Jim wskaże ci drogę.

Wyglądało na to, że spodobała jej się ta propozycja, tak jak zresztą przypuszczał. Jego niepokój powoli zniknął, równowaga między bliskością a dystansem nie była tak trudna do utrzymania, jak się obawiał. Znajdzie jej kilka swoich rękopisów do poprawy, oczywiście tylko niewielką część, żeby starczyło też na późniejszą wymianę korespondencji. Wieczorem będą razem jedli, wypiją kieliszek wina i oddadzą się rozmowom. O Saharze i Nilu, piramidach i sztuce jazdy na wielbłądzie. Może też o rodzinie w Europie, o małym miasteczku we Fryzji Wschodniej, o jego odwiedzinach wtedy... Jeśli sama poruszy temat męża, postanowił wysłuchać go bez słowa, jeżeli chodzi zaś o Marie, nie zamierzał mówić nic ponad to co niezbędne. Jeśli będzie odpowiednio się kontrolował, szansa popełnienia błędu była stosunkowo niewielka. Jutro pójdzie z nią do portu i pomacha na pożegnanie z nabrzeża. Żadnego romansu. Nie z Charlotte. Zniszczyłby wszystko między nimi. Dzięki temu pozostaną w kontakcie, będą wysyłali tam i z powrotem rękopisy, a nawet później, kiedy on wróci do Anglii, będzie otrzymywał korespondencję pisaną jej charakterem pisma – starannym, dokładnym, w którym tylko od czasu do czasu pojawiały się jakieś zamaszyste przeciągnięcia, zawijasy czy wyraźna linia podkreślająca ważne dla niej słowo. Bardzo potrzebował tych listów, bo tak naprawdę nie wiedział, jak będzie wyglądało jego życie w przyszłości.

Charlotte obserwowała George'a, gdy zniknął między domami i nie mogła się nadziwić, jak znajoma dla niej była jego wysoka, szczupła sylwetka. Stojąc na palcach, widziała mały skrawek morza między dwoma domami. Miało ciemnoniebieski odcień, a południowe słońce

lśniło na wodzie, jakby ktoś wylał na nią płynne srebro. W oddali leżała matowa, mleczna mgła.

Boy, wchodząc do gabinetu, stanął za nią i przyniósł herbatę, miskę owoców oraz ciastka. George nazwał go „Jim”, ale z pewnością nie było to jego prawdziwe imię.

– Życzy sobie pani mleko do herbaty? Albo sok z limonki?

– Mleko jest w porządku. Dziękuję, Jim. Jak masz na imię po afrykańsku?

– Mtitima – odpowiedział z odrobiną zaskoczenia. – Ale tutaj na Zanzibarze jestem Jimem.

Dowiedziała się, że jego rodzice zostali wywiezieni na Zanzibar jako niewolnicy, teraz są wolni i nie mają zamiaru wracać na wybrzeże. Życie tutaj było przyjemne, dużo lepsze niż na kontynencie. Tam głodowali, zachorowali na febrę, a w latach gdy panowała susza, padło im bydło. Zanzibar był inny, zawsze ciepły, ludzie zdawali się szczęśliwsi, było *pombe*^[34] i wino ryżowe oraz wiele pięknych kobiet...

Nalał jej herbatę do filiżanki i się odsunął. Usiadła na jednym z krzesel, by powoli sączyć gorący, aromatyczny napój. Miała nadzieję, że pomoże to jej się uspokoić i uporządkować pogmatwane myśli. Jak beztrąsko zdecydowała się przyjąć zaproszenie George'a. Boże, co by o niej pomyślała Klara, gdyby się dowiedziała, że Marie i dzieci wcale nie są na Zanzibarze, tylko w Anglii? Ale jaki miała wybór? Nie było jej stać na hotel, a pobyt u przyjaciół byłby dla niej krępujący. Odstawiła pusty kubek i odchyliła się do tyłu. George miał godne pozazdroszczenia piękne mieszkanie, przestronne i jasne. Oprócz pomieszczeń gospodarczych na parterze, były tu dwa pokoje gościnne, a na piętrze miał gabinet, sypialnię i ładnie urządzonej salon. Meble i obficie powiewające zasłony – mieszanka stylu angielskiego, indyjskiego i afrykańskiego – nie należały do niego, zostawili je po sobie poprzedni mieszkańcy. Niemniej w pokojach czuła bardzo wyraźnie obecność George'a. Stosy książek z wystającymi z nich zakładkami leżały na biurku i parapecie, na stoliku obok fotela stała zapomniana szklanka, z resztką napoju na dnie. Na ścianach wisiały kolorowe rysunki, będące jego autorstwa, gdyż przypominały obrazki z przesłanych listów...

Nie, nie chciała teraz myśleć o George'u, wołała upajać się raczej niewiarygodnym natężeniem ekscytujących wrażeń, doświadczonych tego dnia. Rozmyślała o tej magicznej wyspie, przypominającej na pierwszy rzut oka piękny sen. Fascynowały ją tutejsze bazyliki z ich

nieskończoną różnorodnością towarów, gdzie można było oddychać zapachem pomarańczy i dojrzałych mango, aromatem egzotycznych przypraw, ale też smrodem oleju, śmieci i gnijących ryb. Co za tłum ludzi wszelkich możliwych narodowości – Hindusów, Somalijczyków, Arabów, Abisyńczyków, Europejczyków, Azjatów – Dar es Salaam nie mogło się z tym równać. W szczególności kobiety były inne, widziało się je w jaskrawo kolorowych szatach i odważnie upiętych fryzurach, kołysały biodrami podczas chodzenia i patrzyły mężczyznom prosto w oczy. Sprzedawcy wody i czarnoskórzy tragarze przeciskali się przez tłum, Arabowie zdecydowanie pędzili wąskimi uliczkami swoje utuczone, muskularne osły, dookoła stały krowy, obojętnie przeżuając trawę. Raz napotkali nawet afrykańskiego więźnia skutego łańcuchem, biedaka ubranego tylko w podartą chustę, poganianego bezlitośnie przez strażnika przy pomocy *kiboko*, jak w języku suahili nazywano bicz wykonany ze skóry hipopotama. Skazano go za jakieś przestępstwo, więc teraz musiał uprzętać gruzy wokół zrujnowanego pałacu.

Pochyliła się, żeby nalać drugą filiżankę herbaty i wypić kilka łyków, zdając sobie sprawę, że trochę boli ją głowa. Czy to dobrze, żeby w stanie takiego rozkojarzenia pracowała nad rękopisami George'a, czekającymi na biurku? Zdecydowanym ruchem postawiła filiżankę na spodku, a gorąca herbata wylała się i poparzyła jej palce. Ze złością wytarła rękę w spódnicę i wstała, zadowolona, że nic nie rozlało się na ładny, kolorowy obrus. Obok papierów znalazła kilka ołówków i gumkę, jednak nie było czerwonego, chociaż George przeszukiwał szuflady przed udaniem się do kliniki.

Wcześniej żartowali z jego pełnych uniesienia listów, z romantycznych wizji, w których Charlotte siedziała obok niczym muza, kierując jego myślami i fantazjami. Nie, nie była muzą, ale ważnym i zapalonym czytelnikiem, poprawiającym zdania, dopisującym komentarze lub pytania. Nie zgodził się z nią, twierdząc, że bez jej pełnych zachęty listów nigdy nie napisałby tylu stron.

– Nie masz pojęcia, jak bardzo czuję się niepewny swojej wiedzy i jakie znaczenie ma dla mnie twoja pomoc.

Nie była w stanie odpowiedzieć, bo musiała walczyć z dziwnym, ciepłym, drżącym szczęściem, tym samym, które nawiedzało ją w kółko przez ostatni tydzień. Niewiarygodnie słodkie i, właśnie dlatego, równie podejrzanе uczucie. Nie chciała na nie pozwolić. Tak, zrobi to, co mu obiecała, sprawdzi jego rękopisy, gruntownie

i dokładnie, z jasnym umysłem, ale bez zbytniego angażowania się w jego przemyślenia i obserwacje.

Gdy tylko zaczęła pracę, zdała sobie sprawę, że się oszukiwała. Już po pierwszych wersach poczuła dziwne przyciąganie jego słów i zatopiała się w nich. Czuła go, tego enigmatycznego człowieka, nieszkodliwego i uroczego, jednocześnie skrywającego w sobie mroczne otchłanie. Uwielbiał przekraczać granice, człowiek szukający zawsze nowych wyzwań, który nie bał się śmierci, a jednak trzymał się życia każdą cząstką swojego jestestwa. Wydawało jej się, że siedzi obok niego w jednej z rozkołysanych łodzi, płynących powoli w górę Nilu, obok brązowych krokodyli i szarych hipopotamów. Wspina się u jego boku do skalnej świątyni faraona, leży z nim na mokrym poszyciu łodzi, mając przed oczami rozgorączkowane, migające, fantastyczne obrazy, tańczące w jej wyobraźni, pomimo bólu, przesywającego głowę.

Kolejne strony zafascynowały ją jeszcze bardziej. George pisał o swojej pracy w angielskiej klinice w Kairze, przedstawiał losy pacjentów i ich rodzin. Opisywani ludzie byli tam tak biedni, że ledwo mogli kupić żywność potrzebną do przeżycia, nie mówiąc już o lekarstwach. Była to przytłaczająca lektura, w której wyczuwała, że myśli George'a oscylowały gdzieś między gorzką rezygnacją a gniewnym buntem. George sprzeciwiał się temu, że między pacjentami czyniono różnice, że leki takie jak chinina, przeciwzapalna de-antypiryna, a nawet znieczulenie eterem podczas operacji, były dostępne tylko dla pacjentów europejskich. Jeśli miejscowi chorowali na gruźlicę czy trąd również odsyłano ich z przychodni, żeby nie narażać się na ryzyko zarażenia. Malaria – znana tam jako „klątwa Nilu” – była eksperymentalnie leczona błękitem metylenowym w Europie i terapia ta odniosła sukces. Jednocześnie kuracja ta nie została przewidziana dla ludności egipskiej. Każdy Europejczyk, nawet biedny, miał lepszą opiekę lekarską niż fellahowie^[35]. To prawda, że misjonarze byli oddani leczeniu chorób wśród ludności rdzennej, ale i oni nie traktowali wszystkich jednakowo. Nawrócenia na chrześcijaństwo na Zanzibarze nie były zbyt częste, wiele misji przeniesiono więc do Afryki kontynentalnej i zamknięto część szpitali na wyspie. Ci, którzy nie chcieli się nawrócić, również nie mogli korzystać z dobrodziejstw medycyny europejskiej.

Charlotte musiała przejrzeć poprawiane strony po raz drugi, żeby wprowadzić swoje komentarze, była zbyt wzburzona, gdy czytała o tym wszystkim za pierwszym razem. Jak mogła zapomnieć, że

nawet podczas pamiętnej wizyty w Leer, George nie podzielał powszechnych przekonań Europejczyków? Spierał się z jej dziadkiem o języki rdzennych Afrykanów i – jeśli dobrze pamiętała – o cel istnienia kolonii. Henrich Dirksen powiedział wtedy, kręcąc głową, że ten młody człowiek był „chłopcem naprawiającym świat”. Jak bardzo zawężone mieli horyzonty! Charlotte szczerze podziwiała George’a. Jego oburzenie było uzasadnione i bez wahania stanęła po jego stronie.

Złożyła strony razem, uważając, by nie pomylić numeracji i odłożyła ołówki na bok. Później będzie z nim długo rozmawiać o tym, co przeczytała, rzucać mu wyzwania, zadawać pytania, będzie pozwalała prowadzić się jego myślom, podążając za nim i jednocześnie się przeciwstawiać. Nie mógł być przecież zupełnie odosobniony w swoich przekonaniach. Gdyby udało mu się skończyć pisanie i opublikować książkę, znalazłby podobnie do siebie myślących ludzi i być może byłby w stanie coś zmienić. Tak, musiał pisać, a ona będzie go wspierać najlepiej, jak potrafi. Nie miała pojęcia, ile czasu minęło. Jedyne, co było pewne, to to, że nie wytrzyma dłużej w domu. Pójdzie nad morze, powoli kierując się do kliniki, a jeśli dotrze za wcześnie, poczeka na niego gdzieś na plaży.

Kiedy otworzyła drzwi do swojego pokoju, Jim rzucił się w jej stronę, najwyraźniej miał nakazane, by towarzyszyć Charlotte w drodze do kliniki.

– Pani nie idzie za daleko – powiedział zmartwiony, kiedy wyjaśniła, że chce pójść bez niego. – Tylko tam, gdzie mieszkają Europejczycy. Nie do innych miejsc. Lepiej, jeśli Jim pójdzie z panią, niedobrze, jeśli biała *m’se* jest sama...

– Idę tylko do kliniki, Jim. Tam spotkam doktora Johanssena i wtedy już nie będę sama!

– Lepiej, żeby Jim poszedł z...

Uśmiechnęła się na widok jego zmartwionej twarzy i już miała przejść do schodów, kiedy odsunął zasłonę i była w stanie rzucić okiem na salon George’a. Wcześniej, kiedy pokazał jej pokój, nikogo tam nie było, teraz znajdowała się tam młoda kobieta. Siedziała na jednym z wiklinowych krzesel i wstała, żeby zamienić kilka słów z Jimem w obcym języku. Charlotte zatrzymała się, nie tyle z zaskoczenia, po prostu zafascynował ją ten widok. Kobieta musiała mieć abisyńskie korzenie, choć jej skóra nie była tak ciemna, jak zwykło się widywać u tego ludu. Twarz miała harmonijne i piękne rysy, nawet według kanonów europejskich. Była wysoka, a szeroka,

worzysta spódnica sprawiała, że talia kobiety wydawała się wyjątkowo wąska. Wspaniałe czarne włosy nie były kędzierzawe, ale falujące i opadały daleko na ramiona, a kilka wąskich warkoczy ozdobionych kolorowymi wstążkami i koralikami mieszało się z lokami. Mając na uwadze, że George powiedział jej o obecności kilku służących w domu, Charlotte przyjaźnie skinęła kobiecie głową, zanim zeszła po schodach.

Na dole przywitało ją upalne późne popołudnie, więc szybko włożyła słomkowy kapelusz i mocno zawiązała wstążki pod brodą. Spieszyła się nad morze, gdzie, miała nadzieję, będzie chłodniejsza bryza, bo gdy szła między domami, słońce atakowało wyjątkowo intensywnie i prawie nie było czuć wiatru. Na ulicach i drogach widywała głównie czarnoskórych służących, ale napotkała także kilku Europejczyków, prawdopodobnie urzędników lub handlarzy, którzy witali ją uprzejmie i posyłali zaciekawione spojrzenia.

Morze było łagodne i czyste, małe *dau'y* rozpierzchły się po nim jak białe motyle, które ze złożonymi skrzydłami i osiadły na szafirowej powierzchni. Fale z miękkim pluskiem ocierały się o plażę, po czym delikatnie wycofywały. W niektórych miejscach brązowe wodorosty pokryte muszlami stanowiły dowód, że ocean może być również i mniej spokojny. Charlotte szła blisko krawędzi fal, w końcu nie mogła oprzeć się pokusie zdjęcia przynajmniej butów, żeby jej stopy mogły poczuć mokry piasek i chłodną wodę. To było cudowne doznanie, przypominające jej o czasach dzieciństwa, chociaż była przekonana, że wszystkie te wspomnienia od dawna były stracone. Czas kiedy jej rodzice i mały Jonny jeszcze żyli i w jakimś miejscu – gdzie to było? – skakali razem z bratem po plaży, pluskali się wodą i zanurzali stopy w miękkim, błotnistym piasku. Po chwili zobaczyła biały budynek kliniki z dwiema wieżami zakończonymi blankami, znajdujący się w rzeczywistości bardzo blisko morza, przed falami chronił go jedynie niski murek. Charlotte postanowiła usiąść między młodymi palmami kokosowymi i poczekać na George'a.

Położyła buty na piasku obok siebie, zbyt leniwa, by je założyć, oparła się plecami o jeden ze smukłych pni i zamknęła oczy. Nad nią ledwie słyszalne gałęzie palm trzeszczały na wietrze, morze delikatnie szeleściło i bulgotało w powtarzającym się rytmie, gdzieś w oddali tętniło głucho życie tego miasta, co raczej wyczuwała, niż słyszała. Nabrała głęboko powietrza, chcąc wdychać słony zapach oceanu, jednak poczuła coś zupełnie innego, coś czym pachniał ląd. Ostry, ale słodki zapach kwitnących goździków, delikatny aromat

cynamonu, cierpka woń kwiatów muszkatołowych... Zerknęła na klinikę, ale na plaży było tylko kilkoro ciemnoskórych dzieci, zbierających do koszy coś, czego nie mogła dojrzeć. Na morzu parowiec, który miał zacumować w Dar es Salaam na krótko przed zapadnięciem zmroku, właśnie mijał nabrzeże. Na chwilę pozwoliła, aby jej radosny nastrój przyćmił mały cień, związany obecnością pięknej abisyńskiej kobiety w domu George'a. Była służącą, zapewne utrzymywała pokoje w czystości, może też dla niego gotowała. Jednakże dumne spojrzenie tej kobiety i prowokacyjna postawa sprawiły, że miała inne, prawie niewyobrażalne myśli na jej temat. Zawstydzona, spojrzała na biały, lśniący budynek kliniki i rozpoznała od razu wysokiego, bardzo smukłego mężczyznę, idącego właśnie na plażę.

Kiedy ją zobaczył, pomachał i zaczął truchtać w jej stronę, niczym beztroski chłopiec. Czy to naprawdę był ten nieodgadniony człowiek, którego przemyślenia tak mocno ją poruszyły w dzisiejsze przedpołudnie? Szedł po piasku długimi krokami, bez odrobiny wysiłku, łapiąc swój jasny słomkowy kapelusz tuż przed tym, jak został zdmuchnięty z jego głowy i śmiejąc się serdecznie. Charlotte przypomniała sobie, że jest bosa i pospiesznie podniosła buty, by je założyć.

– Chodź! – powiedział, wyciągając rękę. – Przejdźmy się chwilę brzegiem morza.

W tej prośbie było coś, co nie pozwalało na sprzeciw. Nie wahała się ani chwili i wyciągnęła dłoń, pozwalając, aby pomógł jej wstać. Miał mocny uścisk i trzymał jej rękę dłużej niż wymagała tego pomoc przy wstawaniu. Rozluźnił chwyt dopiero gdy znalazła się przed nim.

– Mógłbym wziąć jutro rano wolne i pojechałibyśmy w głąb lądu – zasugerował. – Pokażę ci rośliny korzenne oraz dżunglę. W niektórych miejscach są zrujnowane, zarośnięte pałace. Żywa jest tam pamięć o czasach, kiedy wyspy należały wyłącznie do Omańczyków, a handel afrykańskimi niewolnikami uczynił sułtana jeszcze bogatszym niż sprzedaż przypraw.

– Przynajmniej to była dobra decyzja Anglików – powiedziała. – Niemcy także zakazali handlu niewolnikami i kilka lat temu stłumili powstanie Bushuris.

Szedł przed nią w stronę morza, które teraz wyraźnie się cofało. Nadszedł czas odpływu. Piasek był wilgotny, więc stopy zanurzały się w nim nieco głębiej, a od czasu do czasu bezczelna fala chlupotała

po jasnych płóciennych butach George'a, co wcale mu nie przeszkadzało.

– Masz rację – odparł po chwili wahania. – A mimo to Zanzibarczykom udaje się obejść zakazy. Biznes jest aż nazbyt lukratywny. Czarni Afrykanie są zabierani z kontynentu na Zanzibar do niewoli każdego dnia, głównie nocą.

Słyszała o tym, nie chciała w to jednak wierzyć. Wiatr niósł woń kwitnących goździków, dojrzałą słodycz i cierpką gorycz, zapach zniewalający zmysły. Tak samo uwodzicielska była ta wyspa w swej niewinnej urodzie, jednocześnie naznaczona przemocą i nędzą.

– Raj jest także miejscem, gdzie zaczął się grzech – powiedział od niechcienia George. – Nigdy nie ma jednego bez drugiego na ziemi. Może to i dobrze – kto wie?

Zamrugnął, patrząc na nią z ukosa, chcąc prawdopodobnie wy badać, jak przyjęła te słowa.

– A co ma być w tym dobrego? – zapytała, kręcąc głową.

– Cóż, tak właśnie działa życie, Charlotte. Wszyscy jesteśmy jak ta wyspa. Niewinni i zdolni do szlachetnych czynów, ale też grzeszni, bojaźliwi, samolubni. Nie powinniśmy nienawidzić ani siebie, ani tej wyspy, ale kochać ją pomimo wszelkich niedoskonałości.

Brzmiało to rozsądnie, chociaż dziadek z pewnością byłby innego zdania, ponieważ dla niego człowiek był grzeszny na wskroś już od urodzenia, a zatem także nie wart miłości, chyba że został odkupiony od grzechu dzięki Chrystusowi. Kiedy wciąż zastanawiała się, co odpowiedzieć, jego powaga nagle zmieniła się w dobry humor. Jak mały chłopiec złapał ją za rękę i zaczął biec, ciągnąc ją za sobą, aż była w stanie się uwolnić, po czym odwrócił się ze śmiechem.

– Chodź, Charlotte! – zawołał do niej. – Zdejmij znowu buty. Tak jak ja!

– Buty...?

Wciąż zdyszana po nagłym, szybkim biegu próbowała poprawić zsunięty słomkowy kapelusz.

– Buty! – nalegał, uśmiechając się. – Zdjęłaś je już wcześniej, widziałem to wyraźnie.

Niecierpliwymi ruchami zdjął z nóg obuwie, wsunął je pod pachę i skinął jej zachęcająco głową.

– Ale ja... – wyjąkała bezradnie.

– Miej odwagę. Nikt cię za to nie ukamieniuje!

Było coś psotnego w spojrzeniu, którym przesuwiał po niej od stóp do głów. Stawiał jej wyzwanie, sprawiając, że poczuła się nieswojo.

Daremnie doszukiwała się w nim George'a, fascynującego ją swoimi rękopisami, a jednak wciąż był to ten sam mężczyzna. Był fizycznie obecny, przyciągał ją swoją atrakcyjnością, słyszała jego śmiech, czuła mocny uścisk dłoni. Nie miał zbyt wiele cierpliwości do jej wahania, więc przykucnął przed nią na piasku i zajął się jej obuwem. Zręcznymi rękami uwolnił stopy kobiety z ochronnej skóry, wstał z triumfalnym uśmiechem i wręczył jej do rąk brązowe mokasyny.

– Trzymaj je mocno, jeśli ci wypadną, raczej nigdy więcej ich nie zobaczysz!

– Ale... co się dzieje?

Nie odpowiedział, tylko znowu chwycił ją za rękę i pociągnął za sobą. Czyste fale rozpryskiwały się, moczając rąbek jej sukienki.

– George! – krzyknęła rozpaczliwie. – Puść mnie... moja sukienka...

Zignorował jej sprzeciw. Biegła więc z nim, skacząc przez chłodne, spienione fale, czując, jak piasek przesuwają się pod ich stopami, a słona woda wiruje wokół i nagle ogarnęła ją wielką przyjemność. Mokry rąbek sukienki owinał się wokół jej nóg, kapelusz zsunął się jej z głowy, warkocz się poluzował, ale nic z tego nie miało dla niej znaczenia. Była wolna jak ptak, jak wtedy gdy była dzieckiem. Czuła swoje ciało, chłodną wilgoć fal, małe kamyczki i muszle w piasku, ciepłą morską bryzę pieszczącą jej rozpalone policzki. Kiedy w końcu zatrzymał się i odwrócił do niej, sapnęła z wysiłku.

– Taka podobasz mi się bardziej, Charlotte Dirksen! – powiedział, patrząc na nią błyszczącymi, szarymi oczami.

– Moja sukienka jest mokra! – narzekała.

– Przecież wyschnie!

W mgnieniu oka pochyliła się i opryskała go mocno wodą. Zaskoczony spojrzął po sobie z widocznym oburzeniem i zagroził, że zaraz odpłaci się jej tym samym. Gdzie się podziały te wszystkie lata? Znowu była dzieckiem, uciekającym przed nim, wrzeszczącym i chichoczącym, jedną ręką unosiła mokrą spódnicę, by biec szybciej, wiedząc, że z łatwością ją dogoni. Jej długi warkocz powiewał za nią, splót się rozluźnił.

– Poczekaj, zaraz cię złapię! – Usłyszała jego wołanie i w tym momencie nie pragnęła niczego więcej aniżeli spełnienia tej „groźby”. Chciała poczuć na sobie jego dłonie, usłyszeć ciężki oddech na ramieniu.

Ale tak się nie stało. Po prostu podążał za nią przez chwilę, goniąc ją przez płytkie fale, a potem został w tyle, obserwując i czekając, aż

ona też się zatrzyma. Dopiero wtedy znów zaczął iść w jej kierunku. Krew wciąż dudniła Charlotte w uszach, małe fale igrały wokół łydek. Teraz kiedy dziecinny entuzjazm opadł, poczuła się śmiesznie z dużymi plamami wody na sukience, i rozpuszczonymi włosami i butami w dłoni... On też nie uszedł w tej pogoni bez szwanku. Spodnie lepiły mu się do nóg, na kurtce w stalowym kolorze widać było mokre plamy, krople morskiej wody można było dostrzec także na jego brwiach. Z niepokojem zauważyła, że radość zniknęła z jego twarzy. Czoło miał zmarszczone, a oczy zmrużone, tęczę prawie ukryte pod bladymi rzęsami. Kiedy stanął przed nią, milczał przez chwilę i patrzył w jej oczy, a potem powiedział coś zupełnie szalonego.

– Czy jesteś szczęśliwa?

Mówił cicho, a ona zrozumiała, że za tym pytaniem kryje się coś, czego nie wolno jej było dalej rozwijać.

– Właśnie teraz byłam szczęśliwa jak dziecko. I strasznie głupiutka.

– Oboje byliśmy, Charlotte. To dziwna sprawa z tym szczęściem. Szczęście jest czymś ulotnym. Musisz je złapać, gdy się pojawi, w przeciwnym razie minie.

Wiatr bawił się jej rozpuszczonymi włosami. Delikatnie odgarnął kosmyk włosów z twarzy Charlotte, a jego dłoń zatrzymała się na jej policzku na krótką chwilę.

– Szczęście – szepnęła. – Czy właśnie to się liczy w życiu? Może o wiele ważniejsze jest wypełnianie swoich obowiązków w miejscu, gdzie akurat rzucił cię los?

Gdzie ona to usłyszała? Dlaczego teraz mówiła takie rzeczy?

– A co, jeśli zostałaś umieszczona w niewłaściwym miejscu? Co jeśli jest jakieś inne miejsce, gdzie można spełniać swój obowiązek i być jednocześnie szczęśliwym?

Dziadek powiedziałby teraz, że to Bóg określa miejsce człowieka, ale tak naprawdę nigdy w to nie wierzyła... George położył teraz rękę na jej ramieniu i poczuła jego palce, niespokojne, nerwowe, drżące, jakby były pod wielkim napięciem.

– Co masz na myśli? – spytała zaniepokojona.

Odwrócił głowę na bok i spojrzał na morze. Słyszała jego ciężki, szybki oddech.

– Nie jesteś szczęśliwa z tym mężczyzną, Charlotte – zdołał w końcu powiedzieć. – Twoje miejsce nie jest u jego boku. Gdybyś miała odwagę...

Cofnęła się z przerażeniem, jego ręka zsunęła się z jej ramienia i wróciła na swoje poprzednie miejsce.

– Jak możesz mówić takie rzeczy? – krzyknęła wściekła. – Co to ma wspólnego z tobą, George’u Johanssenie? Kocham Christiana i moje miejsce jest u jego boku!

– Nie kochasz go – upierał się. – Nie możesz go kochać, inaczej nie przyjechałabyś tutaj ze mną!

Poczuła ogarniające ją wstyd i złość. Och, jakie to niegodziwe, że przypisuje jej takie intencje! Jak głęboko musi nią gardzić, skoro tak o niej myśli! Przyjechała tutaj, aby skorzystać z okazji i poznać Zanzibar wraz z nim, jego żoną, a jej kuzynką i ich dziećmi. To on ją oszukał!

– Nigdy więcej mnie nie dotykaj! – krzyczała. – Idź! Idź stąd! Nie chcę cię więcej widzieć!

Nawet w złości rozumiała, że rzuca w niego bezsensownymi żądaniami, ale nie przejmowała się tym. Nie słyszała, co do niej mówił i nie chciała tego wiedzieć. Wciąż dźwięczało jej w uszach zdanie:

„Nie możesz go kochać, inaczej nie przyjechałabyś tutaj ze mną!”

Zniewaga, tak straszna właśnie dlatego, że zawierała w sobie ziarno prawdy.

– Charlotte!

Podwinęła spódnicę do kolan i zaczęła biec. Poczuła piasek pod stopami, zdała sobie sprawę, że upuściła buty, a jednak się nie zatrzymała. Biegła, oddalając się od plaży, wąskimi ścieżkami i krótkimi uliczkami. Gdzie teraz była? Nagle wokół niej pojawiły się szare, na wpół zrujnowane domy, krzaki, zwalony pień wyschniętej palmy. Prześlizgnęła się między budynkami. Poczuła ostry ból w lewej stopie, ale się nie zatrzymała. Przeskoczyła przez odłamki i gruz. Wpadła na wystającą deskę i prawie się potknęła o zagradzający jej drogę niski wózek. Kury zaczęły głośno gdakać, a mały kundelek zaszczekał na nią.

– Charlotte! Cholera! – wrzasnął za nią ze złością.

To, co miało ją powstrzymać, tylko zachęciło do dalszej ucieczki. Gdy dotrze do portu, w jakiś sposób znajdzie łódź, która zabierze ją na stały ląd. Parowiec odpływał dopiero jutro rano, ale cumowały tam małe *dau’y*, łodzie handlowe...

– Charlotte. Na miłość boską! Charlotte!

Tylko gdzie znajdował się port? Musiała trzymać się lewej strony, ale nie było tutaj żadnego przejścia. Zabudowa stawała się teraz

gęstsza, wąskich uliczek było więcej, nadepnęła na coś miękkiego, co żałośnie skrzypnęło, zobaczyła wokół siebie twarze Afrykańczyków, tuż obok niej błysnęły duże kolczyki, usłyszała głośny śmiech. Jej serce waliło. Dlaczego musiała nosić ten ciasny gorset, który blokował oddech i przyprawiał o zawroty głowy? Po lewej stronie otwierała się przed nią alejka, wąska i mało zachęcająca, ale to nie miało teraz znaczenia, z pewnością prowadziła do portu.

Między zatłoczonymi barakami panował półmrok, uderzył ją zapach sznapsa i wymiocin, a zaraz potem zdała sobie sprawę, że nie ma dokąd pójść. Półnagi, ciemnoskóry mężczyzna podszedł do niej chwiejnym krokiem, spojrzał szeroko otwartymi, błyszczącymi oczami i wymamrotał coś, czego nie zrozumiała. Zaskoczona, odwróciła się, potknęła o nogi kogoś, kto siedział na ziemi pod ścianą domu i prawie upadła. Patrzyła na nią teraz twarz, tak okaleczona jak żadna inna spotkana kiedykolwiek wcześniej. Nos i usta nieszczęśnika zostały zjedzone przez chorobę. Śmiech i krzyki rozległy się wokół, pusta jeszcze przed chwilą ulica nagle ożyła, jakby postacie odklejały się od ciemnych desek ścian nędznych chat. Spanikowana, odwróciła się szybko, szukając drogi ucieczki i zderzyła się nagle z jakimś człowiekiem.

– Spokojnie. – Usłyszała głos tuż przy swoim uchu. – Przestań krzyczeć. Po prostu bądź cicho.

Desperacko walczyła, szamotała się, wiała, próbowała nawet kopać bosymi stopami, ale George trzymał ją mocno.

– Proszę, Charlotte! – wyszeptał. – Nie mogę cię chronić, jeśli robisz takie zamieszanie.

Pociągnął ją trochę za sobą, delikatnie popchnął na ścianę domu i przysunął się do niej. Ogarnęło ją ogromne wyczerpanie, nie miała jak uciec przed nim, był od niej silniejszy i postanowił, że już więcej jej nie zgubi. Odchyliła głowę do tyłu i zamknęła oczy, czując jego napięte ciało przyciśnięte do siebie, zupełnie inne od ciężkiego, miękkiego Christiana.

– Nie chciałem tego powiedzieć, Charlotte – wyszeptał. – Nawet nie wiem, co mnie napadło...

Jego gorący oddech musnął jej skronie, a tęsknota, wypierana tak długo, wzrosła w niej z nieoczekiwaną siłą. Nigdy wcześniej nie pragnęła mężczyzny, nigdy nie doświadczała namiętności poza muzyką i snami. Odwróciła do niego twarz i spojrzała w jego zmrużone, błyszczące oczy. Wtedy ją pocałował. Najpierw z wahaniem, jakby nie mógł uwierzyć w to, co robi, potem coraz

gwałtowniej, odurzając się nią, pozwalając jej czuć jego język między wargami, wbijając palce we włosy i szepcząc w kółko jej imię. Nie wiedząc, co robi, z desperackim pośpiechem odwzajemniała jego pieszczoty i dopiero gdy powoli odzyskiwała zmysły, zaczęła mu się wyrwać.

– Nigdy więcej tego nie zrobimy – wyszeptała.

W milczeniu objął ją obiema rękami, przytulił do siebie i oparł czoło na jej ramieniu.

– Nigdy – mruknął. – Obiecuję ci to.

W porannej mgle wybrzeże Afryki wydawało się nierealne jak ze snu. Plaża odcinała się od żółtawego horyzontu ciemną, wielokrotnie przerywaną linią. Rosnące wokół rośliny miały pastelowozielony kolor, a postrzępione kształty soczyste zielonych liści palm były otoczone unoszącymi się strzępami mgły. Chmury zasłaniały niebo, teraz białawe jak mgła na kontynencie, a zaledwie godzinę wcześniej wschód słońca skąpał morze i chmury w ciemnej, jarzącej się czerwieni.

Charlotte oparła się o reling wypełnionego po brzegi parowca, zadowolona, że znalazła miejsce, gdzie mogła zostać sama. Za nią na pokładzie pasażerowie kulili się ciasno między belami towarów, skrzyniami i koszami z różną zawartością. Przy dźwięku głośniego sapania maszyny słychać było arabskie słowa w języku suahili, a także zwroty indyjskie, angielskie czy niemieckie. Niektórzy mężczyźni trzymali przed sobą suszone tykwy, coś w rodzaju fajek wodnych. Dym unosił się nad pokładem wraz ze zmianą wiatru i można było wyczuć słodki zapach haszyszu.

Charlotte chciała zbudować wokół siebie mur, aby odizolować się od wszystkich pasażerów, dźwięków i zapachów. Dlaczego po drodze nie zauważyła, jak brudny jest ten statek, jak obrzydliwy jest zapach oleju, smoły i dymu wypełniający jej nozdrza? I tak wielu ludzi stłoczyło się na pokładzie, że z trudem mogli znaleźć miejsce do siedzenia. Dlaczego dziś była tak zagubiona wśród tych obcych ludzi, skoro zawsze lubiła takie tłumy? Czuła się zmęczona i chora, miała poranione stopy, bolały ją skronie, a w nocy złapał ją silny ból głowy, nasilający się nad ranem. Najgorsza była jednak płątanina emocji, których do tej pory nie potrafiła uporządkować. Wstyd przeplatał się z tęsknotą, złość z rozpaczą, czasem wydawało jej się, że widzi przed sobą solidną, prostą ścieżkę, a potem znowu wszystko się rozmywało. Rozpościerało się przed nią błękitne morze, daleko

w oddali połyskujący biały szczyt przywoływał marzenia, ale droga do niego gubiła się w zaroślach.

George uszanował wolę Charlotte i nie śmiał ponownie jej pocałować. Zaniósł ją na plażę, ponieważ podczas dzikiej ucieczki odniosła głębokie rany na stopach. Niemilosiernie nacierał jej stopy słoną wodą, chciał wziąć ją w ramiona i pocieszyć, gdy odczuwała piekący ból, ale odrzuciła go, zacisnęła zęby i nie wydała z siebie żadnego dźwięku. Zdobył riksę, która zabrała ich do jego domu o zmierzchu, a ona wycofała się wtedy do jednego z pokoi gościnnych i zabarykadowała drzwi. Zachowywała się śmiesznie. Dlaczego nie przyjęła jego propozycji rozmowy, wyjaśnienia tego, co nazywał nieporozumieniem? Był człowiekiem honoru i z pewnością nie dotknąłby jej, martwił się o nią i zasługiwał na szansę, by się wytłumaczyć. Jej strach był jednak zbyt wielki i bała się nie tyle nawet jego, co samej siebie.

Później, gdy leżała na łóżku pełna wstydu i wyrzutów sumienia, kobieta widziana wcześniej w salonie, zapukała do jej drzwi, wręczyła tacę z jedzeniem i pić, a także małą puszkę, bandażę i parę jaskrawo zdobionych plecionych butów. Piękna Abisynka nie wypowiedziała ani słowa i natychmiast się wycofała. Uśmiech na jej twarzy pozostał dla Charlotte zagadką i równie dobrze mógł oznaczać współczucie, jak i kpinę. Charlotte usiadła na brzegu łóżka, żeby opatrzeć swoje stopy, a przez jej myśli przemknął kolejny cień. Czy George rzeczywiście był „porządnym mężem”? Czy nie prosił jej, by rozstała się z Christianem? Z jakiego powodu? Dla kogo ma być wolna? Może dla niego, męża jej kuzynki, ojca trójki niewinnych dzieci? George może być ciekawą i inteligentną osobą, mogła podziwiać, ale w przyszłości zachowa wobec niego dystans i nie będzie już czytać jego rękopisów. Zwłaszcza tego nie chciała już dalej robić, bo to za sprawą tych zapisków znalazła się pod jego urokiem.

Prawie nie spała i wyglądało na to, że George też nie może zasnąć na górze. Nieraz słyszała jego kroki, jak porusza krzesłem, raz upadła i rozbiła się szklanka. Zabroniła sobie myśleć o tym, czy spacerował tam całkiem sam, czy też może ktoś inny chodził prawie bezszelestnie po podłodze w lekkich łykowych butach. Buty, które dla niej przysłał, z pewnością nie należały do niego, prawdopodobnie należały do dumnej Abisynki.

Przed wschodem słońca, przy pierwszych oznakach świtu, wybiegła z domu z parasolką, kapeluszem i torbą, jakby uciekała. Dopiero po chwili się odwróciła. W szybach jego gabinetu odbijały się pierwsze pomarańczowe promienie wschodzącego słońca. Wydawało jej się, że widzi w nich cień poruszającej się postaci. Jeśli zauważył jej pospieszne odejście, nie poszedł za nią. Charlotte zatrzymała się na chwilę, po czym powoli odwróciła się i ruszyła w stronę portu. Dwie pulchne Afrykanki w kolorowych, misternie zawiniętych na głowach chustach i srebrnych bransoletkach tłoczyły się obok niej przy barierce i rozmawiały w języku suahili. Najpewniej chodziło o jakąś wesołą sytuację, bo kobiety gestykulowały, rozmawiały szybko i głośno, śmiały się serdecznie.

Miały bardzo ciężkie życie te afrykańskie kobiety – pomyślała Charlotte. A jednak potrafiły być takie szczęśliwe, tak nieskrępowane.

Czy zostały obdarowane właśnie takim rodzajem szczęścia? Odczuwanym we wnętrzu niezależnie od okoliczności, takim, które pomogło im przetrwać tak wiele problemów.

Drżąc, ściągnęła razem ramiona. Ona nie została pobłogosławiona takim darem. Czuła się samotna, w niewłaściwym miejscu i nienawidziła siebie. Zanim parowiec dotrze do Dar es Salaam, niebo znów pokryje się czarnymi burzowymi chmurami, a na wybrzeże spadnie kolejny tropikalny deszcz. Jeszcze kilka dni temu z utęsknieniem wyczekiwała pory deszczowej, entuzjastycznie witała pierwszą ulewę i upajała się zapachem wilgotnej ziemi oraz rosnących roślin. Teraz było jej po prostu zimno. W Dar es Salaam będzie jeszcze zapewne musiała brnąć przez błoto i głębokie kałuże, czego te głupie łykowe buty z pewnością nie wytrzymają. Nie myliła się. Jedynym plusem sytuacji był fakt, że mały parowiec przybrzeżny mógł zacumować bezpośrednio przy molo, dzięki czemu pasażerom oszczędzono przechodzenia po kołyszących się łodziach. W towarzystwie grzmotów i błyskawic opuścili statek, Charlotte wzięła pod parasol dwie młode Hinduski i kobiety razem pospiesznie skierowały się pod dach budynku portowego, oferujący im schronienie. Pasażerowie, czekający tam na parowiec, rzucili się teraz w kierunku, z którego przyszły i musiały uważać, by nie wylądować w wodzie, zepchnięte z wąskiego pomostu. Charlotte zostawiła swoje dwie podopieczne w budynku portowym, gdzie czekał na nie krewny. Otrzymała wylewne podziękowania za dobry uczynek i udała się na Inderstrasse. Choć nie było jej tylko jedną noc, zatęskniła za troskliwą opieką Klary, za suchymi ubraniami i butami,

za gorącą, aromatyczną herbatą. Rzadko zdarzało się jej tęsknić tak bardzo. Jej sklep, jej małe mieszkanie, Klara, jej najbliższa powierniczka, zabawny Schammi – wszystko to było szczęściem, czekającym na nią. Nie była to jasna, świetlista planeta, raczej słaba migocząca gwiazda na nocnym niebie, ale była jej, zatroszczyła się o nią samodzielnie.

Sklep był zamknięty. Oszołomiona, zagrzechotała drewnianymi składanymi drzwiami i stwierdziła, że został zaryglowany od wewnątrz. No dobrze, padało. Ale to nie był powód, by zawiesić interes! Sklepy dookoła miały zwinięte płócienne baldachimy, niektóre złożyły drzwi, by chronić je przed bryzgającą wodą. Ale były otwarte, więc kiedy burza ustawała, przychodzili klienci.

– Klara? Schammi!

Usłyszała, że ktoś w wewnątrz mieszkania wkłada klucz do kłódki, metal zgrzytnął, a potem między drzwiami zrobiła się szpara i ukazała się w niej chuda twarz Schammiego. Uśmiechał się do niej z takim entuzjazmem, jakby ujrzął własną matkę.

– Co tu się dzieje? Dlaczego sklep nie jest otwarty? Co ty sobie właściwie myślisz? Jak mamy zarabiać, skoro...

– Charlotte!

Klara precyzyjnie się między maszyną do szycia a półkami i w przyćmionym świetle wpadła na stół pełen imbryków i kufli do piwa. Naczynia zabrzęczały i jedno z nich spadło.

– Boże, jak się cieszę, że wróciłaś. Wejdz. Jesteś przemoczona. Uważaj na parasol. Schammi, zamknij za nią drzwi i zarygluj je. Jezu Chryste w niebie, chodź tutaj szybko, Charlotte...

Klara rzadko bywała tak gadatliwa, więc musiało się stać coś złego. Charlotte zapomniała o całym swoim zmęczeniu i podążyła za nią przez ciemny sklep w stronę schodów prowadzących do mieszkania.

– Idź szybko – szepnęła Klara. – Wiesz, że ja nie jestem taka sprawna. Nie przestrasz się, jest chory. Przyszedł zeszłej nocy. Ledwie mógł stać na nogach, Schammi przynosił mu wodę do mycia i golenia, ale musiał mu pomóc i ubrać go jak dziecko. Nie mógł niczego przełknąć. Charlotte, musimy go zabrać do rządowego szpitala, inaczej umrze na naszych rękach...

Charlotte wspinała się na górę rozgniewana. Ulewny deszcz pozbawił mieszkanie światła, więc Klara zapaliła lampę naftową. W jej świetle widać było zapadnięte policzki Chrystiana, jego obolałe oczy, popękane i krwawiące usta. Siedział na podłodze, opierając się plecami o ścianę i patrzył na nią z tępą beznadzieją w oczach.

Musiała zebrać się na odwagę, żeby podejść do niego kilka kroków, ale potem przykucnęła na łykowej macie obok. Współczucie okazało się silniejsze niż jakiegokolwiek inne uczucia. Niepewnie podniósł rękę, poruszając nią w przód i w tył, jakby nie mógł do końca kontrolować tego ruchu, po czym jego dłoń opadła na jej kolano.

– Miło znów być z tobą – usłyszała jego cichy szept.

Miał gorączkę i dreszcze. Nie zadawała żadnych pytań. I tak nie byłby w stanie teraz na nie odpowiadać, a poza tym łatwo było się domyślić, co się stało. Jego marzenia się nie spełniły, więc od teraz zostanie z nią i będzie ciężarem.

– Dałaś mu chininę?

Klara skinęła głową. Zrobiła wszystko, co mogła. Jedyne nie zdjęła mu brudnych i postrzępionych ubrań, bo skromność jej tego zabraniała. Pomogła natomiast Schammiemu umyć Christiana, kiedy miał na sobie bieliznę i wsmarowała maść przeciw wrzodom na rękach, nogach i górnej części ciała. Klara naprawdę przekroczyła tym samym swoje zasady. W nocy kilka razy modliła się za Christiana. Charlotte postanowiła poczekać i zobaczyć, jak zadziała chinina. Przypuszczalnie wracał do Dar es Salaam pieszo, spożywając mało jedzenia i pijąc zanieczyszczoną wodę. Przeprowadzając się przez bagniste tereny, został pokąsany przez owady roznoszące zarazki i tym samym nabawił się gorączki.

– Nakarmimy go, a potem zobaczymy.

Klara była niezwykle szczęśliwa, że może przekazać obowiązki kuzynce. Cała trójka z trudem wniosła pacjenta na łóżko Charlotte. Schammi otrzymał zadanie pojenia *bwana* herbatą i lemoniadą oraz natychmiastowego informowania obydwu kobiet, gdyby stan chorego się pogorszył. Charlotte od razu chciała odtworzyć sklep, o czym poinformowała Klarę.

– Twój mąż umiera, a ty myślisz tylko o swoim biznesie!

Charlotte nadal bolała głowa, była niewyspana i czuła przeszywające klucie podczas stawiania każdego kroku, nie miała więc ochoty wysłuchiwać wyrzutów Klary.

– Myślę o nas wszystkich. Z czego mamy żyć, jeśli nic nie sprzedajemy? Jak zapłacić za leki dla Christiana? Sama modlitwa tego nie załatwi!

Szarpnęła ze złością składane drzwi, z trudem je otwierając, ponieważ napuchły od wilgoci. Klara milczała, a Charlotte wiedziała, że zraniła kuzynkę. Było jej przykro, ale nie była też gotowa na

przeprosiny. Zapadła cisza, po chwili maszyna do szycia zaczęła cicho grzechotać, deszcz ustał, więc światła wystarczyło do szycia.

Całe szczęście – pomyślała Charlotte i wyjrzała na ulicę, która teraz powoli budziła się do życia.

Goańczyk, pracujący u jednego z niemieckich oficerów, chodził od sklepu do sklepu, oglądając wystawy, za nim biegło kilku czarnoskórych chłopaków z koszami. Dwie kobiety trzymały na głowach wysokie naczynia, kołysząc biodrami podczas chodzenia, a jedna z nich miała jeszcze przywiązane do pleców spokojnie śpiące dziecko. Szczęście było czymś, o czym nie należy myśleć. Trzeba było brać życie takim, jakim było. Sama też tego właśnie chciała.

– Ładnie było na Zanzibarze? – zapytała Klara, nie podnosząc wzroku znad szycia.

– Tak, bardzo. George pracuje w dużej klinice. Marie i dzieci mają się dobrze.

Charlotte czuła się źle, ale nie zniosłaby więcej wyrzutów ze strony Klary. Właściwie to nie było kłamstwo, Marie z pewnością dobrze sobie radziła w Anglii. Ucieszyła się, że w tym momencie do sklepu weszła Hinduska, by obejrzeć delikatne filiżanki, zdobione malowanymi różami, i pospiesznie pokazała klientce kolejny dzbanek z tym samym wzorem. To nie był dobry dzień na handel, bo kobieta również niczego nie kupiła. Klara pracowała nożyczkami, jak zwykle powoli i z wielką ostrożnością, bo bała się przeciąć tkaninę.

– Co się stało z twoimi stopami? I gdzie podziały się twoje buty?

A więc zauważyła. Charlotte szybko zmieniła buty, nim zeszła na dół, do sklepu, ale najwyraźniej zrobiła to zbyt późno. Była zmuszona kłamać.

– Niestety zostawiłam je u Marie. Głupia sprawa. W nocy, kiedy już miałam iść do łóżka, upuściłam butelkę i nadepnęłam na potłuczone kawałki szkła, więc Marie pożyczyła mi te łykowe buty. Były wygodniejsze ze względu na grube bandaże na stopach...

Nie miała szans, nie z Klarą, znającą ją tak dobrze, że potrafiła czytać jej w myślach. Być może przy innej okazji kuzynka przemilczałaby to kłamstwo, ale dzisiaj na to się nie zanosilo.

– Co za pech. Nadepnęłaś na odłamki jednocześnie obiema stopami? Czy w pokoju było aż tak ciemno?

– Tak, tak – było ciemno. Szukałam zapalek, żeby zapalić lampę.

– Och!

Znowu zrobiło się cicho. Charlotte postanowiła przesunąć stół przed sklep, aby tam wyeksponować swoje towary. Niebo wciąż było

zachmurzone, ale już nie padało.

– Charlotte?

Nie odpowiedziała. Trudno było przesunąć stół bez przewrócenia czegoś delikatnego.

– Wiem, że Marie nie ma na Zanzibarze, Charlotte. Jest w Anglii z dziećmi.

Charlotte zamarła. Klara mówiła cicho, jak zwykle, bez cienia wyrzutu w głosie. Słysząc w nich było tylko nieskończony smutek.

– Wczoraj po południu przyszedł list z Leer. Od Ettje. Moja matka umarła.

– Twoja matka? Ciocia Fanny? Ale ona... była... zupełnie zdrowa...

– Nie narzekała na zdrowie. Znaleźli ją rano martwą w łóżku...

– O mój Boże! Tak mi przykro, Klaro!

Charlotte wstała od stołu, podbiegła do Klary i ją przytuliła. Wreszcie dała upust łzom, szlochała, gładziła wąskie ramiona Klary, płakała z powodu głupiej kłótni i wypowiedzianych kłamstw, z powodu swojego rozczarowania, swojej bojaźliwości, a także trochę z powodu cioci Fanny. Klara mocno trzymała ręce kuzynki. Teraz i jej smutek przybrał kształt łez.

– Szkoda tylko, że nie mogłam nawet pojechać na jej pogrzeb, wszyscy tam byli, nawet Marie przyjechała z Anglii...

– Pewnego dnia będzie nas stać na wyjazd do Niemiec, wtedy odwiedzimy jej grób, Klaro. Obiecuję ci to.

Klara nawet nie pożegnała się z matką, wyjechały nagle, pod osłoną nocy. Teraz miała jej już nigdy nie zobaczyć, przynajmniej w tym życiu. Jakie to dziwne – najwyraźniej wierzyła, że czas w małym miasteczku stanie w miejscu, że wszystko pozostanie bez zmian, dokładnie takie jak w dniu ich wyjazdu. Ale to nie było możliwe. Tam też sprawy toczyły się swoim torem i z każdym dniem, każdym miesiącem, każdym rokiem zwiększał się dystans dzielący ich od ojczyzny.

Po południu Kamal Singh pojawił się w ich sklepie, aby przynieść tradycyjnie już herbatę. Doszły go słuchy, że mąż Charlotte wrócił, co nie wydawało mu się szczególnie zaskakujące. Przyniósł im pudełko z szarym proszkiem, podobno leczącym wrzody. Nie chciał zdradzić, skąd go ma.

– Nie musisz być smutna – powiedział do Klary. – Dusza twojej matki jest teraz odkupiona i jeśli prowadziła cnotliwe życie, będzie zjednoczona z Bogiem.

Uśmiechnął się, gdy Klara zmarszczyła brwi z powątpiewaniem, w końcu ich wiara bardzo się różniła. Mimo to uprzejmie mu podziękowała i powiedziała, że jest przekonana o obecności duszy swojej matki w niebie.

Tej nocy Charlotte spała na kocu na podłodze obok łóżka chorego Christiana. Gorączkował i szeptał do siebie bezsensowne rzeczy. Wołał różne osoby po imieniu, wydawał rozkazy, lamentował, wił się, przeklinał, czasem płakał. Dała mu wodę i miała płonną nadzieję, że w końcu zaśnie, bo była u kresu sił. Ale kiedy go podpierała, żeby mógł pić z kubka, chwycił ją za ramię i trzymał się kurczowo.

– Zostaniesz ze mną, prawda? Nie odchodź! Jest tak strasznie ciemno, że cię nie widzę...

– Ależ nie i lampa przecież się pali. Jestem tutaj i opiekuję się tobą. Pij teraz. Kolejny łyk. Właśnie tak...

– Duchy piekielne – fantazjował. – Słyszysz je tysiącem głosów w nocy. Pełzają wokół ciebie, okrążając naciętych nogach, słyszysz ich oddech. Czujesz ich zapach, czujesz jak się zbliżają...

– Jesteś w Dar es Salaam w naszym mieszkaniu, Christianie. Jesteś bezpieczny. Jesteś ze mną.

– Z tobą...

Uspokoił się i ponownie położył na łóżku. Leżał teraz z szeroko otwartymi oczami, wpatrując się w owady bzyczące wokół lampy. Musiał doświadczyć strasznych rzeczy, prawdopodobnie spał pod gołym niebem, drżąc o swoje życie i obawiając się ataku drapieżników. Wyczerpana Charlotte wśliznęła się z powrotem pod pościel i nasłuchiwała dźwięków nocy. Wyłapała dobrze jej już znany tępy, rytmiczny łomot, który można było nawet fizycznie poczuć, dotykając podłogi. Dochodził z północnego zachodu, gdzie znajdowała się afrykańska dzielnica i powiedziano jej, że świętują tak *ngoma* – swoje tajne zgromadzenie, podczas którego odbywają się tańce według prastarego zwyczaju. Żaden biały nie miał tam wstępu i nikt nie potrafił powiedzieć, jak to w rzeczywistości wyglądało i czemu miało służyć. Ale w nieustępliwej, spokojnej sile tych uderzeń w bębny Charlotte poczuła puls afrykańskiej ziemi. Obcy kraj po chwili hojnie obdarzył ją swoim spokojem i regenerującym snem.

Christian pod żadnym pozorem nie chciał być leczony w szpitalu, uparcie nalegał na to, by mógł wracać do sił bez udziału lekarza. Postawienie go na nogi zajęło tygodnie. Powtarzające się ataki gorączki sprawiały, że wracał do łóżka, a wrzody goiły się bardzo powoli. Kiedy poczuł się lepiej, siadał w sklepie na ładnym krześle,

podarowanym Charlotte przez Kamala Singha, by mogła obserwować klientów. Jej mąż pił herbatę i nic nie mówił. Przy każdej okazji wzywał Schammiego, nakazywał mu sobie usługiwać i złościł się, gdy chłopiec nie wykonywał poleceń zgodnie z oczekiwaniami. Schammi wkrótce wymyślał wszelkiego rodzaju wymówki, aby uniknąć konieczności wykonywania rozkazów *bwana* Christiana. W ciągu dnia chował się za maszyną do szycia Klary lub kręcił się po zapleczu magazynu, często ochoczo proponując wyjście na bazar lub na pocztę, zostając dłużej poza sklepem, niż było to konieczne. Delikatna Klara nie aprobowwała nacisku wywieranego przez mężczyznę na chłopca, przeciwna była również Charlotte, podkreślająca na każdym kroku, że obowiązkiem Schammiego jest przede wszystkim pomaganie w pracach związanych z prowadzeniem sklepu.

Kiedy na początku grudnia Christian w końcu wyleczył się z gorączki, Charlotte odetchnęła z ulgą. W ostatnim czasie robiła sobie wyrzuty, że nie wspierała jego planów z większym oddaniem. Może wszystko potoczyłoby się inaczej, gdyby pojechała z nim w góry Usambara... Gdyby oddała mu do dyspozycji wszystkie oszczędności, zamiast inwestować je w swój biznes... Ale czy nie miała racji, gdy przepowiadała, że mu się nie uda? A może powinna była jechać razem z nim, aby zapobiec najgorszemu?

Nie rozmawiali jednak o tym. Christian szukał bliskości żony, jakby musiał się jej kurczowo trzymać. Wodził za nią wzrokiem, kiedy obsługiwała klientów, siadał obok niej wieczorami, gdy robiła notatki. Chociaż nigdy nie nauczyła się prowadzić księgi handlowej, sporządzała dokładny spis dochodów i wydatków, wiedziała, jakie towary musi kupić i ile na nich zarobi. Pieniądze wkładała do blaszanego pudełka ukrytego we wnęcie, w ścianie za obluzowanym kamieniem. Od czasu do czasu zanosila na pocztę niewielką kwotę, starając się spłacić tym samym dług wobec Gerharda. Reszta musiała wystarczyć na sklep i utrzymanie.

Christian spędzał dni w całkowitej bezczynności. Bez jakichkolwiek starań, siedział w sklepie, pełniąc rolę bezużytecznego gościa, milczącego obserwatora. Często zasypiał w swoim fotelu i trzeba go było budzić wieczorem, gdy sklep był zamykany. Kamal Singh przywitał go z wyważoną życzliwością, a Christianowi udało się nawet podziękować Hindusowi za leczniczy proszek, chociaż jego niechęć do kupca tylko się nasiliła. Handlarz też nie darzył go sympatią, zaprzestał popołudniowych wizyt w sklepie Charlotte i pojawiał się

wyłącznie wczesnym rankiem, kiedy Christian jeszcze spał. Kamal Singh wrócił też do rozmów biznesowych z Charlotte, wyjaśniając niektóre z jego skomplikowanych aktywności kupieckich, a ona była zaintrygowana złożonymi przez Hindusa propozycjami.

- Ale ja nie mam aż tyle pieniędzy – sprzeciwiła się.
- Daj mi to, co masz, a ja oddam ci dwa razy więcej.
- Nie. Nie chcę mieć żadnych długów.

Nie popędzał jej, ale dał do zrozumienia, że uważa tę ostrożność za nierozsądną. Małe inwestycje przynosiły niewielkie zyski, żeby osiągnąć więcej, trzeba było mieć odwagę i zaryzykować.

Wszyscy razem świętowali Boże Narodzenie – swoje pierwsze na kontynencie afrykańskim – w ewangelickiej stacji misyjnej. Dwie pielęgniarki i młody pastor Peter Siegel udekorowali ołtarz gałązkami palmowymi i kwitnącymi na biało akacjami, a Klara płakała ze wzruszenia, kiedy czytano bożonarodzeniową przypowieść z Ewangelii Łukasza, recytowaną o tej porze roku również w domu w Leer, zgodnie z wytycznymi Kościoła protestanckiego. Schammi śledził nabożeństwo z wielkim zainteresowaniem, choć nie wszystko był w stanie zrozumieć. Zadał sobie natomiast naprawdę sporo trudu, by zaśpiewać niemieckie kolędy. Charlotte siedziała obok Christiana, trzymającego ją za rękę cały czas, ale nie potrafiła podzielać sentymentalnego nastroju pozostałych domowników. Czuła się źle, niegodna udziału w tej chrześcijańskiej uroczystości, niezdolna do kochania i szanowania swojego męża tak, jak powinna to robić, będąc dobrą żoną. Zamiast tego musiała walczyć z narastającą tęsknotą, tym słodkim, ale gorzkim uczuciem, które przyciągało ją do innego mężczyzny.

List bożonarodzeniowy, otrzymany kilka dni wcześniej, dodatkowo ożywił zakazane uczucia. Ettje życzyła im błogosławionego przyjęcia i przekazywała najróżniejsze wieści. Menna urodziła zdrową córkę, babcia przeżyła grypę, a Marie pisała z Anglii, że George wrócił z Zanzibaru wcześniej, niż oczekiwano, więc wszyscy będą mogli wspólnie świętować Boże Narodzenie z teściami. Jedyńm minusem radości Marii był zły stan zdrowia jej teścia. W międzyczasie George przejął praktykę lekarską ojca, lubił tę pracę i wszystko wskazywało na to, że rodzina wreszcie będzie mogła się ustatkować po długich latach spędzonych za granicą.

George nie wysłał Charlotte wiadomości od czasu jej wizyty na Zanzibarze. A zatem wrócił do Anglii. Nic dziwnego, czekało na niego wymagające zadanie, a także żona i dzieci. Charlotte życzyła Marie

wszystkiego co najlepsze. Była przecież żoną George'a, kochała go i zasługiwała na to, żeby w końcu zrobił to, czego zawsze pragnęła: ustatkował się i odnalazł spokój. Ból, jaki sprawiła jej ta wiadomość, niepokój i nieprzespane noce były częścią kary, na jaką zasłużyła i musi to znieść. Dodatkowo w ramach pokuty zastosowała się do życzeń Christiana, który w miarę jak wracał do zdrowia, zapragnął korzystać z praw, przysługujących mężowi. Oddała mu się z zamkniętymi oczami i zaciśniętymi zębami, czekając niecierpliwie, aż spełni swoje pragnienie, a potem bez słowa ponownie położyła się na swoim pościeli, znajdującym się niezmiennie obok łóżka Christiana w sypialni. Nigdy nie odczuwała przyjemności z ich nocnych zbliżeń, ale teraz czuła już wyłącznie odrazę.

W gorącej, wietrznej porze monsunowej, gdy przyszedł luty, zachowanie Christiana uległo zmianie. Wydawało się, że obudził się z odrętwienia, ale nie było to szczęśliwe przebudzenie, lecz chorobliwy niepokój. Podobnego stanu do tej pory nie zaobserwowała u niego nawet Charlotte. Od wczesnego rana krzątał się w sklepie, zaczął przestawiać towary, przesuwać półki, odsuwać stoły, wywracać wszystko do góry nogami, chociaż nie było w tym żadnego sensu. Następnie poszedł na tyły sklepu i obejrzał paczki towarów od Kamala Singha, rozwiązując sznurki, a potem oglądając dywany, rogi zwierząt i jedwabie. Kiedy Charlotte zabraniała mu tego, denerwował się. Uważał, że jest naiwna i pozwala się wykorzystywać Hindusowi, z pewnością przemyślał te rzeczy, ukrywając je przed niemieckimi służbami celnymi. Gdyby władze się dowiedziały, on i Charlotte mogliby wylądować w więzieniu, bo przebiegły Hindus z pewnością zrzuciłby winę na nich.

– To kompletna bzdura!

Był kłótniwy i utrudniał wszystkim życie. Denerwowała go każda drobnostka. Mieszkanie było za małe, sklep kiepsko prowadzony, Klara pracowała za tanio, a Schammi był próżniakiem. Warczał nawet na klientów, jeśli nie mówili po niemiecku. Jego znajomość suahili była ograniczona i nie chciał uczyć się „murzyńskiego języka”. Kiedy Charlotte się sprzeciwiała, często dochodziło między nimi do długich kłótni, kończonych przez Christian zawsze jakąś kąśliwą uwagą.

– Jak miło! Będę teraz robił trzy głębokie ukłony przed każdą Murzynką i całował ją po czarnych stopach, żeby kupiła ode mnie garść ryżu!

Jego zapał w sklepie okazał się krótkotrwały i wkrótce stracił zainteresowanie i powrócił na swoje miejsce na krześle. Siedział tam

beznamiętnie, patrzył przed siebie lub spał i pozwalał Charlotte robić to, co uważała za stosowne. Wieczorem brał pieniądze z kasy na wizytę w browarze Wilhelma Schmidta, a wracając późno w nocy, był zazwyczaj pijany. Rzucił się wtedy na łóżko, robiąc przy tym okropny hałas, by natychmiast potem zasnąć.

– To przez ten wilgotny upał, Charlotte – powiedziała Klara, która również cierpiała z powodu monsunu. – Kiedy ten gorący północno-wschodni wiatr osłabnie, Christian znów odnajdzie siebie. W gruncie rzeczy jest hojną i życzliwą osobą.

– Pewnie, że tak – odparła Charlotte z westchnieniem. – Przynajmniej kiedyś taki był...

Dała mu spokój, dokładała też brakujące kwoty w kasie, zabierane przez męża. Przynajmniej dzięki temu miała spokojne wieczory i nie musiała znosić jego nocnego napastowania. Poradziła mu tylko, żeby zabierał ze sobą rewolwer, ponieważ może mu być potrzebny do obrony przed lwami, jeśli będzie późno w nocy wracał na Inderstrasse. Śmiał się wtedy z niej, jednocześnie przechwalając, że nie boi się tchórzliwych bestii i że w razie potrzeby może je powstrzymać jednym ciosem. Jakie to dziwne, czyż w swoich gorączkowych fantazjach nie opowiadał o skradających się wokół niego drapieżnikach i spanikowany chwycił wtedy jej ramiona?

– Tego nie należy lekceważyć, Christianie – powiedziała. – W zeszłym tygodniu lwica zaatakowała dwóch czarnoskórych mężczyzn. Mieli szczęście, że pojawił się niemiecki oficer i kilkoma strzałami z karabinu przepędził zwierzę.

– Podoba ci się taki obrazek, prawda? – zadrzwił Christian. – Potężny oficer w białym mundurze z medalami na piersiach, marnuje amunicję, ratując dwóch pijanych Murzynów przed lwem.

Charlotte wkrótce zdała sobie sprawę, że Christian musi być chory. Może tygodniowa wysoka gorączka spowodowała tę zmianę w jego charakterze. Mogło do tego przyczynić się również poczucie beznadziejności, przyczajone w jego oczach, gdy wrócił. Unikała sprzeciwiania się mu, ale to też nie spotkało się z jego aprobatą, raczej czekał na opór ze strony żony, by dzięki temu sprowokować kłótnię. Czasami miała wrażenie, że obsesyjnie szuka sposobów na zrobienie sobie samemu krzywdy.

Zazwyczaj krótka pora deszczowa, która w pełni rozpoczęła się w marcu, w tym roku trwała długo. Było gorąco i wilgotno, w nocy nie można było spać, a rojami komarów cieszyły się tylko jaskółki, mieszkające w gnieździe nad wejściem do sklepu. Klara miała

wysoką temperaturę i musiała brać chininę, ale uparła się, że pójdzie do pracy i siedziała przy maszynie do szycia z czterdziestostopniową gorączką, żeby uszyć koszule i halki dla młodej żony niemieckiego oficera. Wieczorem była tak słaba, że Christian musiał ją wnieść po schodach do mieszkania. Dręczyło ją straszne pragnienie, ale nieważne jak bardzo Charlotte ją namawiała, nie chciała niczego jeść.

– Wszystko będzie dobrze – szepnęła, kładąc się na łożku. – Muszę się tylko trochę przespać...

– Zajrzę do ciebie później – powiedziała czule Charlotte. – Pamiętaj, aby dużo pić. A później zjedz choć kilka kęsów, nalegam! Jeśli jutro nie będzie lepiej, zabierzemy cię do Szpitala Rządowego.

– Jutro będę już zupełnie zdrowa, Charlotte. Obiecuję ci. Bóg mnie ochroni ze względu na ciebie.

Christian był szczerze zaniepokojony słabością Klary i wydawał się nawet gotów zrezygnować ze swojej stałej wizyty w browarze tego wieczoru. Z wystraszoną miną usiadł w salonie i patrzył, jak Charlotte zapisuje dochody i wydatki. Mały salon był teraz umeblowany, postawiono stół i krzesła, a także starą komodę, jaką Christian zażądał na swoje koszule, skarpetki i bieliznę. Dodatkowo Klara uszyła zasłony z białej bawełnianej tkaniny, co nadawało pomieszczeniu bardziej przyjaznego wyglądu, szczególnie wieczorami, kiedy zapalano lampę naftową. To był udany dzień, jeśli chodzi o zarobek. Niemiecka klientka odebrała bieliznę i zapłaciła jeszcze tego samego wieczoru, bo pojutrze jechała z mężem w głąb łądu do Iringi.

– Co za szaleństwo – powiedział Christian. – To ponad trzysta mil na zachód od Dar es Salaam. Tygodniami będzie wędrować przez lasy i sawanny, przekraczać rzeki, radzić sobie z pijawkami i gorączką. Kobieta nie poradzi sobie w tych warunkach, przez większość czasu będzie noszona przez czarnych i dotrze do Iringi śmiertelnie chora.

– Kto wie? – powiedziała Charlotte, rozkładając pieniądze na stole i licząc je. – Może kobieta zniesie lepiej taką podróż niż niektórzy mężczyźni.

Potrząsnął głową, co oznaczało, że nie miała o niczym pojęcia.

– Ten kraj jest okrutny, Charlotte. Nie wybacza. Obcy, tacy jak my, są niemile widziani...

Sięgnął przez stół i uściśnął jej dłoń. Zaskoczył ją ogromny smutek w jego oczach.

– To nieprawda, Christianie. Ten kraj jest cierpliwy i hojny. Jeśli nauczymy się go kochać, zaakceptuje nas i sownie wynagrodzi.

– Ten kraj nigdy nas nie zaakceptuje, Charlotte...

– Oczywiście, jeśli usiądziemy i będziemy tylko jęczeć – odpowiedziała lekko zirytowana. – Słuchaj, Christianie, mam plan, który chcę z tobą omówić. Kamal Singh złożył mi propozycję...

– Ten Hindus?

Christian cofnął rękę z wyraźną niechęcią. Liczył na pocieszenie i zrozumienie z jej strony, nie interesowały go nowe projekty handlowe.

– Kamal Singh ze swoimi synami i ich wspólnikami handlowymi planuje zorganizować karawanę i zaproponował mi, żebym też wzięła udział.

– Ale jaka karawana? – zapytał obojętnie.

Zacząła mu wyjaśniać całą sprawę. Karawana miała jechać z Pagani do Małej Aruszy przy Kilimandżaro, stamtąd do Nguruman, a następnie przez Dużą Aruszę z powrotem do Dar es Salaam. Po drodze chcieli nabywać kolorowe bawełniane tkaniny, szklane paciorki, drut mosiężny, miedziany i żelazny, proch strzelniczy, strzelby i butelki ze sznappsem, wymieniane przez tubylców na kość słoniową, ale także na zwierzęce rogi, kopal i inne rzeczy. Byłyby one następnie sprzedawane do Europy lub na Zanzibarze. Nawet po odjęciu kosztów kupna towarów, pozostałby naprawdę niezły zysk.

– Tak mówi ten Hindus? – zapytał z oburzeniem Christian. – I ty chcesz się w to mieszać? Co jeśli karawana nic nie przywiezie? Jeśli wpadnie w zasadzkę i zostanie okradziona przez wrogie plemiona murzyńskie?

– Kamal Singh zobowiązał się, że zastąpi wszelkie towary utracone w wyniku kradzieży lub w jakikolwiek inny sposób, w tym te uszkodzone przez wodę. Tylko w przypadku pożaru lub wojny nie podejmie...

– Dlaczego wciąż ufasz temu Hindusowi? – przerwał ze złością. – Skąd wiesz, że jest uczciwy? Weźmie przecież te pieniądze i później wytłumaczy, że niestety nie było na czym zarobić, że karawana kosztowała więcej, niż przywiozła!

Była rozczarowana, miała nadzieję włączyć go do tego planu, była gotowa słuchać jego rad. Ale od samego początku potępił to przedsięwzięcie i to tylko dlatego, że brał w nim udział Kamal Singh. Ona też się wahała, ale teraz, kiedy Christian machał rękami

w powietrzu z takim poirytowaniem i mówił jej, że jest naiwną dziewczyną, nie widzącą sztuczek Hindusa, podjęła decyzję.

– Mów, co chcesz, zainwestuję część oszczędności w tę karawanę. Nie wszystkie, bo musimy zatrzymać niewielką sumę na nagłe wypadki, ale tak, podejmę to ryzyko.

Zaczął się sarkastycznie śmiać. W świetle lampy jego twarz wydawała się zniekształcona i dziwnie zacieniona, co mogło wynikać również z tego, że w ostatnim czasie Christian stał się niechlujny i nie ogolił się zbyt dokładnie.

– Ty? – zawołał, chwytając krawędź stołu obiema rękami, żeby lepiej pochylić się do przodu. – Ty chcesz zaryzykować? Co ty sobie w ogóle wyobrażasz? Zapomniałaś, że ten sklep jest zapisany na moje nazwisko?

– Ja też podpisałam umowę najmu!

– A kogo to obchodzi? Jestem twoim mężem i to ja zarządzam naszymi pieniędzmi, takie jest prawo. Ty, moja droga, nie możesz prowadzić interesów ani podpisywać żadnej umowy bez mojej zgody.

Spojrzał na nią triumfalnie. Wykrzywił usta w szyderym uśmiechu, jakby właśnie powalił potężnego przeciwnika. Nagle Charlotte ogarnął nieokiełznany gniew.

– Ale mogę zarabiać pieniądze, tak? Prawo nie ma nic przeciwko temu?

– Co chcesz przez to powiedzieć? – odwarknął.

Wiedziała, że teraz kłótnia się nasili, ale nie mogła dłużej milczeć.

– Co chcę przez to powiedzieć? Chcę powiedzieć, że to ja zarobiłam te pieniądze. To ja zapewniam nam utrzymanie i ja zdecyduję, co stanie się z tymi oszczędnościami!

Opadł z powrotem na krzesło, a ona pożałowała swoich słów, gdy tylko je wypowiedziała. Christian pobladł śmiertelnie, trzymał się krawędzi stołu i zauważyła, że jego paznokcie zsiniały.

– A więc tak to jest.

Wysyczał te słowa tak wolno i cicho, jakby stracił siłę, by użyć głosu.

– Myślisz, że nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo mną gardzisz? – kontynuował. – Upominasz mnie przed Klarą i tym murzyńskim bachorem jak jakiegoś czeladnika. Flirtujesz z każdym Murzynem, Arabem czy Hindusem, przychodzącym do tego nędznego sklepu, żeby kupić butelkę oliwy do lamp. A w nocy leżysz ze mną jak trup, nieruchomy i obojętny. Podobało ci się na Zanzibarze, co? Mężczyzna taki jak George Johanssen, odnoszący

sukcesy lekarz i bogaty spadkobierca. Z nim miałabyś lepsze życie niż ze mną, nieudacznikiem. Chciałabyś zostać jego żoną? Cóż, masz pecha, moja droga, spóźniłaś się...

Wzdrygnęła się, słysząc jego obelgi, jakby były fizycznie wymierzonymi razami. To, co mówił, było złośliwe, było niesprawiedliwe, a jednak odnajdywała w tych słowach sporo prawdy.

– Zamilcz – nakazała. – Chcesz obudzić Klarę? Jest już wystarczająco zmęczona, potrzebuje snu!

Zauważył jej konsternację i cieszył się teraz jeszcze mocniej swoim zwycięstwem. Zerwał się gwałtownie z krzesła, sięgnął rękami przez stół i przyciągnął do siebie ułożone monety.

– Może ci się to nie podobać, kochanie, ale to ja kontroluję te pieniądze – prowokował ją dalej. – A także te, które ukrywasz w tamtej ścianie. Odtąd będę zarządzał naszym majątkiem tak, jak powinien to robić każdy mąż.

Patrzyła przed siebie, całkowicie sparaliżowana, jak wkładał monety do kieszeni marynarki i dopiero gdy klęczał już przed ścianą, aby usunąć luźny kamień, zdała sobie sprawę, że mówi poważnie.

– Nie! Nie masz do tego prawa.

– Mam całe prawo tego świata. Nie pozwolę ci zmarnować naszych oszczędności.

Rzuciła się na niego, złapała go za ramię, żeby powstrzymać go przed zabraniem pieniędzy. Obrócił się do niej z szaleństwem w oczach i pchnął ją w klatkę piersiową. Uderzenie było tak silne, że zaparło jej dech w piersiach. Upadła na komodę i uderzyła tyłem głowy w drewniane szuflady. Przez chwilę nie czuła nic poza tęnym drżeniem, jakby jej mózg nagle poruszył się w czaszce, a potem zobaczyła twarz Christiana jak przez mgłę. Pochylił się nad nią, blady, z oczami rozszerzonymi z przerażenia.

– Charlotte... Charlotte...

Wezbrała w niej fala mdłości, nie mogła odpowiedzieć, wykonała tylko obronny gest ręką. Jego twarz zniknęła i usłyszała trzask drzwi, brzęczy dziwnie głucho i złowrogo, a przez jej ciało przeszedł zimny dreszcz. Dopiero po chwili była w stanie się poruszyć, doczołgała się na czworakach do ściany, wyciągnęła cegłę i stwierdziła, że jej oszczędności wciąż są w szkatułce. Ale czy było to ważne?

W nocy nękały ją mdłości i bóle głowy, dopiero gdy nad ranem rozpętała się burza i w końcu lunął długo wyczekiwany deszcz, poczuła się lepiej. Łóżko Christiana obok niej pozostało puste, co uznała za ulgę. Nie chciała go widzieć, lepiej niech zostanie tam,

gdzie mu się podoba. Nie był już mężczyzną, którego poślubiła, groził jej, podniósł na nią rękę, a potem tchórzliwie uciekł, zamiast pomóc. Schammi kulił się w kuchni jak mały cień i patrzył na nią wielkimi, zatroskanymi oczami. Uśmiechnęła się do niego i pospieszyła rozpalić ogień.

– Głośny grzmot, *bibi* Charlotte. Zły grzmot. Teraz jest koniec. Schammi przynosi *bibi* Klarze herbatę. *Bibi* Klara wkrótce wyzdrowieje.

Słyszał ich nocną kłótnię, ale nie odważył się wejść do salonu. Teraz wydawał się zadowolony, że zawsze niepokonana *bibi* Charlotte znów bierze sprawy w swoje ręce.

– Oczywiście, Schammi. Wszystko będzie dobrze. Uważaj jednak, żeby nie stłuc kolejnego kubka, dobrze?

Ku jej uldze Klara poczuła się lepiej, gorączka spadła, ale Charlotte uważała, że natychmiastowy powrót do szycia był głupim pomysłem.

– Pada deszcz, Klaro. Światło jest kiepskie, więc i tak nie da się szyć. Lepiej zostań tutaj w mieszkaniu i trochę odpocznij. Poradzę sobie sama.

– Gdzie jest Christian? Czy doszło do kolejnej awantury? Jesteś strasznie blada, Lotte.

– Czuje się dobrze.

To było kłamstwo i Klara dobrze o tym wiedziała, ale Charlotte nie miała ochoty się zwierzać. Ona sama z trudem mogła zrozumieć, co wydarzyło się w salonie zeszłej nocy, więc Klara tym bardziej nie byłaby w stanie. Będzie jej współczuć, pocieszać ją i jednym tchem tłumaczyć, że musi uzbroić się w cierpliwość, że Christian wiele przeszedł i potrzebuje czasu, żeby się odnaleźć w nowej sytuacji. Charlotte mogła obejść się bez takiej pociechy. W złym humorze i z wciąż bolącą głową usiadła na dole w sklepie i choć raz cieszyła się, że z powodu deszczu nie ma co robić. Do południa Christian nadal się nie pojawił, a ona musiała walczyć z rosnącym niepokojem. Z drugiej strony to nie ona go odesłała, uciekł z własnej woli, był dorosłym mężczyzną i musiał wiedzieć, co robi. Ale to niewiele pomogło, ponieważ było dla niej aż nazbyt jasne, że Christian jest bezradny jak dziecko.

Wczesnym popołudniem pojawił się Kamal Singh, a za nim szereg czarnych tragarzy niosących mnóstwo skrzyń i bel towarów. Przez jakiś czas w sklepie panował duży ruch, wynoszono towary z zaplecza i układano nowe. Słysząc było krótkie, energiczne instrukcje kupca nadzorującego zawsze osobiście tego typu prace.

Kiedy wszystko było załatwione, kazał przynieść herbatę dla siebie i Charlotte oraz wypytywał o zdrowie Klary. Zdawał się w ogóle nie zauważać nieobecności Christiana, miał szósty zmysł w wyczuwaniu tematów, które mogą być krępujące dla drugiej osoby i dlatego nigdy ich sam nie poruszał.

– Wezmę udział w organizacji karawany – powiedziała Charlotte z determinacją. – Ale tylko w takiej części, na jaką mogę sobie pozwolić.

Zerknął w zamyśleniu na puste krzesło, po czym podał jej rękę, by przypieczętować umowę.

– Jesteś mądrą kobietą, Charlotte. Jestem pewien, że będziemy robić ze sobą interesy bardzo często. Korzystne interesy.

Miał zdumiewająco mocny uścisk dłoni, prawie niepasujący do łagodnego sposobu, w jaki do niej przemawiał, ani do jego ciemnobrązowych oczu, w których teraz, niemalże nie było widać złotego poblasku, gdyż za sprawą deszczu w sklepie panował półmrok. Na pożegnanie pochylił się trochę do przodu, jakby chciał zrobić mały ukłon, po czym odstawił szklanki z herbatą na drewnianą tacę pomalowaną na jaskrawe kolory i zaniósł wszystko do swojego sklepu. Podmuch wiatru szarpnął jego luźnym, szafranowym płaszczem, a Charlotte, wciąż nękanej przez ból głowy, wydawało się, że widzi odlatującego dżina, trzepoczącego gwałtownie skrzydłami.

Po Christianie nadal nie było śladu. Kiedy deszcz ustał i chmury się rozstąpiły, na Inderstrasse zrobiło się nieco żywiej. Czarnoskóre dzieci pluskały się w kałużach, grupa Sudanek, kobiet Askarysów, chodziła boso po żółtawym błocie i tylko dwie Hinduski w kolorowych jedwabnych sari omijały kałuże z wielką ostrożnością, by nie pobrudzić sobie sandałów i szaty. Schammi zszedł na dół i oznajmił, że *bibi* Klara zjadła i wypła, a teraz idzie się trochę przespać, po czym przykucnął przy wejściu i patrzył na przechodniów. Nic nie powiedział, ale Charlotte wiedziała, na kogo czeka. Tym bardziej trudno jej było się nie martwić. Nie, na pewno nie został zaatakowany przez lwa – wieści o takich incydentach rozchodziły się niczym błyskawica, dawno by się o tym dowiedziała. Ale gdzie on może być? Wziął ze sobą pieniądze zarobione w ciągu całego dnia, a to nie była mała kwota. Czy finalnie wsiadł na przybrzeżny parowiec? Ale dokąd? Planował powrót do Europy? Daleko raczej by nie zajechał, nie miał na to pieniędzy.

Młody mężczyzna wszedł do jej sklepu i przywitał się przyjaźnie w rodzimym niemieckim języku. Prawie go nie poznała, bo misjonarz

Peter Siegel nie miał na sobie lekkiej lnianej marynarki, noszonej przez niego zwykle w stacji misyjnej, tylko ciemny garnitur i czarny kapelusz.

– Miło, że pan nas odwiedził – powiedziała uprzejmie.

Kazała Schammiiemu zaparzyć kawę i zaproponowała pastorowi Siegelowi krzesło, które chętnie przyjął. Jechał odwiedzić swoich parafian i słyszał wiele dobrego o jej energii i pięknym sklepie... To musiało być spowodowane jej bólem głowy, że ta naprawdę sympatyczna osoba strasznie działała jej dzisiaj na nerwy. Siegel był szczupłym mężczyzną, z przerzedzonymi mimo młodego wieku włosami i cienką brązową bródką. Na jego twarzy zwykle malował się uśmiech, wskazujący na nieśmiałość i przyjazne usposobienie, ale zdążyła już zauważyć, że pomimo pozornej niepewności, potrafił być też bardzo uparty i zdeterminowany. Charlotte poinformowała go o chorobie Klary i przeprosiła za to, że kuzynka nie mogła do nich dołączyć.

– Przykro mi z tego powodu – powiedział zmartwiony Peter Siegel.

– Bardzo chciałbym złożyć wyrazy współczucia i szacunku pani kuzynce. Czy są powody do poważnego zmartwienia? Czy jest coś, co możemy dla niej zrobić?

– Prawdopodobnie na razie nie. Wygląda na to, że dzisiaj czuje się lepiej.

Misjonarz spojrział w zamyśleniu na ustawione na półkach cynowe lampy naftowe i mówił o łasce Bożej, tak bardzo potrzebnej w tym kraju. Buntownik Mkwawa wciąż czai się na Wschodzie. Choć utracił dawną władzę, ponieważ Wahehe nie mają odwagi już otwarcie stawiać oporu, Mkwawa jest niebezpiecznym mordercą, który wraz ze swoimi zwolennikami podejmował ataki z zasadzki na niemieckie oddziały Askarysów. Charlotte wysłuchiwała go, grzecznie przytakując, ale w głębi duszy nie wierzyła, że ten Mkwawa jest tak strasznie niebezpieczny. Czarnoskórzy, spotkani przez nią do tej pory, choć niestety gdy byli pijani stawiali się agresywni i wszczynali bójki, to w gruncie rzeczy byli radosnymi, dobrodusznymi ludźmi. W końcu misjonarz wręczył Schammiiemu pustą filiżankę po kawie, a Charlotte miała nadzieję, że za chwilę się pożegna. Jednak zawahał się i zapytał:

– Czy myśli pani, że byłoby możliwe, żebym przez chwilę mógł porozmawiać z pani kuzynką? Nie chcę wyjść na natręta, ale może mogłaby ją pani zapytać, czy nie chciałaby się ze mną zobaczyć.

– Ależ oczywiście...

Schammi poszedł niepewnie na górę z tacą pełną od naczyń po kawie, a po chwili usłyszeli trzask filiżanki o schody. Po nieco dłuższym momencie pojawił się ponownie w sklepie z niewinnym uśmiechem i oznajmił, że *bibi* Klara bardzo się ucieszy z wizyty. Misjonarz Siegel włożył czarny kapelusz, zdjęty z grzeczności, zręcznie minął gęsto upakowane półki i ruszył za Schammim po schodach.

Dziwny człowiek – pomyślała Charlotte.

Ale Klarze na pewno się spodoba to, że pastor tak się o nią martwi. Kiedyś było ich dwóch, i ten drugi, który przed świętami wrócił do Niemiec, nigdy ich nie odwiedził. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie powinna tam pójść z nim, skoro Klara uważała, że nie wypada być samej w mieszkaniu z mężczyzną, ale po pierwsze Peter Siegel był księdzem, a po drugie Schammi też się kręcił na górze.

Minęło ledwie dwadzieścia minut, gdy misjonarz pojawił się ponownie, tym razem zamyślony, prawie zmartwiony. Pożegnał się długim uściskiem dłoni i z całego serca życzył im błogosławieństwa Bożego, a zwłaszcza Klarze, wspaniałej młodej kobiecie, która musiała szybko wyzdrowieć. Potem wyszedł, spoglądając na powracającą powoli ulewę i ze zgarbionymi ramionami szybko poszedł w swoją stronę.

– *Bwana* Christian zapomniał o nas – powiedział Schammi niepytany. – Uciekł i nie wróci. Będziemy żyć bez niego.

– Nie opowiadaj takich bzdur! – warknęła na niego Charlotte. – Idź do browaru Schmidta i zapytaj o niego. Rozpytaj się w okolicy. Rozumiesz mnie?

– Tak, *bibi* Charlotte.

Po krótkiej chwili wrócił i bezradnie rozłożył ręce.

– Nie ma tam *bwana* Christiana. Nie pije *pombe*. Nie dzisiaj. Nie wczoraj.

Było już po piątej. Około szóstej zrobiło się ciemno, a niewielka liczba klientów, których można się było jeszcze dzisiaj spodziewać, na pewno ich nie wzbogaci. Charlotte kazała Schammimu zamknąć sklep i założyć kłódkę, a następnie przyniosłaienne zarobki do mieszkania i umieściła je w swojej kryjówce. Nie tylko lwy chodziły nocą po ulicach, docierały także doniesienia o częstych napadach i włamaniach. Na szczęście do tej pory nie padli ich ofiarą, ale trzeba było uważać. Twarz Klary błyszcziała, gorączka znów wzrosła, upierała się jednak, że wszystko jest w porządku. Jadła z apetytem

i dużo piła. Charlotte wątpiła w to, co mówiła kuzynka, oczy Klary były czerwone i miały dziwny blask, jaki mogła wywołać jedynie gorączka.

– Czy Christian przyszedł?

Charlotte potrząsnęła głową. Czuła się teraz przytłoczona myślami o tych wszystkich okropnościach, mogących go spotkać. Czy poszedł na bagna? Czy rzucił się do morza? Możliwe, że wszczął bójkę i teraz leżał ranny w jakimś ciemnym zaułku. Bezradny, cały w krwawiących ranach...

– Musimy coś zrobić, Charlotte...

Ta decyzja kosztowała ją nieskończoną ilość wysiłku. Prawdopodobnie będą się z niej tylko śmiać, a może nawet spojrzą lekceważąco.

„Patrzcie no, mężczyzna od niej uciekł.”

„Cóż, musiał mieć powód...”

– Idę do ratusza. Może policja albo Schutztruppe nam pomogą.

Zostawiła Schammiego z Klarą i pobiegła błotnistymi uliczkami, obwiniając się, że zwlekała tak długo, może nikt o tej porze już nie dyżurował w ratuszu. Z wysokiego minaretu pobliskiego meczetu dobiegały przeciągłe nawoływania muezinów^[36], obok niej szybko szli Arabowie, Hindusi i czarni Afrykanie, by odmawiać wieczorne modlitwy, więc na chwilę porwał ją strumień ludzi. Kiedy zostawiła za sobą meczet i udała się na południe od Inderstrasse, usłyszała, jak ktoś głośno woła jej imię. Była to Sarah William. Jej znajoma z podróży, robiąca zakupy w sklepie Charlotte, mimo że Klara nie chciała dla niej szyc.

– Bardzo się śpieszę...

Sarah stała pośrodku ścieżki między dwiema szerokimi kałużami, unosząc złożoną, zieloną jak trawa, parasolkę na powitanie.

– Jeśli szukasz męża, moja droga, mogę ci podpowiedzieć, gdzie jest.

Charlotte zamarła. Ulica wciąż była zatłoczona, ale Sarah mówiła po niemiecku, języku zrozumiałym dla niewielu tubylców.

– Nie patrz tak na mnie, dziewczyno. Nie ma go u mnie. Ale tego popołudnia znajomy przyszedł do mnie i powiedział, że były spore kłopoty.

– Nie rozumiem, o czym mówisz.

Sarah zanurzyła czubek parasola w błocie i westchnęła. Najwyraźniej trudno jej było wytłumaczyć tak proste rzeczy, tak głupiutkiemu stworzeniu jak Charlotte.

– Posłuchaj, moja droga – odezwała się po chwili milczenia. – W końcu jesteśmy towarzyszkami podróży i obie musimy radzić sobie same. Dlatego pokażę ci ten dom. Ale pod żadnym pozorem nie chcę tam wchodzić, bo to zaszkodziłoby mojej reputacji, rozumiesz?

Charlotte skinęła głową, chociaż nic nie rozumiała. Ale przecucie podpowiadało jej, że zobaczy takie rzeczy, jakie wołałaby, żeby zawsze były przed nią ukryte.

Mimo to dołączyła do Sarah, która kołysała się do przodu, zręcznie pokonując najgorsze kałuże błota i wciąż miała w sobie na tyle zaradności, by życzyć śpieszącemu się urzędnikowi pocztowemu dobrego wieczoru z promiennym uśmiechem. Szły drogą prowadzącą w przeciwnym kierunku niż ratusz, przecięły więc ponownie Inderstrasse, minęły opustoszałe hale targowe i udały się dalej w kierunku zachodnim. Tam niebo wieczorem zaczęło się czerwienić, unosiły się na nim małe chmurki, które kiedyś miały szary odcień, a teraz świeciły żółtawym i pomarańczowoczerwonym poblaskiem. Mijane rozpadające się domy, nabrały w tym świetle dziwnie nierzeczywistego wyglądu, jakby gruzy i luźne kamienie pochłaniały płomienie.

– Chyba nie chcesz iść do dzielnicy Murzynów, prawda?

„Czarna dzielnica” znajdowała się na zachodnim krańcu Dar es Salaam. Charlotte widziała to miejsce tylko z daleka, radzono jej, aby unikała go jak ognia. W równych rzędach stały tam niskie lepianki kryte strzechą, a wśród nich roilo się od dzieci i kobiet, kur, kóz i osłów. Przed chatami ludzie gotowali, pili, śmiali się, a czasem – jak jej powiedziano – dochodziło wśród nich do paskudnych bójek. Niemcy często kontrolowali tę dzielnicę, ponieważ była ona stałym źródłem irytacji władz kolonialnych i samych mieszkańców Dar es Salaam.

– Tylko na sam skraj. Podejdź bliżej do mnie. Widać go stąd.

Sarah wspięła się na jedną z kupek gruzu i wskazywała ręką na długi, płaski budynek zwieńczony falistą blachą. Budynek otaczał niski mur, a w jednym rogu ogrodzenia leżały wszelkiego rodzaju śmieci, w tym drewniane skrzynie, puste puszki i butelki. Drobne pasmo dymu unosiło się z tyłu budynku, gdzie prawdopodobnie gotowano na otwartym ogniu.

– Co to jest?

Sarah ponownie westchnęła, po czym zmusiła się do wyjaśnienia.

– No więc słuchaj. Nie musisz robić z tego wielkiej sprawy, a przede wszystkim nie musisz tym zadręczać naszej biednej małej

Klary. Obiecay mi to. Dziewczyny takie jak Klara nie powinny wiedzieć o takich rzeczach.

– Gadaj w końcu!

– Tam trzymają swoje Murzynki – powiedziała Sarah pogardliwym tonem. – Oni nie chcą jeździć do prawdziwych murzyńskich dzielnic, bo byłoby to dla nich zbyt brudne i zbyt niebezpieczne. Zamknęli je więc tutaj, zapewnili im wszystko, czego potrzebują i dali trochę pieniędzy. Dziewczyny muszą się wcześniej dokładnie umyć, to dla nich ważne, a jeśli któraś zachoruje, odsyłają ją do rodziny.

Charlotte patrzyła na nią szeroko otwartymi oczami. Czy to możliwe? Słyszała o tych przybytkach, gdzie bywały takie nędzne kreatury, brudni oszuści, obraza dla człowieczeństwa.

– Ja ich nawet rozumiem – paplała dalej Sarah. – Do kolonii wschodnioafrykańskich przyjeżdżają zazwyczaj młodzi faceci, większość z nich nie zostaje zbyt długo, a bardzo niewielu jest żonatych. W ciągu dnia chodzą w swoich pięknych białych mundurach, polerując medale i srebrne guziki, ale w nocy czują się samotni. To po prostu mężczyźni, niebędący w stanie długo wytrzymać, jeśli nie idą od czasu do czasu... no wiesz. A z czarną kobietą jest to dla niektórych szczególnie ekscytujące, nie mają tego w domu w Niemczech...

– Przestań! – krzyknęła przerażona Charlotte, zatykając uszy.

Sarah zmarszczyła brwi, po czym zeszła ze sterty gruzu i przygotowała się do powrotu do centrum miasta.

– Nie są zbyt lojalne wobec swoich kochanków, te Murzynki. Jeśli mogą coś zarobić na boku, to zarabiają, ponieważ potrzebują pieniędzy na utrzymanie rodziny. Słyszałam, że twój mąż miał wczoraj kłopoty z jednym z funkcjonariuszy, bo przyłapał go na uprawianiu miłości z jakąś Murzynką...

Sarah była kilka kroków dalej i prawie zniknęła za ścianą budynku, kiedy Charlotte odzyskała panowanie nad sobą.

– Sarah! Nie idź. Proszę! Nie mogę tam wejść zupełnie sama.

Nie zatrzymała się, tylko lekko odwróciła głowę w bok.

– Teraz tam nikogo nie ma, dziewczyno. Nie przychodzą, dopóki się nie ściemni...

Po tych słowach zniknęła za budynkiem, zostawiając Charlotte w bezradnej rozpacz. Może nic z tego nie było prawdą, może ta złośliwa osoba opowiedziała jej obrzydliwą bajkę. Niemieccy oficerowie i urzędnicy państwowi zakradają się nocą do tego domu, by cudzołożyć z czarnymi dziewczynami? To przecież musiało być

kłamstwem. I Christian – cokolwiek by o nim mówić – on przecież nigdy... Czy to, co mówiła, było prawdą? Czy świat był skonstruowany inaczej, niż podejrzewała do tej pory? Czy była naiwną, złotooką gęsią, jak lubił o niej mówić Christian?

Zachodzące słońce dawało już jedynie słabą, pomarańczową, powoli zanikającą poświatę. Ołowiana szarość rozciągała się po niebie, zaciemniając gęsty las akacji i sekwoi za miastem. Zostało jej niewiele czasu. Musiała obejść mur, aby dostać się do drewnianej bramy, która zamykała ogrodzenie. Było teraz widać kilka małych ognisk – migoczących bursztynowo-czerwonych świateł w zapadającym zmierzchu. Młode afrykańskie kobiety przykucnęły na ziemi i gotowały kukurydzę oraz inne warzywa, były szczęśliwe, śmiały się i rozmawiały, chusty w jaskrawych kolorach związane wokół ich głów lśniły w blasku ognia, kolczyki i naszyjniki również błyszczały odbijanym światłem. Kiedy Charlotte otworzyła bramę, zamilkły i wpatrywały się w nią z niedowierzaniem i zdumieniem. Jeśli Sarah mówiła prawdę, była prawdopodobnie pierwszą białą kobietą, wchodzącą do tej zamkniętej przestrzeni.

– *Jambo* – powitała je, starając się wyglądać na jak najbardziej nieskrępowaną, chociaż jej ręce trzęsły się z podniecenia. – *Jambo*, po prostu gotujcie sobie dalej w spokoju.

– Czego chcesz?

Nie wiedziała, kto zadał to pytanie. Było już tak ciemno, że ledwie mogła rozróżnić czarne twarze kobiet, tylko białka ich oczu i zęby błyszczały bielą, kiedy się śmiały lub mówiły.

– Szukam białego mężczyzny. Christiana Ohlsena.

Jedna z kobiet wstała, mocniej naciągnęła materiał, owinięty wokół ciała i dopiero teraz Charlotte zobaczyła, że trzyma maleńkie dziecko przy piersi. Oddała je innej kobiecie i rozległo się żalodne skomlenie, ale matka beztrąsko wyciągnęła płonący patyk z ognia, zapalając nim lampę naftową i podeszła do Charlotte.

– To twój mąż? – zapytała ochryplym głosem.

Kobieta z pewnością nie osiągnęła jeszcze dwudziestu lat, prawdopodobnie była nawet dużo młodsza, chociaż Charlotte miała problem z odgadnięciem wieku rdzennej ludności. Jej skóra lśniła, jakby była wykonana z matowego brązu, szeroki nos i wypukłe usta zdaniem Charlotte nie dodawały jej atrakcyjności, ale w jej oczach widać było zrozumienie.

– Tak, to mój mąż – przyznała Charlotte. – Czy on... czy on tu jest?

Bez odpowiedzi czarnoskóra kobieta odwróciła się, pospieszyła w kierunku wejścia do domu, trzymając w ręce lampę i otworzyła drzwi. Potem rozejrzała się za Charlotte.

– On tutaj jest. Ale musisz mieć dużo siły, *bibi*.

Uderzyła ją nieprzyjemna woń resztek jedzenia, moczu i alkoholu, rozpoznała niewyraźne zarysy drewnianych skrzyń, połamanego fotela, słomianych mat leżących na podłodze. Dalej był wąski korytarz z kilkoma drzwiami po obu stronach, niektóre były otwarte, a za nimi widać było jedynie ciemność. Kobieta poszła na koniec korytarza i otworzyła szorstkie drewniane drzwi. Malutki pokój wyłożony był półkami i workami, a myszy uciekały, gdy zapalano światło. Śmierdziało tam tak obrzydliwie, że Charlotte poczuła skurcz żołądka. Christian leżał na plecach z rękami skrzyżowanymi na piersi. Ugięto mu kolana, aby zamknąć drzwi.

– Nie chcę iść. Chcę pić. Zabierzemy brandy, jak on ją przyniesie. Będzie zły. Pić, pić, pić.

Charlotte wpatrywała się z przerażeniem w tego wykrzywionego, skurczonego człowieka. Czy to naprawdę był Christian, jej mąż? Włosy miał zmierzwione, górna warga spuchnięta, zaschnięty ślad krwi zagubił się w szczecinie dwudniowej brody. Kurtka i spodnie były podarte i zabrudzone wymiocinami.

– Weź go ze sobą. Pomogę ci. Ale teraz. Szybko. Zanim inni przyjdą...

Nie otworzył nawet oczu, kiedy go wyciągały z chaty, pozwolił, żeby jego nogi bezwładnie przesuwaly się przez korytarz, do przedpokoju, przez próg. Przed budynkiem kilka kobiet przyszło im z pomocą, zniosły bezwładne ciało pod bramę, po czym wróciły do swoich ognisk, zostawiając Charlotte, by sama zajęła się resztą.

Z obrzydzeniem przykucnęła obok męża, ściągnęła z niego śmierdzącą kurtkę i próbowała przywrócić go do życia. Potrząsnęła nim, zawołała go po imieniu, prosiła, żeby się ocknął, ale poruszył się dopiero wtedy, gdy uderzyła go mocno w twarz.

– Wstawaj, do cholery. Chcesz, żeby lwy nas zjadły?

Wtedy powoli stanął na czworakach, przeczołgał się przez błoto i wreszcie udało mu się wstać. Zatoczył się nieco do przodu, potknął i znowu upadł. Musiała użyć wszystkich swoich sił, by go podeprzeć. Na niebie pojawił się księżyc, zalewając gruz, zarośla i ścieżkę niebieskawym światłem, a rosnące drżące cienie, unoszące się nad palmami przypominały wielorękie duchy. Christian ciążył na niej tak bardzo, że musiała zrobić sobie przerwę przy wiatrach targowych.

Całkowicie wyczerpana, zsunęła go na ziemię i oparła o jeden ze słupków, nie słysząc nic poza przeszywającym, przeciągłym cykaniem świerszcza i szybkim biciem swojego serca. Wewnątrz siebie czuła lodowatą pustkę, minął nawet strach przed wędrującymi lwami. Kiedy dotarli na Inderstrasse, śmiertelnie wyczerpana, zostawiła Christiana leżącego na dole w sklepie, wbiegła po schodach i rzuciła się na łóżko. Długo leżała zupełnie nieruchomo na brzuchu, czekając na łzy, złość, rozpacz, ale one nie nadchodziły.

– Jak możesz być taka okrutna, Charlotte? – spytała Klara łagodnym tonem. – Pokutował i wyznał swoje grzechy przed naszym Panem. Krew Chrystusa odkupiła także twojego męża, Bóg mu przebaczył.

Był czerwiec i nastąpiła pora sucha, a nad wybrzeżem wiał chłodny południowo-wschodni wiatr, pochylając wysokie trawy i roznosząc po mieście zapach kwitnących akacji i drzew tamaryndowca.

– Nie potrafię mu wybaczyć!

Christian od tygodni mieszkał w ich mieszkaniu niczym ktoś zupełnie obcy. Charlotte nie odezwała się do niego ani słowem, omijała go wzrokiem, jakby go nie było, obojętna na jego desperackie prośby i samooskarżenia. W ciągu dnia przechodziła obok w milczeniu, załatwiała swoje sprawy, opiekowała się Klarą i Schammim, w nocy spała z kuzynką. Christian przez kilka dni zamknął się w sobie i w swoich rozmyślaniach, potem przez chwilę próbował się przydać w sklepie, załatwiając sprawunki, będące w rzeczywistości pracą Schammiego. Próbował nawet zrobić pranie. Wszystko to jednak poszło na marne – cierń był zbyt głęboki. Charlotte nigdy nie dopuściłaby do siebie myśli, że jej mąż zdradza ją z kimś innym. Że mógł się zabawiać z dziwkami – bo kim innym były te czarne kobiety, decydujące się przebywać w takim obozie? Teraz klapki opadły jej z oczu. Te wszystkie noce spędzone niegdyś rzekomo w Hamburgu lub Bremie z powodu interesów. Jego długa nieobecność, kiedy firma zbankrutowała. Zawsze kłamał i zawsze haniebnie ją zdradzał. Poślubił potwora. Wzdrygnęła się na myśl, żeby nawet na niego spojrzeć, a gdyby choćby musnął jej mały palec, krzyknęłaby z obrzydzenia.

– Chcę rozwodu.

Nie odpowiedział ani słowem, po prostu odsunął się od niej, błydy i milczący. To Klara, która sama ledwo doszła do siebie po gorączce, zaopiekowała się Christianem, długo z nim rozmawiała i w niedzielę zawiozła go do stacji misyjnej. Christian nigdy nie był szczerze pobożny, ale teraz w desperacji szukał wsparcia w religii

protestanckiej. Pastor Peter Siegel wezwał go do tego, by ukoił swoje serce, przemówił do jego sumienia, zażądał odwrócenia się od grzechu, a kiedy Christian obiecał to wszystko z głębi serca, misjonarz wyjaśnił mu, że Bóg Pan jako wierny towarzysz prowadzi skruszonych grzeszników na właściwą ścieżkę. Musiał wykazać się cierpliwością i udowodnić, że mówi poważnie, wtedy jego żona również mu wybaczy.

Aby przekonać Charlotte o powadze swojego nawrócenia, Christian przeniósł się w kwietniu do placówki misyjnej, pomagał przy rozbudowie budynku, pielęgnował ogród, a także – jak entuzjastycznie relacjonowała Klara – przekazywał wiedzę uczniom placówki. Uczył ich arytmetyki i języka niemieckiego. Klara często odwiedzała Christiana, opisywała Charlotte jego gorliwość, chwaliła cierpliwość, pełen miłości sposób postępowania z czarnoskórymi dziećmi, a także z dorosłymi uczniami. Pozbył się tam wszelkiego niepokoju duszy i złych nawyków z poprzednich dni, stał się nowym człowiekiem. Klara zawsze wracała ze swoich wizyt z jasnymi, szczęśliwymi oczami i nigdy nie omieszkała przypomnieć Charlotte, że ślubowała mężowi wierność przed Bożym ołtarzem na dobre i na złe.

– Dlaczego mi to mówisz? Czy to może ja złamałam przysięgę wierności?

– Kobieta musi umieć wybaczać, Charlotte. To nie było w porządku z twojej strony, że napisałaś ten okropny list.

Charlotte napisała do Christiana, prosząc go o zgodę na rozwód i podając powody swojej decyzji. Klara przekazała jej odpowiedź męża. Małżeństwo, zawarte przed Bogiem, uważał za nierozzerwalne i nigdy dobrowolnie nie rozstałby się z żoną.

– Wybaczałam mu już zbyt wiele razy!

– A czy ty sama zawsze byłaś wolna od pokus?

– Dlaczego mnie o to pytasz?

Dotarły już dwa listy od George'a z Anglii, ale Charlotte wrzuciła je nieotwarte do skrzyni. Nie chciała pod żadnym pozorem poświęcać się tej lekturze, ponieważ znała jej podstępne oddziaływanie. A może była po prostu głupia, opierając się pieścizom George'a? Pozwoliła mu tylko na jeden pocałunek, krótką, o wiele za krótką, chwilę błogości. Dlaczego mu się nie oddała? Na całą noc, na wiele nocy, przecież mogli się spotykać, potajemnie, pod jakimś pretekstem. Czy Christian nie postępował podobnie? Chwytaj szczęście, zanim przeminie. Może tamta chwila już nigdy się nie powtórzy, nigdy, do

końca życia. Nie pomyślała wtedy. Nie chciała kupować swojego szczęścia cudzym kosztem. Nawet jeśli George nie ma skrupułów przed zdradzaniem żony, ona nigdy nie wyrządziłaby Marie takiej krzywdy.

Dlaczego nikt jej nigdy nie powiedział o mężczyznach zdradzających swoje żony? Wydawało się to najnormalniejszą rzeczą na świecie: wszyscy to robili, George, Christian, niemieccy oficerowie i urzędnicy, kiedy ich żony i dzieci czekały w domach. Czy dziadek w Leer też nie przykładał wielkiej wagi do wierności małżeńskiej? A jej ojciec, który często odbywał długie podróże, trwające nawet wiele miesięcy? Nie chciała tego wiedzieć. Otworzyła się przed nią nagle głęboka, ciemna otchłań, Świat nie był już taki sam jak wcześniej. Gdzie podziały się jej niewinne tęsknoty? Piękne sny, które ją uszczęśliwiały i dawały nadzieję, gdy była młodą dziewczyną?

Kiedy na początku czerwca Kamal Singh zaczął zatrudniać tragarzy do karawany, podeszła do niego i po raz pierwszy, odkąd zaczęła się ich znajomość, zobaczyła, że Hindus jest skonsternowany.

– To niemożliwe.

– Jestem zdecydowana.

Położył obie ręce na skroniach, jakby chciał wyrwać sobie włosy.

– Zginiesz, Charlotte! – krzyknął. – Istnieją wojownicze plemiona, porywające kobiety czarnych tragarzy. A czy wiesz, co może się stać z białą kobietą wziętą do niewoli przez Chagga^[37] lub Masajów?

– Wiem, że wynajmujesz uzbrojonych ludzi do ochrony karawany.

– To czyste szaleństwo!

Nic nie było w stanie jej zniechęcić. Umówili się, że kupiec oddeleguje dwóch młodych pracowników do pomocy Klarze w prowadzeniu sklepu, w zamian za co otrzyma część zarobków. Do końca czerwca miał zatrudnić wszystkich tragarzy, przewodników karawany, pomocników, kucharza, chłopców na posyłki, tłumacza i każdego, kto tylko był potrzebny w czasie wyprawy.

Charlotte chciała podróżować na zachód z karawaną. Zobaczy Kilimandżaro, tę majestatyczną górę ukrytą w chmurach, o której zawsze tak mocno marzyła i tak często śniła. A potem zdecyduje, jak ma dalej potoczyć się jej życie.

Przypisy

[1] M. Ohia-Nowak, *Słowo „Murzyn” jako perlokucyjny akt mowy*, „Przegląd Kulturoznawczy”, nr 3(45)/2020, s. 195.

[2] Tamże, s. 206–207.

[3] Jagodziak – potoczna nazwa dla wina z jagód (przyp. red.).

[4] Zgodnie z notatką Albrechta Janßena, zamieszczoną na stronie internetowej miasta Leer, Erdmantjes to istoty zamieszkujące Plytenberg od ponad pięciuset lat, zajmujące się ochronę ważnych skarbów pałacowych i innych obiektów. Sa to istoty, które trudno jest zobaczyć, dlatego że zazwyczaj znajdują się blisko chronionych skarbów. Źródło: <https://leer.de/Stadt-Leben/Stadt-Leer-Ostfriesland-/Unser-Ostfriesland-Plattdeutsch/Sagen-und-Geschichten/ErdmantjesAlbrechtJan%C3%9Fen.php?object=tx,2586.6&ModID=7&FID=2586.7116.1&NavID=2586.51&La=1>. Jeżeli nie podano inaczej, przypisy pochodzą od tłumaczki.

[5] W oryginale cytat z utworu Schillera pt. *Das Lied von der Glocke* brzmi: „Drum prüfe, wer sich ewig bindet, /Ob sich das Herz zum Herzen findet”: „Więc kto się wiąże, niech wprzód bada,/czy się serce do serca nada”, tłum. W. Byrski, *Pieśń o dzwonie Schillera*, Polska Drukarnia Spółkowa w Białej, Bielsko 1927.

[6] Tłumaczenie: „Tysiąc mil na falach Nilu”.

[7] Ur. 24 lipca 1897, zaginiona 2 lipca 1937, uznana za zmarłą 5 stycznia 1939, amerykańska pilotka, dziennikarka i autorka książek. Pierwsza kobieta, która przeleciała nad Oceanem Atlantyckim jako pasażerka (1928) i pierwsza kobieta, która jako pilot uczyniła to samotnie (1932), za co została odznaczona Zaszczytnym Krzyżem Lotniczym. Ustanowiła wiele rekordów, w tym dotyczących prędkości i wysokości lotu. Autorka bestsellerów opisujących jej doświadczenia związane z lataniem.

[8] Tradycyjny jarmark w mieście Leer, którego tradycja sięga do 1508 roku, zob. więcej: <https://leer.de/Stadt-Leben/Stadt-Leer-Ostfriesland-/Gallimarkt/>

[9] Amatorskie chóry męskie popularne w XIX w. w Niemczech, śpiewające pieśni biesiadne w prostym, niewyszukanym układzie – stąd tzw. styl Liedertafel.

[10] Najlicniejsza grupa etniczna Kenii. Ich ojczyzną są żyzne, centralne wyżyny Kenii, na których prowadzili rolniczy tryb życia. Ich językiem jest język kikuju, na który składają się trzy dialekty.

[11] To jedno z dwóch sztucznych jezior w granicach miasta Hamburg w Niemczech, które tworzy rzeka Alster.

[12] Sposób wykonywania współbrzmień mający charakter ozdobnika, zaznaczany pionową linią falistą, poprzedzającą akord.

[13] Intarsja – technika używana w zdobnictwie, polega na zastępowaniu wyciętych kawałków np. mebli, drewnem innego gatunku – czasami podbarwionym, bejcowanym lub opalonym (przyp. red.).

[14] Ur. 17 października 1835 w Hadze, zm. 1 sierpnia 1869 w drodze z Marzuk do Ghat. Holenderska podróżniczka. Była pierwszą Europejką, która próbowała przemierzyć Saharę.

[15] Niemiecki podróżnik i awanturnik, piętnaście lat podróżował po Afryce, a jego książki reportażowe przyczyniły się do popularyzacji wiedzy o Czarnym Lądzie.

[16] Niemiecki geograf, archeolog i podróżnik, profesor archeologii. Zwiedził Bliski Wschód i kraje Afryki Północnej.

[17] Walijski dziennikarz, korespondent, pisarz, żołnierz, administrator kolonialny, badacz i poszukiwacz przygód, który słynął z eksploracji środkowej Afryki.

[18] Były to statki, które zostały zbudowane dla stworzenia regularnych połączeń niemieckich parowców pocztowych.

[19] Brytyjski podróżnik i pierwszy Europejczyk, który przemierzył Afrykę wzdłuż równika. Wyprawę tę opisał w książce pt. *Podróż przez Afrykę*. Niemieckie wydanie tego dzieła zostało opublikowane nakładem wydawnictwa Brockhaus w Lipsku w 1877 roku.

[20] Duchowny protestancki sprawujący władzę nadzorczą w stosunku do pastorów określonego obszaru.

[21] Wódz plemienny ludu Hehe, przywódca powstania w Niemieckiej Afryce Wschodniej w latach 1891–1898.

[22] Tradycyjny arabski statek żaglowy, z jednym lub kilkoma żaglami. Pierwotnie używany był u wybrzeży Półwyspu Arabskiego, Indii i wschodniej Afryki. Duże dau mogą mieć około trzydziestu osób załogi, na mniejszych liczy ona zazwyczaj 12 osób.

[23] Bibularz, zwany również suszką, to tradycyjne narzędzie służące do zbierania nadmiaru atramentu z papieru (przyp. red.).

[24] Askarysi, askari – tubylczy żołnierze afrykańskich sił kolonialnych w XIX i XX wieku. Także wzorowane na nich niektóre niemieckie jednostki w Europie złożone z żołnierzy obcego pochodzenia.

[25] Pol. Ulica Cesarska.

[26] Określenie spotykane zazwyczaj w nazwiskach szlacheckich, oznaczało w przetrwałyby pochodziła dana osoba oraz co do niej należało (przyp. red.).

[27] Sikhizm – religia powstała w XV wieku w Indiach w prowincji Pendżab. Jej założycielem był Guru Nanak. Na świecie jest ok. 27 milionów wyznawców tej religii (sikhów) – żyją oni głównie w indyjskim Pendżabie, ale mają także liczną kilkumilionową diasporę rozszaną po krajach dawnego Imperium Brytyjskiego i w USA.

[28] W języku suahili oznacza „jedzenie”

[29] W języku suahili oznacza m.in. „kobieta” (inne znaczenie – babcia)

[30] W wierze afrykańskiej – zły demon.

[31] Galgant chiński to okazała bylina z rodziny imbirowatych mająca właściwości przeciwzapalne, rozkurczowe oraz przeciwbólowe, wspiera pracę serca.

[32] Niemieckie oddziały kolonialne stacjonujące wyłącznie w koloniach afrykańskich między 1891 a 1918 rokiem. Oddziały Schutztruppe zostały oficjalnie rozwiązane w październiku 1919 roku.

[33] To krzew lub drzewo, które rośnie w przybrzeżnej słonej lub słonawej wodzie. Termin ten jest również używany w odniesieniu do tropikalnej roślinności przybrzeżnej składającej się z takich gatunków. Namorzyny są zróżnicowane taksonomicznie w wyniku zbieżnej ewolucji kilku rodzin roślin. Występują na całym świecie w tropikach i subtropikach, a nawet w niektórych umiarkowanych obszarach przybrzeżnych.

[34] Afrykańska odmiana piwa.

[35] Ludność rolnicza w krajach arabskich, głównie w Egipcie. Fellahowie w Egipcie wywodzą się ze starożytnych mieszkańców doliny Nilu zmieszanych z Arabami.

[36] W islamie mężczyzna pięć razy dziennie wzywający z minaretu wiernych do modlitwy.

[37] To grupa etniczna Bantu z regionu Kilimandżaro w Tanzanii. Są trzecią co do wielkości grupą etniczną w Tanzanii.